

TO, CO UKRYTE

LAURA
LIPPMAN

Jedną z tych powieści, o których wydawcy lubią mówić, że „rozsadza ramy gatunku”.
Tyle że tym razem to prawda.

CHICAGO SUN-TIMES

MARGINESY

W ekranizacji
zagrały
Diane Lane
i **Dakota Fanning**



**TO, CO
UKRYTE**
LAURA
LIPPMAN

PRZEŁOŻYŁ MACIEJ NOWAK-KREYER

MARGINESY

Dla Vicky Bijur i Carrie Feron

Koniec mowy. Wszystkiego tego wysłuchawszy:

Boga się bój

i przykazań Jego przestrzegaj,

bo cały w tym człowiek!

Bóg bowiem każdą sprawę wezwie na sąd,

wszystko, choć ukryte: czy dobre było, czy złe.

Księga Koheleta 12,13–14

17 lipca, siedem lat wcześniej

Prolog

Kiedy kazano im wracać do domu, były boso, a ich ociekające wodą stopy zostawiały mokre ślady, które niemal natychmiast wyparowywały, tak jakby nigdy nie istniały. Jeśli dałoby się jakoś podążyć tymi śladami, czego wielu miało później próbować, zaprowadziłyby one do dziecięcego brodzika, do stołów zastawionych z okazji urodzinowego przyjęcia i błękitnych balonów z mylaru. Potem minęłyby stolik z przekąskami i pobiegły w górę schodów, do parkingu. Każdy następny ślad był mniejszy od poprzedniego – najpierw znikaly palce, potem wąskie połączenie pięty i śródstopia, następnie pięty, później zostawały same pulchne krawędzie stóp – i w końcu nie zostawało nic.

Usiadły na krawężniku, żeby włożyć buty – Ronnie tenisówki, Alice nowiutkie buciki z przejrzystego tworzywa. Alice wydawała wszystkie pieniądze, aby nadążyć za trendami mody aktualnie obowiązującymi w piątej klasie Szkoły Świętego Wilhelma z Yorku. Tamtego lata, siedemnastego lipca siedem lat temu, buciki z przejrzystego tworzywa były właśnie tym, co należało mieć.

Asfalt parkingu był lśniąco czarny, przypominał Alice bulgoczące, wrzące morze z bajki, które paruje, kiedy się go dotknie.

– To wygląda jak pustynia w Oz – stwierdziła, myśląc o książkach, które uratowały się z dzieciństwa jej matki.

– W Oz nie ma pustyni – odparła Ronnie.

– Jest, trochę później, w następnych częściach. Tam jest taka pustynia, która parzy...

– Nie w książce – powiedziała Ronnie. – W filmie.

Alice postanowiła nie spierać się dłużej. Ronnie zwykle się jej sprzeciwiała, kiedy chodziło o sprawy związane z książkami, a także o różne fakty i oczywiście o szkołę. O rzeczy, które Alice uważała za wiedzę. Słowo to widziała napisane jaśniejszymi niebieskimi literami i oglądała je przez cały rok na gazetce ściennej w sali, gdzie uczyła się piąta klasa: „Prawda, że człowiek mądry jest silny, lecz człowiek zdobywający wiedzę powiększa swoje siły”. Pod maksymą przyczepiano co tydzień prace ocenione na piątkę. Alice martwiła się za każdym razem, kiedy efekt jej wysiłków nie pojawiał się na tablicy. Ronnie coś takiego jeszcze nigdy się nie przytrafiło i twierdziła, że ma to gdzieś.

Dzisiaj wpadła w ten swój ponury nastrój, kiedy zdecydowanie nie należało jej drażnić.

– Powinnam zadzwonić po wasze matki – powiedziała z wahaniem mama Maddy, nawet gdy kazała im wyjść z brodzika i wyrzucała je z przyjęcia. – Nie powinniście iść same przez Edmondson Avenue.

– Mnie wolno – odparła Ronnie. – Mam ciotkę w Stamford. Chodzę do niej, jak rodzice są w pracy. Mieszka po tej stronie Edmondson. – A potem buntowniczo spojrzęła na pozostałe dziewczynki, wciąż jeszcze zdumione i zaszokowane. – Moja ciocia ma cukierki double stuff oreos i rice krispie treats – dodała. – I wszystkie kanały kablówki, a ja mogę oglądać, co chcę, nawet jeśli to jest dozwolone od więcej niż trzynastu lat!

Alice wiedziała, że ciotka Ronnie rzeczywiście mieszka gdzieś w okolicy. Ale Stamford jakoś jej nie pasowało. Podobnie cukierki oreos i rice krispie. Fullerowie nigdy nie mieli czegoś tak dobrego. Za to było u nich tyle gazowanych napojów, ile tylko dało się wypić, bo pan Fuller jeździł ciężarówką Coca-Coli. Ronnie mówiła prawdę o tym, co ogląda w telewizji. Rodzice nie zwracali uwagi, co ogląda córka. Ani co robi. Ani co mówi.

Pana Fullera obchodził wyłącznie hałas telewizora, bo jedyne, co mówił Ronnie i jej trzem starszym braciom, to: „Wyłącz go, wyłącz go”. A dokładniej: „Wyłącz go, na litość boską”. Zaledwie w zeszłym tygodniu, w deszczowe popołudnie, Ronnie oglądała właśnie jeden z filmów, w których nastolatki giną na coraz ciekawsze sposoby. Ich krzyki odbijały się echem bez końca. Alice schowała głowę pod poduszki sofy i wcale jej nie przeszkadzało, że nieświeżo pachną, a policzek przyciska do okruchów i śmieci. Pierwszy raz niemal się ucieszyła, kiedy pan Fuller wszedł do domu, wróciwszy ze swojej zmiany.

– Jezu, Ronnie – burknął. – Wyłącz to. Słowo daję, z tobą normalnie nie da się wytrzymać.

– Zasłaniasz czujnik od pilota – odburknęła. Ale musiała w końcu uruchomić pilota, bo kilka sekund później krzyki ucichły i Alice wystawiła głowę spod poduszki.

Matka Maddy nie uwierzyła w historyjkę o ciotce. Alice widziała sceptycyzm w wyrazie jej otwartych ust, pociągniętych błyszczkiem, i w jej zmrużonych, zmęczonych oczach. Matka Maddy wydawała się rozdarta między chęcią rzucenia wyzwania kłamstwu Ronnie a chęcią pozbycia się jej samej. A właściwie pozbycia się ich obu, chociaż Alice niczego nie zrobiła, w ogóle niczego oprócz tego, że brat Ronnie podwiózł ją na przyjęcie.

Matka Maddy oblizwała wargi raz i drugi, zlizując większość błyszczyka, aż wreszcie oznajmiła:

– Bardzo dobrze.

Później wszystkim mówiła, że Ronnie ją oszukała, że nigdy nie kazałyby dwóm małym dziewczynkom wyjść, gdyby wiedziała, że chcą same ruszyć Edmondson Avenue. Bo przecież najgorsza rzecz, jaką można było sobie wyobrazić w południowo-zachodnim Baltimore o godzinie czternastej siedemnastego lipca siedem lat temu, to samotny spacer Edmondson Avenue.

Pagórek, którym szło się do Edmondson, był długi i wznosił się stopniowo.

Alice nie wiedziała, czy w tej okolicy, nazywanej Ten Hills, rzeczywiście wznosi się dziesięć wzgórz, lecz stromizn wystarczało, aby zmęczyć krótkie nogi. Dziewczynki nie miały ubrań, więc zawiązały ręczniki, wysoko, tam, gdzie powinny podtrzymywać je piersi. Ale one nie miały też piersi, lecz małe wypukłości, które dopiero w tym roku zaczęły chować w staniki. Ręczniki zsuwały się i plątały wokół kostek. Ronnie, owinięta w zwykły ręcznik kąpielowy, niezbyt już biały, klęła za każdym razem, gdy spadał. Kiedy czwarty raz się o niego potknęła, zawiesiła go sobie na szyi, nie dbając o to, co jej widać. Alice nigdy nie odważyłaby się tak iść ulicą, a przecież miała na sobie jedno-częściowy kostium. Ronnie włożyła czerwono-białe bikini, chociaż była tak chuda, że luźny stanik wisiał na niej jak worek. Jediną krągłością Ronnie był odrobinę wystający brzuch.

– Jak u dziecka z Biafry – stwierdziła Helen, matka Alice. – Ojej, przesadziłam.

Alice nie miała pojęcia, o czym matka mówi i czy to jest dobre, czy złe – ani nawet o co chodzi z tym „przesadzaniem”. Po prostu wiedziała, że matka nigdy by nie powiedziała, że jej córka wygląda jak dziecko z Biafry.

Granatowy jednoczęściowy kostium Alice miał na brzuchu małe wycięcie w kształcie stokrotki. Ronnie powiedziała, że to jakiś dziwny pomysł, i powtarzała to za każdym razem, gdy tamtego lata widziała Alice w kostiumie, czyli dokładnie trzykrotnie. Podczas całodziennej wycieczki do Sandy Point, w trakcie innego przyjęcia na basenie, no i dzisiaj.

– Kto będzie chciał oglądać brązową stokrotkę na twoim grubym, białym brzuchu? – powiedziała, kiedy mama Alice, jadąc rano do pracy, zostawiła córkę u Fullerów.

– To stylowe – oznajmiła mama. – To jest stylowe.

Ronnie nie wiedziała, co to znaczy, dlatego musiała siedzieć cicho. Lubiła matkę Alice i przy niej starała się zachowywać jak najlepiej. Alice także nie wiedziała, co oznacza słowo „stylowe”, ale czuła, że to coś dobrego. Jej matka знаła mnóstwo wyrazów, których ona nie rozumiała. Stylowe. Klasyczne. Retro, „nuwo”. Kiedy Alice nie chciała czegoś włożyć, bo inne dziewczynki mogły jej później dokuczać, a wszystkie metody perswazji zawodziły, Helen Manning spotykała w lustrze jej odbite spojrzenie i mówiła:

– No, ale ja sędzę, że to jest wyszukane.

Taki komentarz kończył spór i stanowił sposób łagodnego oznajmienia: „Jeszcze-jedno-słowo-a-stracę-cierpliwość”. Wy-szu-ka-ne. Gdy Alice próbowała użyć tego wyrazu jeden jedyny raz, Ronnie spytała tylko: „A czego szukałaś?”

Ale to właśnie Helen Manning nalegała, żeby Alice bawiła się z Ronnie. Ronnie była koleżanką tylko na lato, dziewczynką z sąsiedztwa, jedyną poza Alice, która nie pojechała na obóz i nie miała karnetu na basen. W trakcie roku szkolnego Alice miała lepsze koleżanki, bardziej podobne do niej. Czytały książki, dbały

o włosy i starały się nosić odpowiednie ubrania. Kiedy nadchodziła jesień, ogromnie cieszyła się z początku szkoły, bo to oznaczało ponowne spotkanie z prawdziwymi przyjaciółkami.

Lecz tej jesieni miała iść do nowego gimnazjum. Większość dzieci z jej klasy wybierało się do prywatnych szkół. „Prawdziwych prywatnych szkół”, jak podkreśliła Wendy, nie złośliwie, lecz nieco beztrusko, zapominając, że przecież Alice tam nie trafi. A ona myślała, że Święty Wilhelm z Yorku jest prawdziwą prywatną szkołą. Prawdziwą na tyle, że matka Alice nie mogła sobie na nią pozwolić. Od następnego roku dziewczynka miała chodzić do gimnazjum West Baltimore. Ronnie też. Matka mówiła, że wcale nie chodzi o pieniądze, że Alice powinna „spotykać ludzi każdego rodzaju”, nastawić się na „nowe doświadczenia”. Poza tym, jeśli dłużej uczyłaby się w szkole katolickiej, mogłaby, nie daj Boże, zostać katoliczką.

Jednak Alice wiedziała, że chodziło właśnie o pieniądze. Koniec końców, zawsze chodzi o pieniądze – w jej domu, u Fullerów, nawet u bogatych dzieci. Rodzice po prostu nazywają to innymi słowami, czasem wymyślnymi, czasem zwykłymi. Mówią o tym na różne sposoby. Albo w ogóle nie mówią.

U Fullerów o pieniądzach krzyczano, nawet je sobie kradziono. Tego lata Ronnie przyłapała najmłodszego z braci, jak dobierał się do jej skarbonki. Odepchnął siostrę, wziął młotek i roztrzaskał skarbonkę, Piękną z *Pięknej i Bestii*, taką, która miała nawet niewielką zatyczkę między stopami. Wcale nie musiał jej rozwalać, żeby dostać się do środka. Ale nawet gdy wysypały się już pieniądze – głównie jedno- i pięciocentówki, ale też kilka ćwierćdolarówek, tych monet z wybitą podobizną kobiety – Matthew wciąż uderzał w Piękną, aż wreszcie zamieniła się w proszek.

Alice i jej matka nie walczyły ze sobą o pieniądze i w ogóle o nich nie rozmawiały, nawet gdy z Connecticut przyjeżdżali dziadkowie i mówili rzeczy w rodzaju: „To jest takie życie, jakie sama sobie zgotowałaś”. Raz dziadek wręczył Alice pięciodolarowy banknot, gdy powiedziała mu, że nie ma takiej frotki, jaką mają inne dziewczynki. Matka dała jej wtedy klapsa, a potem obie płakały i uzgodniły, że coś podobnego już nigdy się nie powtórzy. Matka już jej nie uderzy, a Alice nie będzie zmyślać, żeby wyciągnąć pieniądze od dziadka.

Ale to się zdarzyło w trzeciej klasie, kiedy neonowe frotki były na topie, a Alice nie nauczyła się jeszcze być grzeczna. Teraz liczyły się buciki z przejrzystego tworzywa, odkładała więc kieszonkowe i kupiła je w Target. Dzisiaj pokazała buciki swojej najlepszej koleżance z klasy, Wendy. Musiało to wyrzeć na niej wrażenie, bo zrobiła Alice miejsce w ławce, którą dzieliła z dwiema innymi dziewczynkami z ich klasy.

Urodzinowe przyjęcie Maddy urządzono obok brodzika nie dlatego, że zaproszono na nie maluchy, ale dlatego, że leżał za ogrodzeniem, które było

potrzebne do przywiązania balonów. Alice przyłapała się na tym, że liczy prezenty. Zawsze coś liczyła. Stopnie schodów, pasy na jezdni, ptaki odlatujące jesienią na południe. Na stole leżało czternaście upominków, ale przyszło tylko trzynaście dziewczynek. Czy mama Maddy też przyniosła prezent? A może ten prezent dała jakaś dziewczynka, która wyjechała na obóz? Czternaście prezentów, trzynaście dziewczynek. Podarunek od Alice wyglądał bardzo ładnie – matka opakowała go w niebieski błyszczący papier – ale jego kształt zdradzał wszystko. Książka, po prostu książka, a Maddy nie należała do dziewczyn, które ucieszą się z książki. Ona pragnęła nowych podkoszulków odsłaniających brzuch, gumowych bransoletek i lakieru do paznokci, który dawało się zdrapać. Była najmłodsza w klasie, ale wiedziała najwięcej o makijażu. Zawsze przemyślała błyszczący i zielony tusz, aż wreszcie zakonnice ją przyłapały, kazały iść do łazienki i wszystko z siebie zmyć.

Alice spodziewała się, że matka Maddy też będzie ładna, tak po prostu. Tymczasem okazała się całkiem zwyczajna – na tyle szczupła, aby nosić bikini, lecz sprawiała wrażenie zmęczonej, jakby wycieńczyło ją bycie zgrabną i opaloną. Nawet jej włosy wydawały się zmęczone, przypominały takie, które na reklamach odżywek pokazuje się jako fryzurę „przed”. Dzieci ze Szkoły Świętego Wilhelma z Yorku miały matki dwóch zasadniczych rodzajów: pracujące oraz niepracujące. Jednak mama Maddy była Matką, Która Kiedyś Pracowała. Tak przedstawiła się mamie Alice, kiedy ta któregoś dnia zadzwoniła do niej, żeby zapytać o kilka spraw związanych z Ronnie. Alice wiedziała, o czym rozmawiały, bo podsłuchiwała je z drugiego aparatu. Tak zresztą robiła od czasu do czasu.

– Jestem matką Maddy, kiedyś pracowałam w Piper and Marbury.

Matka Alice wydała z siebie krótkie „ach”, tak jakby to było coś dobrego. Ona zawsze pochwałała Wszystko Co Twórcze. Jednak Alice zdumiała się, że mama Maddy pracuje jako flecistka*. Myślała, że jest prawniczką. Wyobraziła sobie matkę Maddy w zielonym kapelusiku z piórkiem, wywabiającą dźwiękiem piszczałki dzieci z Hameln, razem ze szczurami. Nie, to szczury wyszły pierwsze, grajak zabrał dzieci dopiero później. A poza tym mama Maddy była pewnie flecistką w orkiestrze, a nie kimś, kto po prostu gra na ulicy albo w cyrku. To chyba fajnie mieć matkę muzyka.

Ale Matka, Która Kiedyś Pracowała, wyglądała, jakby od samego początku przyjęcia bolała ją głowa. Na jej czole widniały cztery zmarszczki niczym dwa identyczne symbole równości, a na grzbiecie nosa coś w rodzaju malutkich nawiasów. Wydawało się, że robią się coraz głębsze i głębsze, więc gdy nadszedł czas rozpakowywania prezentów, jej twarz przypominała trudne zadanie matematyczne, może nawet coś z algebry. W Szkole Świętego Wilhelma nie było rozszerzonego programu, ale siostra Elizabeth zaczęła zadawać Alice dodatkowe prace domowe z matematyki. Alice nie mówiła o tym matce, choć sama nie

wiedziała dlaczego. Może przez to, że prawie nie miała tajemnic przed matką, która zawsze dokładnie wiedziała, co ona myśli. Czasem wydawało jej się, że mama mogłaby nie być zadowolona, że córka lubi matematykę – przedmiot niekreatywny i prowadzący do zarabiania pieniędzy, o których Helen Manning zawsze twierdziła, że stanowi prawdziwe źródło wszelkiego zła. Właściwie nie tyle zarabianie pieniędzy, ile martwienie się o nie, liczenie ich. Kiedy Alice po raz pierwszy usłyszała o źródle wszelkiego zła, zapytała, czy bije ono gdzieś w okolicy drogi numer 40. Matka uśmieła się wtedy do łez, a potem uściskała ją i powiedziała:

– Wiesz, nawet całkiem blisko, gwarantuję ci.

Gdy Alice chciała rozweselić matkę, zawsze powtarzała ten dowcip, aż wreszcie Helen rzuciła:

– Daj spokój, Alice. Nie po to jesteś na tej planecie, żeby uszczęśliwiać innych, nawet mnie. Zwłaszcza mnie.

Prezent Ronnie rozpakowano jako przedostatni. Był owinięty w czerwony papier, który miał zagięcia w nieodpowiednich miejscach, więc każdy widział, że został zdjęty z jakiegoś innego prezentu, złożony w prostokąt i użyty ponownie. Na pierwszy rzut oka nie wyglądał jak papier na gwiazdkowe upominki – brakowało świętych mikołajów, choinek, cukierków, miał po prostu czerwony kolor – ale i tak każdy dobrze wiedział, do czego tak naprawdę służy. Dziewczynka obok Wendy wyszeptowała coś i Wendy odwróciła się do Alice. Już miała coś powiedzieć, kiedy otwarto prezent i wszyscy zamilkli.

– Czyż to nie ładne – oznajmiła matka Maddy, tak jak dwanaście razy wcześniej i zawsze takim samym tonem.

Prezenterem od Ronnie była Barbie, a żadna piątoklasistka ze Szkoły Świętego Wilhelma z Yorku nie bawiła się Barbie przynajmniej od roku. A jeśli już, to w „operę mydlaną”, gdzie lalka za sprawą Kena zachodziła w ciążę i oboje odbywali serię poważnych rozmów o tym, co teraz mają zrobić i czy to było złe uprawiać tyle seksu, i że już na pewno nigdy więcej tego nie zrobią, jeśli Bóg po prostu zabierze to dziecko. Najważniejszą część tej „opermy mydlanej” stanowił sam początek, kiedy kładło się Kena na Barbie i udawało te śmieszne odgłosy. Ale to była tajna zabawa tylko dla dwóch osób. Gdy inni patrzyli, za jedyną odpowiednią reakcją na widok Barbie uważano uprzejme znużenie, tak jakby się nie pamiętało, do czego lalka właściwie służy. Jakby nigdy nie oglądało się jej pod Kenem, krzyczącej „och, och, och!”.

Tak więc sama Barbie była czymś wystarczająco niestosownym. A okazało się jeszcze, że ta jest czarnoskóra. Czarne Barbie robiono dla czarnych dziewczynek – i o to chodziło, a nie o jakieś uprzedzenia rasowe, o których dzieci ze Szkoły Świętego Wilhelma z Yorku wiedziały, że są czymś złym. Gdyby jakaś dziewczynka miała, powiedzmy, dziesięć Barbie, jedna z nich mogłaby mieć czarną skórę, bo taką dziewczynkę stać na urozmaicenia. Szczerze mówiąc, Maddy

była taką dziewczyną. Ona mogłaby dostać na własność całe miasteczko Barbie, tak bogatych miała rodziców. Ale była już za duża na lalkę Barbie.

Co jeszcze gorsze, lalka okazała się Barbie Bożonarodzeniową, a był środek lipca.

Miała czerwony płaszczyk i obszytą futerkiem czapkę, więc nawet Alice, która czasem wolno pojmowała to, co inne dziewczynki chwytaly w lot, uświadomiła sobie, że ta lalka jest przecenioną zabawką z Toys for Tots. Ojciec Ronnie zawsze przynosił do domu tego rodzaju rzeczy – bombonierki w kształcie serca pod koniec lutego, czekoladowe króliczki w maju, meble ogrodowe w październiku. Alice kiedyś usłyszała, jak jej matka mówi, że ciężarówka z logo Coca-Coli, którą jeździ pan Fuller, wraca do domu pełniejsza, niż wyjeżdża. Nie do końca wiedziała, o co w tym chodzi, lecz doszła do wniosku, że na pewno nie o coś dobrego, a na pewno nie o coś miłego.

– Bardzo ładne – oznajmiła matka Maddy, jakby naprawdę tak sądziła. – Podziękuj za prezent, Maddy.

– Dziękuję, Ronnie. – Maddy należała do dziewczynek, które słowa w rodzaju „ładna sukienka” czy „podoba mi się twoja fryzura” potrafiły wypowiedzieć tonem tak obelżywym, że brzmiało to gorzej niż cokolwiek, co mówiono nawet w filmach tylko dla dorosłych. W szkole często mówiła „tak, siostrzo” w taki sposób, jakby to było wyzwisko. Alice, miesząc problemy z powiedzeniem rzeczy, które akurat należało powiedzieć, bacznie obserwowała Maddy i próbowała dociec, jak można nikomu nie podpaść, a jednocześnie być tak złośliwą. Chodziło o niedopasowanie ust i oczu, żeby usta mówiły ładnie i stosownie, a oczy iskrzyły się hardo, choć bez przesady. Ronnie z kolei robiła na odwrót. Oczy zawsze miała szeroko otwarte i patrzące ze zdumieniem, usta zaś skrzywione i drwiące.

Ronnie wiedziała, że koleżanka z niej kpi.

– To głupia lalka dla czarnuchów – powiedziała, wrywając ją Maddy i ciskając do brodzika. – Moja mama chciała się jej pozbyć.

– Ronnie. – Mama Maddy musiała sobie przypominać imię dziewczynki, przynajmniej tak wydawało się Alice. – Proszę, wyjmij swój prezent z brodzika.

– Nie będę tam wchodzić – odburknęła Ronnie. – Tyle w nim sików, że mogą mi odpaść paznokcie u nóg.

Dwanaście dziewczynek spojrzało pod stół na swoje stopy, bo tego dnia każda z nich choć raz zanurzyła je w wodzie. Paznokcie Alice miały kolor seledynowy, co pasowało do niebieskich bucików z przejrzystego tworzywa. Wendy miała paznokcie polakierowane na różowo. Ronnie nie używała lakieru, odkąd próbowała pomalować sobie paznokcie i przyszła do szkoły z czerwonymi pasmami sięgającymi aż po stawy palców.

– Ronnie, proszę. – Mama Maddy położyła dłoń na przegubie dziewczynki.

Ronnie mocno szarpnęła ręką w bok. Alice wiedziała, że to przypadek, nic poza tym. Że dłoń Ronnie przypadkowo była akurat zaciśnięta w pięść i przypadkowo ta pięść uderzyła matkę Maddy w podbródek.

Ale matka Maddy krzyknęła głośniejsze niż przedszkolak, tak jakby cios miał naprawdę dużą siłę. Dziewczynki też krzyknęły, jak gdyby właśnie zobaczyły samochód roztrzaskujący ogrodzenie brodzika.

– Uderzyłaś moją mamę – stwierdziła Maddy. – O Boziu, ona uderzyła moją mamę.

– Przepraszam – powiedziała Ronnie. – Przepraszam, przepraszam. Naprawdę przepraszam. Nie chciałam.

– Uderzyłaś moją mamę. Uderzyłaś dorosłego – zakipiały głosy innych dziewczynek, pełne szoku, choć też trochę podekscytowane.

Kiedy odezwała się matka Maddy, mówiła cichym, strasznym tonem, którego tak skutecznie używają dorośli:

– Myślę, że powinnam zadzwonić do kogoś, żeby cię zabrał do domu.

– Powiedziałam przecież, że przepraszam. Nie chciałam pani uderzyć. To był wypadek. Pani pierwsza mnie dotknęła.

– Pewnie jesteś już zmęczona upałem i zabawą. Czy jest ktoś, po kogo mogę zadzwonić, żeby cię zabrał?

Trzymała już w ręku telefon komórkowy...

– Przyszłam z Alice – powiedziała Ronnie, łapiąc koleżankę za ramię. – Musimy iść do domu razem.

Alice była tak zaskoczona, że nie zdołała się wymigać. Tak, teoretycznie powinna wracać do domu razem z Ronnie, ale nie kiedy Ronnie źle się zachowała. Dlaczego miałyby wychodzić, skoro to Ronnie była niegrzeczna? Zawahała się i właśnie wtedy Ronnie powiedziała o ciotce i o cukierkach, i o wszystkim innym.

– W porządku – oznajmiła matka Maddy. – Tak czy owak, myślę, że będzie lepiej, jak pójdziecie we dwie. Teraz idziecie do domu twojej ciotki? Po tej stronie Edmondson? Dobrze.

Wcale nie było dobrze ani w porządku, nie było też sprawiedliwie. Alice zwlokła się z ławki i zabrała ręcznik i buty. Współczujące spojrzenie Wendy jeszcze bardziej popsło jej humor. Ronnie weszła do brodzika po lalkę, a kiedy wracała, Barbie dwa razy jej wypadła. Ubranko lalki przyłgnęło do jej twardego ciała, kropelki wilgoci zaperliły się na brązowych nogach. Alice miała ochotę zanurzyć stopy w brodziku.

Wiedziała, że Ronnie powiedziała połowę prawdy. Dzieci sikają do wody, ale siki nie rozpuszczają paznokci. Szczerze mówiąc, jej mama wspomniała kiedyś, że siuski są dobre na naciągnięte ścięgna i na nagniotki.

Tak więc wyszły, zostawiając za sobą dwa ciągi wilgotnych odcisków stóp, jeden bardziej wysforowany do przodu niż drugi. Ślady niby wspólne, lecz zarazem

osobne, połączone tylko rażąco niesprawiedliwością zwykłych codziennych przypadków. Schodami w górę, przez olbrzymią czerń parkingu, i potem wznie-sieniem prowadzącym do Edmondson, gdzie Ronnie wcisnęła srebrny przycisk na przejściu dla pieszych, chociaż każdy wiedział, że światła same się zmieniają co jakiś czas, a przycisk jest tylko na pokaz.

– Myślałam, że idziemy do domu twojej cioci – odważyła się powiedzieć Alice, a Ronnie spojrzała na nią zdziwiona, nie pamiętając o swoim kłamstwie.

– Moja ciotka latem pracuje w Crab House przy drodze numer 40 – odparła. – Poza tym nie lubi, jak do niej przychodzę. Pokłóciła się o coś z moim tatą.

Przejście przez szeroką i ruchliwą Edmondson Avenue okazało się łatwe, bo zielone światło paliło się cały czas. Alice wiedziała, że łamią reguły, ale to było radosne, stanowiło obietnicę rzeczy, jakie mogły pojawić się po rozpoczęciu nauki w nowym gimnazjum. Matka obiecała, że pozwoli jej robić makijaż – w każdym razie używać szminki – a włosy zacznie ścinać jej fryzjer w salonie, nie maszynka w kuchni. Chociaż do rozpoczęcia roku szkolnego zostało jeszcze trochę czasu, Alice już myślała o wyprawie do sklepu po szkolne przybory i ubrania. Będzie potrzebowała nowych ubrań, skoro przestanie codziennie nosić mundurek.

Gdy bezpiecznie przeszły przez Edmondson, uznała, że teraz skierują się na zachód do postrzępionej odnogi ulicy Nottingham, gdzie obie mieszkały. Jednak Ronnie chciała pójść trasą, którą nazywała skrótem, chociaż bardziej pasowałaby nazwa „wzdłuż”: przejść obok większych domów, które usadowiły się przy rozległych zielonych trawnikach z małymi żółtymi znakami ostrzegającymi psy i dzieci, aby trzymały się z daleka ze względu na chemikalia.

Były już w połowie drogi przez Hillside, największej z ulic z dużymi domami, gdy Ronnie się zatrzymała.

– Spójrz – powiedziała. U szczytu schodów, na ganku, stał samotny dziecięcy wózek. Promienie słońca połyskiwały w jego srebrzystych uchwytach. – W takim słońcu metal musi być gorący.

Wyraźnie czekała na jakąś odpowiedź, więc Alice rzekła:

– I stoi tak blisko krawędzi schodów. Mógłby się stoczyć.

– Po prostu się sturlać.

– Chyba że ma włączone hamulce – zaznaczyła Alice.

– Nawet jeśli ma włączone hamulce – stwierdziła Ronnie – to i tak nie jest dobrze. Nie powinno się tak zostawiać dziecka.

– Jego matka jest pewnie w środku – powiedziała Alice.

Ronnie chwyciła ją za łokieć i szczypiąc, szarpnęła nim do góry. Alice spojrzała na siniak po innym uszczyknięciu i przypomniała sobie szczęk zębów matki Maddy, kiedy pięść Ronnie trafiła ją w brodę. Nie, to nie był dobry dzień na sprzeciwianie się Ronnie.

– Nie powinna go tak zostawiać nawet na chwilę – oznajmiła Ronnie. –

Wszystko może się zdarzyć. Ktoś powinien opiekować się dzieckiem.

Podkraśli się do drzwi. Wprawiona w nie szyba, gęsto przetkana metalem, była tak mało przejrzysta, że nie zdołały wiele dojrzeć we wnętrzu chłodnego, ciemnego domu. Niczego też nie słyszały. Żadnych kroków, żadnych głosów.

„Czy kogoś wołałyście?” Później powtarzano to pytanie wiele razy, na wiele różnych sposobów. „Pukałyście? Naciskałyście dzwonek?” Czasem Alice odpowiadała „tak”, czasem zaś „nie”, a cokolwiek mówiła, było prawdą właśnie wtedy, kiedy to mówiła. W jej umyśle istniało tysiące wersji tego dnia. Wołały. Dzwoniły. Pukały. Sprawdzały, czy drzwi są zamknięte, a gdy okazały się otwarte, weszły do środka i zadzwoniły na 911. Matka dziecka tak się ucieszyła, że dała im dwadzieścia dolarów, zadzwoniła do gazet i telewizji, a one stały się bohaterkami.

Przez większość czasu Alice miała pewność co do jednego: zapukały do tych szklanych drzwi z drucianą siatką, tak gęstą i drobną, że nie dawało się zobaczyć wnętrza domu. To była jakby zasłona na zasłonie: kunsztowny wzór z metalu, coś jak w zamku. Kończyło się długimi cienkimi szpicami, dłuższymi od ich głów.

– Jest tam kto? – zawołały. Może niezbyt głośno, ale jednak.

– To dziecko jest samo – orzekła Ronnie. – Powinniśmy się nim zająć.

– Jesteśmy za małe na opiekunki do dzieci – odparła Alice, która już pytała o to mamę na początku lata, gdy szukała sposobu zgromadzenia tylu pieniędzy, by wystarczyło jej na bućki z przejrzystego tworzywa. – Żeby być opiekunką, trzeba chodzić do liceum.

Ronnie pokręciła głową.

– Powinniśmy się zająć tym dzieckiem.

Dziecko spało na boku, tak że jeden jego pucułowaty policzek był płaski, a drugi, pyzaty, przypominał napełniony wodą balon, którego zawartość przesunęła się na bok. Miało na sobie różowy bawełniany pulowerek, różowe skarpetki i różową czapkę z takiego samego materiału.

– To z Baby Gap – powiedziała Alice. Uwielbiała tę firmę.

– Powinniśmy się zająć tym dzieckiem – powtórzyła Ronnie.

Kiedy później Alice rozmawiała z matką i kobietą o pryszczatej twarzy, taką „wyszukaną”, Alice zrozumiała, o co chodziło Ronnie. Helen i ta kobieta ciągle, raz za razem, pytały ją, co dokładnie Ronnie powiedziała. Powinniśmy się „zająć” tym dzieckiem? Powinniśmy się zająć „tym dzieckiem”? Jednak Alice, mimo dobrych chęci, nie potrafiła sobie przypomnieć, na co Ronnie położyła akcent. Pięć słów, których wypowiedzenie trwa nie dłużej niż pięć sekund. Powinniśmy się zająć tym dzieckiem. Powinniśmy się zająć tym dzieckiem. Powinniśmy się zająć tym dzieckiem. Powinniśmy się zająć tym dzieckiem. Były grzeczne, chciały pomóc. Ludzie lubią dzieci, które są grzeczne i chcą pomóc. To właśnie ciągle tłumaczyła Alice. Że próbowały być grzeczne.

A co Ronnie mówiła swoim dorosłym: rodzicom, przystojnemu panu

o lśniących jasnych włosach i ubraniu z tkaniny o śmiesznej nazwie? „Kora” – powiedziała matka Alice, widząc tego blondyna w holu. Ale Alice domyśliła się z jej tonu, że chodziło o coś dobrego, tak dobrego jak klasyczny, stylowy albo nawet wyszukany. Co Ronnie powiedziała panu w korze i w co on wierzył, kiedy już było po wszystkim?

Tej jednej rzeczy Alice nigdy się nie dowiedziała, nigdy nie mogła wiedzieć i wciąż nie wiedziała siedem lat później, kiedy stan Maryland wypuścił ją po odbyciu kary za udział w zabójstwie Olivii Barnes.

* Gra słów: wyraz „Piper” w nazwie tej firmy po angielsku oznacza flecistę – przyp. tłum.

I

Zwykłe codzienne przypadki

Poniedziałek, 6 kwietnia

1

– Ciekawe – stwierdził okulista i odsunął się od Cynthii Barnes na fotelu na kółkach jak wodny chrząszcz pędzący do schronienia, kiedy w środku nocy zapalają się światła.

– To nie jest słowo, które najbardziej lubię słyszeć od lekarza. – Cynthia silła się na beztroski ton. Metalowa aparatura dotykająca jej twarzy była zimna i ciężka i choć tak naprawdę wcale nie została do niej przyczepiona, czuła się jak w imadle. Każde drgnięcie nadgarstka lekarza – „Teraz lepiej. A teraz? Teraz? A może teraz?” – zdawało się zaciskać uchwyt.

– Ciekawe w pozytywnym sensie – wyjaśnił, podtaczając się do niej z powrotem. – Teraz jest wyraźniej z tym pierwszym albo... – Coś przewertował; nigdy nie wiedziała do końca, co właściwie robił. – Albo z tym.

– Mogę zobaczyć jeszcze raz? – W jej głosie zabrzmiała niepewność, nawet ona to słyszała i to ją zawstydziło. Wciąż pamiętała, jaka była kiedyś, gdy nie miewała wątpliwości.

– Oczywiście. Teraz ta. – Litera „O”, duża, choć lekko zamazana na krawędziach, jakby pod wodą. – I ta. – Teraz „O” stało się wyraźniejsze.

– To drugie?

– Cynthio, tu nie chodzi o udzielanie prawidłowych odpowiedzi. Badanie wzroku to nie egzamin. – Okulista zachichotał ze swojego dowcipu.

– To drugie.

– Dobrze. A teraz, czy jest lepiej z tym, czy... – kolejne wertowanie – z tym?

– Z pierwszym. Na pewno z pierwszym.

– Dobrze.

Poczuła przyływ dumy, a po chwili znowu wstyd, że w ogóle się tak przejmuje. Przyszła do gabinetu, bo przez ostatnie trzy lata nie pojawiała się na corocznych badaniach mimo miłych pocztówek, które dostawała każdej wiosny. Miała liczne nieusprawiedliwione nieobecności u dentysty i pewnie nie poszłaby też na badanie wzroku, ale jej młodsza siostra zauważyła, że ostatnio Cynthia coraz bardziej mruży oczy.

– Jak będziesz je tak mrużyć, porobią ci się zmarszczki – stwierdziła Sylvia, która nigdy nie wybaczyła Cynthii, że to ona ma jedyną parę zielonych oczu w ich pokoleniu. – Okulary są lepsze od botoksu.

Cynthia o mało nie rzuciła w odpowiedzi: „Ja przynajmniej uczciwie zapracowałam na zmarszczki”. Zamiast tego umówiła się z doktorem Silversteinem, który, od kiedy ostatni raz się z nim widziała, przeprowadził się na

północne przedmieścia.

Silverstein, usatysfakcjonowany, odsunął maszynę od jej twarzy i zwrócił jej soczewki kontaktowe, razem z chusteczką do otarcia słonych łez. Uświadomiła sobie, że jest od niej młodszy. Musiał dopiero zaczynać praktykę, gdy trzynaście lat temu przyszła do niego pierwszy raz. Ciekawe, zastanawiała się, czy jego życie potoczyło się zgodnie z oczekiwaniami i planami.

– Widziałem to już kiedyś – stwierdził, uśmiechając się szeroko, aż zrobiły mu się dołeczki w policzkach. – Ale miałem tylko kilka przypadków tak oczywistych jak ten.

Cynthii jego uśmiech wcale nie uspokoił. Znała zbyt wielu ludzi, których wyraz twarzy nie miał nic wspólnego z tym, co mówili.

– I co? – Ślepnię, mam za okiem guz, który tłumaczy te bóle głowy. Ale przecież nie powiedziała doktorowi o bólach głowy. Może powinna?

– Cynthio, z pani oczami jest coraz lepiej – zapewnił Silverstein. – To się zdarza u osób, które długo noszą soczewki kontaktowe. Zmniejsza im się krótkowzroczność. Miała pani problem z ostrością widzenia, bo soczewki są stare i zmętniały od białka, a nie dlatego, że potrzebuje pani recepty na mocniejsze.

– A co z noszeniem okularów?

– Jeszcze nie teraz.

– Słyszałam, że jak się nosi okulary, to coraz gorzej widzi się na bliższe odległości.

– Tak mówią starsze panie, ale nie całkiem słusznie. – Wskazał model ludzkiego oka, który Cynthia uznała za obrzydliwy. Nie cierpiała wyobrażać sobie, co znajduje się pod cienką powłoką skóry. Robiło jej się niedobrze na widok rozjechanych wiewiórek i kotów, wystarczało przelotne spojrzenie na któryś z chirurgicznych *show* pokazywanych w kablówce, by niemal mdlała.

– Proszę spojrzeć, tutaj jest mięsień, który kontroluje soczewkę oka. Z wiekiem robi się coraz sztywniejszy... – Doktor przerwał, kiedy zauważył, że Cynthia patrzy mu za ramię, nie chcąc spoglądać na plastikowy model. – W każdym razie jeszcze nie potrzebuje pani okularów, ale recepty na nowe soczewki kontaktowe. Powinny być gotowe za tydzień. Pielęgniarka ma zadzwonić pod domowy numer czy do pracy?

– Do domu. Nie pracuję już od lat.

Doktor Silverstein zamrugnął zmieszany. Należał do ludzi, którzy nigdy nie mieli szansy powiedzieć jej „tak mi przykro”, bo tragedia wydarzyła się prawie rok po tym, gdy spotkali się na corocznym badaniach. Życie Cynthii pełne było takich osób – mających dobre intencje, lecz postawionych w kłopotliwej sytuacji za sprawą słabej nici wzajemnych kontaktów. Lekarze, mechanicy, księgowi. Przypomniała sobie, jak Warren pytał księgowego o osobę pozostającą na utrzymaniu, która żyła krócej niż rok. Czy biorą pełny kredyt, czy też śmierć Olivii

oznacza, że muszą proporcjonalnie zmniejszyć ratę? Dla Warrena i Cynthii, którzy wówczas zadali już z tysiąc pytań o rzeczy, o jakie nigdy nie planowali pytać – o pogrzeby, trumny, miejsce na cmentarzu, blizny pozostałe po sekcji zwłok – stanowiło to tylko kolejną ponurą formalność. Ale księgowy wyglądał na tak zszokowanego, że miała ochotę dodać mu otuchy.

Teraz to wszystko było już za nią.

Cynthia, mrugając, wyszła na pełne słońce. Jak zawsze po wizycie u okulisty przypomniała sobie swoje pierwsze okulary, które dostała, gdy skończyła dziesięć lat. Radość z tego, że wreszcie widziała świat jasno i wyraźnie, stała się niczym w porównaniu ze strachem przed szyderstwami rówieśników. Jej koleżanki z podstawówki, nawet przyjaciółki, wreszcie znalazły sposób, aby choć trochę dopiec tej ważniaczce, najstarszej córce sędziego Poole'a. Inna dziewczynka błagałaby mamę, żeby pozwoliła jej nosić okulary w etui i wyjmować tylko wtedy, gdy są potrzebne. Ale Cynthia uznała, że wkładanie ich i zdejmowanie byłoby przyznaniem się do słabości, więc zawsze nosiła szylkretowe oprawki, trzymając głowę wysoko.

– Czterooka – szydziły dziewczynki.

– Czworo oczu jest lepsze niż dwoje – odparowała Cynthia. I wystarczyło.

Wsiadła do swojego bmw X-25, sportowego wozu, który wybrała nie ze względu na kojarzony z nim status, ale z uwagi na jego masę. Był cięższy od lexusa, a nawet od mercedesa, i łatwiejszy do prowadzenia niż lincoln navigator, również niezły kawał żelaza. Wolałaby coś mniej olśniewającego, bo półterenówki z wysokiej półki cieszyły się popularnością wśród miejscowych złodziei samochodów. Bmw uważano jednak za najbezpieczniejsze, więc kupiła wóz właśnie tej marki i ignorowała wszelkie docinki na temat zamiłowania do luksusu. Kiedyś zwracała uwagę na rzeczy w rodzaju drogich butów i pięknej biżuterii, co spotkało się z komentarzem jej rodziny, że jeśli nie lubi być w samym centrum wszechświata, to przynajmniej kilka centymetrów na lewo od niego. Ale tamta Cynthia dawno przeminęła, nawet jeżeli nikt nie potrafił przyjąć tego do wiadomości.

Odezwała się jej komórka. W Maryland nie nakazywano używania zestawów głośnomówiących, lecz Cynthia i tak go kupiła. Teraz nie mogła wyjść ze zdumienia, że przedtem rozmawiała przez komórkę, prowadząc wóz jedną ręką, w ogóle nie myśląc o ryzyku wypadku.

– Cynthia?

– Słucham? – Rozpoznała głos, ale niech ją szlag, jeśli kiedykolwiek pozwoliła rozmówcy na aż taką zażyłość.

– Mówi Sharon Kerpelman. – Cynthia nie odpowiedziała; skupiła się na samochodach wjeżdżających na obwodnicę z trudnego zjazdu na I-83. „Beacon-Light” wydrukował ostatnio listę najniebezpieczniejszych skrzyżowań

w mieście i to znalazło się na pozycji piątej. – Z biura obrońcy z urzędu.

– Jasne – mruknęła Cynthia.

– Domyślam się, że to twój sposób powitania.

Tak jakby Sharon Kerpelman kiedykolwiek przywiązywała wagę do uprzejmości.

– Domyślam się – odparowała Cynthia – że skoro ty nie wiesz, co to jest, to ja tym bardziej.

– No dobrze. A co u ciebie? – zapytała Sharon, jakby czytała z kartki. Może wreszcie przeczytała ten poradnik Dale’a Carnegiego, którego tak bardzo jej było trzeba. Ale pewnie ominęła rozdział o zyskiwaniu sobie przyjaciół i od razu przeszła do porad, jak wywierać wpływ na innych ludzi.

– Całkiem niezłe – odpowiedziała Cynthia, akcentując jak południowiec. Nie żeby Sharon potrafiła dostrzec coś tak subtelnego jak zmieniony ton głosu. – Ale teraz prowadzę samochód i wolę nie rozmawiać na obwodnicy, chyba że to jakaś pilna sprawa.

– To... nie, nie jest pilne, ale jest ważne.

– Tak? No, Sharon, wyrzuć to z siebie.

– Alice Manning przyjeżdża w czwartek do domu.

– Na przepustkę?

– Na zawsze. Wypuścili ją.

– Jak to możliwe?

– Jest już pełnoletnia, a w lipcu minie siedem lat...

– Pamiętam, kiedy to się stało – ucięła Cynthia.

Słuchawki nagle zaczęły uciskać ją tak mocno, że czuła, jakby mające wkrótce zeszywnieć mięśnie jej oczu mogły za chwilę wyskoczyć z głowy. „To niesprawiedliwie” – myślała. „Cholernie niesprawiedliwie”. Taki dziecinny lament był jej odruchową reakcją na każdorazowe pojawienie się tego tematu. Ojciec, który zwykle zżymał się na podobne głupoty i całe życie poświęcił ustanawianiu standardów sprawiedliwości, zgodził się z nią.

– Tak, to niesprawiedliwie – stwierdził w dniu, kiedy zapadł wyrok. – Nagięliśmy prawo, jak tylko się dało, ale nie możemy pójść dalej, żeby go nie łamać. W oczach prawa one są dziećmi.

– A w oczach Boga? – zapytała.

– Pewnie też są dziećmi. Bóg bierze na swoje barki odpowiedzialność za nas wszystkich, nawet za potwory, które są wśród nas.

Teraz jej wściekłość znalazła upust w dziecinnym okrucieństwie.

– Czy Alice to była ta gruba, czy ta stuknięta?

Pamiętała ich imiona i twarze, chociaż zawsze miała problem z tym, by je dopasować. Był to rodzaj specyficznej dysleksji, coś w rodzaju skłonności do mylenia nazwisk takich jak Thomas i Thompson, Murray i Murphy. Cynthia

myślała o dziewczynkach jako o groteskowych bliźniętach syjamskich, zrosniętych w pasie i drepczących na czterech nogach prosto na jej ulicę, pod jej próg, w jej życie.

– Alice to była ta z jasnymi włosami spiętymi w kucyk – odparła Sharon. – Pomyśl sobie o *Alicji w Krainie Czarów*.

– Co?

– To taka sztuczka ułatwiająca zapamiętywanie. Albo Ronnie-Aran, jeśli wolisz. Jak wyspa Aran, bo miała ciemne włosy i jasne oczy. Typowy „irlandzki czarnuch...”. – Roześmiała się z zakłopotaniem. – To znaczy ja nie nazywam takich osób „irlandzkimi czarnuchami”, ale pewnie słyszałaś to określenie wśród ludzi z pewnego pokolenia, to znaczy, chodzi mi...

– Wiem, o co ci chodzi – ucięła Cynthia. Sharon mówiła jej już znacznie gorsze rzeczy tak bez troski i nieświadomie, że byłoby dziwne, gdyby przejęła się pomniejszą gafą. Gdy ostatnim razem rozmawiały podczas przypadkowego spotkania w centrum handlowym, Cynthia miała wręcz ochotę dać jej w ucho. Ale przecież córka sędziego Poole’a nie bije się na pięści.

– Po prostu chciałam, żebyś wiedziała. Jakbyś ją kiedyś zobaczyła. To znaczy Alice.

Teraz wszystko nabierało sensu. Jej wzrok się polepszał, bo przecież musiała lepiej widzieć, a słuch się wyostriżył, stał się tak czuły, że najłżejszy dźwięk wyrwał ją ze snu. Chociaż w ogóle nie ćwiczyła – chodzenie po bieżni albo wchodzenie na stopień wydawało jej się teraz idiotyczne – robiła się coraz silniejsza, szczuplejsza i miała więcej energii. Chyba powinna napisać książkę *Dieta kawowo-papierosowa, czyli przez żalobę do pięknego ciała*. Dobra figura... przynajmniej tyle jej zostało. Właśnie to powie, kiedy następnym razem będzie rozmawiała z siostrą. Sylvia była jedyną osobą w życiu Cynthii, która nie krzywiła się na jej sarkazm.

Słowa Sharon wreszcie dotarły do jej mózgu.

– Ona... wraca... do domu. Niedaleko mnie.

– Dokładnie mówiąc, Manningowie nie mieszkają przy Hunting Ridge. Mieszkają kilka przecznic za granicą.

„Dokładnie”. Sharon lubiła dokładność, zgodność z prawem i inne takie rzeczy.

– Ona wraca do domu – powtórzyła Cynthia. – Do domu, który stoi nie dalej niż sześć ulic od mojego.

– Helen Manning jest nauczycielką i samotną matką. Nie stać jej, żeby się wyprowadzić.

Sharon szybko przechodziła od skruchy do pewności siebie. Broniący się obrońca z urzędu, jak nazywał ją Warren. „Cynthio, musisz zrozumieć... Cynthio, to wszystko, co można osiągnąć... One są małymi dziewczynkami, Cynthio...

Cynthio, twoja tragedia, nawet tak wielka... Cynthio, zawsze będzie tu jakaś dwuznaczność. Cynthio, ty najbardziej ze wszystkich musisz mieć na uwadze sprawiedliwość”.

Cynthio. Cynthio. Cynthio.

Tym, czego chciała Cynthia, była właśnie sprawiedliwość. Ale sama pozwoliła im wybić sobie sprawiedliwość z głowy.

– Nie możesz załatwić, żeby musiała mieszkać w innym miejscu?

– Oczywiście, że nie! – Sharon była wyraźnie wzburzona. Paradoksalnie, cechę wspólną wielu adwokatów, jak zauważyła Cynthia, stanowiła podatność na urazy. Sharon zwracała uwagę tylko na własne uczucia.

– Kiedy tamten morderca z North Avenue został ułaskawiony, postawiono warunek, że nie może wrócić do okolicy, gdzie mieszkało dziecko, które zastrzelił.

– To nie to samo.

– Nie, bo on zabił trzynastolatka. A to było dziewięciomiesięczne niemowlę. No i on został ułaskawiony! – Cynthia nie dodała: „Był czarnym mężczyzną, który zabił czarne dziecko. A to były białe dziewczynki, które zabiły czarne niemowlę”. Pozwoliła, aby tę myśl wyraziło jej milczenie, aby to, co niewypowiedziane, sprawiło, że Sharon aż się skręciła w swoim małym boksie w żalonym budynku rządowym. Tyle intryg, tyle planów, a ty wciąż siedzisz tam, gdzie siedem lat temu. Jak to możliwe?

– Życie w dwóch różnych światach – stwierdziła Sharon. – Prawdopodobnie już nigdy się nie spotkacie.

– Siedem lat temu też żyłyśmy w dwóch różnych światach.

– Wiesz, zawsze uważałam, że jedynym sposobem na zrozumienie tego, co się stało, jest myślenie o tym jako o katastrofie naturalnej, czymś takim jak tornado albo piorun. – Głos prawniczki brzmiał rozsądnie i pewnie; to był głos dziewczyny, która w liceum dostała się do grupy dyskusyjnej i wciąż uważała to za wielkie osiągnięcie. – Powstał łańcuch zdarzeń, które doprowadziły do czegoś strasznego, destrukcyjnego. Czy nie lepiej patrzeć na to z takiej perspektywy?

Na usta Cynthii cisnęły się różne odpowiedzi, ale wpychała je z powrotem do gardła, aż poczuła, że zaraz się nimi udławi. „To ty mogłabyś się dzięki temu poczuć lepiej. Zawsze chcesz upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i nie pozwalasz mi postępować po swojemu”.

Zajaśniały przed nią światła hamowania, a refleks miała słabszy niż zwykle, bo rozmawiała przez komórkę. Jej ponad dwutonowe bmw zatańczyło na jezdni i zatrzymało się zaledwie centymetry od pordzewiałego małego escorta, kupy złomu z naklejką parku rozrywki Kings Dominion na zderzaku i wizerunkiem konfederackiej flagi. Cynthia nie miała nic przeciwko konfederackiej fladze. Chciałaby nawet, żeby wprowadzono prawo nakazujące każdemu białemu prostakowi ze wsi tatuowanie sobie takiej na czole. Wtedy można by ich

rozpoznawać z daleka.

– Czy da się załatwić dla niej sądowy zakaz zbliżania się do mnie?

– Nie sądzę, żeby Alice miała zamiar...

– Ja nie pytam, co ona ma zamiar zrobić. Ja pytam, co prawo mnie gwarantuje.

Sharon westchnęła, urażona.

– Sąd nie może decydować w sprawach, które się jeszcze nie zdarzyły. Ale zapewniam się, że Alice usłyszysz radę, by trzymać się z dala od Ronnie Fuller i twojej rodziny.

– Mojej rodziny? To znaczy, że ona wie? Powiedziałaś jej? Dlaczego mówiłaś jej cokolwiek na mój temat? – Cynthia bezwiednie coraz bardziej podnosiła głos, aż dostrzegła, że ktoś na sąsiednim pasie wpatruje się w nią ze zdumieniem.

– Niczego jej nie powiedziałam – odparła Sharon. – Miałam na myśli rodzinę w sensie najbardziej ogólnym z możliwych.

„Rodzina w sensie najbardziej ogólnym z możliwych”. Tylko samotna, bezdzietna kobieta potrafiła mówić o rodzinie w sensie najbardziej ogólnym z możliwych. Cynthia przerwała połączenie, kończąc rozmowę z Sharon Kerpelman bez pożegnania, tak jak robiła to już wiele razy.

Wlokła się obwodnicą prawie czterdzieści pięć minut. Obawiała się, że to chyba koniec kariery doktora Silversteina. Żaden lekarz nie jest wart poświęcania mu tyle czasu – jeśli do czasu wizyty dodać jazdę i czekanie pod gabinetem, wszystko zajęło jej cztery godziny, czyli za długo. Zaparkowała pod domem i weszła tylnymi drzwiami, gdzie przywitało ją piśnięcie systemu alarmowego.

– Cześć, mamusiu.

– Powiedz, co się stało?

Gdyby wzrok Cynthii polepszał się jeszcze przez dziesięć, a nawet dwadzieścia lat, i tak nigdy nie stałby się równie ostry jak wzrok jej matki. Paulette Poole potrafiła swoimi zielonymi oczami dostrzec przyszłość. Przepowiedziała kłopoty, gdy Cynthia i Warren kupili ten dom.

– Dlaczego chcecie tam mieszkać? Na kim próbujecie zrobić wrażenie?

To ona pierwsza przewidziała, że system prawny, który tyle dał rodzinie Poole, zawiedzie, gdy okaże się najbardziej potrzebny. Paulette Poole była wiedźmą w najlepszym znaczeniu tego słowa.

– Po prostu korki, mamo. W tym mieście godziny szczytu zaczynają się coraz wcześniej.

– No tak, przejechałaś tę całą drogę do Towson, żeby zbadać oczy... – Paulette nigdy nie kłopotowała się kończeniem zdań. Jej córka doskonale wiedziała, o co chodzi. Teraz też zdawała sobie sprawę, że postąpiła nierozsądnie, rezygnując z doktora Heepel'a, ich sąsiada w Forest Park, i idąc do jakiegoś białego

żydowskiego lekarza tylko dlatego, że miał gabinet blisko ratusza.

– Gdzie jest...

– Na piętrze. Ogląda film.

Przez wzgląd na matkę Cynthia ruszyła powoli, wybierając główne schody zamiast tylnych. Usłyszała ciche odgłosy dobiegające z ulicy, plink-plink furgonetki z lodami; ale ta melodia umilkła tak szybko, że aż zastanowiła się, czy aby coś jej się nie wydawało. „Wszyscy wokół stolarskiej ławy / Małpka gonila łasicę / Małpka myślała, że to żart”. Przypomniała sobie tamten uśmiech, okropny, nieodpowiedni uśmiech, i to, jak uderzeniem chciała zmasać go z dziecięcej twarzy.

Wnęka przy głównej sypialni miała być garderobą, ale trzy lata temu Cynthia ją wyremontowała, uznawszy, że jest wystarczająco duża. W rezultacie wnęka z pokoju dziecięcego zmieniła się w sypialnię, którą w praktyce i tak nie była. Cynthia jednak wciąż opierała się łagodnym naciskom Warrena, udając, że nie rozumie, dlaczego on znowu chce sypialni tylko dla nich dwojga.

Rosalind siedziała na podłodze wpatrzona w *Śpiącą Królową* i śpiewała zdyszonym dziecięcym głosem. „La-la-la. La-la-la”. Była grzeczna od zawsze, tak zwane straszne dwa lata przeszły prawie bez dziecięcych wybuchów złości. Nigdy też nie miała kolek, które tak męczyły Olivię, i rzadko chorowała na coś poważniejszego niż zwykle przeziębienie. No, ale dziecko karmione piersią do drugiego roku życia zawsze ma lepszą odporność.

Skóra Rosalind okazała się szokująco jasna, co zdaniem Paulette było figłem splątanych przez krew przodków – wszak w rodzinie nie było żadnego białego. Nikt nie wiedział, skąd u małej te niesamowite włosy skręcone w bursztynowe pierścienie. Tylko oczy miała brązowe, jak prawie wszyscy Poole'owie i Barnesowie. To Olivia miała zielone oczy, co według rodzinnej legendy zdarzało się tylko jednemu dziecku z każdego pokolenia.

– Co to za dzidzia? – spytała Rosalind kilka tygodni temu, kiedy zauważyła fotografię w małej owalnej ramce wiszącą nad toaletką matki. – Kto to?

Cynthia i Warren wiedzieli, że pewnego dnia będą musieli powiedzieć córce o jej tragicznie zmarłej siostrze. Ale nigdy nie przyszło im do głowy, że to ona zacznie taką rozmowę, w dodatku podstawowym egzystencjalnym pytaniem „Kto to?”. To twoja siostra. Chociaż właściwie nigdy nią nie była, bo ty i ona nigdy nie żyłyście w tym samym czasie. Dla ciebie ona jest nikim i tak już pozostanie. Gdyby nie umarła, mogłabyś w ogóle nie istnieć, bo twoja matka miała już określone plany, a urodzenie przez nią w wieku czterdziestu jeden lat dziecka do nich nie należało.

Rosalind usatysfakcjonowała jednak najprostsza odpowiedź: „Olivia”. Powtórzyła imię, stukając w zdjęcie, i szybko o nim zapomniała. Jedynym, czego chciała, była kategoryzacja oraz identyfikacja. To jest krowa, to jest pies, a to jest

Olivia. Krowa robi muu, pies robi hau, hau, a Olivia robi... „Livia”. To było jej pierwsze słowo, jej jedyne słowo, wypowiedziane kilka dni przed tym, zanim odeszła. Żartowali z Warrenem, że ich córka jest jak matka, tak samo pewna swojego miejsca w centrum wszechświata, przynajmniej kilka centymetrów na lewo od niego.

Teraz Cynthia nie potrafiła uwolnić się od myśli, że stało się tak, jakby Olivia wiedziała, że inaczej już nigdy nie wypowie swojego imienia.

Na ekranie zła wróżka właśnie złościła się, że jej nie zaproszono na przyjęcie. To wszystko zawsze kończy się tak samo, prawda? Zła wróżka przypominała Cynthii nie Alice albo Ronnie, lecz Sharon oraz ich spotkanie pod centrum handlowym Columbia przedostatniego lata.

Cynthia z trudem pchała wózek Rosalind; europejski model, który był jak wrzód na tyłku – ciężki, nieporęczny i trudny do prowadzenia. Sharon stała obok z pustymi rękami, ale nie zaoferowała pomocy. Czy Cynthia tęskni za ratuszem? Co sądzi o nowym burmistrzu? Bo ona, Sharon, dała już sobie spokój i przeprowadziła się na przedmieścia, po prostu dla pewności, że zawsze będzie miała gdzie zaparkować po długim dniu pracy. Czy o to też trzeba było pytać?

Nie, jednak ta tępa kobieta pochyliła się nad wózkiem i wyszeptała własną wersję klątwy:

– Cynthio, dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz nowe dziecko na miejsce Olivii?

Ledwie te słowa padły, nawet gruboskórna Sharon uświadomiła sobie, że posunęła się za daleko. Zaczerwieniła się tak mocno, że zniknęły nawet dziwne znamiona z lewej strony twarzy, i odeszła szybko, przepraszając.

Niecały tydzień później do Cynthii zadzwoniła jakaś dziennikarka i głosem pełnym fałszywego współczucia zapytała ją, czy zechce opowiedzieć czytelnikom „Beacon-Light” o słodko-gorzkim happy endzie, o swoim triumfalnym drugim akcie – tak właśnie to nazwała – żeby baltimorczycy dowiedzieli się, jak ona i Warren podnieśli się po tej straszliwej, straszliwej tragedii. Dokładnie tak powiedziała: „straszliwej, straszliwej”, jakby powtarzanie tego słowa dowodziło, że naprawdę rozumie nieszczęście Cynthii. Tego wyrazu również użyła: „nieszczęście”.

Cynthia nie dała się nabrać. Wiedziała, że jest dziwadłem, matką zastępczego dziecka. Idiotką, która wróciła na ten sam parking, chociaż tornado zniszczyło jej tam już jedną przyczepę. Chciano przedstawić jej historię, żeby czytelnicy poczuli się bezpiecznie i pewnie. Ich dzieci nigdy nie zostaną ukradzione ani zamordowane, ponieważ Cynthia Barnes wzięła to na swoje barki – za nich wszystkich.

Wtorek, 7 kwietnia

2

Zapach gorącego tłuszczu nad New York Fried Chicken przy trasie nr 40 unosił się już co najmniej sześć godzin, ale nadal wzmagał apetyt Nancy Porter, kiedy tak wędrowała między tylnymi drzwiami restauracji a pojemnikiem na śmieci, przyglądając się rozchlapanej krwi. Wczoraj zaczęła nową dietę i już miała silne zachcianki, przede wszystkim na rzeczy smażone w głębokim tłuszczu. Zgodnie z torem, jakim biegły jej myśli, na całym świecie nie istniało nic – żadne warzywo, mięso, chleb – co nie stałoby się smaczniejsze po zanurzeniu w gorącym oleju.

Tutaj, na odcinku trasy numer 40, gdzie zaczynał się park stanowy, zapach wrzącego oleju buchał prosto w naturalne aromaty zieleni kwietniowego poranka: skoszona trawa, delikatna liliowa nuta, do tego jeszcze coś dzikiego i słodkawego. Połączone wonie smażeniny i przyrody zagłuszyły wszelkie pozostałe zapachy niesione wiatrem – dekadentki, naładowany proteinami smród fast foodu, połączony z metaliczną pozostałością po śmierci młodego mężczyzny.

– Co to w ogóle jest ten smażony kurczak z Nowego Jorku? – zapytała Porter swojego partnera Kevina Infante’a. – Słyszałam o smażonym kurczaku z Południa i o smażonym kurczaku z Kentucky, a nawet o smażonym kurczaku z Maryland, ale nigdy o smażonym kurczaku z Nowego Jorku.

– To znaczy, że ten kurczak jest najlepszy – odparł z krzywym uśmiechem urodzony w Bronksie Infante. Zawsze dawał upust lokalnemu szowinizmowi, gdy chodziło o jedzenie albo baseball – był to sposób przerzucania pomostu przez dzielące ich dziesięć lat, przy jednoczesnym rozładowaniu wszelkich napięć damsko-męskich. Bo niezależnie od okoliczności Kevin zupełnie nie był w jej typie. Miał lśniące czarne włosy i wilgotne brązowe oczy. A gdyby polski dziadek Nancy jeszcze żył, nic na świecie nie powstrzymałoby go od tego, by nachylić się nad Infante’em, udać ruch palca nad szczytem jego głowy i stwierdzić: „O kwartę za niski”. Józef Potrzuski przez większość dorosłego życia zgodnie koegzystował z Włochami i Grekami, ale nigdy nie zdołał ich specjalnie polubić.

– No, nie wiem – odparła Nancy. – Ja lubię styl chicagowski, z grubą skórką. Tak podają na Pennsylvania Avenue. Tam, gdzie chodzimy jeść, kiedy jesteśmy w sądzie.

– To nie jest prawdziwa pizza – stwierdził Infante. – To jest tylko jakaś tarta z pepperoni. Nowojorska pizza jest najlepsza i nowojorskie hot dogi, i nowojorskie deli, i nowojorskie bajgle, i nowojorscy taksówkarze, i nowojorski baseball...

To ostatnie było tak niezaprzeczalnie prawdziwe, że Nancy mogła powiedzieć jedynie:

– Pieprz się...
– Gdyby sierżant wiedział, jak klniesz, kiedy go nie ma w pobliżu, na pewno byłby rozczarowany swoją słodką, małą Nancy.

– Pieprz się podwójnie.

– Coś jak ciasteczka dwa razy przekładane kremem?

Nancy poczuła, że krew napływa jej do twarzy. To właśnie był minus pracy z partnerem, choćby tylko przez kilka miesięcy: bardzo szybko poznali swoje słabostki, łącznie z nazwami ulubionych marek. Kevin wiedział o niej kilka rzeczy, o których nie miał pojęcia jej mąż, a przecież Andy stanowił część jej życia od liceum.

Ale ona z kolei знаła słabostki Kevina: J&B, Merit Lights, Mets i kobiety o naturalnie rudych włosach.

– Przestań gadać o jedzeniu, dobra?

– Ty zaczęłaś.

– Wiem. Boże, jak ja nienawidzę ran kłutych. Proszę, zawsze zsyłaj mi rany postrzałowe.

Infante spojrzał na nią rozbawiony, ale milczał. Nigdy nie miał preferencji co do metody morderstwa. Dla Kevina, który pracował w wydziale zabójstw od pięciu lat, istniały jedynie dwa rodzaje spraw: „wymarzone” i „koniec kariery”, chociaż te drugie tak naprawdę kariery nie kończyły. W każdym razie nie jego.

Dzisiejsza sprawa bez wątpienia należała do wymarzonych. Zbrodni nie dokonano z zimną krwią, widać było wyraźnie, że zabito, bo coś poszło nie tak. Sprawcy zostawili tyle śladów, że dałoby się ich sklonować, choć na taki pomysł mógłby wpaść tylko jakiś szalony naukowiec.

Infante kucnął obok wyjątkowo dużej plamy krwi.

– Te ślady krwi są dziwne, nie sądzisz? Czy on próbował przed kimś uciekać? W takim razie dlaczego nie biegł do głównej drogi? Tutaj nikt by mu nie przyszedł na pomoc.

– Ślady walki... – orzekła Nancy. – To instynktowne, gdy ktoś atakuje cię nożem.

– Kobiety nie walczą.

– Denat nie był kobietą. Był pracownikiem miesiąca w restauracji New York Fried Chicken siedem razy przez ostatni rok. Na pewno próbował się bronić. A może nawet już wyciągał nóż, ale oni mu go zabrali.

– Oni?

– Tak, bez wątpienia. W walce jeden na jeden ten facet miałby spore szanse.

Ciało Franklina Morrisa zostało znalezione w pojemniku na śmieci przez pierwszą zmianę. Leżało na szczycie odpadków z poprzedniego dnia. Wyglądałoby nawet nieźle, gdyby nie liczne rany kłute i mnóstwo krwi. Według swojego szefa Morris był pracownikiem idealnym pod każdym względem. Może trochę ponury,

ale nie jakiś drętwy, nie ktoś, kto mógł swoim zachowaniem sprowokować sprawców do zadania mu naprawdę okrutnej śmierci. Lekarz sądowy ustali dokładną liczbę ciosów i zbada, które rany były skutkiem obrony, które niezbyt poważne, a które śmiertelne. Wyjmie organy wewnętrzne, obejrzy je i zważy. Czasem Nancy nie dostrzegła potrzeby aż takiej precyzji. Ale gdy teraz oglądała miejsce zbrodni, potrafiła myśleć tylko o magiku raz za razem przekładającym szpadę przez wiklinowy kosz.

Szef ofiary, biały mężczyzna w wieku sześćdziesięciu kilku lat, po identyfikacji zwłok opadł na kolana i zaczął płakać.

– On był u mnie trzy lata – wykrztusił przez łzy. – To najlepszy pracownik, jakiego kiedykolwiek miałem.

Nancy, świadoma obecności ekip telewizyjnych za ogrodzeniem z żółtej policyjnej taśmy, zaprowadziła go do restauracji i posadziła przy stole, tam gdzie nie przeszkadzał technikom z laboratorium kryminalistycznego. Dziennikarze machali do niej, chcąc wyrwać jakiś strzępek informacji, ale udawała, że ich nie widzi. Zgodnie z niepisaną zasadą obowiązującą w wydziale nikt nie rozmawiał z dziennikarzami ani wtedy, gdy był nagrywany, ani wtedy, gdy nie był, ani też gdy znajdował się w tle, czy jakich tam jeszcze terminów reporterzy używali, kiedy chcieli wyciągnąć informacje. Nancy nie miała najmniejszego zamiaru zostać przyłapaną na takiej rozmowie.

Dochodziła jedenasta i telewizyjne wozy transmisyjne stały w pobliżu miejsca zdarzenia, gotowe obsłużyć południowy program na żywo. Reporter z „Beacon-Light” przychodził i odchodził, prawdopodobnie podążając za matką zabitego chłopca. Nancy dostrzegła młodą, wysoką kapral, którą zwykle wyznaczano do rozmowy z mediami: Bonnie Jakaśtam. Były mniej więcej w jednym wieku, chociaż Nancy zaczynała w policji miejskiej, a Bonnie od początku w hrabstwie. Mówiono, że jest dobrą policjantką i świetnym strzelcem, chociaż gliniarze z hrabstwa rzadko sięgali po broń. Mimo to zgłosiła się do działu kontaktów z mediami, gdy tylko zwolnił się tam etat. Nancy nie rozumiała, jak można ubiegać się o pracę, w której nie robi się nic poza rozmawianiem z prasą i telewizją, a co dopiero czerpać z niej satysfakcję, jaką zdawała się odczuwać Bonnie, „kapral prasowy” albo – jak zwykł mawiać Infante – „kapral gówniany”.

Nancy zaburczało w brzuchu. Kiedy ją wezwano, właśnie siadała do śniadania – ubogiej mieszaniny ziaren słonecznika i soku marchwiowego. Wtedy poczuła ulgę, dostając pretekst do zrezygnowania z posiłku, ale teraz była potwornie głodna.

– „Żelazna Connie” znowu rusza do boju – stwierdził Infante z krzywym uśmiechem. Uznała te słowa za komplement, którym zresztą miały być. Choć w głębi duszy martwiło ją, że nigdy nie jest zmęczona pracą, nigdy też nie miała mdłości, nawet gdy pierwszy raz zobaczyła ofiarę morderstwa. A jeśli wtedy nie

poczuła się słabo, to chyba była odporna na takie widoki.

– Nie jadłam śniadania – wyjaśniła.

– Możemy ci skołować parę ciasteczek – zaproponował Kevin. Wiedział, że Nancy jest na diecie, bo wczoraj w Applebee musiała przegryźć się przez sałatę z sosem podanym na osobnym talerzu. – Personel na pewno coś ci upitrasi. Obejrzyjmy jeszcze raz miejsce zbrodni, bo mam wrażenie, że coś przegapiliśmy.

Przegapili. W trakcie kolejnej przechadzki po parkingu Nancy zauważyła łuskę naboju. Spostrzegawczość była jej znakiem firmowym, jej darem – a czasem też przekleństwem, jak twierdził sierżant, który nazywał ją „Boginią Drobnych Spraw”. Początkowo nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi, ale sierżant wytłumaczył, że to z powieści, którą jego żona czytała kiedyś w klubie książki. Nancy zawsze miała dobre oko do szczegółów. W policji miejskiej, gdzie zaczynała, przypisywano jej nawet zdolności parapsychiczne. W hrabstwie było to już tylko umiejętnością nieróżniącą się od zdolności Infante’a do łamania ludzi w trakcie przesłuchań albo od niesamowitej intuicji Lenhardta. Ale uważano również, że detektyw nie powinien tonąć w szczegółach. Przynajmniej tak ciągle powtarzał jej sierżant.

– Może pochodzić z innego napadu – rzekł Kevin.

– Owszem – zgodziła się Nancy.

– Kto przynosi spluwę, tylko raz z niej strzela, a potem załatwia gościa nożem?

– Palanty – odparła. – Prawdziwe palanty.

Zabity chłopak miał czteroletniego nissana sentrę; zgodnie z danymi z urzędu rejestracyjnego brakowało mu roku, żeby go spłacić. Na tym kończyły się oficjalnie informacje, ale Nancy dowiedziała się więcej od szefa zamordowanego. Wóz był nieskazitelny, z odświeżaczem powietrza zwisającym z lusterka wstecznego, starannie złożoną mapą drogową w kieszeni siedzenia i jakimś obrazkiem na tylnej szybie – naklejką z nazwą albo college’u, w którym uczył się zaocznie w Coppin, albo też jego studenckiego bractwa, jeżeli w ogóle do jakiegoś należał. Nancy pomyślała, że inicjacja w takim bractwie byłaby dla niego jednym z najszcześniejszych dni w życiu.

Na parkingu zatrzymał się ford taurus, z którego wysiadł Harold Lenhardt. Nancy nie przypominała sobie, żeby sierżant pojawiał się, kiedy Infante prowadził śledztwo. W hrabstwie Baltimore popełniano średnio trzydzieści zabójstw rocznie, a to było dopiero czwartym w ciągu ośmiu miesięcy jej pracy. Wiedziała, że trudno ją uznać za doświadczoną, ale widok Lenhardta wywołał w niej irytację. Sprawdzał ją, i tyle.

– Policjanci z miasta znaleźli samochód ofiary – oznajmił na powitanie. – Zabójcy nie porzucili go i nie zwiali, ale zaparkowali pod centrum handlowym nieopodal Walbrook Junction. Podejrzewam, że chcieli nam utrudnić robotę. Na

szczęście właściciel pralni zauważył, że jakiś wóz stoi na tym samym miejscu od sześciu godzin, wkurzył się i zadzwonił, żeby go odholowano.

– Czy jakiś inny dzieciak, który pracował tutaj zeszłej nocy, mieszka może w odległości, którą można przebyć spacerem od miejsca, gdzie znaleziono samochód? – spytała Nancy.

– Nie. Ale wyobraź sobie, że pewien chłopak z liceum Southwestern każdego tygodnia wagarował przez cztery dni na pięć przez większość semestru. Sprawdziłem więc u dyrektora i okazało się, że dziś rano był obecny po raz pierwszy w tym tygodniu.

– Do której ma lekcje?

– Do wpół do trzeciej. Ale nie możemy czekać. Dziś nie damy temu młodemu człowiekowi siedzieć nad książkami.

– No tak – mruknęła Nancy. Dzieciak sądził, że jest sprytny, pokazując się dzisiaj w szkole. Liczył na to, że gdy policja ustali, że przyszedł na lekcje, na rozmowę z nim poczeka do końca zajęć. Mógłby więc się wymknąć w porze lunchu i znaleźć jakieś miejsce, gdzie by przycupnął i unikał glin tak długo, jak się da. W końcu go znajdą, ale jeśli nie dostaną już dzisiaj, to przynajmniej ich spowolni, osłabi ich impet.

– Nasza bogini znalazła łuskę – oznajmił Infante. Nancy zgromiła go wzrokiem. Mogła słuchać tego od sierżanta, ale nie od partnera. – Wątpię jednak, żeby na sekcji znaleziono w tym dzieciaku jakiś pocisk. Myślę, że ma tylko rany od noża.

– Paskudne – mruknął Lenhardt. – To jakieś cholerne skur... – Przypomniał sobie o Nancy i ugryzł się w język. Nigdy przy niej nie kłął, w ogóle przy żadnej kobiecie, niezależnie od okoliczności. Porter, choć doceniała jego uprzejmość, martwiła się, że o pewnych rzeczach sierżant nigdy przy niej nie powie, bo niektórych spraw nie da się wyrazić bez mocnych słów. A to mogły być właśnie te sprawy, o których musiała się dowiedzieć, żeby zostać dobrą policjantką z wydziału zabójstw.

– Zadżganie nożem trochę trwa – powiedział Lenhardt. – Musi ci się podobać to, co robisz, jeśli zakłuwasz faceta na śmierć.

Nawet Nancy o tym wiedziała. To była jedna z podstawowych prawd.

Zadzwoniła jej komórka, co było dosyć niezwykle, biorąc pod uwagę, że oprócz Andy'ego i mamy prawie nikt nie miał jej numeru. Detektywi używali w pracy pagerów i unikali podawania numerów swoich komórek. Wyciągnęła telefon z torebki – nie robiła z tego żadnych ceregieli, musiała nosić torebkę, bo nie trzymała swojego życia w bocznych kieszeniach i kieszeni na piersi, tak jak faceci. Próbowała oddzwonić, ale nikt nie odbierał. Wtedy zauważyła na wyświetlaczu krótką wiadomość tekstową:

„Wracam do domu”.

„To na pewno od Andy’ego” – pomyślała. Miał dzisiaj wolne i jechał do sali gimnastycznej, gdy rano wychodziła do pracy. Czy nie mógł po prostu zadzwonić i powiedzieć jej, że wraca? Widocznie nie mógł. A jeśli chodzi o matkę, to nie nauczyła się wysyłania esemesów nawet po rocznym kursie. Na magnetowidzie rodziców już prawie dekadę wyświetlała się godzina 12.00.

Nancy odbierała też mnóstwo pomyłkowych telefonów do jakiejś dziewczyny z liceum w Kenwood, której numer różnił się tylko jedną cyfrą. Na razie nie dostawała jeszcze adresowanych do tamtej esemesów, ale to pewnie było nie do uniknięcia. Nancy miała dopiero dwadzieścia osiem lat, lecz już nabrała zwyczaju kręcenia głową i myślenia: ech, te dzieciaki. Nie potrafiła zrozumieć potrzeby bycia nieustannie dostępną, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, pragnienia podłączenia się do czegoś, do czegokolwiek. Żołądek znowu jej zaburczał, co zabrzmiało jak skrzeczące ziewnięcie. Lenhardt i Infante wymienili rozbawione spojrzenia, lecz powstrzymali się od komentarza.

– Mamy czas, żeby zrobić sobie postój? – zapytała Nancy.

– Zależy gdzie – odparł sierżant. – Miejscy mundurowi mają na nas czekać, żeby nas podwieźć do Southwestern. Nie możemy się guzdrać.

– Coś szybkiego. Dunkin’ Donuts. Burger King.

– Tak jest w diecie związanej z grupą krwi? – zapytał Kevin, unosząc brew.

– A może tym razem dieta kapuściana? Mają kapuściane pączki?

Nancy poczekała, aż Lenhardt się odwróci, i szepnęła do partnera:

– Spierdalaj.

Infante pokazał jej środkowy palec. Ale to wszystko nie było na poważnie. Paradoksalnie dzięki ordynarnym słowom i gestom ich praca stawała się łatwiejsza do zniesienia. Zwłaszcza gdy wiedzieli, że zanoszą się na długi dzień. Ta sprawa mogła należeć do „wymarzonych”, ale i takie mają swoją cenę. Nancy jeszcze w akademii dowiedziała się, że to wcale nie sprytni przestępcy zmuszają śledczych do kombinowania przez całą noc, ale właśnie kiepscy, niedbający o zatarcie śladów. Tacy, którzy są albo za głupi, albo za młodzi, albo jedno i drugie.

Otrząsnęła się ze wspomnień i spróbowała skupić na tym, jaki rodzaj pączka zniweczy jej dietę po trzydziestu sześciu godzinach.

– Więc pozwoliłaś Bonnie zająć się dziennikarzami? – rzucił lekkim tonem Lenhardt.

– Tak – odparła Nancy. – Właśnie tak.

– Dobra dziewczyna.

Uwielbiała te słowa. Na Boga, uwielbiała je.

Czwartek, 9 kwietnia

3

W suterenie budynku sądowego nie było pór roku, więc Sharon Kerpelman czasem musiała zerknąć na swoje ubranie, żeby sobie przypomnieć, przez jaką pogodę musiała przebrnąć, zmierzając rankiem do pracy. Nie było tutaj pór roku, nie było pogody, nie było poczucia upływu czasu. Dzisiejsza data utrwaliła się jej w głowie tylko za sprawą przygotowań, jakich musiała dokonać, by mieć wolne popołudnie. Ale ten dzień nie istniał poza harmonogramem; był jedynie datą, niezwiązaną ani z wiosną, ani z dniem tygodnia. Sharon rzadko pamiętała, jaki jest dzień tygodnia. Ileż to już razy w sobotni rano wskakiwała pod prysznic i była na wpół ubrana, gdy męski głos w radio zapowiadał weekendowe wydanie programu zamiast codziennego!

Dzisiaj, w czwartek – tak, na pewno w czwartek, co potwierdziło szybkie zerknięcie na datę w notesie na kolanach – właśnie rozmawiała w korytarzu z jakąś rodziną, gdy zobaczyła sekretarkę przechodzącą obok z koszykiem barwnych jajek i czekoladek. „Och tak, zaraz Wielkanoc” – pomyślała. „Święta, święta i po świętach. A może te święta właśnie trwały? Czy to nie oznaczało, że jakoś niedługo będzie Pascha? Czy ją przegapiła? Nie, matka nigdy by nie pozwoliła na coś takiego. Pascha musi w tym roku wypadać później, bo Sharon nie dostała jeszcze od matki zaproszenia na seder ani nie usłyszała pytania, czy zamierza przyjść z narzeczonym i co by powiedziała na to, gdyby matka zaprosiła syna Kutchnerów, który właśnie wrócił do Baltimore i jest bardzo miły”.

Młodsza siostra dzisiejszego oskarżonego, jej klienta, mająca nie więcej niż pięć, sześć lat, podążyła za koszykiem spojrzeniem pełnym tęsknoty, jak gdyby wiedziała, że i tak nie ma o co prosić. Sam klient, zaledwie dwunastoletni, już drugi raz został oskarżony o sprzedaż narkotyków. Wpatrywał się w podłogę, znudzony własnym losem. Jego matka stała obok Sharon, a jej dłonie, oparte na biodrach, drżały z nikotynowego głodu.

– Zakład Cullen – jęczała. – Jak ja będę się z nim widywać, gdy go tam zamkną? Nie mam samochodu. Myślałam, że go wyślą do Hickey, jeśli w ogóle gdzieś. Pani mówiła o kuratorze, może o areszcie domowym. Pani obiecała...

– Obiecałam, że spróbuję. To już drugie oskarżenie. I sprawy nie ułatwia fakt, że to się stało na terenie szkoły.

– Więc dlaczego nie Hickey?

– Cullen ma oddział dla dzieciaków z uzależnieniami. Gordon nie przestanie sprzedawać narkotyków, dopóki sam nie przestanie ich brać. Poza tym jest bardzo młody. W Hickey zjedliby go żywcem.

– Cullen nie wchodzi w grę – burknęła matka, tak jakby miała w tej sprawie

coś do powiedzenia. Była wściekła rodzajem złości charakterystycznym dla bezpłatnego klienta. Przez dziesięć lat pracy jako obrońca z urzędu Sharon nauczyła się, że ci, którzy nie mogli sobie pozwolić na adwokata, zawsze uważali, że ich prawnik jest niekompetentny.

– Więc chodzi tylko o to, że to jego drugie oskarżenie – wysyczała matka z tym dziwnym górskim akcentem, który przetrwał w Baltimore od czasu II wojny, gdy do miasta zaczęli napływać mieszkańcy Wirginii Zachodniej. W głębi duszy Sharon uważała ich potomków za żywe skamieliny zagnieżdżone w ostatnich całkowicie białych dzielnicach miasta. Znała tych ludzi lepiej, niżby chciała, bo próbowała mieszkać w ich ulubionych okolicach, omamiona starymi młynami i tanimi mieszkaniami na poddaszach. Prostaccy sąsiedzi zmusili ją jednak do odejścia aż na przedmieścia, do sterylnych apartamentów za ogrodzeniami. No, ale przynajmniej próbowała.

– Proszę pani, pani syn zaczął wachać farbę w spreju, jak miał osiem lat. Pali marihuanę, odkąd skończył dziesięć. To wyłącznie kwestia czasu, kiedy sięgnie pod jakiegoś speeda albo po oxycontin.

– Nie biorę. Ja tylko trochę sprzedaję – wtrącił się Gordon, przygotowany powtarzać to kłamstwo raz za razem.

„Ciekawe, czy to jego pomysł, czy matki?” – zastanawiała się Sharon. „Przecież matka nie mogła szczerze wierzyć, że syn niczego nie bierze”. Ilekroć Sharon widziała tego chłopaka, miał mętne, przekrwione oczy, a w sobie otępienie z gatunku „gównu mnie wszystko obchodzi”. Nie żeby go za coś winiła. Do diabła, też by brała, gdyby to była jej matka, jej życie.

Zignorowała jego wykute na pamięć usprawiedliwienie.

– Wiem, że to dla pani trudne, pani Beamer, że Gordon będzie tak daleko. Ale tak jest najlepiej. Gordona trzeba wyrwać z miasta. Hickey nie zapewniłby mu tego poczucia odosobnienia. Poza tym Hickey jest zbyt... zbyt...

Woźny wezwał ich na salę rozpraw. Sharon wstała, kończąc zdanie już w myślach. Hickey coraz bardziej przypominało jej obóz internowania dla nastolatków, miejsce, w którym stan Maryland przetrzymuje swoich potencjalnych wrogów tak długo, aż jakaś niewypowiedziana wojna wreszcie się skończy. Uważała, że nie powinien tam trafiać nikt poniżej piętnastego roku życia. Boys Village, nieopodal Dystryktu Kolumbii, było jeszcze gorsze, a Middlebrook najgorsze.

Wygładziła fałdy sukienki, pomięte od długiego siedzenia. Szafranowa suknia sięgała do kostek i miała wysoką talię. Była uszyta z grubej bawełny, odpowiedniej bardziej na zimę niż na wiosnę. W prognozie na dziś musieli zapowiedzieć niską temperaturę, skoro się tak ubrała. A może chciała ładnie wyglądać, bo przecież to była jej najlepsza sukienka?

Matka Gordona bacznie przyglądała się Sharon, która z zadowoleniem

klepała drogi materiał.

– Jest pani w ciąży?

Pytanie miało sprawić jej przykrość i sprawiło. Ta kobieta karała Sharon w jedyny dostępny sobie sposób. „Skoro wysyła pani mojego dzieciaka do Cullen, to niech chociaż poczuje się pani gruba”. W rzeczywistości Sharon miała ładną figurę. Woląla jednak zachować to dla siebie i cieszyć się wyrazem miłego zaskoczenia na twarzach swoich mężczyzn, kiedy wreszcie się przed nimi rozebrała.

– Nie, nie – wybąkała. – To po prostu bardzo luźna sukienka.

– Och. Myślałam, że pani jest w ciąży głównie ze względu na pani twarz.

Jedna obelga cofnięta, za to pojawia się druga. Gdyby Sharon właśnie nie podnosiła swojej teczki i akt Gordona, jej ręka powędrowałaby do policzka, chociaż nie było tam ani śladu pryszczki.

– Myślałam, że to jest, wie pani, taka ciążowa cera, jaką czasem mają kobiety. Podobno mogą to też wywoływać pigułki antykoncepcyjne.

– Nie, tylko... tylko... moja skóra.

– Coś jak znamię?

– Tak, urodziłam się z tym, więc myślę, że można to nazwać znamieniem.

Sama ledwie je zauważała, nie bardziej niż rozstaw oczu czy kształt uszu. Prawie polubiła ten koronkowy wzór na brodzie i policzku i przekonała siebie samą, że inni ludzie też mogą go polubić. To były delikatne znamiona, jakby siateczka piegów zsunęła się nieco niżej. Nikt nie wspominał o nich od lat.

Od prawie siedmiu lat, dokładnie mówiąc. Ostatni raz wspomniano o nich właśnie tutaj, w tym holu, gdy sędzia do spraw młodocianych wydał wyrok na Alice Manning i Ronnie Fuller.

Sharon nie musiała zamykać oczu, aby przypomnieć sobie tamten dzień. Po rozprawie znaleźli się właśnie tutaj i szli szybko przez hol, bo napierali na nich dziennikarze, których nie wpuszczono do sali. Chcieli wyprowadzić dziewczynki do furgonetek czekających już od północnej strony budynku. Starali się także osłonić rodziców, których zdjęcia stale pojawiały się w mediach, bo zakazano pokazywania samych dziewczynek.

Alice wyglądała na zbyt przestraszoną i zaszokowaną, by płakać. Natomiast Ronnie, która przez cały proces zachowywała się niemal jak katatoniczka, gdy je wyprowadzano, nagle eksplodowała. Zaatakowała własnego prawnika – smagnęła go paznokciami po policzku, a kiedy odwrócił się i chwycił ją za ręce, próbując uspokoić, kopnęła jednego z woźnych w pierś. Gryzła i drapała, jakby chciała zostać zakuta w kajdanki. Nikt, nawet jej obrońca, nie wątpił, że Ronnie Fuller to zimna jak gład, bezlitosna morderczyni. Ale sąd zgodził się traktować ją jak dziecko. Jak człowieka, choć wszyscy, którzy ją spotkali, nie mogli się nadziwić, że jest aż tak nieludzka. Śmiała się w niewłaściwych momentach i nie z tych

rzeczy, co należy, i mówiła wszystko, co tylko ślina przynosiła jej na język.

Nadal jednak była – i to dosłownie – małą dziewczynką, ważyła nie więcej niż czterdzieści kilogramów. Nie mogli jej uderzyć czy obezwładnić w standardowy sposób, a Ronnie zdawała się wyczuwać tę niepewność dorosłych. Rękami i nogami młóciła wokół coraz szybciej i szybciej. Była jak diabeł tasmański z kreskówki, wir ruchu, a wszyscy inni zastygli. Fotografowie próbujący znaleźć miejsce, z którego mogliby uwiecznić tę scenę, nie pokazując wykrzywionej twarzy Ronnie, przewrócili jej prawnika i dziewczynka wyrwała się na wolność. Pobiegła korytarzem, lecz w furii wybrała ślepy zaułek i dwóm policjantkom udało się ją w końcu obezwładnić.

Sharon przyglądała się wszystkiemu, trzymając rękę na ramieniu Alice. Przez jedną straszliwą chwilę czuła radość, że to nie jej przypadła obrona Ronnie, a potem ogarnęło ją tak ogromne poczucie winy za odrazę do tej dziewczynki, że poczuła się zobowiązana ją ukoić.

Szeptła Ronnie słowa otuchy, kiedy policjantki ją prowadziły – a właściwie niosły – korytarzem. Słowa, w których ważniejszy był ton niż treść, tak jak się mówi do psa: „Będzie dobrze, nie bój się, spróbujemy ci pomóc”. Dotarły już prawie do drzwi; światło słońca utworzyło jaśniejsze kontury wokół krawędzi, przez co wyglądały niczym baśniowa brama do innego świata. Kiedy policjantki przносиły Ronnie przez próg, dziewczynka odwróciła głowę i rzuciła Sharon prosto w twarz:

– Spadaj, ty paskudna, przyszczata jędo! To wszystko twoja wina!

Prawnik Ronnie w ciągu roku przeniósł się do prywatnej praktyki i bronił „prawdziwych przestępców”, jak oznajmił Sharon, gdy następnym razem spotkali się w Au Bon Pain.

– To znaczy, wiesz, dorosłych – wyjaśnił. – Oni są mniej potworni – dodał i oboje się roześmiali, udając, że wcale nie powiedział prawdy.

Sharon spojrzała na swojego dzisiejszego klienta – Gordona Beamera, dwunastolatka, który, jeśli w zakładzie Victora Cullena nie zdarzy się jakiś cud, miał już nieźle i na zawsze przesrane. Chociaż nie przepracowała tu nawet dziesięciu lat, już zaczynała mieć do czynienia z drugim pokoleniem, dziećmi dzieci, których broniła na początku swojej kariery. Jedyne, co się naprawdę zmieniło, były narkotyki. Mniej cracku, dużo więcej heroiny i oxycontinu, a także nieco ecstasy u tych z przedmieść, którzy trafili do miasta i zaczęli brać. Kiedy zobaczy trzecie pokolenie, wnuki swoich pierwszych klientów?

Zabawne, że sprawa Alice była jej pierwszą i ostatnią sprawą związaną z zabójstwem. Teraz władze stanu rutynowo „awansowały” nieletnich oskarżonych o ciężkie zbrodnie, przenosząc ich do sądów dla dorosłych. W wypadku osób mających ukończone piętnaście lat robiono to automatycznie, a rzadko spotykało się kogoś młodszego, na kim ciążyłby zarzut morderstwa, tak więc Sharon omijali

młodzi zabójcy i nie miała dużego pożytku ze swojej specjalistycznej wiedzy.

– Potoczmy ten kamień pod górę – stwierdziła, wzdychając.

– Jaki kamień? – zdziwiła się Wanda Beamer. – To w Cullen są kamieniołomy?

Nie zaczęła na odpowiedź, bo zauważyła, że jej córka poszła obejrzyć dziecięce malowanki, które powieszono, aby trochę ożywiły ponury korytarz. Piskliwym głosem zawołała małą Amber, złapała ją i dała jej mocnego klapsa. Dziewczynka zaniósła się bezgłośnym szlochem. Gordon Beamer wpatrywał się w sufit. Podobnie Sharon, która myślała o tym, że już za kilka godzin znowu zobaczy Alice.

11.35

Helen Manning zabrała lunch na zewnątrz. Myślała, że znajdzie jakąś ławkę albo przynajmniej parapet, na którym będzie mogła usiąść. Jednak dzień okazał się bardzo chłodny nawet jak na wczesną wiosnę, koniec końców trafiła więc do swojego samochodu, ledwie skosztowawszy starannie skomponowanego posiłku – sałatki z kurczakiem, której smak ożywiła estragonem i orzeszkami ziemnymi, a także pełnoziarnistej bagietki, szparaga na zimno w sosie winegret i małej butelki wody mineralnej.

Helen, która kursowała między kilkoma miejskimi podstawówkami, starała się jeść i przebywać razem z innymi nauczycielami. Jako kobieta nie dość że ładna, to jeszcze samodzielna, już dawno pogodziła się z tym, że musi bardzo się starać, aby przekonać innych ludzi, że wcale nie jest wyniosła i nieprzystępna.

Jednak dzisiaj czuła się zbyt przygnębiona, by znaleźć w sobie energię do podtrzymywania wizerunku uprzejmej, uczynnej osoby. Zamiast tego usiadła w samochodzie i żuła kanapkę, wpatrując się tępo w przednią szybę. To była dobra okolica, enklawa zamieszкана przez yuppies. Długie rzędy kwitnących na biało drzew owocowych sprawiały, że ulice wyglądały jak baśniowe aleje. Ale Helen od początku wyczuwała, że w tym na pozór fantastycznym świecie coś jest nie tak. Jakiś czas zajęło jej określenie co. W końcu uświadomiła sobie, czego tu brakuje. A brakowało dzieci. Wszyscy yuppies wyprowadzali się stąd, kiedy tylko rodzili im się dzieci. Uczniowie miejscowych podstawówek pochodzili z gorszych okolic, mniej pożądanego sąsiedztwa otaczającego cały ten obszar.

Helen, która wychowała się w Connecticut, a przyjechała do Baltimore do college'u, nigdy nie przyzwyczaiała się do tutejszych wiosen. Nie tęskniła za smaganim wichrami domem w Sound czy pretensjonalnym ogrodem swojej matki, jałowym przez większość roku. Ale w Baltimore wiosna przychodziła za szybko. Dzisiaj było zimno, lecz w ciągu tygodnia miasto mogło zazielenić się jak dżungla. To był czas krzykliwy, prawie obsceniczny, jak przypływ hormonów u niektórych jej uczniów. Te zmiany Helen dostrzegała bardzo wyraźnie, bo widywała swoich podopiecznych w siedmiodniowych odstępach. W jednym tygodniu dziewczyna z szóstej klasy była chuda i beztrąsko skakała po placu zabaw. W następnym nabierała kobiecych krągłości i pochylała się pełna pewności siebie.

Helen nie miała na to żadnych naukowych dowodów, ale była pewna, że za jej czasów dziewczęta nie dojrzewały tak szybko. Nie zdziwiłaby się, gdyby się okazało, że wiąże się to z fast foodami albo krowim hormonem wzrostu w mleku. Słyszała opowieści o siedmiolatkach, które miały już piersi i okres. Lekarze od Hopkinsa zastanawiali się, jak zatrzymać dojrzewanie płciowe tych dziewczynek,

nie zmieniając ich przy okazji w karlice.

Helen zawsze zdrowo się odżywiała. Nie była fanatyczką, po prostu jadła pełnoziarniste pieczywo oraz dużo warzyw i owoców. Miała nadzieję, że Alice pójdzie jej śladem. Niestety córka lubiła jedzenie najbardziej śmieciowe z możliwych, ona zaś kapitulowała i zabierała ją do McDonalda albo do Arby's przynajmniej raz w tygodniu, wierząc, że to drobne pobłażanie uchroni Alice od popadnięcia w jakąś obsesję. Głód stanowił jedyne pragnienie, którego ta skądinąd posłuszna dziewczynka nie potrafiła kontrolować.

Gdzie Alice zechce zjeść, gdy Sharon przywiezie ją tu z Middlebrook? Pewnie będzie miała ochotę na coś szybkiego i tłustego, a prawniczka poczuje się zobowiązana jakoś uczcić to wydarzenie, świętować raczej jak ukończenie liceum niż to, czym było naprawdę.

– Wiem, że nie dasz rady wyrwać się w środku tygodnia – powiedziała Sharon, kiedy zadzwoniła do Helen z wiadomością o terminie wypuszczenia Alice.
– Ale ja mogę ją odebrać i zawieźć do domu. To nie będzie żaden kłopot.

Czy Helen by skłamała, gdyby Sharon nie złożyła tej propozycji? Nie miała pewności. Jednak słysząc obietnicę, cieszyła się, że może ją wykorzystać. Wiedziała, że jest dłużniczką Sharon, bo ilekroć prawniczka twierdziła, że z czymś nie będzie kłopotów, tak naprawdę miała na myśli, że kłopotów pojawi się mnóstwo, ale ona jakoś sobie poradzi. Sharon nigdy całkiem nie porzuciła Manningów, ku sporej konsternacji Helen. Wszyscy inni chcieli o nich zapomnieć, pogrzebać w przeszłości. Tylko Sharon Kerpelman wręcz kultywowała pamięć o tamtym lecie, jakby to było coś, z czego czuła się dumna. Broniła Alice agresywnie i sprytnie. Mimo to Helen cały czas zastanawiała się, czy jednak nie powinna pójść za radą swoich rodziców i wynająć drogiego adwokata, specjalistę od spraw kryminalnych, który uratowałby dziewczynkę.

Nie, tak byłoby niedobrze. Już dawno postanowiła, że nie będzie usprawiedliwiać roli, jaką we wszystkim odegrała Alice, i mówić, że była tylko narzędziem, pionkiem, niechętnym wykonawcą. Tu chodziło o pryncypia. Jej córka musiała odpowiadać za to wspólnie z Ronnie.

Alice rozumiała. Ona zawsze rozumiała. Była powierniczką Helen, jej jednoosobowym fanklubem i najlepszym słuchaczem. Nawet gdy Alice przejrzała jedno z niewinnych kłamstw matki, w przeciwieństwie do Sharon, wiedziałaby, że Helen dałaby radę urwać się dzisiaj z pracy, gdyby naprawdę tego chciała – więc przebaczyła jej. Była grzecznym dzieckiem.

„Kobietą” – poprawiła się w duchu Helen. Opuściła dom jako dziecko, ale teraz, według prawa, była już kobietą. Helen przypomniała sobie piosenkę z czasów, gdy chodziła do podstawówki: „Dziewczynko, jesteś teraz kobietą”. Nucąc ją, nagle uświadomiła sobie, że tytuły różnych piosenek Gary'ego Pucketta i jego The Union Gap układają się w logiczny ciąg: „Dziewczynko, Dziewczynko,

jesteś teraz kobietą”, Lady Willpower. A potem, na sam koniec, po prostu: „Kobieto, kobieto (czy myślisz o zdradzie?)”. Tak, to układało się w ciąg, zupełnie jak w powieści. Takiej na przykład *Pani Bovary*. Niezła kolejność. Chciałaby poznać kogoś, kto również to zauważył i docenił.

Helen też była ładną, ponętą nastolatką, chociaż aby z tego skorzystać, czekała aż do college’u. Wśród jej szybszych koleżanek z liceum krążył dowcip, że Helen nie może uprawiać seksu w tym samym stanie, w którym mieszkają jej rodzice. Zabawne, że ten żart w sumie okazał się prawdą. Przyjechała do Baltimore jako osiemnastoletnia dziewczyna i w ciągu kilku tygodni stała się uczelnianą ladaczną. Nie żeby ktoś ją tak nazywał, bo każdy, kto mógł, robił tak samo, a ludzie nie byli jeszcze tacy zasadniczy w kwestiach seksu, zwłaszcza ci ze szkół artystycznych.

Tak, jej pokolenie szło na całość. Trwała właśnie złota era – już po opryszcze, a jeszcze przed AIDS, i choć wszyscy dali sobie spokój z wolną miłością, o seks było łatwo jak o marihuanę. Wszystko się zmieniło, całkiem zmieniło. Teraz handlarze marihuaną mordują się wzajemnie, jak wynikało z „Raportu specjalnego”, który Helen oglądała w telewizji minionej zimy. To ją zdumiewało bardziej niż jakikolwiek akt terroru. Zdumiewało prawie tak, jak jej własne życie.

Miała dwadzieścia cztery lata i była już w połowie drogi do tytułu magistra, kiedy zaszła w ciążę. Jakby wygrała w jakiejś loterii, trafiła jedną szansę na sto. Ale w tamtych czasach nawet ciąża nie stanowiła wielkiego problemu. Wśród jej przyjaciół aborcja uchodziła za coś w rodzaju dodatkowego środka antykoncepcyjnego. Nikt nie miał specjalnych oporów. Jeżeli pasek w teście zabarwiał się na niebiesko, a brakowało miłości, należało się tym zająć. Nie wypadało wręcz o takim drobiazgu wspominać facetowi, zwłaszcza że żyło się z nim na kocią łapę. Mógłby próbować się wywinąć z całej sytuacji, a wtedy przychodziło zmierzyć się z faktem, że chłopak, z którym się spało, to palant. Mógłby też, choć z ciężkim sercem, się oświadczyć, i cała sprawa osiadała między nimi jak powołanie na przysięgłego: wiadomo, obywatelski obowiązek, ale każdy stara się od niego wykręcić.

Urodzenie dziecka stanowiło więc coś fajnego, wręcz odważnego. Zwłaszcza gdy ojciec był odczytującym liczniki technikiem z BG&E o nazwisku Roy Durske, poznanym u kolegi na basenie. Spotykali się przez całe lato. „Spotykali” to był eufemizm uparcie powtarzany przez Roya, Helen bowiem nie miała problemu z zaklasyfikowaniem ich spotkań jako zwykłego pieprzenia. Dobrego na kilka razy, ale cała przygoda szybko utraciła świeżość.

Dzwon katolickiego kościoła zaczął wybijać południe. Helen zerknęła na zegar na desce rozdzielczej. Wykorzystała już przysługujące jej dwadzieścia pięć minut na lunch. Wczesna i tak krótka przerwa na posiłek stanowiła jedną

z ubocznych przykrości przypominających Helen, jak nisko ceni się jej zawód. Zmiała w kulkę folię po kanapce, zakręciła pustą butelkę, zatrzasnęła plastikowy pojemnik na jedzenie i włożyła wszystko do starego metalowego pudełka na lunch, jakie kiedyś nosili robotnicy. Znalazła je w zeszłym roku na pchlim targu i natychmiast kupiła. Gust Helen zawsze szokował innych ludzi. „Ale zawsze wychodzi ci to na dobre” – skomentował któryś z jej kolegów z pracy. Ona czuła się jednak znużona swoją oryginalnością i swoim dystansem do wszystkiego. Co jej z tego przyszło? Dwadzieścia lat uczenia sztuki tych, którzy nie są artystami, samotne życie i córka, która zmusiła ją do odkrycia kart. „Mamo, chcesz być naprawdę odważna? Chcesz być prawdziwą buntowniczką? No to spróbuj być matką jedenastolatki, która zabiła inne dziecko”. I to nie jakieś tam dziecko, ale wnuczkę znanego czarnoskórego sędziego.

A potem zostawiła matkę, by zmierzyła się z osądem całego świata.

Nie wolno było podawać do wiadomości publicznej nazwiska Helen, bo to równałoby się ujawnieniu tożsamości Alice. Miejscowa telewizja zdołała jednak znaleźć sposób na pokazanie twarzy Helen Manning, kiedy tamtego lata wślizgiwała się czy wyslizgiwała z jakiegoś rządowego budynku. Nosiła ciemne okulary, a włosy czesała w sposób, w jaki nie układała ich ani nigdy wcześniej, ani nigdy później. Ale ludzie i tak wiedzieli. Wiedzieli, które dziewczynki odesłano do domu z przyjęcia na basenie po czymś, co określono jako „incydent na tle rasowym”; wiedzieli, które dziewczynki zniknęły z ich sąsiedztwa, tak jakby nigdy nie istniały. Jednak nikt niczego nie mówił głośno. Bo i co miałyby powiedzieć? „Widziałem panią w dzienniku. Przykro mi, że pani córka zabiła tamto niemowlę. Co pani robi w ten weekend?”

Weszła do budynku i zaczęła przygotowywać się do następnej lekcji. Obłożyła pulpity gazetami, rozstawiła małe krzeselka, takie same jak wtedy, gdy uczyła się w piątej klasie. Zresztą nie zdziwiłaby się, gdyby te krzesła stały tu od tamtych czasów. Miejskie szkoły mają ograniczone środki. Dobrze pamiętała barwy lat siedemdziesiątych, zawierające w sobie obietnice nowoczesności. Morski błękit. Pomarańcz. Teraz, ironią losu, w tych aroganckich, pewnych siebie odcieniach były stroje modne wśród uczniów młodszych klas podstawówki. Przypomniła sobie sukienkę kupioną na jej pierwszą podróż samolotem – w pomarańczowe, niebieskie i brązowe paski, do tego odpowiednia kokarda. Matka przechowywała wszystkie jej ubrania, więc Helen wyjęła tę sukienkę z pudła, kiedy Alice była w tym samym wieku. Jednak na Alice okazała się za mała. Hormony. To na pewno przez hormony.

Dzięki Bogu na popołudniowe lekcje przychodzili czwartoklasiści. Wciąż jeszcze słodkie dzieciaki. Czwartoklasiści przypominali jej Alice, tę utraconą Alice. Myśląc o córce, Helen zawsze wyobrażała ją sobie widzianą od tyłu – ze względu na włosy, dwa złote warkoczyki związane kokardami, które zrobiła jej ze

świętecznej wstążki. Przypomniała sobie zapach Alice, najmocniejszy z tyłu szyi, różny w zależności od dnia i od pogody. Kreda, mydło, trawa, krem do opalania, chlor, masło orzechowe, pikle. Widziała tę szyję zginającą się nad kuchennym stołem – nad jakimś bożonarodzeniowym prezentem albo własnoręcznie zrobioną walentynką – i słyszała, jak Alice mówi do siebie to, co podsłuchiwała u matki: „Zrobione samemu jest ładniejsze”. Była taka dobra.

Ale właśnie dobroć Alice przyczyniła się do jej nieszczęścia.

– Zrobiłam coś złego – powiedziała matce ostatniego dnia, który spędziły razem. – A gdy się zrobi coś złego, to trzeba ponieść karę.

– Tak, dziecko – potwierdziła Helen. – Pokaż im, jaka jesteś silna, wtedy któregoś dnia uświadomią sobie, że naprawdę jesteś dobrą dziewczynką i że to był tylko błąd. Bo to był błąd, prawda, dziecinko? Błąd, wypadek. Czyj to był pomysł? Możesz mi powiedzieć. Powiedz mamie, co się stało. Wiem, że prawda bywa smutna, ale to ważne, żeby mówić prawdę. Zawsze, zawsze. Jest lepiej, kiedy wszystko wiemy. Może to coś zmieni. Jeszcze niczego tak naprawdę nie zrobiono, niczego nie postanowiono. Więc po prostu powiedz prawdę, Alice.

Ona jednak tylko pokręciła głową.

– Wszystko już postanowione – rzekła. – Muszę odejść.

Odbyły tę rozmowę wieczorem przed ostatnim dniem procesu i formalnym ogłoszeniem wyroku. Jakby tego było mało, Alice właśnie dostała pierwszą miesiączkę i właśnie siedziały w łazience, mocząc zabrudzone majteczki w zimnej wodzie. Helen pierwszy okres miała w wieku trzynastu lat, a jej matka uważała, że to i tak dosyć wcześnie.

Helen przez lata w małych dawkach przekazywała córce wiedzę o sprawach związanych z życiem płciowym, więc Alice się nie wystraszyła. Była taka spokojna i opanowana, że Helen wręcz nie mogła się powstrzymać, by choć trochę nią nie potrząsnąć, sprawić, żeby potraktowała tę chwilę jako coś ważnego, jako kamień milowy.

– Za moich czasów nie było samoprzylepnych podpasek – powiedziała. – Musiałyśmy nosić takie małe paski. Z ząbkami.

To zdumiało Alice, która siedziała na sedesie z chusteczką higieniczną w rękę.

– Czy te ząbki gryzły? – spytała.

– Nie, to nie były prawdziwe ząbki, ale takie małe uchwyty na gazę. Ty masz szczęście. Ale pamiętaj, teraz musisz być odpowiedzialna. Wciąż jesteś małą dziewczynką, choć twoje ciało sądzi, że jesteś kobietą. Nie zapominaj o tym, dobrze?

Helen znowu przypomniała się ta cholerna piosenka. Utkwiła jej w głowie, tak jak potrafi tylko niechciana melodia. *Dziewczynko, jesteś teraz kobietą.* Dziwne, ale wraz z piosenką pojawiło się wspomnienie dnia, w którym poznała

Roya. Zobaczyła siebie siedzącą na brzegu basenu w kształcie nerki w apartamencie nr I-83 latem pierwszego roku po ukończeniu szkoły. Jej kostium zaczepiał o szorstki beton, słońce grzało plecy, a ona trzymała miseczkę z oliwką dla dzieci, żeby natłuścić sobie ramiona. Wtedy z basenu wyłonił się Roy. Potrząsnął włosami – długimi według dzisiejszych standardów – i wyprężył ładnie ukształtowany tors. Wyglądał niemal tak dobrze, jak sądził, że wygląda.

– Mieszkasz tutaj? – zagaił, a ona uśmiechnęła się, słysząc to głupie pytanie. Była zachwycona, że on jest taki tępy, bo wiedziała, że w nim się nie zakocha, że może się z nim pieprzyć całe lato, a potem odejść swoją drogą, szczęśliwa i beztroska. I przynajmniej częściowo miała rację. Nie zakochała się w Royu. Gdyby w ciągu ostatnich dziesięciu lat przyszedł do niej odczytać licznik, w ogóle by go nie poznała.

Ciekawe, czy on ją rozpoznał – w ciemnych okularach i z upiętymi wysoko włosami – kiedy siedem lat temu przebiegała przez ekran jego telewizora? Czy skojarzył, że jedna z „dwóch jedenastoletnich morderczyń”, o których bez przerwy mówiono w telewizji i pisano w gazetach, to jego córka? Nawet jeśli tak, Helen nie miała do niego żalu, że nie ujawnił się i nie przyznał, że jest ojcem Alice.

Pewnie zrobiłaby podobnie, gdyby miała jakiś wybór.

14.00

– Chcesz jakiś deser? Tu mają świetne lody.

Alice uniosła wzrok znad talerza, na którym wciąż spoczywały połowa jej cheeseburgera oraz większość frytek. Wcale nie starała się zrobić na Sharon wrażenia swoją siłą woli i nie hamowała apetytu. W ogóle nigdy nie kłopotowała się robieniem wrażenia na Sharon. Po prostu nie smakował jej ten cheeseburger, przyrządzony z cheddarem, a nie z amerykańskim serem, i te frytki, zbyt prawdziwe jak na jej gust, mające jeszcze kartoflaną skórkę i miękkie, nierówne wnętrza, wilgotne od oleju.

– Mogę się założyć, że w Middlebrook czegoś takiego nie miałaś – powiedziała Sharon, gdy przyniesiono jedzenie. Złożyła przy tym dłonie, jakby odmawiała modlitwę.

„Nie” – pomyślała Alice. „To, co tam mieliśmy, było lepsze. Cienkie, chrupiące frytki, które trafiały do frytownicy prosto z zamrażarki. Nie takie dobre jak w McDonalddie, ale i tak lepsze od tego rozlającego czegoś. Właściwie to w Middlebrook dawali dobrze zjeść. Ten zakład może i miał najgorszą reputację, ale najlepiej w nim karmili”.

– Zjedz deser – powiedziała Sharon. – Naprawdę. – Bardzo lubiła to słowo. „Naprawdę, Alice, musisz mi zaufać. Naprawdę, Alice, tak jest najlepiej. Naprawdę, Alice, wierzę ci”. Ale co „naprawdę” znaczyło naprawdę, kiedy mówiła to Sharon? Czy oznaczało, że wszystko inne, co mówiła, było fałszywe? A może miało podkreślić, że coś jest najprawdziwsze, superprawdziwe?

– Nie chcę deseru – odparła Alice. – Naprawdę.

– Dzisiaj nie musisz się martwić kaloriami. Pojedz sobie.

„Czyli że powinnam martwić się kaloriami, tylko akurat nie dzisiaj” – pomyślała Alice.

– Domyślam się, że powinnam przejść na dietę? – spytała. Głowę pochyliła nad talerzem, ale nie spuszczała wzroku z lalkowatych brązowych oczu Sharon, spoglądając na nie przez zasłonę swoich białych rzęs.

– Nie, zupełnie nie o to mi chodziło – odparła Sharon. – Wszyscy muszą się martwić kaloriami. Ale nie codziennie. Ważne, by od czasu do czasu zrobić sobie dzień przyjemności.

– Ale ja przecież jestem tłusta – stwierdziła Alice. – Nie zauważyła pani? Naprawdę zrobiłam się tłusta w Middlebrook.

Lubiła określać się w tak okrutny sposób. „Jestem tłusta”. „Jestem brzydka”. „Jestem pokraczna”. Nie chodziło jej o to, żeby ktoś zaprzeczył. Szczerze mówiąc, tak naprawdę wcale nisko się nie oceniała. Po prostu bawiła ją panika dorosłych,

gdy mówiła coś podobnego, oraz ich gorączkowe zapewnienie, że wcale nie jest źle. Nie słowa ranią, lecz ludzie – tak mówią ci dorośli, gdy jesteś mały. A potem okazuje się, że sami boją się słów.

– O nie, słonko, nie mów tak. Masz po prostu... grube kości, tak jak ja. A jedzenie było tam pożywne, nie miałaś zbyt dużo ruchu i przez to wszystko przytyłaś, jak niektórzy pierwszorocznicy.

– Ale ja już nie jestem pierwszorocznikiem – stwierdziła Alice. – Jestem po szkole średniej, zaocznie zdałam maturę.

– Pierwszorocznikiem w college'u. Bo to właśnie wtedy większość ludzi po raz pierwszy opuszcza dom, dokonuje własnych wyborów... – Urwała lekko zmieszana.

– Czyli jestem nad wiek rozwinięta.

– Tak – odparła Sharon, nie wyczuwając ironii. – Tak, jesteś.

– Już dostałam sadelka, a przecież nie pójdę do college'u przed jesienią.

– Więc chcesz iść do college'u? – Sharon powiedziała to z tak sztucznym entuzjazmem, że widać było, iż naprawdę nie czuje żadnej radości. – Gdzie? Co chcesz studiować?

– Wybieram się do szkoły pomaturalnej. Muszę zacząć pracować na pół etatu, żeby zarabiać na swoje utrzymanie. Nie jest łatwo czegoś się uczyć, jak się wyszło z Middlebrook.

Sharon uznała to za wyrzut. Alice dobrze wiedziała, że tak będzie. Nikt tak bardzo nie pragnął aprobaty z jej strony jak właśnie Sharon Kerpelman. Najmniejsza sugestia, że życie Alice jest gorsze, niż mogłoby być, raniła tę kobietę. Ona chyba uważała, że Alice jest jej winna wdzięczność i sympatię, może nawet miłość. Troszczyła się o Alice, co zresztą często podkreślała z dumą w głosie. Właśnie ta duma powstrzymywała Alice od odwzajemnienia uczucia. Sharon nie chwaliłaby się, że o nią dba, gdyby nie stanowiło to czegoś dziwnego i nietypowego.

– Wiesz, co powinnaś zrobić? – zapytała Sharon, zmieniając temat.

Alice, wbrew sobie, poczuła ciekawość. Zawsze bardzo ją interesowało, co powinna zrobić. Lubiła te artykuły w czasopismach, pełne porad i spisów czynności. Wrywała je i próbowała wykonywać wszystko, co w nich zalecano, ale to nigdy nie było proste. Zawsze pojawiała się coś – jakiś składnik, jakieś założenie – co nie pozwalało jej zrobić wszystkiego dokładnie tak, jak napisano. Na przykład brakowało koszernej soli do domowego pedikiuru. (Co prawda nie do końca wiedziała, czym jest koszerne sód i czym się różni od zwykłej). Nie, w Middlebrook nie pozwalano jej urządzać sobie jakiegoś spa, ale niecierpliwie wyczekiwała dnia, gdy będzie mogła sobie na coś takiego pozwolić.

Sharon pochyliła się do przodu.

– Powinnaś spacerować – oznajmiła triumfalnie. – Byłabyś zdumiona,

gdybyś wiedziała, ile to dobrego robi dla ciała. Zawsze kiedy odwiedzam przyjaciół z Nowego Jorku, mogę jeść wszystko, bo wszędzie chodzę na piechotę.

Zachwycona własną błyskotliwością, kiwała się i śmiała, wypatrując reakcji Alice. Ta zaś czuła się, jakby traciła grunt pod nogami, co często zdarzało jej się podczas rozmów. Tak jakby stała na lodowej krze i musiała przeskoczyć na następną. Zadziwił ją ten cały wywód. Spacer. Przyjaciele. Czyli Sharon miała przyjaciół. I to ni mniej, ni więcej, tylko w Nowym Jorku. Ale dlaczego miała przyjaciół właśnie tam? Czyżby nie miała ich w Baltimore? Przecież powtarzała Alice setki razy, że wychowała się niecały kilometr od niej, po drugiej stronie parku, w tamtym miejscu o głupiej nazwie.

– Moi dziadkowie mieszkają w Connecticut – powiedziała wreszcie Alice. Connecticut leżał tuż obok Nowego Jorku. Tyle miała do zaoferowania w rozmowie. Nigdy nie była u dziadków, ale słyszała, jak matka wymienia tę nazwę. Było znane jako Miasto Gałki Muszkatołowej.

– Tak, pamiętam twoich dziadków. Rozmawiałś z nimi ostatnio?

– Nie.

Sharon pokiwała głową ze współczuciem.

– Ale ja nigdy z nimi dużo nie rozmawiałam. Widywałam ich tylko raz w roku. Na początku przyjechali kilka razy, ale potem babcia powiedziała, że to za ciężkie.

– Patrzcie, jaka bojaźliwa! – Sharon prawie wykrzyczała ostatnie słowo i ludzie przy sąsiednich stolikach aż podskoczyli, jakby na podłogę spadła szklanka.

Alice myślała o słowie „bojaźliwa”. Oglądała je w myślach z każdej strony. Niektóre słowa miały niemal hipnotyczne właściwości. Helen, zawsze szczerą, opowiedziała córce o własnych, jak się wyraziła, „młodzieńczych eksperymentach” z marihuaną i innymi narkotykami. O tym, jak jakieś słowo potrafiło bez przyczyny stać się najśmieszniejszą rzeczą na świecie. Ale nie trzeba było wcale znaleźć się na haju, żeby ucześcić się jakiegoś słowa. „Bojaźliwa”. Oczywiście coś związanego z „ja”. Ale końcówka „-wa” odnosiła się do rzeczy, które nie są precyzyjnie określone – „ciepława”, „starawa”.

– Alice? – naciskała Sharon.

– Oni tak naprawdę nie są bojaźliwi – odparła, gdy już rozpracowała to słowo. – Oni po prostu daleko mieszkają.

Właśnie tak Helen mówiła córce, próbując przy okazji przekonać samą siebie. Oni są starzy, starsi niż większość rodziców, dziadzio nie cierpi latania, a babunia nie cierpi, jak dziadzio prowadzi, no i trudno było jechać kolejką do dworca Grand Central, a potem przesiadać się do pociągu na Penn Station. I dlatego nie mogli odwiedzać jej często. Alice ich rozumiała.

– Ale jestem pewna, że bardzo cię kochają – oznajmiła Sharon.

- Tak?
- Przecież właśnie to powiedziałam.
- Nie tak, jakby pani w to wierzyła.

Alice wpatrywała się w Sharon, aż wreszcie prawniczka odwróciła wzrok, udając, że przygląda się plastikowym samolotom zwisającym z sufitu restauracji. Sharon niewiele się zmieniła przez te siedem lat. Oczywiście Alice zmieniła się tak bardzo, że przy niej zmiana każdej innej osoby wydawała się błaha. Ale zauważała subtelne różnice na twarzy swojej matki, chociaż widywała ją znacznie częściej niż Sharon. Helen dobrze się trzymała – to były jej własne słowa, kolejna fraza, która utkwiała w głowie Alice, bo tworzyła obraz jej matki trzymającej się rusztowania, wokół której krzątają się ludzie z farbą i pędzlami – ale od dwóch lat zaczęła wyglądać na swój wiek: ani na mniej, ani na więcej. Ona też o tym wiedziała i twierdziła, że jest zadowolona.

– Catherine Deneuve powiedziała, że kobieta po czterdziestce musi wybierać między swoją twarzą a swoim tyłkiem – oznajmiła podczas ostatniej wizyty w Middlebrook. – Ja wybrałam tyłek. – Poklepała się po zgrabnym biodrze, „jogińskiej pupce”, jak zwykła żartować, i się roześmiała.

Alice też się roześmiała, bo to była jej ulubiona wersja matki. Żwawa, trochę zwariowana, mówiąca o rzeczach, na których nie znał się nikt inny z Nottingham Road.

Helen martwiła się trochę swoim wyglądem, nie przejmowała się natomiast wyglądem córki. Kiedy dwa lata temu Alice zaczęła przybierać na wadze, stwierdziła filozoficznie, że ciało samo wie, czego potrzebuje, i prawdopodobnie instynktownie reaguje na potrzeby, z których jej córka nawet nie zdaje sobie sprawy.

– Twoje ciało myśli, że jesteś misiem, który zapadł w sen zimowy. Może dlatego, że dostajecie posiłki o ściśle określonych porach. Nie jesz wtedy, gdy jesteś głodna, ale musisz jeść, kiedy ci każą, dlatego twój metabolizm zwalnia, na wypadek gdyby zaczęli cię głodzić.

Alice miała w tej sprawie inną teorię. Była święcie przekonana, że ma guza. Ktoś kiedyś zostawił gazetę – prawdziwą, a nie byle co z supermarketu – i tam pisali o kobiecie, która miała w żołądku guza ważącego dziewięćdziesiąt kilogramów. Nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego przybierała na wadze. Dopiero jak go jej wycięli, wszystko wróciło do normy.

W gazecie nie zamieścili zdjęcia tego nowotworu, ale autor artykułu opisał go jako – te słowa wryły się Alice w pamięć – narośl „w kształcie cebuli, o barwie skorupy jajka, pokryta delikatnymi jedwabistymi włoskami”. Ścisnęła pięściami brzuch, szukając śladów guza. Chociaż miękka skóra ustępowała pod naciskiem, dziewczyna sądziła, że pod fałdami może kryć się jakaś narośl. Wreszcie poszła do lekarza i zapytała, czy mają jakiś test na wykrywanie nowotworów. Lekarka

wysłuchiwała jej z uwagą, nie zmieniając wyrazu zmęczonej twarzy. Robiła notatki i zadawała rozmaite pytania.

– Obawiam się, że to po prostu całkiem normalny przyrost wagi, jeśli wziąć pod uwagę twoją sytuację – oznajmiła na koniec przeproszającym tonem, jakby ona też wolała znaleźć jakiegoś guza. – Wszystko sprowadza się do arytmetyki. Zużywasz mniej kalorii, niż przyjmujesz.

– Jestem dobra z matematyki – powiedziała Alice. – Zawsze byłam. Teraz uczę się algebry, ale gdybym była w zwyczajnej szkole, pewnie uczyłabym się już trygonometrii, a może nawet rachunku różniczkowego.

– Na pewno. A na razie prowadź notes i zapisuj to, co zjadłaś. Zobaczysz, że spożywasz więcej kalorii, niż ci się wydaje. Na początku nie staraj się jeść inaczej. Tylko obserwuj samą siebie.

– Jak ta kobieta, która przypatruje się małpom?

Alice oglądała kiedyś w telewizji program o jakiejś sławnej antropolożce, chociaż nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy to było ani czego tamta kobieta dowiedziała się ze swoich notatek.

– W pewnym sensie. Rób notatki przez tydzień albo dwa i zapisuj też, jak się czujesz, kiedy jesz. Poznaj własne zachowania i reakcje, a potem odpowiednio je zmodyfikuj. Kontrola zjadanych porcji to tylko połowa sukcesu. Nie chodzi o to, że za dużo jemy, ale że jemy za dużo czegoś konkretnego.

Alice, rozczarowana, że nie ma guza, choćby nawet bez delikatnych, jedwabistych włosów, nigdy nie zaczęła prowadzić notatnika. Teraz jednak, siedząc z Sharon przy zbyt radosnym obiedzie, zastanowiła się nad tym pomysłem. Pewnie dałaby radę coś takiego zrobić. Ale nie robi. Nie żeby brakowało jej dyscypliny. Miała mnóstwo dyscypliny. Nie chciała jednak zdradzać nikomu, nawet notatnikowi, czegokolwiek o sobie.

– Co jako pierwsze chcesz zrobić po powrocie do domu? – zapytała Sharon.

– Otworzyć drzwi.

Sharon odchyliła głowę i zaniósła się zdumiewająco gromkim śmiechem, chociaż Alice wcale nie zamierzała mówić niczego zabawnego.

– Bardzo dobre. Punkt dla ciebie. Ale chodziło mi o to, czy chcesz najpierw poszukać pracy, czy zapisać się na jakiś wakacyjny kurs. Umiesz prowadzić samochód? Mogę cię nauczyć, jeśli chcesz. Powinnaś mieć prawo jazdy.

– Dlaczego? Mamy tylko jeden samochód, a mama używa go do pracy. Uczy plastyki na letnich kursach, wie pani?

– Wiem, ale pewnego dnia możesz dostać jakąś pracę i będziesz musiała dojeżdżać.

Alice się zastanowiła.

– Mogę jeździć autobusem.

– To zależy, gdzie będziesz pracować. A nie chcesz nauczyć się prowadzić?

Powinna powiedzieć, że chce. Tak brzmiałaby normalna odpowiedź. Bardzo chciała robić i mówić normalne rzeczy, takie, których się spodziewano. Nawet jeśli nie zawsze pokrywałyby się z tym, co naprawdę chciałaby powiedzieć czy zrobić. Znowu znalazła się na lodowej krze i szukała miejsca, gdzie można skoczyć. Rozmowa zaczynała przypominać grę w twistera, w którą bawiły się czasem z matką w deszczowe letnie weekendy. Prawa ręka na czerwonym, lewa na niebieskim. Musisz tak kombinować, żeby utrzymać równowagę, a jednocześnie wykonywać kolejne polecenia. Można tylko trochę wykręcić ciało, ale nie za bardzo.

– Podobają mi się te nowe małe volkwageny – powiedziała.

Z jakiegoś powodu ta odpowiedź przypadła Sharon do gustu. Prawniczka pisnęła z zachwytu i pokiwała głową.

– Mnie też. – Potem jej twarz spoważniała, a oczy otworzyły się szerzej, co oznaczało że Sharon staje się Bardzo Serio. – A czego nie zamierzasz zrobić? – spytała.

„To chyba prawda – pomyślała Alice – że nikt nie ma oczu jednakowej wielkości”. Prawe oko Sharon było znacznie większe od lewego.

– Alice?

– Nie zamierzam robić niczego... złego. Już nigdy więcej.

– Wiem, że nie zrobisz. Ale jaka jest ta jedna rzecz, której nie powinnaś zrobić?

Zabić kogoś? Nie, nawet Sharon nie zadałaby takiego pytania. Sharon w nią wierzyła, zawsze wierzyła. Nie musisz rozumieć jakiejś osoby, żeby w nią wierzyć.

– Nie zamierzam... – męczyła się, próbując wymyślić najgorszą rzecz, którą mogłaby zrobić – być leniwa.

– To dobry pomysł. Leniwe ręce... – Sharon roześmiała się i chrząknęła przepraszająco, chociaż Alice nie wiedziała, co w tym było śmiesznego. – Myślę, że najważniejsza rzecz, jakiej nie powinnaś robić, to spotkać się albo rozmawiać z Ronnie.

Alice spojrzała na nią zdumiona. Jak w ogóle mogła pomyśleć, że ona chciałaby się widzieć z Ronnie?

– Jej rodzina się przeprowadziła. Tak mówiła mi mama.

– Tak, ale niedaleko. Mieszkają teraz tuż obok czterdziestki, w tych niskich domach niedaleko miejsca, gdzie kiedyś był sklep Korvette.

– Korvette?

– Teraz jest tam metro, ale jak byłem dzieckiem, był tam tani supermarket, jak Kmart albo Target. Kupowałam tam swoje pierwsze płyty. – Sharon była bliska rozpoczęcia jednej ze swoich długich opowieści z dzieciństwa, które zadziwiały Alice, bo choć wydawało się, że przytacza je po to, aby pokazać, jak bardzo była do niej podobna, zawsze dowodziły czegoś przeciwnego. Na szczęście tym razem

Sharon nie zatopiła się we wspomnieniach. – Słuchaj, Ronnie ma naprawdę poważne problemy. To dlatego trafiła gdzie indziej niż ty.

– Harkness.

– Co?

– Trafiła do Harkness, prawda? Zakładu niedaleko Dystryktu Kolumbii? – Stary żal wciąż palił. Ronnie pojechała do Harkness. Alice musiała tkwić w Middlebrook.

– Zaczęła w Harkness. Dokończyła gdzie indziej. Tak czy siak, wszystko, co chcę powiedzieć, to tyle, że zasłużyła na nowy początek tak samo jak ty. Ale nie sądzę, żebyście mogły znowu zostać przyjaciółkami.

– Nie byłyśmy przyjaciółkami – odparła Alice. Po tych wszystkich latach nie mogła na coś takiego pozwolić. Nie zawsze reagowała, gdy ktoś mówił, że ona zabiła Olivie Barnes, ale nie miała zamiaru pozwolić, by myślano, że Ronnie Fuller była jej przyjaciółką.

– W porządku – powiedziała Sharon z uspokajającym uśmiechem. – Czy nadal jesteś pewna, że nie chcesz deseru?

– Myślę, że chcę. Od jutra zamierzam dużo spacerować.

– Tak? To świetnie, Alice, świetnie. Naprawdę.

Świetnie dlatego, że spaceruje dobrze jej zrobić, czy dlatego, że zastosuje się do rady Sharon? Alice już dawno nauczyła się nie zadawać takich pytań głośno. Ale nigdy nie przestała zadawać ich w myślach. Czasem miała wrażenie, że jej tłuszczyk to jaskinia, a ona mieszka gdzieś głęboko w niej, obserwując świat żarzącymi się ślepiami.

Sobota, 11 kwietnia

6

Ronnie Fuller przyzwyczaiła się do tego, że rano budzi się z różnymi dziwnymi pragnieniami. Wciąż jednak zapominała, że teraz może je spełniać. Przynajmniej część z nich.

Była w domu już od co najmniej miesiąca, bo urodziny obchodziła w marcu, kilka tygodni przed Alice, o czym prawie nigdy nie pamiętano. Wiedzano tylko, że Ronnie też ma urodziny, i tyle. Wciąż jeszcze, ilekroć otwierała oczy, musiała przez chwilę się zastanawiać, zanim umiejscowiła siebie w świecie. Jej nowy pokój pośrodku domu był ciemny jak wnętrze łodzi podwodnej i bardzo skromny. Matka powiedziała, że Ronnie może zrobić z tym pokojem, co jej się spodoba, ona jednak nie potrafiła niczego wymyślić. W ten sobotni poranek obudziła się ze smakiem na kwiaty kapryfolium. Niestety, pierwsze pojawią się dopiero za dwa miesiące, a jeszcze dłużej trzeba będzie czekać, by wysać z nich słodycz. Postanowiła znaleźć jakiś zamiennik w sklepie spożywczym u podnóża długiego, krętego pagórka, gdzie teraz mieszkali. Miała wolny dzień, wyszła więc, kiedy tylko się ubrała. Po oględzinach dokonanych przez mętne szkło wybrała mountain dew. Wiedziała, że ten napój nie smakuje jak kapryfolium, chociaż przypomina je kolorem.

Stojący za ladą ciemnoskóry mężczyzna w turbanie bez słowa przyjął od niej pieniądze.

– Terrorysta? – spytała głośno, choć zamierzała zadać to pytanie tylko w myślach. Starła się zachowywać swoje myśli wyłącznie dla siebie, ale zwykle się ujawniały, bardzo często ściągając na nią kłopoty. To nie było w porządku.

– Sik – odparł gniewnie mężczyzna, wskazując na czoło. – Sik.

– Sik? – zapytała zdziwiona Ronnie. Czy on mówił, że chce sikać? Była tak pochłonięta tymi pytaniami, że po wyjściu ze sklepu skręciła w złym kierunku, w stronę dawnego domu. A przynajmniej tak sobie mówiła.

Przed obecnym domem rodziców, dotąd jej nieznanym, Ronnie zjawiała się w wyjątkowo upalny marcowy dzień. Na prawym ramieniu miała czarną torbę podróżną z nylonu. Dom był pusty, bo oboje rodzice jeszcze pracowali, a ostatni z braci wyprowadził się kilka miesięcy temu. Obiecany klucz znalazła pod płaskim kamieniem, na klombie przed drzwiami. Weszła do środka. Znajome meble przypominały, że to miejsce jest „domem”, cokolwiek to mogło znaczyć, w dodatku zdecydowanie miłszym od poprzedniego. Ojciec mówił, że budynek przy Nottingham, gdzie wcześniej mieszkali, zbudowano chyba z kartonów po owsiance – był wilgotny, a ściany uginały się, gdy ktoś mocno w nie uderzył. A przy trzech chłopakach takie rzeczy się zdarzały.

W tamten gorący marcowy dzień Ronnie wcale nie czuła się rozczarowana brakiem powitania. Cóż, rodzice pracowali. To stanowiło możliwe do przyjęcia usprawiedliwienie nieobecności na wywiadówkach i brak ciasteczek na urodzinowe przyjęcie czy wycieczek za miasto. Zresztą w zakładzie tak elegancko ją pożegnano. Nie było jakiejś ceremonii, bo to wyglądałoby dziwnie, tylko uścisk dłoni lekarza i uściski części personelu. Jedna z wychowawczyń dała jej pudełko – ładnie opakowane, jak prezent – które Ronnie wetknęła do torby, odruchowo zachowując na później. Przez ostatnich kilka lat nie dostawała wielu prezentów, może nie pamiętała więc, że ludzie lubią, jak otwiera się upominki w ich obecności. Gdyby ktoś spróbował jej o tym przypomnieć, zdumiałaby się. Przecież lepiej jest dawać, niż dostawać, prawda? Czyli już samo dawanie powinno wystarczyć.

– Postaraj się nie trząść tym za bardzo – powiedziała wychowawczyni.

– Jest kruche?

– Niezupełnie. Ale zobaczysz, jak już będziesz w domu.

Lubiła Ronnie. Zresztą lubił ją cały personel, bo należała do najlepiej zachowujących się pensjonariuszy. Większość młodocianych przestępców w Shechter stanowiły ponure nastolatki, których przestępstwa – najczęściej rabunki i kradzieże samochodów – wiązano z uzależnieniami. Ale Ronnie zrobiła chyba wszystko, żeby właśnie tam trafić. Zdołała przekonać odpowiednich ludzi, że jest na to wystarczająco ześwirowana.

Wszystko zaczęło się przypadkiem, mniej więcej w czasie jej czternastych urodzin. Pokłuła się wtedy długopisem w miejscach, gdzie miała najcieńszą skórę: na wewnętrznej stronie łokci, w górnych partiach ud i za kolanami. Ukłucia zaczęły swędzieć, więc je drapała. Wdało się takie zakażenie, że dostała wysokiej gorączki i została przeniesiona do izby chorych. Lekarz wysłał ją do szpitala w Shechter na obserwację. Potem wróciła do Poolesville, ale z przeświadczeniem, że Shechter to miejsce, w którym chciałaby się znaleźć.

Nie umiała powiedzieć, dlaczego tak jej się spodobało. Przecież realizowano tam program dla ześwirowanych dzieciaków, a jej rodzice ciężko walczyli, by nie została uznana za wariatkę czy kogoś, kto nie umie odróżnić dobra od zła, a może nawet jest opóźniony w rozwoju. Budynki w Poolesville były nowe i czyste, Ronnie zaś wolalała nowe od starego. To chyba ze względu na jednozmianową szkołę zapragnęła trafić do tego drugiego zakładu. Może chodziło też o brak ogrodzeń i otaczające Shechter wzgórza z polami uprawnymi. I może jeszcze o akademik pobliskiego college'u, gdzie Ronnie oglądała życie dla niej wręcz cudowne, przypominające telewizyjny *show*. Z trawnika przed wejściem do szpitala mogła obserwować dziewczyny z uczelni, patrzeć, w co się ubierały i jak się czesały.

Rozumiała jednak, że nie powinna się przyznawać, że chce trafić do

Shechter, ale przeciwnie – zaprzeczać udawanemu przez siebie szaleństwu.

Zaczęła się ciąć każdym przedmiotem, jaki wpadł jej w ręce. Kłuła się narzędziami i ołówkami, gryzła własnymi zębami, a kiedy już wszystko zawiodło, drapała się do krwi, aż łydki pokryły się długimi, czerwonymi śladami. Niezależnie od tego, jak krótko poprzycinali jej paznokcie, zawsze odrastały. Mogli zakleić jej palce plastrami, krępować na noc ręce, ale skoro nie umieli wyrwać jej paznokci na czas drogi do łóżka ani usunąć zębów, to nie potrafili jej rozbroić.

– Jesteś sprytniejsza niż Yossarian – stwierdził lekarz, kiedy wreszcie otrzymała stałe miejsce w Shechter.

– Kto?

– *Paragraf 22*. „Ja jestem bombardierem”. Znasz to?

Ronnie pokręciła głową.

– Nieważne – stwierdził.

Lubiła go na tyle, na ile potrafiła lubić kogoś, kto mówił jej, co powinna robić i co robi źle. Miała wrażenie, że jej sprzyja, ale nie mogła zbyt się przed nim odsłaniać, bo w jakimś momencie on również mógł zwrócić się przeciwko niej. Ronnie uważała kiedyś, że dzieci muszą kłamać, ponieważ żyją według cudzych reguł. Myślała, że gdy się dorasta, kłamie się coraz mniej. Jednak nie tak to wyglądało. Owszem, Shechter było świetnym miejscem, ale byłaby naprawdę szurnięta, nie ciesząc się, że wychodzi.

Dom. Nazywała tym słowem nowe miejsce zamieszkania rodziców, od kiedy je zobaczyła. Więc to jest dom. O rozkładzie pomieszczeń typowym dla szeregowca. Dobrze, że jest zmywarka. Mniej będzie roboty. I jeszcze mikrofalówka. Wyobraziła sobie, jak ojciec przynosi ją do domu, a matka od razu pyta, jednocześnie z radością i złością:

– Z jakiej ciężarówki to wypadło?

Gdy była młodsza, nie rozumiała tego pytania, ale teraz wiedziała już, o co chodzi.

Weszła na górę, świadoma, czego może się spodziewać: głównej sypialni naprzeciwko drzwi wejściowych, oświetlonej, jednego ciemnego pokoiku na środku, jakiejś małej sypialni z tyłu i jednej łazienki dla wszystkich.

W jej pokoju, tym ciemnym pokoiku pośrodku, stały łóżko, komoda, mała lampka – i nic poza tym. Wyciągnęła z kieszeni dwa banknoty i rozejrzała się za miejscem, gdzie mogłaby je schować. Trudno cokolwiek ukryć w pustej sypialni. Wyjęła ubrania z torby, wsadziła do komody, a potem włożyła pieniądze między fałdy podkoszulka. Nie, mama mogłaby tam zajrzeć. Na łóżku leżała nowa pościel w małe kropki. Kiedy opuszczała dom, miała pościel ze Scooby Doo, co teraz wydawało jej się głupie. Ale te kropki też niespecjalnie jej się podobały. Podniosła cienką, szorstką bawełnę i wsunęła banknoty, dziesięcio- i dwudziestodolarowy, między materac a sprężyny, tak daleko, jak tylko zdołała sięgnąć.

Pieniądze dostała na taksówkę. Początkowo miała dwie dziesiątki i jedną dwudziestkę, stare banknoty tak zniszczone, że aż godne pożałowania. Jakby rodzice chcieli, by pamiętała, że wysupłują pieniądze z kieszeni, portmonetek i portfeli, a nie dostają wyplute z bankomatu. W chwili, gdy zobaczyła te dolary wyłaniające się z koperty, wiedziała, że musi znaleźć jakiś sposób, by je zaoszczędzić. Pojedzie do domu autobusem lub autostopem, a z tych czterdziestu dolarów odłoży tyle, ile zdoła.

Oczywiście personel zakładu nie pozwoliłby na coś takiego, dlatego najpierw musiała odegrać całe przedstawienie. Wezwała taksówkę na szczyt wzgórza i wspinając się tam, machała wszystkim na pożegnanie. Właśnie wtedy wychowawczynie dała jej to małe, ładnie opakowane pudełko, które wciąż jeszcze leżało w torbie. Zjeżdżając ze wzgórza, czuła się wspaniale, trochę jak bohaterka filmu, może tego, w którym jakaś dziewczyna dowiedziała się, że jest księżniczką.

Gdy tylko taksówka wyjechała z terenu zakładu i minęła kilka przecznic, Ronnie zapukała w szybę odgradzającą ją od kierowcy i powiedziała, że chce tu wysiąść.

– Co? – burknął. Był biały, ale mówił z dziwnym akcentem, a jego ciało miało ostry zapach. – Zamawiałaś kurs na Saint Agnes Lane, za trasą numer 40. Nie możesz tutaj wysiąść.

– Dlaczego nie?

– To niedozwolone.

Była pewna, że taksówkarz kłamie, ale popełniła błąd, robiąc wrażenie słabej osoby.

– A pan nie musi mnie wypuścić tam, gdzie chcę?

– Nie, to niebezpieczne. Dostanę mandat, jeśli cię tu wysadzę.

– To niech pan jedzie na parking 7-Eleven.

– Nie. Zamawiałaś długi kurs. Musisz jechać albo płacić.

Ze sposobu, w jaki zmieniał argumenty, wiedziała, że kierowca wszystko zmyśla. Był oszustem. Ronnie nigdy nie radziła sobie w utarczkach słownych, a z oszustami szło jej najgorzej.

– Proszę się zatrzymać.

– Będziesz płacić.

– Zatrzymaj się.

Z westchnieniem tak głośnym, że równie dobrze mogłoby być krzykiem, wreszcie jej posłuchał. Na liczniku były trzy dolary i pięćdziesiąt centów. Ronnie dała mu dziesiątkę i czekała na resztę, ale mężczyzna schował banknot.

– Nie może pan wziąć dziesięciu dolarów za kurs za trzy pięćdziesiąt – zaprotestowała.

– Dodatkowy dolar za wezwanie telefoniczne – powiedział, wskazując czerwone światło na taksometrze.

– To wciąż tylko cztery pięćdziesiąt.

Naciągał ją. Bo była dziewczyną i była młoda. Kiedyś tacy ludzie doprowadzali Ronnie do szału, ale teraz powinna znaleźć pokojowe rozwiązanie. Niestety, na zajęciach w szpitalu przyjmowano, że będzie rozmawiać z jakąś miłą, neutralną osobą, lekarzem albo dyrektorem szkoły, nauczycielem czy rodzicem. „Mów łagodnym tonem, Ronnie. Złość to najgorszy doradca”.

W sporze z taksówkarzem na parkingu przy 7-Eleven żadna z tych rad nie miała zastosowania.

– Przyjechałem na długi kurs, a nie krótki. Należy mi się napiwek.

Wysiadła z taksówki, wystraszona własnymi emocjami i sytuacją, w jakiej się znalazła. Teraz miała tylko trzydzieści dolarów, a tyle nie wystarczy na taksówkę do domu. Mogła pojechać autobusem, ale musiałaby się co najmniej raz przesiadać. Poza tym na autobus potrzebowała drobnych, a nikt nie rozmieni jej pieniędzy, jeżeli czegoś nie kupi, co oznaczało utratę kolejnego dolara, może nawet dwóch. Wiedząc, że kierowca nie spuszcza z niej wzroku, ruszyła 7-Eleven z wysoko uniesioną głową, tak jakby właśnie tu był cel jej podróży. Potem schowała się w zaułku i czekała, aż taksówkarz odjedzie.

Kiedy się znalazła z powrotem na ulicy, wiedziała, że pozostał jej tylko autostop. Nigdy wcześniej nie jeździła stopem, ale jej starsi bracia tak. A w Shechter była dziewczyna, która wciąż się chwaliła, że tak jeździ.

– I nigdy nie musiałam nic robić – zapewniała ta dziewczyna, Victoria.

– Ale jak ich powstrzymywałaś od, no, wiesz...

– Musisz uważnie wybierać tego, z kim pojedziesz. – Victorii podobało się, że Ronnie pyta ją o radę. Nikt nie wiedział dokładnie, co zrobiła Ronnie, lecz w Shechter aż huczało od plotek. Nie musiała chodzić na terapię antyalkoholową ani antynarkotykową, a tutaj oznaczało to, że ktoś jest naprawdę strasznie porąbany. Niektórzy twierdzili, że Ronnie wymordowała całą swoją rodzinę, choć przecież regularnie odwiedzała ją mama. Inni opowiadali, że chłopak namówił ją, żeby zabiła kogoś dla zabawy.

Ronnie spodobał się pomysł obdarzenia jej chłopakiem. Czula też dziwnie gorzką dumę z tego, że w tych wszystkich opowieściach nikt nawet się nie zbliżył do prawdziwej przyczyny jej pobytu tutaj. Każdy, kto był w Baltimore tamtego lata, pamiętał historię o zaginionym dziecku, które później znaleziono martwe, a także ciągłe wzmianki o dwóch jedenastoletnich zabójczyniach. Teraz Ronnie i tamta historia oddzieliły się od siebie, pofrunęły każda w swoją stronę. Victoria nie miała pojęcia, kim jest ani co zrobiła jej koleżanka.

Ronnie wypytywała dalej, chociaż raz nie bojąc się zdradzić ze swoją niewiedzą.

– Jak wybierać?

– Zatrzymuj facetów w krawatach.

– Facetów w krawatach?

– No. I w takich nudnych autach, takich jak to, którym jeździ tata...

Ojciec Ronnie jeździł ciężarówką Coca-Coli, a ich rodzinnym samochodem był stary amc hornet – przynajmniej wtedy, gdy opuszczała dom. Ale wiedziała, o co chodzi Victorii.

– Najlepiej zatrzymać jakiegoś biznesmena. Faceta, który się przestraszy, jak krzykniesz albo powiesz, że będziesz krzyczeć albo zadzwonisz na policję. Młodzi, tacy bardziej w twoim wieku, nie boją się kłopotów, więc nie możesz... Jakie to słowo?

– Jakie słowo?

– To, jakiego się używa, jak się mówi, że ma się władzę nad inną osobą?

Ronnie wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia, o co chodzi Victorii.

– Tak czy inaczej, nie jedź z nikim poniżej trzydziestki. No i nie wystawiaj kciuka.

– A ja myślałam, że tak właśnie robią autostopowicze.

– To nie dzięki kciukowi cię podrzucają – wyjaśniła Victoria. – Odwróć się tyłem do samochodów i idź tak, jakbyś spacerowała. Ale nie kołysz się na boki.

Pokazała, jak to się robi. Victoria była wysoką, pulchną dziewczyną. Jej pupa kołysała się lekko, gdy szła, ale nie wyglądała ładnie w obcisłych dżinsach, jakby nie chciała być tak ciasno opakowana.

Już na drodze Ronnie odwróciła się tyłem do nadjeżdżających samochodów, zgodnie z radą Victorii, i szła tak, jakby zmierzała w jakimś konkretnym kierunku. Z prawej miała pole golfowe, na którym grało wielu mężczyzn, chociaż to był zwykły dzień tygodnia. Czy oni mają aż tyle pieniędzy, czy może powiedzieli w pracy, że są chorzy? Jej ojciec urywał się z roboty, kiedy tylko mógł, ale twierdził, że bajeczka o chorobie to kiepski pomysł. Cała sztuka polega na tym – powtarzał – żeby wymyślić historyjkę, której nie da się sprawdzić, coś, co nikogo nie skrzywdzi. Nigdy jednak nie powiedział, jaką dokładnie historyjkę.

Prawie minęła pole golfowe, kiedy zatrzymał się pierwszy samochód. Chłopak za kierownicą wydawał się miły i jechał jednym z małych aut podobnych do džipa, takim, jakie Ronnie sama chciałaby mieć, gdyby kiedyś nauczyła się prowadzić. Ale w jego twarzy było coś dziwnego; widziała to coraz wyraźniej, im dłużej na niego patrzyła.

– Nie, dziękuję, naprawdę – powiedziała.

Następny facet, starszy, siedział za kierownicą vana z nazwą firmy malarskiej na boku i sam był umazany farbą. Nie, van nie, chociaż akurat o tym Victoria jej nie mówiła. Ronnie czuła się, jakby krążyła po planszy jednej z gier, w które grała jako dziecko, Cukierkowej Krainie albo takiej z drabinami. Musiała wybierać ostrożnie, jeśli zamierzała dotrzeć do domu ze swoimi trzydziestoma dolarami.

Trzeci samochód wydał się w sam raz, spełniał wszystkie warunki, o których mówiła Victoria. Czterodrzwiowe czarne auto nie było zbyt nowe, ale i nie stare. Kierowca miał krawat i błyszczącą, czerwoną twarz. Wnętrze wozu wyglądało fajnie, gdy ukazał je, uchylając szybę, aby odezwać się do Ronnie.

– Podwieźć cię?

– No, ale... ja właśnie idę na przystanek.

– Daleko jedziesz?

– Tak – przyznała Ronnie. – Saint Agnes Lane przy trasie numer 40.

– Poza obwodnicą?

– Nie, na obwodnicy. Blisko.

Co właściwie oznaczało „blisko”? Tu chodziło nie tylko o to, że rodzice się przeprowadzili, ale również o to, że Ronnie nie wiedziała, jakie punkty orientacyjne wzdłuż trasy numer 40 nadal istniały. Arby's? High's Dairy Shop? The Crab King?

– Zna pan ten znak, który mówi, że wjeżdża się do Baltimore?

– Na granicy miasta i hrabstwa?

– Kawalek dalej, w hrabstwie. – Jej matka była taka dumna z przekraczania tej linii.

– To nie tak daleko, jeśli zna się dobre skróty. Wskakuj.

Wskoczyła i tak ułożyła czarną nylonową torbę, żeby zasłoniła jej kolana.

– Możesz ją położyć z tyłu.

– Nie trzeba.

– Albo w bagażniku.

– Nie trzeba.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Dopiero kiedy ruszyli, Ronnie dostrzegła pewien problem, którego nie przewidziała. Nie miała pojęcia, jak odpowiadać na pytania mężczyzny, nawet te nieszkodliwe. Gdzie się uczy? Nie mogła przecież się przyznać, że kończyła szkołę w ośrodku Shechter. Poza tym gdyby powiedziała, że jest już po szkole, to nie mogłaby dłużej utrzymywać, że ma czternaście lat. Według Victorii bycie czternastolatką załatwiało sprawę z większością nachalnych facetów.

– Chodzę do Towson – oznajmiła z nadzieją, że to nazwa jakiegoś liceum.

– Tak? Mój kuzyn tam chodzi. – Podał jakieś nazwisko, ale oczywiście go nie znała. Wymienił więcej nazwisk. Po prostu wzruszała ramionami i pokręciła głową. Może dobrze, jeśli kierowca będzie myślał, że jest głupia i nie zna nikogo ze swojego liceum.

– Jak to jest – zapytał wreszcie – że chodzisz do liceum Towson, ale twoi rodzice mieszkają w południowo-zachodnim Baltimore?

Przypomniała sobie odpowiedź, której lekarz radził udzielać, gdy ktoś zapyta

o przeszłość.

– To naprawdę skomplikowane.

– Tak, wiem, jak to jest. Używa się fałszywego adresu, żeby pójść do lepszej szkoły. Ja sam chodziłem do Calvert Hall. – Wydawał się zadowolony z siebie, ale Ronnie niewiele rozumiała.

Jechali na zachód, poznała to po słońcu, a mijane domy zmieniały się od bardzo zamożnych do bardzo ubogich. Zostawili w tyle szpital i tor wyścigowy. Pilnowała drogi, bo, jak twierdziła Victoria, nigdy nie wiesz, gdzie cię wywiozą. Wszystko wyglądało jak okolica, w której Ronnie się wychowywała, wyjąwszy fakt, że ludzie na ulicy mieli czarną skórę.

Kierowca – powiedział, że ma na imię Bill – skręcił kilka razy i znaleźli się na wąskiej drodze wzdłuż strumienia. Samochód zwolnił, a Ronnie sięgnęła do drzwiczek, nie było jednak pobocza i auto pojechało dalej. Bill minął okolicę, gdzie wszystkie budynki były białe, i Ronnie uwiadomiła sobie, że ją zna, że jest już blisko domu. Zabudowań było coraz mniej i wkrótce znaleźli się w wąskim korytarzu z drzew, które właśnie zaczynały wypuszczać pąki. Strumień jakimś cudem znajdował się teraz z lewej. Kiedy go przejechali? Ronnie nie zauważyła żadnego mostu. A potem była już tylko bariera i wielki znak informujący, że droga jest zamknięta do odwołania.

– A niech mnie – rzucił Bill. – Zapomniałem, że tu zagrodzili.

Nie próbował jednak zawracać, zatrzymał samochód na parkingu i sięgnął nad Ronnie do schowka na rękawiczki. Otworzył go i wyjął małą butelkę przejrzystego płynu. Gdyby nie czarna torba na kolanach, mógłby się otrzeć ramieniem o piersi Ronnie. Musiał jednak zadowolić się szurnięciem o nylon.

– To jest Leakin Park – powiedziała. – Mój dom jest po drugiej stronie tamtych wzgórz.

– Racja. Ale musimy zawrócić i zrobić długi objazd przez Forest Park.

– Dlaczego droga jest zamknięta?

Położył rękę na kolanie i lekko wysunął czubek języka, ale oprócz tego nadal był tym samym mężczyzną o lśniącej twarzy, który zgodził się ją podwieźć, mężczyzną o imieniu Bill, który chodził do Calvert Hall i miał kuzyna uczącego się w liceum Towson.

– Budują jakiś wiadukt – wyjaśnił. – Mówią, że to naturalny szlak, ale raczej można by to nazwać dżunglą. Albo safari w Baltimore. Idź przez Leakin Park, a zobaczymy, czy wyjdiesz stamtąd żywa. Mogliby z tego zrobić *reality show*.

– Dlaczego tam jest niebezpiecznie? – Ronnie miała siedem lat, kiedy zaczęła się bawić na obrzeżach Leakin Park, a gdy robiła się coraz starsza, zapuszczała się tam głębiej i głębiej. Oczywiście bez pozwolenia, ale nigdy się nie bała.

– To przez złe sąsiedztwo na tamtym wzgórzu.

– A ja myślałam, że to dlatego, że... Słyszałam, że tam kiedyś wydarzyło się coś naprawdę złego.

– Taką jakby historię o duchach? Chcesz mi opowiedzieć historię o duchach, kochanie? Usiądź mi na kolanach i opowiedz tę historię. Opowiedz wujkowi Billowi swoją historię.

Mocniej przycisnęła torbę do piersi.

– Pokaż mi swoje cycuszki, Alice. – Właśnie takie imię mu podała, kiedy zapytał o liceum. Alice Manning. Alice Manning, Alice Manning, Alice Manning. Ronnie po raz pierwszy podała fałszywe imię i odruchowo powiedziała: Alice Manning.

– Pokaż mi swoje cycuszki, a ja podwiozę cię do domu. Tylko podnieś koszulkę, pokaż mi te małe ślicznotki. Nie dotknę ich. Obiecuję, że ich nie dotknę.

– Ja mam czternaście lat.

– Och, nie sądzę. Chodzisz tak, jakbyś już się pieprzyła raz czy dwa. Byłaś niegrzeczną dziewczynką, prawda? Powiedz wujkowi Billowi, co pozwalałaś ze sobą robić chłopcom.

Jego ręka zaczęła przesuwać się po kolanie, ale głos wciąż był rozmarzony, przymilny.

– Jesteś bardzo złą dziewczynką – szeptał. – Wiem o tobie wszystko.

– Wcale nie jestem – warknęła najbardziej wściekłym tonem, na jaki pozwoliła sobie od dłuższego czasu. Spróbowała opanować emocje. – Ale znam kogoś, kto naprawdę był. Powiem, co ona zrobiła.

– Powiedz wujkowi, dziecinko. Powiedz wujkowi Billowi.

– To były dwie małe dziewczynki.

– Och, Alice, to jakaś niezła historia.

– Te dziewczynki znalazły niemowlaka. Jakiegoś niemowlaka, którego nie kochała mama, bo zostawiła go całkiem samego na ganku. Zabrały niemowlaka od matki i znalazły mu... bezpieczne miejsce. Ale dziecko było chore, ono by i tak umarło. Dziewczynki, no, jedna z dziewczynek, przestraszyła się i powiedziała, że muszą odnieść niemowlaka z powrotem. Ale druga powiedziała, że nie, że nie mogą, że muszą zabić to dziecko, bo i tak nikt im nie uwierzy.

Jego dłoń znieruchomiała.

– To się stało naprawdę – mówiła Ronnie. – Dokładnie tutaj. Siedem lat temu. Znam dziewczynki, które to zrobiły. Chodziły do mojej szkoły.

– Myślałem, że chodziłaś do Towson.

– Do mojej poprzedniej szkoły – wyjaśniła Ronnie, patrząc mu prosto w oczy. – Do gimnazjum.

Twarz Billa z czerwonej zrobiła się szara, chociaż nadal była mocno spocona. Otarł dłoń o spodnie, przekręcił kluczyk i odezwał się do Ronnie:

– Powiedz mi jeszcze raz, gdzie mieszkasz.

I tak przybyła do domu w najgorętszym marcu od lat, bogatsza o trzydzieści dolarów. Nie musiała nic robić. Usiadła więc na łóżku i zaczęła się zastanawiać, jakie zajęcie sobie wybrać. Mogła pójść na dół i zobaczyć, co jest w lodówce. Mogła włączyć telewizor w pokoju rodziców, położyć się na łóżku i oglądać. Mogła pójść na spacer, przejść się ulicą do sklepu spożywczego. Sklep stał u zbiegu jej starej i nowej ulicy, u zbiegu starego i nowego życia.

Postanowiła wyjąć to ładnie opakowane pudełko z torby i otworzyć. Na kwadratowym pojemniku była naklejka: *Port Odkrywców: Dziecięce Muzeum*. Ronnie nie pamiętała takiego miejsca z dzieciństwa; wtedy wszystkie muzea były nudnymi miejscami dla dorosłych, pełnymi waz.

W pudełku, pod wieloma warstwami bawełny, leżał zestaw kółek do kluczy z przyczepionymi zabaweczkami. Były tam: maleńka replika starej gry Operacja, plansza do Życia, łysy mężczyzna z magnetycznymi włosami, które można dowolnie układać. Przy ostatnim kółku wisiała miniaturowa rysowanka. Wychowawczyni starannie wypisała na jej maleńkiej powierzchni: „Powodzenia, Ronnie”.

Dołączyła jeszcze karteczkę ze słowami: „Nie wiedziałam, która najbardziej Ci się spodoba, więc kupiłam wszystkie”. Była miła. Ale dlaczego kółka do kluczy? To dziwny prezent. I nagle Ronnie zrozumiała: po raz pierwszy od siedmiu lat mogła mieć klucze, mogła otwierać własne drzwi i je za sobą zamykać.

Przyszedł kwiecień, a rysowanka, dawno już wytarta do czysta, spoczywała w jej zaciśniętej pięści, tak że klucze – tylko dwa, do drzwi wejściowych i do zasuw – utonęły w jej dłoni. Znalazła się na swojej starej ulicy, obok domu Manningów. Nie mogła zwolnić kroku ani nawet otwarcie przyglądać się temu miejscu. Co prawda w soboty Helen często spała do południa, ale gdyby ich ścieżki się skrzyżowały, gdyby Helen zobaczyła Ronnie i powiedziała jej „dzień dobry”, wtedy Ronnie mogłaby zapytać, jakby właśnie o tym pomyślała, jakby nie myślała o tym każdego dnia w ciągu ostatnich siedmiu lat: „Pamięta pani kapryfolium?”.

Była pewna, że Helen pamięta.

Wagner's Tavern stała się knajpą policjantów z wydziału zabójstw od czasu wypadku. W wigilijną noc półterenowy samochód z pięcioma rozwrzeszczanymi nastolatkami wszedł w zakręt nieopodal baru z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Przynajmniej taką prędkość oszacowano, gdy drogówka zaczęła grzebać w trzech dymiących kawałkach jaskrawoczerwonego isuzu rodeo, które zatrzymało się wewnątrz tawerny, kilka metrów od stołu bilardowego. Równie dobrze mogło to być sto czterdzieści albo sto sześćdziesiąt, ale sto pięćdziesiąt to ładna, okrągła liczba. Dziennikarze z telewizji zawsze wybierali najwyższe wartości, czy chodziło o prędkość, czy o opady śniegu.

– Robią wyjątek tylko dla temperatury odczuwalnej – stwierdził Lenhardt, przerywając własną opowieść. – Wtedy podają najniższą liczbę. Wiecie, dzisiaj będzie z siedemnaście stopni, ale temperatura odczuwalna wyniesie pięć stopni mniej! Nastawcie się na pięć, ale może być niższa o trzy! Nasze całodobowe centrum burzowe Doppler Radar Huhuha gwarantuje państwu prognozę najpaskudniejszej pogody w Baltimore lub zwrot pieniędzy.

Lenhardt w noc wypadku akurat wracał do domu. Zobaczył policyjne wozy i tłum umundurowanych funkcjonariuszy. Liczba ofiar okazała się zadziwiająco niska: karetki zabrały tylko dwa dzieciaki z auta. Poza tym ruda barmanka miała złamaną nogę, a kilka osób poraniły odłamki szkła, częściowo z roztrzaskanych ozdób na choince, pierwszej rzeczy, w jaką isuzu walnęło po przebiciu się przez ścianę.

Ale sam bufet ocalał i jedyne, co się tu po wypadku zmieniło, to bariera ochronna, którą postawiono na zakręcie. Późnym wieczorem sierżanta można było spotkać tu przy barze lub plastikowym stoliku, gdzie stawiał detektywom kolejki piwa.

– Właśnie dlatego tutaj przychodzisz.

Nancy pojawiła się w Wagner's Tavern pierwszy raz. Zwykle odmawiała, spieszyła się do domu, do Andy'ego. Ale dzisiaj chciała być z kolegami, nawet jeśli miałyby wkurzyć męża.

– Co? – Lenhardt udał, że nie rozumie. – Masz coś do mojego wyboru miejsc, gdzie piję?

– Przesiadujesz tu, bo uznałeś, że to się nie może zdarzyć drugi raz. Naprawdę jesteś przesądny.

– Ja bym to nazwał rachunkiem prawdopodobieństwa.

– Tyle że prawdopodobieństwo się nie zmieniło, bo zakręt się nie zmienił.

– Hę? – mruknął Kevin, kompletnie skołowany.

Ale Lenhardt uśmiechnął się szeroko, pewny siebie.

– Nie istnieje standardowe prawdopodobieństwo tego, że jakiś samochód

uderzy w bar – mówiła dalej Nancy. – Bar na zakręcie będzie uderzany częściej niż jakiś bar niezbudowany na zakręcie, niezależnie od barierki.

– Standardowe prawdopodobieństwo – prychnął sierżant i zwrócił się do Kevina. – Słuchaj, Infante, tracimy tutaj czas. Jedźmy do Atlantic City i pozwólmy panie Nancy zademonstrować jej wiedzę o standardowym prawdopodobieństwie na stołach do blackjacka.

– No to dlaczego tu przychodzisz? – Nancy była już znudzona tym tematem, ale musiała nadal trzymać fason, pokazać Lenhardtowi, że potrafi obstawać przy swoim.

– Przychodzę tu, bo piwo jest tanie, kuchnia pracuje do późna, no i ten bar jest mi po drodze do domu. Nancy, nie przesadzaj z analizą. Ile razy mam ci to powtarzać?

Infante stłumił śmiech, a Nancy poczuła, że na twarz wypełza jej rumieniec, niczym jakieś piętno. Czasem nie cierpiała tego, że ma taką jasną karnację i jasne włosy.

Lenhardt ulitował się nad nią.

– Infante, ty masz własne sprawy, nad którymi musisz popracować.

Ugryzła kęs nadziewanej papryki, potrawy najbliższej jarzynom, które jadła przez ostatnie dni.

– Jak to jest, że on jest Infante, a ja zawsze Nancy albo panna Nancy?

– O Je... – Sierżant nie potrafił przy Nancy wypowiedzieć imienia Pana Boga nadaremno, dlatego kończył, mówiąc najwyżej: „O Je”. Zwykle nie docierał nawet do połowy słowa, dzisiaj jednak naprawdę się zapomniał. – Chyba nie chcesz zaczynać feministycznej gadki, co? To znaczy, on... – Znowu urwał. – Jak chcesz, żebym mówił do ciebie Porter, to będę mówił do ciebie Porter. Spróbuję nawet wypowiedzieć ten skręcający język zestaw spółgłosek, z jakim się urodziłaś: Padrewski, Portrotsky. Ale chol... – kolejne zgrabne ugryzienie się w język – chodzi o to, że to po prostu taki sposób zwracania się, Nancy. To znaczy Potter. To znaczy Porterchinski.

– Potrzuski. W porządku, sierżancie. Ja też mam dla pana specjalne imię.

– Tak? Jakie?

– Żyleg.

– Jak znalazłaś takie inicjały w Harold Lenhardt?

– To nie są inicjały od Harold Lenhardt. – Nancy uśmiechnęła się szeroko. – To od Żywa Legenda. Bo tak każdy pana określa, gdy mówię, z kim pracuję. Moi wujkowie, Andy, wszyscy przypominają mi co najmniej raz w tygodniu, że mój sierżant to najprawdziwsza cholerna żywa legenda.

Pomyślała, że go to rozbawi, ale Lenhardt pokręcił głową.

– Nie ma żywych legend, Nancy. Są tylko martwe.

Tego wieczoru rozwiązali sprawę morderstwa w New York Fried Chicken.

Przez dwanaście godzin przesłuchiwali czterech różnych nastolatków, a gdy dzień się skończył, postawili zarzuty całej czwórce – trzem morderstwa, jednemu łżejszy, w związku z układem, na jaki poszedł z policją. Nancy miała wrażenie, że właśnie on jest najpaskudniejszy z całej czwórki, ale czy nie tak właśnie zawsze się dzieje? Ci najgorsi zawsze pierwsi kruszeją.

Lenhardt źle zrozumiał jej ponury wyraz twarzy, bo powiedział:

– Będziesz dobrą śledczą.

„Dobrą tak, ale nie znakomitą” – pomyślała Nancy i sama zdziwiła się tym defensywnym nastawieniem. Od czterech dni nikt jej nie krytykował ani w żaden sposób nie sugerował, że nie nadaje się do tej pracy. Nawet chwalono ją za niektóre rzeczy. A jednak czuła się głupia, wystawiona na ciosy. Byle dzieciak ją przejrzał. Jakiś zabójca, który kontrolował impulsy z takim trudem, jak mysz na ritalinie, zdołał wyprowadzić ją z równowagi.

Zapisała jej nokia. Andy napisał na dobranoc:

„Miałem długi dzień. Idę spać”.

Nawet jego esemes wydawał się pełen złości. Nancy odpisała pod stołem:

„Rób, jak chcesz”.

Potem chciała to jakoś cofnąć, ale już nie mogła.

Byli ze sobą od liceum, lecz dopiero ostatnio zaczęli sobie dogryzać. Matka mówiła, że to przejdzie, a miała za sobą doświadczenie trzydziestu pięciu lat małżeństwa. Ale co ona mogła wiedzieć o dwudziestoczterogodzinnych dniach pracy, po których czujesz się jednocześnie zwycięska i pokonana? Po takim dniu nie da się iść prosto do domu. Jeśli ktokolwiek mógł to zrozumieć, to właśnie Andy, który też służył w policji, a teraz pracował dla federalnych i jednocześnie studiował wieczorowo prawo.

– Mam wrażenie, że wiemy, co się stało, ale nie wiemy dlaczego – powiedziała Nancy. – Całe zdarzenie uznano po prostu za napad z bronią.

– „Dlaczego” to już nie nasz problem – odparł Lenhardt. – Lepiej o tym zapomnij.

Nie potrafiła.

Zgodnie z tym, co mówił ten dzieciak z baru, mieli założyć maski, wsadzić menadżera i jego pomocnika do chłodni, żeby zmylić detektywów. Pistolet miał być tylko na postrach, żeby dostali pieniądze.

Chłopak niemal czuł wdzięczność, że go znaleźli. Od razu wsypał swoich trzech kumpli, którzy byli dawnymi pracownikami New York Fried Chicken. Obiecano mu za to łżejszy zarzut – o nieumyślne spowodowanie śmierci, ale zdaniem Nancy jego główną zbrodnię stanowiła głupota. Jak mógł uwierzyć, że gdy otworzy drzwi knajpy z kurczakami przy trasie numer 40 i wpuści trzech niezamaskowanych facetów z pistoletami, to zadowolą się wzięciem pieniędzy i sobie pójda, machając czapkami na pożegnanie. „Machając czapkami” to był

oczywiście kolejny lenhardtyzm.

– „Hej ho! Miłego dnia! Dziękuję za te dziesiątki i dwudziestki, mogę sobie wziąć na wynos kurczaka z panierką z pieprzem cajun?” To nie Cary Grant na Riwierze, Nancy. Gdyby tak było, rabunek by się udał. Ludzie nie zabijają ludzi tylko od czasu do czasu, inaczej bylibyśmy bez pracy.

– Tak, wiem – odparła. Podejrzewała, że Lenhardt chciałby już dać spokój i mieć ten dzień za sobą, ale ona tak nie potrafiła. Musiała się dowiedzieć. Tak łatwo było ich złapać, tak trudno złamać. Ich bezczelność zapierała dech w piersiach. Polski dziadek Nancy uciekł z Europy, mając na grzbiecie tylko koszulę, przeżył zatonięcie oceanicznego liniowca i odmówił przyjęcia wciskanych mu łatwych nazwisk, kiedy w 1916 roku przybył do portu w Baltimore. Józef Potrzuski zawsze chodził z nożem, a potem z pistoletem, strzegąc swojej ulicy jak szeryf na Dzikim Zachodzie. Ale nawet jego przeraziłaby ta trójka.

– Im chodziło o to, żeby zabić – powiedział sierżant – bardziej niż o pieniądze, których starczyłoby może na czterdzieści osiem godzin, i to gdyby jakiś doradca finansowy z Merrill Lynch pomógł im je zainwestować. Oni nie zabili nikogo przy okazji napadu. Oni zrobili napad, żeby móc kogoś zabić.

– Ale dlaczego przynieśli pistolet – zastanowiła się Nancy – a użyli jednego z kuchennych noży?

Lenhardt zakrył oczy dłońmi i potarł je tak gwałtownie, jak ruda barmanka przekręciła zwieńczoną limonką szklankę z margaritą dla Nancy, kiedy policjantka poprosiła ją o dodatkową sól.

– Nie wiem, panno Nancy. Po prostu nie wiem. Znalazłaś łuskę na parkingu. Może dzieciak z pistoletem wystrzelił i przestraszył się hukem? Może spudłował, a ofiara machała tym nożem, oczywiście zakładając, że powiedzieli nam prawdę. Biedny skurczybyk zginął, broniąc honoru New York Fried Chicken.

– No dobra, oni chcieli kogoś zabić. Ale dlaczego zabili chłopaka, którego tak łatwo można było z nimi powiązać?

– Oni nie myśleli w ten sposób, Nancy. Oni nie mają pojęcia o standardowym prawdopodobieństwie.

– A serio?

– Może zabili go dlatego, że był kiedyś ich szefem. Kazał im czyścić frytownicę, wyrzucać serwetki i sprawdzać, czy stoliki są powycierane. Zmuszał ich do noszenia siatek na włosach. Zabili go... – Lenhardt zawiesił głos; wiedział, jak sprawić, by słuchano każdego jego słowa – bo on się starał, bo uważał, że to ważne, aby w New York Fried Chicken przy trasie czterdziestej były czyste łazienki, świeży olej i niska absencja pracowników. Prawdziwy Wyznawca Fast Foodów spotkał się z Klubem Egzystencjalistów z West Side i egzystencjaliści wygrali.

Sierżant przewrócił oczami.

– Rety, ja naprawdę coś takiego powiedziałem?

Infante roześmiał się i powtórzył słowo „egzystencjalista” z udawanym pijackim bełkotem, tak jakby było śmieszne, a może nawet trochę nieprzyzwoite.

– Jeszcze z siedem kilometrów na wschód i to nawet by nie była sprawa hrabstwa – powiedział już poważnie. – Uważam, że jurysdykcja powinna być uzależniona nie od miejsca popełnienia przestępstwa, ale od miejsca zamieszkania ofiary.

– Daj spokój. Gdybyśmy trzymali się tych reguł, jedyną rzeczą, jaką byśmy robili, byłoby łapanie wsiórow w Dundalk. Poza tym my reprezentujemy ofiary, pamiętasz? Pracujemy dla obywateli hrabstwa Baltimore.

Od kiedy przyszli do Wagner’s Tavern, humor Lenhardta to się polepszał, to pogarszał. Po początkowej zwwyżce nastroju – skutku skończenia roboty, zawsze siadały mu baterie. Nazywał to „hipoglikemią wydziału zabójstw”. Nancy przeżywała podobne wahania, chociaż w mniejszym stopniu. Dobrze było zakończyć sprawę, ale wszystko miało swoją cenę. Zauważyła, że słucha zeznań tak, jakby oglądała film sensacyjny i chciała namówić aktorów, żeby robili rzeczy, które pozwolą wszystko odkręcić. „Nie otwieraj tamtych drzwi. Nie ufaj temu mężczyźnie. Nie odbieraj tego telefonu”.

– Rozchmurz się, sierzancie – rzucił Infante. – Wygraliśmy tę rundę.

– Campbell umarł w zeszłym tygodniu – oznajmił Lenhardt.

– Campbell? – spytała Nancy, a Kevin ze zrozumieniem pokiwał głową.

– H. Grayson Campbell trzeci, a może czwarty. Zmarł w domu opieki. Gdy ostatnim razem z nim rozmawiałem, myślał, że jestem jego pasierbem. Już nie panował nad jelitami, pęcherzem, mózgiem, patrzył śmierci w twarz i nie powiedział mi, gdzie jest tamta kobieta.

– Powinnam znać tego Campbella? – drażyła Nancy. Nazwisko wydawało jej się znajome. Może widziała jakieś akta na biurku Lenhardta. Sierżant często wyciągał stare akta. Nigdy nie przestawał się uczyć i nigdy nie odpuszczał. A ona nigdy nie przestawała go obserwować.

– To był bogaty facet, który miał w zwyczaju obijać żonę ścianą, nawet jak się rozstali. Pewnej nocy ona już się od ściany nie odbiła.

– Tylko go o to podejrzewasz – zauważył Infante, udając afektowany głos prawnika.

– Tak, podejrzewam. Ja i jej dzieciaki z pierwszego małżeństwa. Cała jej rodzina. Wszyscy rzucają podejrzenia na biednego, niewinnego obywatela tylko dlatego, że byłej żonie zdarzyło się pójść do niego porozmawiać o jej rachunku za Visę i od tej pory już nigdy jej nie widziano, ani żywej, ani martwej. Teraz, kiedy ten skurwysyn nie żyje, mogę powiedzieć to głośno, powiedzieć to całemu światu, ale i tak nic z tego nie będzie. Drań opuścił ten padół, nie mówiąc mi, gdzie ją zostawił.

– Jak myślisz, gdzie ukrył ciało? – zapytała Nancy.

– Nie wiem. Gdzie faceci z hrabstwa chodzą wyrzucać zwłoki? Gdyby był z miasta, wskazałbym na Leakin Park. Ale on nie był z miasta, a ja nawet po dziesięciu latach tutaj wciąż nie wiem, gdzie faceci z hrabstwa ukrywają zwłoki. Za duży teren.

Nancy spojrzała na zestaw smażonych warzyw na swoim talerzu: pieczarki, cukinię, paprykę. Musi wrócić na dietę. Nie próbowała jej się trzymać w trakcie rozwiązywania sprawy, co oznaczało żywienie się fast foodami. Liczyła kalorie i węglowodany, zastanawiała się nad kupnem stacjonarnego rowerka. Myślała o wszystkim i o niczym, byle nie dopuścić do siebie wspomnień napływających, ilekroć ktoś powiedział: „Leakin Park”.

Lenhardt spojrzał na swoje kolana i Porter zorientowała się, że ma wyłączony dźwięk w telefonie.

– Czas do żony – oznajmił ze śmiechem Kevin.

– Przynajmniej ja i Nancy wciąż jesteśmy ze swoimi pierwszymi współmałżonkami – odparował sierżant.

Wstał i poszedł zadzwonić, zostawiając Nancy i Kevina samych. Zapadła niezręczna cisza. Chociaż spędzali ze sobą mnóstwo czasu, nie utrzymywali bliższych kontaktów towarzyskich.

– Miałem kiedyś podobną sprawę – zagaił Infante. – Myślałem, że facet wsadził żonę do maszyny w tartaku. Facet był naprawdę niezłym ogrodnikiem. Nigdy nie widziałem tyle kompostu, wszystko było nawiezione kompostem.

– To śmieszne – stwierdziła Nancy z ożywieniem.

– Co?

– Gdyby to był rozdrabniacz do drewna, to mógłbyś poszukać tam krwi. Nie da się kogoś zmielić, nie zostawiając żadnych śladów, a już na pewno nie da się wyczyścić rozdrabniacza ze wszystkich śladów.

Infante spojrzał na nią, jakby chciał powiedzieć: „A myślisz, że co ja, kurwa, zrobiłem?”.

Nancy nie mogła mu zarzucić, że czegoś nie dopatrywał. Ale czepianie się Kevina było odpłatą za to, co się stało, gdy ostatni z tamtej czwórki miał zostać zakuty w kajdanki i odprowadzony do aresztu.

Właśnie on złapał nóż i raz za razem wbijał go w ofiarę. Niski i szczupły, ważył mniej niż Nancy. Ale było coś przerażającego w jego budowie, wyglądał, jakby większego chłopaka gotowano tak długo, aż została z niego skondensowana cząstka wściekłości i żółci.

Wkurzył Lenhardta, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy. A niebezpiecznie było nie wiedzieć, kiedy Lenhardt jest wkurzony.

– Mamy cię, wiesz? – oznajmił sierżant mikrusowi, gdy ten już się podpisał w miejscu oznaczonym kropkowaną linią. – Wydali cię twoi kumple. Swoją drogą,

sporo powiedzieli. Twoi kumple, twoi ziomale, twoi konfederaci.

„Konfederaci” – kolejny lenhardtyzm. Sierżant zawsze tak mówił o współnikach przestępców. Konfederata – Konfederacja – wojna secesyjna – niewolnictwo. Według młodych czarnych mężczyzn z Baltimore zło wyrządzone ich przodkom teraz im samym przynosiło jedynie wstyd. Bycie niewolnikiem oznaczało bycie słabym. Bycie potomkiem niewolnika stanowiło coś równie złego. Ale tylko Lenhardt mógł to połączyć w taki ciąg.

Przez ułamek sekundy mikrus wyglądał na zaskoczonego, a potem jego twarz znowu straciła wyraz. Porter domyśliła się później, że reagował tak samo jak w restauracji z kurczakami. Wtedy zaskoczyła go odwaga dawnego szefa – i za to go ukarał. Ścigał chłopaka z kuchni na parking, coraz bardziej zdesperowany, zmartwiony nie tym, że zostanie złapany, ale że zhańbi go odwaga tego drugiego. Zabił, żeby pokazać innym cenę tej odwagi.

A teraz rzucił się ku Nancy, łapiąc ją za tyłek.

– Fajny – powiedział. – Jak na białą dziewczynę.

Lenhardt walnął go w brzuch tak mocno, że dzieciak zgiął się wpół i opadł na kolana. Sierżant uśmiechnął się do Nancy nad skulonym chłopakiem, zadowolony, że miał okazję coś takiego zrobić, i zachęcił ją gestem, aby też go kopnęła albo uderzyła, jeśli ma ochotę. Kiedy po prostu przeszła obok, rzucił jej zdziwione spojrzenie i sam zaczął bić gówniarza, wymierzając karę, jaką uważał za stosowną. Dzieciak musiał dostać za swoje, bo dotknął gliniarza.

Nancy nie mogła przestać myśleć, że zawiodła, że lepszy glina nie dałby się tak łatwo złapać. Ale Lenhardt przymknął oko na ten błąd, bo bardzo się ucieszył, że mógł walnąć tego dzieciaka przed końcem pracy.

– Rozdrabniacz drewna... – zaczęła znowu i uświadomiła sobie, że chce wyładować na Kevinie złość, jaką miała do tego dzieciaka. Życie jest po prostu grą w przekazywanie emocji: jeden zły nastrój przechodzi z osoby na osobę. Zanim zdołała zakończyć zdanie, jej nokia zapiszczała, a na wyświetlaczu pojawiła się wiadomość.

„Jestem w domu”.

Znowu ta Powracająca do Domu Królowa z liceum w Kenwood. Dlaczego po prostu nie założy sobie własnego kanału publicznego dostępu w kablówce hrabstwa Baltimore, żeby móc utrzymywać kontakt z przyjaciółmi dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu?

– Twój ślubny? – zapytał Infante.

– Nie sądzę – odparła. – Jest na mnie wkurzony. Poza tym przecież już wiem, gdzie on jest.

Wiadomość wciąż jaśniała jej przed oczyma. Czy była dla niej? Na pewno nie... Nie powiązałyby tego wszystkiego ze sobą, gdyby nie Lenhardt i fragment dzisiejszej rozmowy.

„Gdyby był z miasta, wskazałbym na Leakin Park”.

Leakin Park. Potrafiła drgnąć niespokojnie nawet na dźwięk podobnych słów. „Lincoln” albo „leaking”. Leakin Park. Słyszając tę nazwę, zawsze wracała myślami do małej szopy w lesie i sylwetki jej kolegi z akademii, Cyrusa Hickory’ego, stojącego w drzwiach. Kazał jej zostać, ale Nancy musiała udowodnić, że potrafi zrobić wszystko, co on zrobi. Dlatego przeszła przez strumyk i wspięła się do zrujnowanej szopy...

Przez ostatnich siedem lat Nancy nauczyła się, że może wybierać, że ma prawo nie przekraczać progu, jeśli nie czuje się na siłach oglądać tego, co jest po drugiej stronie. Dlatego dzisiaj zrobiła to, czego nie zrobiła wtedy. Wycofała się, odeszła od małego domku wśród drzew, zawróciła przez strumyk na wzgórze, a dłonie w rękawiczkach na szczęście miała puste.

Lenhardt wrócił do stolika, rzucił pieniądze na blat i zostawił rachunki, które Nancy i Infante starali się zsumować.

– Jestem już jedynie o drinka od rozwodu – oznajmił. – Marcia jest wprawdzie bardziej pobłażliwa od policji, ale tylko trochę. Nancy, ty też powinnaś już wracać do domu.

– A co ze mną? – zapytał Infante.

– Nawet sama doktor Joyce Brothers nie uratowałaby twoich związków.

– Racja – przyznał detektyw, myśląc o sznurze pań Infante, które pojawiały się i znikwały w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Wstał i ruszył do baru. Barmanka lekko utykała, ale była ruda i ładna w ten prosty, szczerzy sposób, w jaki są ładne barmanki z prowincji.

Lenhardt rzucił do Nancy:

– A myślałaś kiedyś o dziecku?

– O dziecku?

On wie. Cały czas wiedział i nigdy nie zapytał. Oczywiście, że wiedział. Gliniarze plotkują jak polskie babcie. Wiesz o tej Porter? Siostrzenicy Kolchaka? Szkoda jej, ale sama jest sobie winna. Powinna być mądrzejsza.

– O tym, żeby mieć dziecko.

– Aha. – Poczowała taką ulgę, że nawet nie wkurzyła się na Lenhardta, że pyta ją o tak prywatne sprawy. – Chyba każdy czasem o tym myśli. Ale Andy musi skończyć studia, a ja zostać w wydziale zabójstw.

– Dzieci są ważniejsze od tego wszystkiego.

– Taa, na pewno. Ile masz dzieciaków?

– Trójkę. Z tego, co wiem. – Wybałuszył oczy i otworzył szeroko usta, ale był zbyt zmęczony, by zaśmiać się z własnego dowcipu. – Bądź dobra – powiedział niespodziewanie i poszedł.

Bądź dobra? O co mu chodziło? Wzięła sobie jednak do serca tę radę. Pojechała prosto do domu, obudziła męża i kochała się z nim, co uznał za

przeprosiny, chociaż nie sądziła, by miała za co przepraszać. Życie trwa zbyt krótko, by kłócić się z człowiekiem, który znał ją najlepiej, kochał ją przed tym, po tym i przysięgał, że będzie ją kochać zawsze.

Andy wkrótce zapadł w sen, ale Nancy nie mogła zasnąć. Wpatrywała się w sufit, dodając siedem do jedenastu, a potem odejmując.

Nadawca tej wiadomości z pewnością pomylił numer.

Czwartek, 16 kwietnia

8

Pierwsze dziecko zaginęło w aptecce Rite Aid, nieopodal centrum handlowego Ingleside. Dziewczynka była przypięta do wózka w alejce numer 11 – dział: dziecięcy, pielęgnacji stóp i higieny kobiecej – kiedy jej matka Mary Jo Herndon przypomniała sobie o nowym żelu do włosów, którego reklamę widziała rano. Ponoć rozprostowuje włosy i jednocześnie dodaje im blasku. Oczami wyobraźni zobaczyła, jak podrzuca proste, błyszczące włosy, śmiejąc się podczas rozmowy z jakimś mężczyzną. Może z Bobbym, a może nie. Aktualny facet był mniej ważny od lśniącej kurtyny włosów płynących w powietrzu niczym w reklamach: ciepłych jak promienie słońca, opadających na ramiona.

Dział pielęgnacji włosów znajdował się tylko jedną alejkę dalej, ale między Mary Jo a końcem alejki stała jakaś tłusta baba, która przyglądała się produktom Dr. Scholl's, a wózek trzymała pod takim kątem, że nikt nie dałby rady przejechać. Mary Jo nie chciała jej prosić, żeby się przesunęła, bo wyczuwała w ogromnym babsztyle jakąś agresję. Lepiej zostawić wózek, obejść ją i pobiec do alejki z artykułami do pielęgnacji włosów. Zresztą Mary Jo chciała tylko wziąć ten żel i potem od razu ruszyć do kasy. Zakupy i tak już wymknęły się spod kontroli. Mary Jo przyszła po papier toaletowy i węgiel drzewny, a miała prawie pełny wózek.

W Rite Aid nie było żelu tej marki, którą pamiętała z reklamy, znalazła jednak mnóstwo podobnych specyfików, więc przystanęła, żeby się zastanowić, który wybrać. Zobaczyła cały rząd produktów w lśniących lawendowych butelkach. Nazywano to „systemem”, co sugerowało, że trzeba kupić albo wszystkie preparaty, albo żaden. W głębi duszy wiedziała, że to sztuczka – nie trzeba kupować całego zestawu tylko po to, żeby jeden żel podziałał.

Z drugiej strony wierzyła w magię drogiego zakupu. Produkt wcale nie musi być lepszy, ale decyzja zapłacenia wyższej sumy jest wyrazem przekonania, że zasłużyło się na luksus, a takie nastawienie może doprowadzić do tego luksusu. Czyż nie zasłużyła na coś najlepszego, a przynajmniej lepszego? Właśnie tak wszyscy jej mówili: zasługujesz na więcej. Oczywiście mieli na myśli Bobby'ego i jej sytuację materialną, ale na świecie nie istnieje żaden produkt zdolny zmienić Bobby'ego. Wzięła jedną butelkę z lawendowego zestawu i ruszyła z powrotem do alejki numer 11.

Alejka okazała się pusta. Nie było Jordan, wózka ani tłustej kobiety oglądającej produkty Dr. Scholl's. „Pewnie pomyliłam drogę – pomyślała Mary Jo – skręciłam w prawo zamiast w lewo. Żaden problem”. Zawróciła, kierując się do alejki numer 9.

Ona też była pusta.

W pierwszej pustej alejce Mary Jo zdenerwowała się, ale było to zdenerwowanie trzymane w ryzach, ponieważ uznała, że skręciła w złym kierunku, a Jordan czeka na nią tuż za rogiem. Poczła się jak podczas długiego, powolnego wspinania się kolejki górskiej w lunaparku – trochę przestraszona, ale świadoma, że to wspinanie stanowi jedynie element suspensu.

Kiedy dotarła do drugiej alejki, nie wiedziała już, co się dzieje ani jak się skończy – wszystkie założenia okazały się błędne, wszystkie obietnice bez pokrycia. Zaczęła biec długim, ukośnym korytarzem, dzielącym sklep na dwie połowy, wołając Jordan i próbując wyobrazić sobie najgorsze. Jakieś dziecko krzyknęło głośno i Mary Jo popędziła w tamtą stronę, pełna ulgi i wdzięczności. Jednak dziecko w alejce numer 3 okazało się chłopcem z czerwonym śladem na twarzy w miejscu, gdzie właśnie uderzyła go matka, wpatrująca się teraz w Mary Jo i gotowa do obrony. Mary Jo zostawiła ją w spokoju, myśląc: „Jaka z ciebie szczęściara, że masz dziecko, które możesz bić”. Nie, to nie było w porządku. Przynęła Bogu, że już nigdy więcej nie uderzy Jordan, już nigdy nie podniesie na nią ręki, jeśli On po prostu ją odda. Zdarzało jej się bić córkę, chociaż wiedziała, że to coś złego. „Już nigdy więcej, nigdy więcej” – obiecywała sobie w myślach. „Słyszysz mnie, Boże?”

Kolejne obietnice padły, kiedy biegła tam i z powrotem przez alejki, co jakiś czas nawołując Jordan. Będzie lepszą matką, łagodną i miłą, nie będzie nawet krzyżeć. Będzie teraz miłsza dla siostry, chociaż Mimi miała zwyczaj się mądrzyć i ją pouczać, przez co Mary Jo czuła się winna, że Bobby okazał się tak niesolidny. Ale nieważne. Będzie teraz idealna pod każdym względem, niech tylko Jordan się znajdzie.

– Proszę pani. Proszę pani! – głos aptekarza był stanowczy. Kazał jej przestać krzyżeć i przestać biegać. Za kogo on się ma, żeby nie pozwalać jej krzyżeć, kiedy zaginęło jej dziecko? – Proszę pani, proszę pani, proszę...

– Szukam mojej córeczki, mojej Jordan. Ma trzy lata? Ma długie włosy tak jak ja, tylko bardziej kręcone i ciemniejsze?

Nie rozumiała, dlaczego wszystko, co mówi, brzmi jak pytanie, jakby chciała, żeby ten obcy człowiek potwierdzał jej słowa.

– Była ubrana... była ubrana...

O Boże, co ona miała na sobie? Sukienkę. Jordan przechodziła okres uporu, nalegała, żeby codziennie zakładać jej sukienkę. Zieloną? Niebieską? Donaszała jakąś sukienkę po trzech dziewczynkach Mimi, z kołnierzykiem albo haftami u góry. W samochodzie zdjęła pokrywkę swojego kubeczka, dlatego miała na przodzie ciemnoczerwoną plamę. Mary Jo krzyżała na córkę, bo Jordan otworzyła kubek jej na złość. Ale już nigdy tak nie robi, już nigdy. Plamę można wyczyścić, plama nie jest ważna.

– Proszę pani. – Aptekarz złapał Mary Jo za ramię i pociągnął korytarzem na

zaplecze. Tam stał jej wózek ze wszystkimi rzeczami: pastą do zębów, papierem toaletowym, chipsami, węglem drzewnym i dwoma ogrodowymi krzeselkami z plastiku, na wypadek gdyby dzisiaj gotowali na zewnątrz, gdyby Bobby wpadł na obiad. Tam też była Jordan: siedziała na krzeselku w swojej niebieskiej sukience. Teraz już pamiętała – sukienka jej córki była niebieska.

Jordan wyglądała na przestraszoną, a Mary Jo, która nie mogła zobaczyć własnej twarzy, nie wiedziała, że jej wyraz niewiele się różni od tego, jaki miała, kiedy w samochodzie spadła pokrywka z kubeczka. Wzięła małą na ręce i okryła pocałunkami; pytała, co się stało, chciała wiedzieć, kto zabrał wózek, ale nie dawała Jordan szansy na odpowiedź. Zaniósła się szlochom na myśl o wszystkich możliwych złych zakończeniach. Dopiero wtedy mała zaczęła płakać i gaworzyć. Ale słownik trzylatki nie pozwalał opowiedzieć, co się stało.

– Widział pan kogoś? – spytała aptekarza Mary Jo. – Kto przyprowadził tu mój wózek? Czy on tarasował przejście? Kto by coś takiego zrobił? Co to za sklep?

Oczami wyobraźni widziała, jak jakiś pracownik marketu przesunął wózek, bo zagradza mu alejkę. Pozwie ich do sądu, zrobi aferę. Bo jak można przesunąć wózek z małym dzieckiem na korytarzyk obok łazienek?

Aptekarz wzruszył ramionami. Wieczorem przy kolacji opowiedział żonie o wszystkim, zrzucając winę na Mary Jo. Jego dzieci były już dorosłe. Mógł się wymądrzać, bo wszystkie sytuacje w jego rodzinie, w których o mało co nie doszło do wypadku, dawno zostały zapomniane.

Jeśli chodzi o Mary Jo, nikomu nie powiedziała o zdarzeniu w aptece. Ani Mimi, która pewnie znalazłaby jakiś sposób, by zrzucić na nią winę, ani Bobby'emu, który trafił do domu długo po tym, jak Jordan poszła już spać, i w dodatku w fatalnym humorze. Przyniósł parę dolarów, ale gdy Mary Jo spytała, kiedy regularnie zacznie dostawać od niego pieniądze, skoro zaczął pracować, burknął, że rzuci robotę, jeśli ona spróbuje zabierać mu wypłaty, i że mężczyzna nie może odnieść sukcesu w pracy, jeżeli baba zawsze siedzi mu na karku. Odparła, że żaden byłby z niego mężczyzna, gdyby nie potrafił utrzymać córki.

Często się kłócili i prawie zawsze o pieniądze. Bobby wyszedł z domu, zostawiając ją ze zmywaniem. Zawsze starał się skończyć kolację przed rozpoczęciem kłótni. Mary Jo położyła się do łóżka sama. Nawet nie zauważył jej włosów, które umyła i wymodelowała nowym żelem. Gdyby skomentował jej fryzurę, może by mu opowiedziała, co się zdarzyło w Rite Aid. A może nie. Bobby mógłby to wykorzystać przeciwko niej.

Po dwóch miesiącach zaginęło następne dziecko.

Poniedziałek, 22 czerwca

Wreszcie zaczęło się lato. Zaczęło się kilka razy. Najpierw w połowie maja, kiedy zadziwiająco wcześnie nadeszły upały. Potem znowu w Dzień Pamięci Narodowej, gdy otwarto prywatne baseny, choć fala upałów minęła i nastaly zimne, brzydkie dni jak w kwietniu. Trzecim początkiem lata był ostatni dzień szkoły; następnym – pierwsze ogłoszenie Czerwonego Alarmu, nie ze względu na zagrożenie terrorem, ale z powodu gorącego powietrza, które przyczyniło się do powstania smogu tuż nad miastem. Zaczynało się w każdy piątek po południu, kiedy w miejscowych stacjach radiowych ogłaszano, że korki przy wjazdach na autostradę obok Bay Bridge mają już cztery, sześć, osiem kilometrów. Zaczęło się, gdy pojawiły się świetliki i nowe pokolenie dzieci sprawdzało, czy to prawda, że te stworzenia nie mogą latać, jeśli chodzi się z nimi, trzymając je na czubku palca.

W tym roku w Baltimore pojawił się nowy letni rytuał – znikanie dzieci, małych dziewczynek. Znikały z parków i sklepów, z podwórek i ganków. Ale nikt tego nie zauważał, bo dzieci pojawiały się znowu, zanim ktokolwiek zwrócił uwagę na ich nieobecność. Nawet same dzieciaki zdawały się nie dostrzegać, że przydarzyło im się coś niezwykłego. A nawet gdyby się zorientowały, i tak by nikomu nie powiedziały, bo były jeszcze brzdącami, zbyt małymi, by mówić, a co dopiero wymieniać spostrzeżenia.

Gdy więc wreszcie przyszło letnie zrównanie dnia z nocą, samo lato wydawało się już zużyte. Akurat wtedy Nancy włożyła swój najlepszy żakiet i poszła do sądu, chyba najbrzydszego budynku publicznego w całym hrabstwie Baltimore, co było zresztą niemalym wyróżnieniem. Zeznawała przed ławą przysięgłych, która potrzebowała nieco zachęty, aby zmierzyć się z oskarżeniem o morderstwo z premedytacją wobec trójki z czterech chłopców zamieszanych w zabójstwo w New York Fried Chicken. Czwartego miano sądzić za rabunek i nieumyślne spowodowanie śmierci, co stanowiło rezultat zawartego z nim układu. Wolał bycie świadkiem i ryzyko kary śmierci od pewnej kary śmierci, bo taki wyrok dostawał każdy, kto popełnił w hrabstwie Baltimore morderstwo z premedytacją.

Po rozprawie Nancy i Infante spotkali się z sierżantem we włoskiej knajpce przy Washington, należącej do sieci restauracji. Nancy bardzo lubiła to miejsce. Lenhardt zawsze nalegał, że zapłaci, bo hrabstwo mu potem zwróci, ale podejrzewała, że sierżant płaci za taki lunch z własnej kieszeni.

– Ona wystąpi o karę śmierci? – spytał Kevin Lenhardta, przy czym „ona” odnosiło się do prokurator okręgowej.

– Zawsze tak robi – odpowiedział sierżant, rozsmarowując na paluszku firmową tapenadę. Nancy udawała, że wystarcza jej mała domowa sałatka.

– To dobrze – stwierdził Infante.

– Matka ofiary może tego nie chcieć – wtrąciła Nancy. Przypomniała sobie tę kobietę. Kobietę, której wiarę życie wystawiło na próbę, ale nie zdołało osłabić.
– Ona jest chrześcijanką.

– No i co z tego? – odparł Kevin. – Czy my wszyscy nie jesteśmy?

– Chodzi mi o to, że taką prawdziwą. Bardzo wierzącą. A wiecie, że prokurator nie jest skłonny do występowania o karę śmierci, jeśli nie chcą tego krewni ofiary.

– Chrześcijanka? – Lenhardt udawał święte oburzenie. – Oko za oko to przecież najstarsza zasada Pisma Świętego.

– Myślę, że tu chodzi raczej o Nowy Testament: nadstaw drugi policzek, coś w tym stylu.

– Nowy Testament – rzekł sierżant, poruszając chlebowym paluszkiem – to jakiś nowy przepis na religię. Trzeba wyrzucić ten słodzik i wrócić do oryginalnej receptury.

Nancy tak głęboko wciągnęła powietrze, starając się nie roześmiać, że prawie połknęła koktajlowego pomidora z sałatki. Nie była bardziej religijna od przeciętnego niepraktykującego katolika, ale na takie tematy nie potrafiła żartować. Miewała nawet wyrzuty sumienia, że od lat nie chodzi na msze do kościoła Świętego Kazimierza.

– Niech ta nasza miła chrześcijanka przyjdzie na przesłuchanko, zobaczy kilka zdjęć z miejsca zbrodni, a będzie gotowa własnoręcznie wstrzyknąć tym gościom truciznę – ciągnął Lenhardt.

Infante pokiwał głową ze zrozumieniem. To był jeden z jego gestów, które wkurzały Nancy; takie kiwanie ze zrozumieniem, jak gdyby istniały rzeczy, które tylko on i Lenhardt potrafili zrozumieć.

Sierżant się rozkręcił, temat religii wyraźnie sprowokował go do głębszych wywodów.

– Zemsta należy do mnie, mówi Pan. A tak swoją drogą, to jest z Nowego Testamentu.

Nancy aż tak dobrze nie znała Biblii, jednak postanowiła podjąć dyskusję.

– Właśnie, do Niego. Do Boga, nie do nas. Czy Bóg nie mówi, że nie powinniśmy zajmować się zemstą?

– Nie. On mówi, że robimy to dla Niego, więc powinniśmy robić to dobrze – odparł Lenhardt, ale domyślił się, o co jej chodziło. Cała ich trójka – dwoje katolików i jeden luteranin (Nancy przypuszczała, że sierżant jest luteraninem) – nie miała kompetencji do bawienia się w teologów.

– Powiem wam, co ja wiem o zemście – rzucił Infante. Wymówił słowo „zemsta” tak, jakby chodziło w niej o powtarzanie, a nie reakcję. – Ona jest przyjemna. To dlatego Bóg chce jej dla siebie. Wie, ile jest z tego uciechy.

– Mam wrażenie, że naszły cię wspomnienia – zauważył sierżant. – Żona

numer jeden czy numer dwa?

– Numer dwa.

– A czy nie zdradzałeś numeru dwa? – spytała Nancy, dobrze wiedząc, że zdradzał.

– Tak, ale było mi z tym źle. Wiesz, to nie cudzołóstwo przyczynia się do zniszczenia małżeństwa, cudzołóstwo to tylko...

– Symptom – dokończyła Nancy, a Lenhardt zaśmiał się głośno, co sprawiło jej nielichą satysfakcję. Małżeńskie historie Kevina i towarzysząca im litania usprawiedliwień były im aż za dobrze znane.

– Odczepcie się – rzucił Infante, ale bez złości. To także stanowiło część litanii, początek małżeńskich opowieści. – Tak, zrobiłem błąd i ona mnie przyłapała, ale tak bardzo chciałem uratować nasz związek, że byłem gotów zrobić wszystko. Tyle że ona mnie już nie chciała. Chociaż chciała mojego domu i moich mebli. I wszystkich naszych pieniędzy. Nie żeby było ich dużo, ale jej prawnik radził, żeby wycisnęła ostatniego centa z naszych wspólnych kont. Jediną rzeczą, której ode mnie nie dostała, były moje klucze.

– Naprawdę? – Nancy ostatnio pracowała nad unoszeniem jednej brwi. Sądziła, że taki wyraz twarzy może się przydać w trakcie przesłuchań. Spróbowała unieść ją właśnie teraz. Spojrzała na swoje odbicie w metalowym chwytaku na serwetki; efekt był daleki od oczekiwanego, nawet biorąc pod uwagę zniekształcenie. Wyglądała głupio, jak bohater kreskówki, który usiłuje być groźny. – Taka wyrachowana i nie próbowała wydobyć od ciebie klucza albo zmienić zamków?

– Cóż – uśmiech Kevina kontrastował z pełnym poczucia winy skinięciem głową – może kiedyś dorobiłem sobie klucze, tak na wszelki wypadek, a ona o tym zapomniała. W każdym razie pewnej nocy, kiedy nie było jej w domu, pozwoliłem sobie tam wejść.

– Po co? – zapytał Lenhardt.

– Dla draki. Tak naprawdę nie wiedziałem, co zrobić, jak wejść. Była pierwsza w nocy.

– Czy to było przestępstwo popełnione pod wpływem alkoholu, panie Infante? – Sierżant wyciągnął notatnik i udawał, że coś zapisuje.

Kolejny uśmiech Kevina zdradził wszystko.

– No i byłem w moim dawnym salonie, i mogłem zobaczyć, jak ona teraz mieszka. Miałem taki obrazek z łódką, zwykły widoczek, ale naprawdę go lubiłem. Widzę, że nie ma go nad kominkiem, czyli gdzieś go zabrała. Sama go nie chciała, ale nie pozwoliła, żebym go zachował. Taka właśnie była. Wtedy patrzę, przychodzi kot i węszy mi przy kostkach, a ja zaczynam się zastanawiać, co ona kocha najbardziej na świecie...

– Tylko nie kot! – Nancy przypomniała sobie słynną baltimorską historię

o jakimś lobbyście, który wsadził kota byłej żony do mikrofalówki.

– Nie. Myślisz, że kim jestem? Ale patrzyłem na tego kota przy moich stopach i kiedy zobaczyłem swoje buty, przypomniałem sobie: Lorraine kocha buty. Znalazłem w piwnicy piłkę do metalu, moją piłkę, z mojej skrzynki z narzędziami, poszedłem na górę i odpiłowałem obcasy wszystkich prawych butów w schowku.

– Dlaczego prawe obcasy? – Ten szczegół zafascynował Nancy; to było spojrzenie w głąb Infante’a, może nawet w głąb wszystkich mężczyzn.

– Bo nie trzeba obcinać obu, żeby zniszczyć buty, prawda? Ona miała, zaraz, dziesięć, dwadzieścia par butów. Tak swoją drogą, połowa to były czarne szpilki. Kiedy skończyłem, zrobił się taki mały stosik... – gestykulował, nie potrafiąc nazwać tego, co stworzył.

– Niekompletnych par butów – odpowiedział Lenhardt.

– Tak. Po prostu zostawiłem je na środku dywanika.

– Nigdy nic o tym nie powiedziała? – spytał sierżant, który jako wytrawny gliniarz zwykł wydobywać fakty, kiedy podejrzany się rozgadał.

Nancy była zanadto zdumiona, aby cokolwiek skomentować.

– Nie – odparł Kevin. – Sprawdzalem też w dzielnicy, ale nie złożyła doniesienia. Czyli wiedziała, że to byłem ja.

Nancy w końcu pomyślała o pytaniu, jakie chciała zadać każdemu facetowi, ale rzadko miała do tego okazję.

– Dobrze się czujesz, siedząc na podłodze swojej starej sypialni i piłując buty byłej żony?

– Tak. I chociaż zaciąłem się w rękę, i tak cholernie mi się to podobało.

– Zostawiłeś ślady – stwierdził Lenhardt, już nie do końca żartując. – Przez coś takiego mogłeś sobie spieprzyć karierę.

– Nie. Miałem klucze, moje nazwisko wciąż było w akcie notarialnym. To ja kupiłem te cholerne buty, więc po prostu brałem swoją połowę.

– Zastanawiam się – powiedziała Nancy – co ona zrobiła z tymi wszystkimi butami, które jej zostały. Myślisz, że jest jakaś organizacja dobroczynna, która daje buty jednonogim kobietom? Może kiedyś zobaczysz kobietę idącą o kulach i w pantofelku z szafki twojej byłej żony na nodze?

– To będzie dzień, kiedy poproszę jednonogą kobietę do tańca. – Kevin się roześmiał.

Przyniesiono dania główne: dla mężczyzn makaron z sosem śmietanowym i penne arrabbiata dla Nancy. Zapisła się w internecie do serwisu dietetycznego, który pomagał kontrolować liczbę przyjmowanych dziennie kalorii. Była tam cała lista rzeczy, które można jeść w różnych rodzajach restauracji, no i pozwalano we włoskich knajpkach właśnie na penne arrabbiata. Z tęsknotą patrzyła, jak kelner ściera świeży parmezan na dania kolegów, ale sama odmówiła lekkim skinieniem

głowy.

– W tym zielonym czymś jest około miliona kalorii – oznajmiła z pewną żalnością w głosie, wskazując tapenadę.

Lenhardt i Infante, przyzwyczajeni do wysłuchiwanie podobnych uwag, zajęli się pałaszowaniem; ich podbródki znalazły się na tyle nisko, że owiewała je para z gorących półmisków.

– A ty, Nancy? – zapytał sierżant. – Zemściłaś się kiedyś na kims?

– Nie miałam powodu. Nikt mi nie wyrządził poważnej krzywdy.

– Naprawdę?

Przez chwilę myślała, że Lenhardt wie, że skłamała. Był przecież dobrym policjantem z wydziału zabójstw, a to oznaczało słuchanie wszystkiego, zapamiętywanie tajemnic i przechowywanie ich w pamięci z nadzieją, że się kiedyś przydadzą.

„Nie” – powiedziała sobie w myślach, starając się żuć jedzenie starannie, „delektując się”, tak jak radziła internetowa dieta. Przecenia sierżanta. On nie wie wszystkiego. Ta świadomość była nieco bluźniercza, ale miła. Czowała się trochę tak, jak wtedy, gdy dowiedziała się, że ksiądz na weselu jej kuzyna jest pijany. Nawet jej komputer nie wie, czy ona kłamie, kiedy pod koniec dnia starannie zapisuje, co zjadła. Bóg, i tylko On – nie mogła nic na to poradzić, wciąż myślała o Bogu jako o Nim, pisany wielką złoconą literą – zna prawdę. Wszyscy inni mogą się najwyżej domyślać.

Piątek, 26 czerwca

10

Dopiero z biblioteki publicznej w Catonsville ktoś wreszcie zadzwonił na policję. W bibliotece zawsze było gwaro, zwłaszcza w ostatni piątek czerwca, kiedy przed budynkiem dzieciaki sprzedawały cukierki, a przedstawiciele lokalnej społeczności zbierali podpisy pod petycją o tworzenie pasa zieleni wzdłuż Frederick Road. W środku głośno rozmawiano, zupełnie nie jak w bibliotece, o obchodach Dnia Niepodległości i czy będą fajerwerki po zeszłorocznym nieszczęśliwym wypadku (mały pożar i żadnych rannych, ale nadal zastanawiano się, czy miejscowemu oddziałowi Elks Lodge można ponownie powierzyć to zadanie).

Miriam Rosen, bywalczyni biblioteki od ponad trzydziestu lat, zawsze odczuwała przyływ nostalgii za przeszłością. Przemebrowana biblioteka była tak zatłoczona, tak przygnieciona wszystkim, czego dzisiaj oczekiwano od bibliotek – nie tylko książek i czasopism, ale i płyt kompaktowych, i DVD, i komputerów z dostępem do internetu – że bardziej przypominała jakiś pchli targ. „Nic dziwnego, że kawiarnie Starbucksa zrobiły się takie popularne” – pomyślała Miriam. „W Starbucksie przynajmniej jest gdzie usiąść”.

Zostawiła Saschę, Jake’a i Adrien w dziale dla dzieci, przypominając Saschy, żeby pilnowała Adrien, bo mała ma dopiero trzy latka. Dwunastoletnia Sascha przewróciła oczami, lecz na tym skończyły się jej nastoletnie kaprysy. Przyjaciele Miriam zazdrościli jej grzecznej, dobrze wychowanej córki, chociaż ona sama uważała, że Sascha jest zbyt bierna. Chciała, żeby jej dzieci były wojownikami, gotowymi podważać autorytety, nawet jej autorytet.

Ośmioletni Jake pozostawał tajemnicą: uparty, skryty, o uroku szachraja. Miriam miała wrażenie, że kiedy trochę podrośnie, w jego szufladzie na bieliznę znajdą się wszelkie rodzaje kontrabandy.

Była jeszcze Adrien, błogosławieństwo na starość, ulubiony błąd, prezent z Disney World, prawie jak w reklamie.

– Pojechaliście do Disney World z ośmiolatką i czterolatkiem i jeszcze mieliście czas na seks? – pytali zdziwieni przyjaciele.

Adrien była pupilką wszystkich. Cała rodzina Rosenów dostała bzika na jej punkcie, lecz mała nie dała się rozpieścić. Pochłaniała miłość tak, jak drzemiący kot pochłania blask słońca. Wystarczyło na nią spojrzeć, siedzącą jak Indianka u stóp Saschy, wertującą książkę z obrazkami i zadowoloną ze wszystkiego. Była posłuszna, ale nie potulna, słodka, ale nie mdła.

– Sascha?

– Co-o? – dziewczynka rozciągnęła to słowo do dwóch sylab.

– Pilnuj Adrien – powtórzyła Miriam. Ruszyła do działu z CD, żeby zobaczyć, jakie mają opery. Biblioteka publiczna miasta Baltimore była według niej zbyt nastawiona na pospolite gusta: gromadziła zbiory, kierując się tym, czego ludzie chcieli, a nie tym, czego powinni chcieć, więc miała niewielki wybór płyt z muzyką poważną. Ale Miriam nigdy nie narzekała, może dlatego, że gryzło ją trochę sumienie, bo wypożyczała CD, żeby je przegrać na domowy komputer, a potem, z pomocą Jake’a, na własne płyty. Nie było to coś bardzo złego, ale też nie było dobre. Jedno z wykroczeń popełnianych przez prawie wszystkich, tak jak przekraczanie dozwolonej prędkości czy zaniżanie podatku dochodowego.

Miriam chodziła już w ciąży z Adrien, kiedy zaczęła puszczać płyty z muzyką operową podczas podwożenia starszej dwójki. Miała nadzieję, że wraz z częstym słuchaniem przyjdzie też zamięłowanie. Kiedy rzuciła pierwszą pracę w ośrodku dla bezdomnych, próbowała słuchać taśm z kursem języka włoskiego, ale ciągle uciekała gdzieś myślami. Uznała, że muzyka wymaga mniejszej koncentracji, pozwala włączać i wyłączać uwagę. Będąc w ciąży, sama czuła się jak dziecko w łonie matki, gdy jechała swoim volvo, a głośniki stereo bombardowały Mozartem jej wydatny brzuch. Pragnęła, aby muzyka i słowa w obcym języku spłynęły na nią i ją obmyły.

Jednak na razie zauważała tylko, że sporo elementów opery wkroczyło do codziennego życia, a wiele obcych wyrażen stało się tak powszechnych, że już nie uważano ich za obce. Miriam rozpoznała melodię z *Carmen*, bo wpleciono ją w odcinek *Gilligan’s Island*, potrafiła też zanucić lament *Śmieję się, pajacu* z opery *Pajace*, tylko dlatego że gdy była mała, towarzyszył reklamie rice krispies. I jeszcze Adrien nucąca razem z *Madame Butterfly*, jej twarz rozjaśniająca się, kiedy w reklamie samochodów wykorzystano znajomy motyw z *Lakmé*.

Gdyby znowu mieć umysł dziecka, chłonny jak gąbka, łykać wiedzę tak łatwo, jak łyka się witaminy! Jake był właśnie na etapie, kiedy chciał wiedzieć wszystko, i wykorzystywał swoją wiedzę z niemal odpychającą agresją. Ciągle poprawiał Miriam, aż wreszcie ostro mu odpowiedziała. Sascha zaczęła potajemnie szukać różnych zakazanych informacji. I jak to u niej, równało się to egzemplarzowi *Poletka Pana Boga* pod łóżkiem. Naprawdę, Sascha jest w swoich próbach buntu niemal staroświecka.

Na szczęście Adrien wystarczało, że świat sam objawia jej swoje sekrety. Dziecięca ciekawość po raz trzeci byłaby nieco męcząca.

Miriam wybrała płyty – *Traviatę* i *Manon Lescaut* – a potem przejrzała nowe nabytki biblioteki i leżące na stoliku z rzeczami na sprzedaż zeszłoroczne bestsellery. W dziale dziecięcym Sascha, zatopiona w lekturze *Red Fairy Tales*, zapomniała o całym świecie. Czytając, gryzła kosmyk włosów. Miała taki nawyk. Miriam robiła identycznie. Gryzienie włosów, rozdzwajanie i tak już rozdwojonych końcówek – dlatego że jej wolno, że to jej włosy i może robić z nimi, co chce. No

i dlatego, że irytowało to matkę. Przez chwilę Miriam zobaczyła w Saschy uważnie wszystko obserwującą obcą dziewczynę, balansującą między dzieciństwem a dorosłością. Człowiek tak bardzo się spieszy, żeby dorosnąć, dopóki sobie nie uświadomi, że już nie ma innego wyboru. Wtedy chciałby wszystko spowolnić, wydłużyć dzieciństwo, wrócić do prostszych opowieści i łatwiejszych zabaw.

Dopiero po chwili zauważyła, że nigdzie nie widać Adrien.

– Sascho – rzuciła ostro, trochę zdenerwowana beztroską starszej córki – gdzie jest twoja siostra?

Sascha uniosła wzrok znad książki; potrzebowała dłuższej chwili, aby wydostać się ze świata wyobraźni.

– Adrien? Jest gdzieś obok. To znaczy była gdzieś tutaj... Może poszła z Jakiem?

Może dlatego, że to była biblioteka, a Miriam też lubiła baśnie, nie poczuła niczego poza zniecierpliwieniem.

Ale kiedy znalazła Jake'a samego przy jednym z komputerów – próbował przebić się przez założone tam filtry tylko po to, by sprawdzić, czy to w ogóle da się zrobić – pojawiły się pierwsze ukłucia lęku. Gdzie poszła ta mała? Trójka Rosenów rozdzieliła się, zagładając w każdy kąt. Adrien nie było w dziale z książkami dla dzieci ani w poczekalni, ani nie skuliła się w jakimś przytulnym kąciaku między regałami. Miriam zaczęły drżeć ręce, musiała zmobilizować całą siłę woli, aby zaraz nie zacząć na kogoś wrzeszczeć. Na Saschę i Jake'a za ich beztroskę. Na personel biblioteki za to, że prowadzi ją jak jakiś bazar, nie stara się, aby była spokojnym, pełnym powagi miejscem, gdzie czyta się książki. Na inne rodziny za to, że ważą się być w komplecie.

Bibliotekarka z działu dziecięcego, która dobrze знаła Rosenów, ogłosiła przez rzadko tu używany radiowęzeł: „Jeśli ktokolwiek zobaczy małą dziewczynkę z długimi kręconymi włosami, w zielonym podkoszulku i różowych spodenkach w kratkę, niech przyprowadzi ją do działu informacji”. Ale nawet wzmocniony głos ledwie słyszano wśród bibliotecznego zgiełku. Minęło dziesięć minut, piętnaście, dwadzieścia. Ręce Miriam trzęsły się coraz bardziej, nalegała, by zadzwonić na policję, chociaż personel zapewniał ją, że podobne rzeczy dzieją się ciągle i dzieci zawsze się odnajdują.

– Nie zawsze – sprostował jakiś starszy mężczyzna – w Kalifornii w zeszłym tygodniu... – Ale nikt nie chciał go słuchać.

Do przyjazdu policji musiało minąć trochę czasu. Funkcjonariusze jeszcze się nie pojawili, kiedy Jake wpadł na pomysł, żeby przeszukać suterенę, wykorzystywaną jako magazyn i miejsce comiesięcznych zebrań zarządu.

– Dzisiaj nic się tam nie dzieje – odparła bibliotekarka z działu dziecięcego. – A suterena jest zamknięta, gdy się jej nie używa.

Ale to było coś, co dało się zrobić, jakiś sposób, by iść do przodu, by uciszyć

żałobne głosy zawadzające w głowie Miriam, zapowiadające koniec takiego życia, jakie dotąd znała.

Rosenowie razem zeszli po schodach, matka w środku, trzymając dzieci za ręce. Gdy szli do sutereny, Miriam czuła, że zmieniają się wszystkie jej założenia dotyczące przyszłości. Jeszcze dwadzieścia minut temu zapytana, czego pragnie, odpowiedziałaby, że ma nadzieję, że jej dzieci nie sięgną po narkotyki, że pójdą do dobrych college'ów i zawrą szczęśliwe małżeństwa. Potrafiła wyobrazić sobie chorobę dziecka czy jakiś niegroźny wypadek, ale nie zaginięcie... Nie, nie chciała o tym myśleć. „Nie rób mi tego” – poinstruowała Boga w myślach. „Ani się waz”. Laickie życie, byle jakie żydowskie sedery, odmowa postu w Jom Kippur – teraz wszystko powróciło, aby ją dręczyć. Ale nawet na dnie rozpaczki nie potrafiła obiecać, że będzie kochać Boga bardziej, jeśli tylko zwróci jej córkę. Nie chciała składać przyrzeczeń, o których wiedziała, że zapomni ich dotrzymać.

– Mamo. – Jake miał głos pełen troski. – Ty coś mamroczesz.

Znaleźli się w niewielkiej sieni. Miriam położyła dłoń na podwójnych drzwiach, tak jak się robi w przypadku pożaru. Były chłodne. Pchnęła je, ale wydawały się zamknięte. Pchnęła mocniej i zastały zamek ustąpił, otwierając wejście do pustej sali konferencyjnej.

Adrien siedziała w kątku na podłodze. Na kolanach miała książkę z obrazkami, wokół niej leżały inne książki, rozrzucone w chaotycznym półkolu.

– Dziecinko! – Miriam podbiegła do dziewczynki z wyciągniętymi ramionami.

Adrien się skrzywiła.

– Nie dziecinko – poprawiła.

– Dlaczego jesteś na dole? Jak się tu znalazłaś? – Miriam tak mocno przytuliła córkę, że Adrien nie mogła nic powiedzieć, dopóki nie wyslizgnęła się z objęć.

– Pani kazała.

– Jaka pani? Pani bibliotekarka? – Miriam wskazała pracownice biblioteki, które podkradły się za nią schodami.

Adrien przyjrzała im się uważnie i potrząsnęła przecząco głową. Za sprawą długich kasztanowych loków i zielonych oczu przywykła do pełnych podziwu spojrzeń, ale jeszcze nigdy nie patrzyło na nią tylu ludzi. Wyraźnie jej się to spodobało.

– Poszła – oznajmiła, uzupełniając wypowiedź energicznym machnięciem pulchnej rączki. – Pani poszła.

Policja przyjechała, kiedy Rosenowie zbierali się do wyjścia. Miriam złożyła doniesienie tylko dlatego, że gdyby tego nie zrobiła, wyszłyby na histeryczkę, która uległa bezpodstawnym lękom. Zeznanie czyniło wszystko realnym. Powiedziała, że zostawiła Adrien pod opieką Saschy – nie po to, żeby zrzucić na nią winę, jak

tłumaczyła sobie samej, ale by powstał jakiś zapis wydarzeń, na wypadek gdyby coś podobnego miało się zdarzyć ponownie – i ktoś zabrał małą do sali w suterenie, prawdopodobnie jakaś stuknięta staruszka. Nie chciała, żeby jakaś inna matka doświadczyła lęku, jaki ona właśnie poznała. Pozostawało też pytanie, dlaczego sala była otwarta. Ta sprawa martwiła personel biblioteki nawet bardziej od zniknięcia Adrien.

– Nie korzystano z niej od wczorajszego spotkania zarządu – mówiła bibliotekarka z działu dziecięcego. – A członkowie nie powinni sobie pozwalać na taką bez troskę.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy – powiedziała Miriam, wcale nie wstydząc się używać tej utartej formuły. – Po prostu chcę złożyć zeznanie, na wypadek gdyby coś takiego zdarzyło się jeszcze kiedyś.

Młody policjant przez chwilę przyglądał się Adrien.

– Czy jej koszulka zawsze jest odwrócona na lewą stronę? – spytał.

Dopiero wtedy Miriam zauważyła szwy na ramionach koszulki z długim rękawem, którą Adrien koniecznie chciała włożyć mimo ciepłego dnia. Tak, trawiastozielone maszynowe szwy wyglądały jak małe blizny po operacji. Różowe kraciaste spodenki zostały jednak na właściwej stronie, a buciki nadal były zasnurowane w charakterystyczne dla Miriam królicze ucho. Patrząc na buty małej, Miriam cieszyła się, że wynalazła taki głupi sposób sznurowania. Jeśli Adrien nie zdjęto bucików, to nie zdjęto też spodenek. A jeśli nie zdjęto spodenek... Miriam nie chciała o tym nawet myśleć.

Ale pomyślała. A potem myślała o tym dniu jak o supełku na nitce, który zrobił się podczas haftowania. Igła przebiła muślin, lecz zatrzymał ją mocny węzeł, zaciśnięty jak pięść. Dopóki nie zostanie przepchnięty, tworząc pierwszy mały szew, nie powstanie wzór. I to był tylko supeł, początek ukryty po drugiej stronie materiału.

Sobota, 27 czerwca

11

– Mamo, gdzie jest dzidzius? – zapytała Alice przy śniadaniu. Przed nią na cukiernicze leżał „Beacon Light”, otwarty na dziale „Styl”, stronach z komiksami i horoskopem.

– Co? – Helen miała ostry głos, jak zwykle rano. – Jaki dzidzius? O czym ty mówisz?

– Ta głowa lalki, która zwykle leżała między kryształowymi solniczkami. Właśnie zauważyłam, że nie ma jej na półce. – Alice wskazała widelcem pełnym jajecznicy ścianę obok kuchennego okna, gdzie na malowanych półkach leżały rzeczy, które Helen zbierała przez lata, a potem przestawała zbierać: solniczki, stylowe pojemniki na sól i pieprz, szklanki w kolorze kobaltowego błękitu.

– Och! – Helen często dotykała swojej twarzy, włosów i szyi. Nie było to zwyczajne poklepywanie i pocieranie jak u większości ludzi, ale kusicielskie muśnięcia koniuszkami palców. Pociągnęła skórę na czole do góry, ku linii włosów, wygładzając zmierzwienia brwi. – Znudziła mi się. Była zbyt... afektowana. Jak ta stara suknia ślubna na ścianie. Pamiętasz? Suknia ślubna na jednej ścianie, czarna sukienka koktajlowa na drugiej.

Alice pamiętała. Jeszcze lepiej pamiętała buty, które matka przyczepiła pod sukienkami – białe i czarne szpilki. Białe przymocowała podeszwami w dół, jeden obok drugiego, sztywno i porządnie. Cienkie obcasy czarnych pantofli przyczepiła tak, że ich niewidzialna właścicielka wyglądała, jakby leżała z rozstawionymi szeroko nogami i rękami. Była też para długich czarnych rękawiczek, szeroko rozłożonych, jak u piosenkarki kończącej właśnie śpiewać. Helen mówiła, że to instalacja artystyczna zatytułowana *Madonna kontra dziwka, część I*. Alice, chociaż miała wtedy może siedem, osiem lat, rozumiała już, że część druga nigdy nie powstanie.

– Teraz, kiedy wszyscy robią takie rzeczy, nie ma z tym tyle zabawy – powiedziała Helen, ziewając. Spała do późna, jak zwykle w soboty i niedziele. Zeszła na dół dopiero koło południa w swoim żółtym jedwabnym szlafroku, który znalazła w sklepiku ze starociami Dreamland lata temu, kiedy ludzie nie bali się zapuszczać w te rejony Baltimore. – Nigdy nie idę ze stadem, sama wiesz.

Alice wiedziała, bo to była jedna z rzeczy, które matka ciągle o sobie mówiła, na różne sposoby. Zainteresowanie Helen Manning własną osobą wydawało się bezgraniczne. „Nie jestem rannym ptaszkiem” – potrafiła oznajmić, jakby zaskoczona takim spojrzeniem w głąb siebie. „Nigdy nie lubiłam słodkich ziemniaków”. „Ja po prostu nie potrafię nosić tego odcienia zieleni”. Ale przecież większość ludzi właśnie tak się zachowuje. Alice pomyślała, że jest jakaś dziwna,

bo nie uważa swoich dziwactw za coś ciekawego. Nie wiedziała nawet, czy w ogóle jakieś ma.

Ale brakowało jej tej główki lalki. Była czymś tak nieoczekiwanym między solniczkami Helen. Stara lalka z rzęsami i malutkimi usteczkami z otworem, w który można wetknąć butelkę. „Potem, zależnie od tego, jak trzymało się lalkę – wyjaśniała Helen córce i jej przyjaciółkom – woda wypływała z oczu albo z pupy”. Przez długi czas Alice sądziła, że główka należy do zabawek, które matka zachowała z własnego dzieciństwa. W domu widziała pełno jej starych zabawek. Ale główka okazała się kolejną zdobyczą z pchlego targu, kupioną, bo Helen uznała ją za ciekawą.

– Znalazłaś coś ciekawego? – zapytała, wskazując gazetę.

– Z mojego horoskopu wynika, że dzisiaj będą na mnie zwrócone oczy wszystkich. I że znajdę coś, co kiedyś straciłam.

Helen trąciła filiżankę i kawa chlusnęła na blat z formiki. Alice szybko wstała, sięgnęła po gąbkę do zlewu i wytarła kawę, zanim płyn dotarł do krawędzi gazety. Już jako dziecko uważała ten stół za obciachowy, chociaż Wendy twierdziła, że jej się podoba, i w ogóle całą kuchnię uważała za niesamowicie fajną.

– To jest jak Silver Diner – oznajmiła z uznaniem, oglądając staroświecką cukiernicę i cynowe plakietki reklamujące różne rodzaje lodów o zapomnianych już smakach, jak „niebiański mus” czy „święteczny pudding”. – Albo jak w TGI Friday’s.

Nie podobał jej się za to salon, tak samo zresztą jak Alice. Stały w nim pretensjonalne meble, niewygodne, jakieś odrzuty z domu dziadków. Ściany nudne, w kolorze teraz już nieco przybrudzonej bieli, mającej stanowić tło dla prawdziwych dzieł Helen, jak sama mówiła. Były nimi jaskrawe olejne malowidła, które przedstawiały zwierzęta zajmujące się pracami domowymi. Jakiś pies robił śniadanie, lis odkurzał, duża kaczka przewijała malutką kaczuszkę. Kiedy goście pytali o te obrazy, matka wyjaśniała, że to pomysły ilustracji do książki dla dzieci, których w końcu nigdy nie zrobiła. Alice cieszyła się, że ta książka nie powstała, bo malowidła ją przerażały. Trudno było wyjaśnić dlaczego. Może dlatego, że zwierzęta nie wyglądały na zadowolone ze swoich zajęć, nie miały też w sobie nic ludzkiego – nie nosiły żadnych ubrań, czapeczek. Lis na przykład powinien mieć fartuszek, taki z falbanami, a pies – kucharską czapkę.

– Ty nie rozumiesz – powiedziała Helen, gdy Alice próbowała jej tłumaczyć, dlaczego obrazy jej się nie podobają. – Nie chciałam ich upiększać. Gdybym ubrała je w coś, obrazy stałyby się zbyt miłe, zbyt bezpieczne.

A jednak Alice zauważyła, że mała kaczuszka nosiła pieluszkę. Ale nie powiedziała tego głośno, bo wiedziała, że matka zarzuciłaby jej zbytnią dosłowność. Na tę właśnie cechę córki najczęściej narzekała. Że jest zanadto

konkretna, zbyt przywiązana do liczb.

– Straszny z ciebie beton – stwierdziła kiedyś.

Alice wiedziała, co to mniej więcej oznacza, ale nie potrafiła przestać wyobrażać sobie siebie jako wielkiego kawału betonu, z głową kanciastą i twardą jak prostokąt przejścia dla pieszych.

– Jeśli chcesz poczytać gazetę – odezwała się matka, oglądając rękaw w poszukiwaniu plam po kawie – to możesz zerknąć na ogłoszenia. Jesteś w domu już dwa miesiące, a nadal nie masz pracy.

– Byłam w centrum handlowym Westview, szukając pracy.

– Jakiej pracy szukałaś w Westview?

– W sklepach z ubraniami.

– Taką trudno dostać.

„Trudno, jak się jest grubą” – pomyślała Alice.

– Nie rozumiem, dlaczego nie spróbujesz w fast foodach. Przy samej czterdziestce jest mnóstwo takich miejsc, a do większości z nich możesz dojść pieszo albo dojechać autobusem.

– Powiedziałam już, że szukam pracy.

– Ale w fast foodach zawsze przyjmują.

– Wolalabym nie pracować w fast foodzie, jeśli tylko zdołam znaleźć coś innego.

– Dlaczego?

Alice próbowała wymyślić powód, jaki matka mogłaby zaakceptować.

– Nie pochwalam tego, co oni robią.

– A co takiego robią?

– Niszczą lasy tropikalne.

– Być może. Ale człowiek musi pracować, dziecinko.

– Ty nawet nie jesz w takich miejscach.

– To prawda. – Helen położyła rękę na kościstym biodrze i je ścisnęła. – Ale ty tak. A skoro tam jesz, nie możesz odrzucać pracy w fast foodach ze względu na lasy tropikalne. Nic się nie stanie, jeśli będziesz pracować w MaDonalddie, dopóki nie znajdziesz czegoś lepszego.

– Ale kiedy będę mogła znaleźć coś lepszego, jeśli cały dzień będę smażyła frytki?

Helen milczała. Wycofała się w poranną ciszę, w swoje prywatne myśli. Na słowa Alice często reagowała z opóźnieniem. Czasem mijały długie minuty, zanim odpowiedziała na pytanie, o którym córka już nie pamiętała.

– Spotkałam w Giancie matkę Ronnie Fuller. Powiedziała, że Ronnie ma pracę.

Matka Ronnie Fuller. Alice próbowała sobie przypomnieć tę kobietę, ale ona tak rzadko bywała w domu. Znacznie lepiej pamiętała ojca i braci Ronnie. Zawsze

uważała, że Matthew, najmłodszy z nich, ją lubił. Trochę się z nią drażnił, ciągnął za warkocze i dawał kuksańce.

– Tak? Gdzie?

– W Bagel Barn.

– Nie chciałabym tam pracować.

– Nikt nie chce, żebyś tam pracowała. Ale tak się składa, że Bagel Barn jest zaraz obok Westview. Alice, co ty tak naprawdę robiłaś w Westview?

– Szukałam pracy.

– Powiedz mi, gdzie złożyłaś ofertę.

– W Safewayu.

– Safeway jest w Ingleside.

– Zaczęłam w Ingleside, a potem poszłam do Westview. To po drugiej stronie ulicy.

– W Safeway są związki, nie powinni ci nawet pozwolić na złożenie oferty.

– Wiem. Ja tylko pytałam. Pytałam, czy mogę złożyć ofertę, a oni odpowiedzieli, że nie, ale to się przecież liczy.

– Alice...

– Zrobiłam to. W CVS i w Rite Aid też. Nie mam doświadczenia i nikt nie szuka pracowników. Poza sklepami całodobowymi, ale mówiłaś, że mogą mnie tam dać na nocną zmianę.

– Alice! – Helen złapała córkę za przegub. Teraz nie było muskania koniuszkami palców, nie w takiej sytuacji.

– Ja nie robię nic... – to brzmiało jak obrona, więc uściśliła: – nie robię niczego, czego nie powinnam robić.

– Alice, dziecinko. Dziecinko, dziecinko, dziecinko.

Dawne czułe słowo teraz brzmiało śmiesznie, bo Alice była niemal tego samego wzrostu co matka i ważyła co najmniej dwadzieścia pięć kilo więcej od niej.

– Musisz żyć dalej, dziecinko.

– Wiem.

– Nie da się odwrócić tego, co się stało, dziecinko.

– Wiem.

– Przeszłość jest przeszłością, dziecinko.

– Wiem.

– Przepraszam, że w ogóle coś mówiłam. Ty mnie o coś pytasz, a ja odpowiadam, mówiąc ci całą prawdę. Może przez to jestem złą matką. Ale ty musisz zostawić wszystko za sobą.

– Wiem.

– Kocham cię, dziecinko.

– Wiem.

Alice zaczęła się czuć tak, jakby śpiewały piosenkę, coś w rodzaju starych rhythm'n'bluesowych utworów, które matka puszczała na stereo późno w nocy, siedząc w ciemnościach z kieliszkiem i papierosem. Ona miała nie wiedzieć o papierosie, ale wiedziała, bo muzyka zawsze ją budziła. Podkradała się na szczyt schodów i nasłuchiwała. Wiedziała, że palenie jest szkodliwe, naprawdę szkodliwe. Uczyli tego w szkole już od pierwszej klasy. Ale nie potrafiła mieć żalu o te papierosy palone w środku nocy, nawet gdy w końcu dowiedziała się, że Helen pali trawkę, coś znacznie gorszego od tytoniu. Zakonnice mówiły, że trzeba dzwonić na policję, jeśli rodzice zażywają jakieś narkotyki, albo powiedzieć o tym księdzu. Jednak Alice nie dała się na to nabrać.

– Ja naprawdę szukam pracy, może nie tak intensywnie, jakbym mogła, ale szukam. To po prostu moje pierwsze lato, pierwsze prawdziwe lato od tak dawna. Chcę się trochę pobawić.

Czuła się winna, że wzbudziła poczucie winy u matki. To było zbyt łatwe. Poza tym nie chciała umniejszać swojej siły, rozmieniać jej na drobne. Zawsze była oszczędna. Helen uważała ją za „chytrusa”, czyli dziecko, które chowa pieniądze dostawane na Boże Narodzenie albo urodziny, dopóki małe sumy nie zmieniają się w sumy średnie. Oszczędzała na rzeczy, które jej matka uznawała za śmieszne i których nigdy by nie kupiła, niezależnie od ceny.

– Wolalabym mieć jedną parę porządnych włoskich butów niż dwadzieścia par lichych, ale tak zwanych modnych – powiedziała kiedyś, choć tak naprawdę kupowała sobie i jedne, i drugie.

– Ale przecież ja urosłam – przypomniała wtedy Alice. – Moje stopy przestały rosnąć.

Potrzebowała pieniędzy na rzeczy, dzięki którym mogła być popularna. Bo właśnie tego pragnęła i powoli, ale z uporem, tworzyła nową siebie. Dziewczynkę, która wprawdzie mieszka w dziwnym domu z dziwną matką, ale jest na tyle fajna, by przyjaźnić się z kimś takim jak Wendy. Postawa Helen, która wręcz z niechęcią myślała o tym, czego nie mogłaby mieć, różniła się od podejścia do życia Alice. Matka wolala być małą gwiazdką w wielkiej konstelacji niż samotnym pomniejszym słońcem w jakimś podłym układzie solarnym. Tylko to Alice zapamiętała z licealnych lekcji astronomii w Middlebrook. Ich słońce jest średnie, pomniejsze.

Fatalnie się poczuła, myśląc w ten sposób o Helen, która wcale nie musiała wybrać losu samotnej matki i wydać jej na świat. Opowiedziała o tym Alice dokładnie: jak zakochała się w pewnym mężczyźnie, jak oboje bez pamięci zatonęli w różnych rzeczach, a potem Helen dowiedziała się, że jest w ciąży, on zaś zginął w wypadku samochodowym.

– Tak jak ojciec prezydenta – stwierdziła, odnosząc się do prezydenta, który urzędował, kiedy Alice odeszła. Jego ojciec też zmarł przed jego narodzinami. I też

był niebieskim ptakiem. O tym Helen już nie wspomniała, lecz Alice sama się domyśliła. Dobry ojciec nie ginie w wypadku samochodowym przed narodzinami dziecka. To się przytrafia wyłącznie ojcom, którzy robią coś, czego nie powinni.

– Mamo, wiesz, co piszą w twoim horoskopie? „Wodnik: czas spojrzeć na świat świeżymi oczami. Bądź przyjacielem, aby zdobyć przyjaźń. Dominują Panna i Ryby”.

– W tym dzisiejszym horoskopie jest coś za dużo o oczach.

– Wiesz, gdzie jest dzidzius?

– Co?

– Główka lalki. Może schowałaś ją w piwnicy albo na strychu?

– Ojej, nie wiem, dziecinko. Po co ci ten starość?

– Brakuje mi jej – rzuciła Alice. – Lubię, jak wszystko wciąż jest takie samo.

– Ale nie jest, dziecinko. Jedyne, co mogę ci zagwarantować, to że nic nigdy nie zostaje takie samo.

Tego dnia ostatnim klientem Bagel Barn okazała się stukaczka. Pochyliła się do przodu, tak że znalazła się oko w oko z drucianym koszykiem bajgli, i popukała w szkło palcem wskazującym jak małe dziecko, gdy robi plink-plink-plink, uderzając w pojedynczy klawisz pianina. Paznokcie miała ze zrobionym manikiurem – paznokcie stukaczek zwykle były po manikiurze – ale dosyć krótkie, pomalowane bezbarwnym lakierem. Ronnie zastanawiała się, po co płacić, żeby przypilowali ci prosto paznokcie.

– Dwa sezamowe... nie, trzy sezamowe i dwa z makiem. – Stuk, stuk, stuk. – Czy te ze słonecznikiem są dobre? Tak? Nie? Dobrze, cztery zwykle, dwa z pomidorami suszonymi na słońcu. – Stuk, stuk, stuk. – Ile płacę?

– Jedenaście – odpowiedziała Ronnie.

– Czy sprzedajecie trzynaście w cenie dwunastu?

– Nie, proszę pani.

– Wszyscy inni sprzedają.

Ronnie bezradnie wzruszyła ramionami. Clarice, szefowa sobotniej zmiany, uchwyciła jej spojrzenie i próbowała wymienić uśmiechy, ale Ronnie bała się robić cokolwiek związanego ze swoją twarzą. O'lene z kuchni, przepychając się, otarła się o nią biodrem. Ronnie lekko ją odepchnęła.

– To już koniec dnia – naciskała stukaczka. – Skończy się na tym, że będziecie je musieli wyrzucić.

– Ja nie mogę, proszę pani, przykro mi.

Kobieta nadal stukiała, zupełnie jakby stukanie stanowiło element jej procesu myślenia, jakby potrzebowała tego dźwięku, tego tik-tak wydawanego przez paznokcie, by pobudzić mózg do pracy.

Klienci przychodzący tuż przed zamknięciem byli czymś zwyczajnym w sobotnie popołudnia. W soboty ludzie zawsze wydawali się zaskoczeni tym, że o piętnastej lokal jest już zamknięty. W pozostałe dni nie było tego problemu, ale w sobotę zawsze przychodził ktoś w ostatniej chwili, najczęściej kobieta, spiesząca się i niezorganizowana.

Mimo to i mimo kiepskiej pensji oraz konieczności wczesnego wstawania Ronnie lubiła Bagel Barn. W dni powszednie, gdy kończył się poranny szczyt, stawało się miłym miejscem dla niewymagających samotników, którzy mieli mnóstwo czasu na to, aby siedzieć przy stygnącej kawie i gapić się przez okno. Obsługiwała kasę, za co płacono mniej niż za pracę przy przygotowywaniu jedzenia, ale tak wolała. Nie podobała jej się myśl o dotykaniu jedzenia innych ludzi, bo sama by nie chciała, żeby ktokolwiek dotykał jej posiłków. Czasem, zerkając przez ramię, widziała, jak Clarice opiera szerokie dłonie na tylnej krawędzi ząbkowanego noża do pieczywa i przeciska go przez obficie obłożony

bajgiel. Pomidory, soczyste o tej porze roku, tryskały po bokach, zostawiając czerwone smugi i małe nasionka na desce do krojenia. Ten widok sprawiał, że Ronnie robiło się nieswojo. Chodziło nie tyle o sok, ile o rękę Clarice przyciskającą bajgiel, wyduszające z niego życie. Kiedy Ronnie robiła się głodna, jadła któryś ze słodkich bajgli w całości jak ciastko.

Według niej najlepsze w tym wszystkim było właśnie ściśle określone menu. Bagel Barn było miejscem sprzedaży bajgli i nie próbowało się zmienić w nic innego. Po jedenastej można było dostać kanapki – albo kanafki, jak mówiła Clarice, której zdarzało się seplenić – ale je też robiono na bajglach. Podawano nawet pizzę z sosem pomidorowym i serem, również na bajglu.

Chociaż zawsze trafiali się klienci proszący o rzeczy, których nie mogli dostać: „Czy mogę to dostać na pieczywie pełnoziarnistym?”. Nie. „Czy macie bagietki?”. Nie. „Czy macie focaccia?”. Ronnie nawet nie wiedziała, co to jest. „Czy macie latte?”. „Nie, nie, nie” – odpowiadała uprzejmie, starając się ukrywać, jak bardzo lubi mówić to słowo. Nie rozumiała, skąd ludziom przychodzi do głowy, że mogą dostać coś, czego brak w menu. Menu to rodzaj prawa – tak uważała – więc ludzie powinni go przestrzegać. Tak jak ograniczeń prędkości albo nakazu sprzątnięcia po sobie. A jeśli są na coś uczuleni, to mogą sobie iść gdzie indziej. Menu powinno być... Zaraz, jak brzmiały te słowa? Te na fałszywych czekach, które przychodziły pocztą i pokazywały jej rodzicom, jakby to było, gdyby wygrali milion dolarów w totka. „Niepodlegające negocjacom” – tak to brzmiało.

– A czy ja się was o coś pytam?! – wrzeszczał ojciec Ronnie, kiedy jego dzieci twierdziły, że wołałyby zjeść wszystko, tylko nie posiłek, przed którym właśnie siedziały. – A czy ja się was o coś pytam!?

Ronnie oczywiście nie mogła nakrzyczeć na klienta. Właściciele, którzy wpadali czasem nieoczekiwanie, z miejsca by ją zwolnili, gdyby usłyszeli, że zachowuje się nieuprzejmie albo nie okazuje klientom stosownego szacunku. Miała jednak sojusznika w Clarice, która także nie lubiła osób oczekujących specjalnego traktowania. Zwłaszcza białych matek z przedmieść, które zatrzymywały się tu po drodze, którym zawsze się spieszyło i które zawsze żądały czegoś specjalnego. Zresztą Clarice w ogóle nie lubiła białych.

Zabawne, bo sama była bardziej biała niż czarna. Z jej skóry schodził kolor, zostawiając plamy brązu na bladej twarzy i szyi. Najwyraźniej cierpiała na tę chorobę, którą zawsze udawał Michael Jackson. Wyznała Ronnie, że nie lubi białych w ogóle, a czarnych nie lubi indywidualnie. Twierdziła, że każdy tak ma, więc to nie jest prawdziwe uprzedzenie. Tych, którzy są inni, nie lubi się jako grupy, a takich samych nie lubi się pojedynczo.

– Ale ja mówię tylko o drugiej stronie lady – wyjaśniała koleżance. – A zwłaszcza o kobietach. Mężczyźni są w porządku, przynajmniej ci tutaj. Pracowałam w Bagel Barn na North Side, niedaleko tych dużych kolydżów,

i wszyscy tam byli okropni. Soboty to było piekło.

W tym Bagel Barn soboty mijały leniwie. Ronnie doszła do wniosku, że w weekendy ludzie wolą jeździć do ładniejszych miejsc. I dobrze, bo dzięki temu Clarice pozwalała jej i O'lene, dziewczynie z kuchni, sprzątać nieco wcześniej, tak żeby mogły wyjść tuż po zamknięciu drzwi. Pozwalała im też brać do domu torebki z bajglami. Fullerowie nie przepadali za tym pieczywem, ale Ronnie i tak przynosiła do domu plastikowe torby z bajglami i wsadzała je do lodówki. Czuła się wtedy jak ojciec, który pod koniec tygodnia taszczył do domu kartony napojów gazowanych: niekompletne sześciopaki i zapomniane odmiany smaków, jak Mr. PiBB.

Ronnie właśnie zbierała dzisiejsze bajgle, żeby schować je do torby, kiedy stukaczka wpadła do sklepu przez główne wejście – a to zawsze stanowiło zły znak. W rękę ścisnęła kluczyki – kolejny zły omen. Ronnie, która pochylała się nad pojemnikami, żeby wybrać sobie bajgle, spojrzała porozumiewawczo na Clarice, a ta skinęła głową. Kobieta była bez wątpienia klientką oczekującą specjalnego traktowania i na pewno będzie się pieklić, że nie mają niektórych rodzajów bajgli – chociaż do zamknięcia zostało już tylko piętnaście minut. To była prawdziwa męka, pozwolić jej na wybranie dwóch tuzinów bułek. Gdy Ronnie w końcu chowała je do torby, stukaczka nagle wyprostowała się, jakby zaskoczona własnymi myślami.

– Nie mam czasu iść do spożywczego – oznajmiła. – Może tutaj dostanę trochę serka kremowego?

– Pasty do pieczywa są w chłodziarce przy przeciwległej ścianie – odparła Ronnie, niosąc dwie torby do kasy. – Samoobsługa.

Kobieta rozejrzała się, jakby miała problemy z odnalezieniem chłodziarki. Kiedy już ją zlokalizowała, pobiegła do niej, jakby cenna była każda chwila. Poprzesuwała znajdujące się w środku opakowania, niszcząc ład, dopiero co starannie wprowadzony przez Ronnie. Zrzuciła jedno czy dwa pudełka na podłogę, a potem wsadziła z powrotem do lodówki, lecz już w niewłaściwe miejsca.

– Ale ja potrzebuję tego... nojaksięnatomówi... tego specjalnego...

– Pasty łososiowej? – zgadywała Ronnie.

– Nie, nie, to nie to.

– Pomidorów suszonych na słońcu?

– Nie! – Kobieta coraz bardziej się niecierpliwiła, jakby Ronnie powinna wiedzieć, czego ona chce, choć sama o tym nie pamięta.

– Karczochy z parmezanem?

– Tak, właśnie tak. – Wróciła do lady, niosąc pastę w wersji zwykłej i dietetycznej. – Macie to?

– Spróbuję coś dla pani wyskrobać – zaproponowała Clarice słodkim jak miód głosem, rezerwowanym, jak wiedziała Ronnie, dla klientów, którzy ją

najbardziej wkurzali. – Może pani sprawdzi, czy jest jeszcze coś, czego pani potrzebuje, gdy ja będę robić kanapkę?

Clarice zważyła pastę karczochowo-parmezanową i podała cenę. Kobieta znowu zaczęła stukać, doszła bowiem do wniosku, że weźmie jeszcze tuzin bajgli. Kiedy Ronnie patrzyła na nią przez szkło, w legginsach i obcisłej bluzce wyglądała mniej więcej na trzydzieści lat. Z bliska było już inaczej. Twarz miała zaskakująco gładką, ale zmęczoną i obwisłą. Chudą szyję porały zmarszczki, a gdy wysunęła głowę do przodu, Ronnie zauważała siwe podstawy ciemnobrązowych włosów. Musiała mieć co najmniej czterdzieści pięć lat, może nawet pięćdziesiąt.

Zebrawszy wreszcie wszystko, co chciała kupić, kobieta zaczęła szukać portfela. Minęła całą wieczność, zanim znalazła go w wypchanej brezentowej torbie. Kiedy wreszcie jej się udało, okazało się, że w portfelu nie ma gotówki.

– O mój Boże! – jęknęła. – Zapomniałam, że wyszłam z domu bez grosza. Mogę wypisać czek?

Ronnie zerknęła na Clarice. W Bagel Barn z zasady nie akceptowano czeków, ale Clarice jako szefowa zmiany miała prawo zrobić wyjątek.

– Czy to duży problem? – spytała kobieta, kiedy Ronnie nie odpowiedziała od razu.

Czy to duży problem? Tak pytał każdy, kto oczekiwał specjalnego traktowania. Duży problem, chciała odpowiedzieć Ronnie, polega na tym, że reguły są regułami i trzeba ich przestrzegać, bo inaczej świat oszaleje, a wy razem z nim. Ona i jej terapeutka przepracowali to w Shechter.

– Czasem możesz złamać jakąś zasadę z ważnego powodu – mówił doktor. – Ale tym powodem nie może być: „bo ja tak uważam”. To właśnie nazywamy etyką. Ignorowanie reguł w sytuacjach, gdy ich przestrzeganie prowadzi do czyjejs krzywdy, jest etyczne. Wszystko inne jest jednak tylko wymówką, racjonalizacją.

– Czy ma pani kartę bankomatową? – zapytała Clarice. Kobieta pokiwała głową. – Tutaj jest bankomat, zaraz za panią. Może pani wypłacić pieniądze.

– Och, ale prowizja jest taka wysoka. Dwa dolary za każde dwadzieścia. To rozbój. Dla zasady wolę wypisać czek.

Ronnie popatrzyła na płócienną torbę kobiety ze skórzanymi rączkami, na pierścionki na jej palcach i tenisową bransoletkę na nadgarstku. Wiedziała, że Clarice wyłapała identyczne szczegóły. Ta kobieta nie odczułaby straty dwóch dolarów, ale należała do osób, które mogą złożyć skargę, wezwać właściciela i narobić kłopotów. Clarice nie zdążyła nawet się zastanowić, a stukaczka już niecierpliwym ruchem podsunęła portfel w stronę Ronnie, otwierając go szybko, żeby widać było jej prawo jazdy.

– Mam dowód tożsamości, widzi pani? Naprawdę nie spędzam sobotnich popołudni, wystawiając чеки bez pokrycia na dwadzieścia dolarów.

Na fotografii w prawie jazdy miała inną fryzurę. Ronnie знаła tę fryzurę.

A także nazwisko. Sandra Hess. Matka Maddy. Nawet adres był jej znany, bo chociaż nigdy nie była w domu Maddy, wiedziała, przy jakich ulicach mieszkały bogatsze dziewczynki ze Szkoły Świętego Wilhelma z Yorku. Matka Maddy. Powinna ją poznać po zmrużonych oczach i pełnym fałszu głosie.

– Ale z pani kłamczucha – oznajmiła, chociaż wcale nie chciała powiedzieć tego głośno.

– Co?! Co takiego?!

Clarice wzięła sprawy w swoje ręce.

– Oczywiście przyjmę od pani czek. Proszę go wystawić na Bagel Barn i wpisać na nim numer telefonu.

– A mogę go wypisać na trochę więcej? – spytała Sandra Hess, korzystając ze zdobytej przewagi. Pewnie wcale nie potrzebowała gotówki, ale chciała je zmusić, żeby potraktowały ją w specjalny sposób, bo kobiety w rodzaju matki Maddy tak właśnie robią. Clarice przytaknęła, a Sandra Hess wypisała czek na dwadzieścia dolarów więcej.

Ronnie podała jej bajgle.

– Mogę prosić o dodatkową torbę z izolacją cieplną?

Oczywiście mogła.

– Czy może macie większą torbę od tej, taką z rączką?

Miały.

Kiedy Sandra Hess, wreszcie usatysfakcjonowana, ruszyła do wyjścia, Ronnie zawołała za nią:

– Proszę pozdrowić ode mnie Maddy!

Kobieta odwróciła się i już zaczęła się uśmiechać – wyraźnie cieszyła ją każda wzmianka o córce – ale po chwili zamarła z otwartymi ustami i wzrokiem wlepionym w Ronnie. Wreszcie ruszyła tyłem ku drzwiom. Gdy już znalazła się na parkingu, prawie biegiem podeszła do samochodu, błyszczącego srebrnego sedana. Odjechała z panicznym pośpiechem kogoś, kto boi się, że będzie ścigany.

– O co chodziło? – spytała Clarice, zamykając drzwi za uciekającą stukaczką, chociaż była dopiero za pięć drugą.

– Chodziłam z jej córką do podstawówki. Dziewczyna była kretynką, a ona wredną suką. Przypuszczam, że to się nie zmieniło.

– Ale dlaczego nazwałaś ją kłamczuchą?

Ronnie było głupio, że tak dobrze potrafi kłamać i łatwo jej oszukiwać Clarice.

– Zauważyłam krawędzie banknotów w jej portfelu. Miała mnóstwo pieniędzy, po prostu odłożyła je sobie na coś innego. Przepraszam. Już nigdy tak nie zrobię.

– Musisz zachowywać takie myśli tylko dla siebie – pouczyła ją Clarice. – Ja myślałam o niej znacznie gorsze rzeczy, ale nie powiedziałam ich na głos.

Ronnie pragnęła powiedzieć Clarice prawdę, całą prawdę. O tym, jak matka Maddy udzielała wywiadów w telewizji, gdy ona i Alice zostały aresztowane i oskarżone. Jak bezczelnie kłamała o tym, co się stało tamtego dnia, tak żeby nikt nie pomyślał, że to była także jej wina. Powiedziała, że dziewczynki wyszły z przyjęcia bez pozwolenia i zapewniały, że ktoś je odwiezie. Kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo. Ale po matkę Maddy nikt nie przyszedł. Nikt nie zamknął jej za to, że nie mówiła prawdy. Przynajmniej Alice kłamstwa nie uszły na sucho. Świat roi się od kłamców.

Ronnie też musiała kłamać, żeby przetrwać. Doktor mówił, że to w porządku, że są kłamstwa polegające na przemilczeniu czegoś i kłamstwa polegające na powiedzeniu nieprawdy, a te pierwsze są w porządku. Tak bardzo chciała powiedzieć Clarice prawdę. Chciała, żeby ktoś stanął po jej stronie. Nie mogła jednak wyjawić prawdy o matce Maddy bez wyjawienia prawdy o wszystkim, a gdyby to zrobiła, Clarice już nigdy nie wzięłaby jej strony w żadnej sprawie.

Cynthia Barnes jechała Nottingham Road do domu. Trafiła na Nottingham prawie codziennie. Wmawiała sobie, że to znakomity skrót, chociaż przemieszkała w okolicy całe lata, w ogóle z niego nie korzystając. Teraz jednak zdawała się ona znakomitą trasą wszędzie, a miejsca, gdzie można było dotrzeć ulicą Nottingham, wybierała częściej od tych, do których nie dało się nią dojechać. Jeśli na przykład Warren miał ochotę na chińszczyznę, obskurny bar z jedzeniem na wynos w Ingleside stawał się zdecydowanie lepszy od ich dawnej ulubionej knajpki przy trasie numer 40. Cynthia powiedziała Warrenowi, że woli smażony ryż z krewetkami z Wung Fong, który tak doprawiała ostrą musztardą, że jedzenie niemal zaczynało boleć. I naprawdę lubiła tamtejsze ciasteczka z wróżbą – ich przepowiednie miały staroświecką powagę, jakiej brakowało tym nowocześniejszym.

Dzisiaj wracała do domu po wizycie u siostry Sylvii na przedmieściach. Pojechała tym dziwnym pasem autostrady kończącym się nagle na skraju Leakin Park. Jego budowę wstrzymano lata temu za sprawą protestów obrońców przyrody. Została droga donikąd, jedna z dwóch takich w Baltimore. Próbowwała sobie przypomnieć argumenty ekologów. Stwierdzili, że ten park stanowi cenny ekosystem, schronienie dla jeleni i innych dzikich zwierząt, w dodatku w samym sercu miasta. Na jakiś czas zapomniano o reputacji Leakin Park jako miejsca, gdzie porzucano zwłoki, i został tylko leśną ostoją. Śmieszne, w co ludzie potrafią uwierzyć tak szybko i tak mocno.

Uważaj na to, czego pragniesz, mogłoby ostrzec ekologów wróżebne ciasteczko z Wung Fong. Rozrost populacji jeleni, tych słodkich Bambich, których zdjęcia pomogły zastopować budowę, wymknął się spod kontroli. Zwierzęta nachodziły sąsiadujące z parkiem ogrody. „Przyczyna i skutek” – pomyślała Cynthia. Niewielu ludzi dostrzegło ten oczywisty związek. Ocalić park, ocalić jelenie – a teraz jelenie dewastowały tutejsze ogródki, miasto zaś wciąż nie miało porządnej arterii wschód–zachód. Zadowoleni? Czy ktokolwiek jest teraz zadowolony?

Nawet gdyby życie Cynthii potoczyło się gładką, łatwą ścieżką, co – jak kiedyś sądziła – należało jej się z racji urodzenia, i tak cynicznie podchodziłaby do namiętności kierujących polityką społeczną. Praca w urzędzie miasta sprawiła, że miała niewiele szacunku dla kogokolwiek. Jak mówiła Warrenowi, teraz umiała patrzeć na każdą sprawę z różnych punktów widzenia. A najważniejszą obserwacją, jakiej dokonała, było to, że nikt nie ma całkowitej racji w żadnej kwestii.

Choćby podatki. Opinię publiczną łatwo dawało się na nie nabrać. Podatek od nieruchomości i podatek dochodowy traktowano w stanie Maryland niemal jak

święte krowy. W złych czasach politycy ich nie tykali, a w dobrych tylko udawali, że je zmniejszają, rozdrabniając ból na różne nieuchwytnie sposoby. Wprowadzili prawo, które pozwalało na opodatkowanie wszystkiego, od wypożyczania kaset wideo, przez pozwolenia na budowę, po tanie jedzenie. Gdy siedziała w sali obrad ratusza, słuchając kolejnego ornego wołu – tym terminem określała wyborców – gładzącego o utrapieniach wywołanych jakąś podwyżką podatków i nawołującego miasto do zaciśnięcia pasa, z najwyższym trudem powstrzymywała się od śmiechu. Miała ochotę pójść za takim naiwniakiem i zapytać, co on by zrobił, gdyby ktoś postanowił obniżyć mu domowy budżet o dziesięć albo dwadzieścia procent rocznie. Nikt nie chce mieć mniej, każdy chce tyle, ile miał wczoraj, a poza tym jeszcze trochę.

Cynthia mogła bez problemu porzucić swoją posadę za osiemdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, bo dochody Warrena ciągle rosły. Jako pełnomocnik pokrzywdzonych zajmował się czarnymi klientami, którzy nie załapali się na różne popularne fale spraw o odszkodowania – związane z farbą z dodatkiem ołowiu, tytoniem i azbestem. Teraz pracował nad pozwem dotyczącym szkodliwości telefonów komórkowych. Pieniądze po prostu same przychodziły, a Cynthia nie miała już pomysłu, co z nimi robić, wyjąwszy obserwowanie, jak ich przybywa.

Miasto się zmieniło. Wybrano nowego burmistrza i nawet gdyby Cynthia chciała dalej pracować w ratuszu, nie byłoby teraz dla niej zajęcia – a przynajmniej tak sobie mówiła. Zamyślona pojechała kilometr czy dwa za zjazd ze starej autostrady, na Security Boulevard, potem na Cook's Lane i dalej na Nottingham, obok domu, w którym mieszkały Alice Manning i jej matka.

Najpierw zauważyła kobietę w bikini. Szczupłą i na pierwszy rzut oka młodą. Ale już drugie spojrzenie wyłuskało charakterystyczne cechy osoby, która bardzo się stara ukryć swój wiek: niewielką fałdkę na brzuchu, widoczną u prawie każdej kobiety w średnim wieku, i chustę zawiązaną w pasie, pewnie po to, aby ukryć niedoskonałe nogi. Potem dostrzegła jeszcze obwisłą skórę w górnej części ramion, bo kobieta podniosła rękę, aby osłonić oczy, zanim spojrzała w kąt ogródka, gdzie gramoliła się jakaś zwalista jasnowłosa dziewczyna.

Zwalista jasnowłosa dziewczyna. Tylko chwilę zajęło Cynthii porównanie tej osoby z obrazem, jaki miała w głowie: blada dziewczynka o dużych oczach i zaciśniętych ustach, wyglądająca przede wszystkim na zdumioną. Gwałtownie skręciła w prawo, zerknęła na tylne siedzenie, by sprawdzić, czy ten nagły ruch obudził śpiącą Rosalind, i zawróciła na Nottingham.

Więc tak wygląda osiemnastoletnia Alice Manning. Gruba, apatyczna i jeszcze bledsza, chociaż ramiona miała lekko zaróżowione – pierwszy objaw oparzenia słonecznego. To powinno ucieszyć Cynthię, ale tylko wprawiło ją w większą złość. Wszak otyłość stanowi oznakę życia, dowód, że coś nadal istnieje i ciągle się rozwija, nawet jeśli nie wygląda ładnie.

„Mogłam ją zabić” – pomyślała. „Mogłam skrócić w lewo i zabić je obie. Jasne, to byłoby podejrzane, ale kto by mi udowodnił, że stało się coś innego niż zwykły wypadek, że zrobiłam to celowo?” Niejasność zamiarów była kluczową kwestią w sprawie śmierci Olivii. Warren załatwiłby jej najlepszego adwokata w mieście, jeśli sprawy w ogóle zaszłyby aż tak daleko. Cynthia mogła się założyć, że ława przysięgłych by ją uniewinniła.

Ale z tyłu siedziała Rosalind, dlatego jechała wolno, ze spojrzeniem utkwionym w Helen Manning. Czym dla tej atrakcyjnej kobiety jest świadomość, że ma nieatrakcyjne dziecko? Czy ładna kobieta potrafi się pogodzić z tym, że jej dziecko nie skłoni nikogo do miłosnych westchnień i czułych spojrzeń? Cynthia oczywiście знаła odpowiedzi na te pytania.

Myśl przysła i odeszła tak szybko, że mogłaby udać, jakby w ogóle się nie pojawiła. Ale po gardle rozlało się coś podobnego do zgagi. Cynthia w ponurym nastroju dojechała do domu i starała się być dla Rosalind nieco oziębła, jakby to mogło zrekompensować tamto chwilowe zdradzenie Olivii.

Alice zauważyła bmw tylko dlatego, że było błyszczące i duże i jechało tak wolno, a potem zrobiło dziwny skręt i zawróciło jak ktoś, kto się zgubił. Helen w ogóle nie dostrzegła auta, bo z niepokojem oglądała oparzenia słoneczne córki – przytykała koniuszki palców do jej miękkich ramion i kręciła głową nad pozostawianymi bladymi śladami.

– Z twoją karnacją nie powinnaś wychodzić nieposmarowana kremem z filtrem piętnaście albo nawet większym – stwierdziła. – Ja mam trochę ciemniejszą karnację mimo rudych włosów. Za moich czasów mogłam się wylegiwać na słońcu posmarowana tylko oliwką dla niemowląt. Ale ty masz skórę po ojcu.

„Za moich czasów” było ulubionym powiedzeniem Helen i zawsze dotyczyło kilku miesięcy między ukończeniem college’u a urodzeniem córki. Jednak prawie nigdy nie wspominała o ojcu Alice, w żadnym kontekście, dlatego dziewczyna postanowiła skorzystać z nadarzającej się okazji.

– Jaki on był? Mój ojciec?

– Przystojny. Potężny, szeroki w barach, bardzo wysoki. Włosy o ton ciemniejsze od twoich.

Tak właśnie Helen zawsze go opisywała, Alice zaś rzadko próbowała wyduszać z niej więcej informacji. Tym razem postanowiła nie rezygnować.

– Chodzi mi o to, jakim był człowiekiem.

– No, bardzo... zdolnym. Był sam na świecie, od kiedy skończył siedemnaście lat. Sierota, bez braci i sióstr. – Matka zawsze to podkreślała. Nie miał krewnych, nie ma więc kuzynów, których Alice mogłaby chcieć odnaleźć. – Silny. Gdyby poszedł do college’u, mógłby zostać architektem. A tak budował domy, od fundamentów.

– Chciałabym zostać architektem – stwierdziła Alice, a potem uświadomiła sobie, że powiedziała tak jedynie po to, żeby sprawdzić ten pomysł. Gdy już wyraziła pragnienie na głos, wiedziała, że chyba wolałaby się zajmować czymkolwiek niż architekturą.

Helen nadal uciskała ramiona córki, widmowe ślady palców pojawiały się i od razu znikały. Jej dotyk dobrze robił poparzonej skórze, bo miała dłonie chłodne i tłuste od balsamu, którym nasmarowała się przed swoją zwyczajową popołudniową kąpielą słoneczną. Rozkładała ręcznik za domem, przy płocie obrośniętym kapryfolium. Robiła to między czwartą a piątą – nigdy wcześniej, i nie opalała się nawet o sekundę dłużej niż godzinę. Obok zawsze stawiała jakiegoś egzotycznego drinka: pinacoladę, mudsilde, daiquiri, compolitan albo apłletini. Dzisiaj był to julep z dodatkiem mięty dziko rosnącej na podwórku. Do przygotowania drinka używała tłuczka ze szczerzego srebra, a przyrządzanie go zajmowało prawie tyle samo czasu co kąpiel słoneczna.

– Skoro już mówimy o twojej przyszłości – powiedziała do córki – to znalazłaś może jakąś pracę?

– Nie, ale właśnie tym się zajmuję. Szukaniem pracy.

– Gospodarka nie jest już taka prężna jak kiedyś, a tobie dodatkowo trudniej jest coś znaleźć.

– To prawda – przyznała Alice.

Wcale nie miała zamiaru szukać pracy i w tę upalną sobotę też żadnej nie szukała. Kilka tygodni temu dowiadywała się o oferty w ośrodku pomocy społecznej hrabstwa, który prowadził program zatrudniania, ale gdy nie usłyszała tego, co chciała, poszła stamtąd. Zastosowała się natomiast do rady Sharon: spacerowała po kilka, kilkanaście kilometrów dziennie rano i wieczorem, zwykle na zachód, dopóki nie otarły jej się stopy i nie popękały pięty. Szła Frederick Road do szkoły pomaturalnej, gdzie pytała o kursy na semestr jesienny. Potem, idąc wśród domów stojących wzdłuż Frederick – Ten Hills, North Bend, Catonsville – wymyślała opowieści o rodzinach mieszkających w tych starych wiktoriańskich budynkach z wielkimi gankami i kopułami.

Dzisiaj dotarła aż do centrum handlowego Westview, wiedzona wspomnieniem o G.C. Murphy's, małym sklepiku z tanimi rzeczami. Uwielbiała go, pachniał świeżą prażoną kukurydzą i drewnianą podłogą. Kupowała tam orzeszki w czekoladzie. Nigdzie indziej nie znalazła orzeszków, które by smakowały tak samo, chociaż matka zabierała ją do Brach's i Russel Stover's, Fannie Farmer oraz See's, kiedy przyjeżdżała w odwiedziny do Middlebrook. Helen tłumaczyła Alice, że pamięć płata jej figle, lecz dziewczyna ufała sygnałom swojego podniebienia. G.C. Murphy's dawno już zamknięto, ale w sklepie wielobranżowym, który zajął jego miejsce, może uda się znaleźć podobny frykas, bo może smak zaklęty jest w murach, w podłogach.

Nie poszła tam spotkać się z Ronnie, ale pamiętała wzmiankę Helen, że pracuje ona w knajpce z bajglami przy Westview. Ronnie, którą pamiętała, nie miała głowy do rutyny. Problemów przysparzały jej najprostsze rzeczy wymagane przez szkołę – przynoszenie usprawiedliwień od rodziców, składki na mleko. Alice zastanawiała się, jak teraz Ronnie wygląda i czy bardzo się zmieniła. Gdyby zobaczyła Ronnie, mogłaby zrozumieć, co ludzie czuli, patrząc na nią samą. Matka i Sharon przez ostatnich siedem lat widywały ją regularnie, więc gdy wróciła do domu, nie musiały przyzwyczajać się do nowej Alice, a mimo to zachowywały się, jakby musiały, jakby spodziewały się małej dziewczynki i nie wiedziały, co zrobić z potężnie zbudowaną osiemnastolatką, która wygląda na znacznie starszą, niż jest. Nie przez swoje kształty, ale przez sposób chodzenia, powłóczenie stopami, tak jakby miała opuchnięte nogi. W sklepach sprzedawcy mówili do niej „proszę pani”, a gdyby tylko miała ochotę, pewnie podano by jej alkohol w barze. Na alkohol nie miała ochoty. Za to na zobaczenie Ronnie – tak, zobaczenie Ronnie stanowiło wielką pokusę.

Nie wiedziała, co poczuje, gdy znowu ją zobaczy. Na pewno nienawiść. Czas nieco złagodził to uczucie – żołądek już nie skręcał się na samo wspomnienie o Ronnie – ale nienawiść wciąż istniała, a z nią pragnienie oglądania Ronnie ukaranej, tak naprawdę i jak najsurowiej.

Raz, wyłącznie raz Sharon była bliska powiedzenia właśnie tego, co Alice pragnęła usłyszeć, ale wyrażała się jak zwykle w dziwnie ogólnikowy sposób. To się zdarzyło kilka lat temu, gdy Alice musiała wrócić do Middlebrook po roku w mniejszym i znacznie przyjemniejszym zakładzie. Zmartwiona, że opuszcza stary kamienny budynek, w którym miała nadzieję doczekać ukończenia osiemnastu lat, zaatakowała prawniczkę. Dlaczego prawo traktuje ją i Ronnie, jakby były winne takich samych rzeczy, podczas gdy wszyscy wiedzą, że wcale tak nie jest?

– Wyobraź sobie, że Ronnie była jak pływak, którego złapał skurcz... – zaczęła Sharon.

– W brzuchu czy w nodze? – przerwała Alice.

To pytanie kompletnie zbiło Sharon z tropu, chociaż dziewczynie wydawało się całkiem logiczne. Umiejscowienie skurczu mogło przecież robić wielką różnicę.

– Myślę, że w brzuchu. Zaczęła tonąć, a ty akurat przepływałaś obok, więc podpłynęłaś i próbowałaś jej pomóc. Ale tonący czasem wpadają w panikę, łapią tych, którzy próbują ich ratować, i ciągną w dół, przez co obie osoby toną.

– Czy to się często zdarza?

– Cóż, nie. Ratownicy są tak wyszkoleni, żeby radzić sobie ze spanikowanymi pływakami. Wiem to, bo sama byłam instruktorem ratownictwa wodnego.

Alice przyzwyczaiła się już, że Sharon każdą sprawę wiąże ze sobą, więc

prawie nie zwróciła uwagi na tę wiadomość. Poza tym „instruktor ratownictwa wodnego” nie brzmiało tak fajnie jak „ratownik”, taki na wysokim krześle, z nosem posmarowanym białym kremem.

– Ale jeśli jesteś zwykłym pływakiem i przez przypadek znajdziesz się obok, możesz nie wiedzieć, co robić, kiedy ktoś się ciebie chwyta.

Alice zastanowiła się nad słowami prawniczki.

– Jeśli nie jesteś ratownikiem i ktoś się ciebie łapie – spytała – to czy wolno go odepchnąć? Czy to w porządku zostawić go, żeby się utopił?

Sharon umilkła, nietypowo jak na siebie. Położyła dłoń na lewym policzku i zaczęła trzeć znamiona. Alice zauważyła, że prawniczka dotyka tej części twarzy, gdy tylko zbliżają się do narzekań, że wszystko jest niesprawiedliwe. Może to niesprawiedliwe, że Sharon Kerpelman, skądinąd ładna kobieta, urodziła się z takimi znamionami na twarzy? Ale to nic w porównaniu z życiem Alice. Zresztą w opowieści prawniczki Ronnie wydawała się kimś całkiem normalnym, robiącym to, co każdy, byle tylko przetrwać.

Alice mogła opowiedzieć Sharon, jak pewnego sobotniego wieczoru matka zabrała ją i Ronnie do Baskin-Robbins przy trasie numer 40 i kupiła im podwójne lody. To było między trzecią a czwartą klasą, kiedy Ronnie przyczepiła się do Manningów jak nieopatrznie nakarmiony kot włóczęga. Helen chyba nie przeszkadzało, że mała ciągle się przy nich kręci, jednak Alice tak. Bo ona nie mogła całkiem odseparować się od Ronnie, gdy zaczynała się szkoła, odczepić jej jak gumę do żucia przylepioną do buta.

W Baskin-Robbins Alice zjadła lody waniliowe i czekoladowe, chociaż matka namawiała ją do większej oryginalności. Ronnie wybrała lody z wiórkami czekolady i sorbet pomarańczowy. Była to dość ryzykowna kombinacja, skopiowana od Helen. Jednak w porcji Ronnie kulka na gorze, ta czekoladowa, sturlała się na podłogę przy pierwszym liźnięciu.

– Och, dziecinko... – zaczęła Helen.

Zanim zdołała powiedzieć coś więcej, Ronnie odwróciła się i wytrąciła Alice jej lodowy rozek.

– Nie śmiej się ze mnie! – wrzasnęła, chociaż Alice wcale się nie śmiała. Może lekko się uśmiechnęła, ale naprawdę tylko trochę. W dodatku Ronnie była do niej odwrócona plecami, więc nie mogła o tym wiedzieć.

Helen kupiła obu dziewczynkom nowe rożki, miły nastrój jednak przepadł. Drugi lód po prostu uświadomił Alice utratę pierwszego i fakt, że tego również może stracić. Jadła go tak ostrożnymi liźnięciami, że więcej spłynęło po ręce, niż dostało się do buzi.

Wszystkie te wspomnienia ogarnęły Alice, gdy siedziała na krawężniku z dopiero co kupioną torebką orzeszków w czekoladzie i przyglądała się Bagel Barn. Bar znajdował się przy krańcu parkingu: ani nie stanowił części centrum

handlowego, ani też nie leżał zupełnie poza nim. W miejscu, które zajmował, z tego, co pamiętała Alice z krótkiego okresu „przed”, otwierano już niejeden lokal. White Castle, Fotomat, stoisko z tacos. W którymś momencie, gdy już odeszła, rozrósł się z małej budki do takich rozmiarów, że teraz miał miejsca do siedzenia i sufit pomalowany na czerwono. Ale nie przychodziło dużo klientów. Alice mogła się założyć, że za rok czy dwa pojawi się tu coś nowego. Właśnie w takim miejscu mogli zatrudnić Ronnie Fuller, w miejscu chylącym się ku upadkowi.

Oczywiście Alice nie wolno wchodzić do środka. Bo co innego zobaczyć Ronnie, a co innego pozwolić, żeby Ronnie zobaczyła ją. Bar był tak usytuowany, że nie dawało się podejść blisko. Alice usiadła więc na krawężniku pod centrum handlowym. Powinna dać sobie spokój, zająć się własnymi sprawami. W swoim porannym horoskopie przeczytała: „Otrzymanie dobrych odpowiedzi zależy od zadania dobrych pytań”, co brzmiało obiecująco, ale też zawierało warunki.

Nawet gdy już postanowiła wstać i wracać, przesiadła jeszcze pięć minut, potem kolejnych dziesięć i jeszcze dwadzieścia. Dzień był upalny, a ona zmęczona długim spacerem. Parę minut przed drugą z Bagel Barn wyszły dwie dziewczyny i zapaliły papierosy. Jedna niska, w fartuchu, z tych o nieokreślonej rasie, ani Murzynka, ani Latynoska, ani Włoszka. Druga szczupła, ciemnowłosa. Ronnie.

Była niezbyt wysoka i chociaż urosły jej piersi, wciąż poruszała się tak, jakby nie przywiązywała wagi do swojego ciała. Lekko się garbiła i splatała ręce na piersi, jakby ją irytowały. Ciemne włosy czesała tak samo jak kiedyś: grzywka z przodu, reszta opadająca na ramiona. Gdyby spróbowała je jakoś ułożyć, i tak wiele by to nie pomogło. Alice dotknęła swoich włosów, jasnych i prostych. Były jej ozdobą – tak powiedziała do niej Helen wiele lat temu. Pod tym względem nic się nie zmieniło.

– Twoje włosy są cudowne, dziecinko. To najładniejsza część ciebie.

Alice myślała, że jej niebieskie oczy mają ładny kolor, ale matka wyjaśniła, że niebieskie oczy robią większe wrażenie u brunetki. Jak u Ronnie.

Ronnie spojrzała przez parking dokładnie tam, gdzie siedziała Alice. Jednak Alice nie wpadła w panikę ani nie próbowała uciekać. Ludzie zwykle nie zauważają tego, czego nie szukają wzrokiem. Zresztą wiedziała, że Ronnie tu pracuje, a Ronnie nie spodziewała się zobaczyć Alice na skraju parkingu pod centrum handlowym Westview. To się niemal równało niewidzialności.

Dziewczyna w fartuchu coś powiedziała, a Ronnie chyba się roześmiała. Zgarbiła ramiona i pochyliła głowę, wyglądała, jakby dobrze się bawiła. Mocno zaciągnęła się papierosem i wydychając dym, odchyliła głowę. Kiedy ona nauczyła się palić? W zakładach, w których przebywała Alice, nie pozwalano palić. Nawet dorosłym więźniom. Czy Ronnie paliła, kiedy były małe? Alice niczego takiego nie pamiętała, ale zawsze podejrzewała, że Ronnie sporo wie o różnych rzeczach. Właśnie o to jej wtedy chodziło: by dorośli zrozumieli, że Ronnie ma sporo

tajemnic, orientuje się w sprawach, o których nie powinna mieć pojęcia. I właśnie dlatego jest taka groźna.

Ronnie wyjęła papierosa z ust i wrzuciła do niskiej ceramicznej popielniczki, którą Helen nazywała „petową plażą”: takiego małego pojemnika z piaskiem, ustawianego pod restauracjami i kinami. Helen nie cierpiała tych popielniczek, nie dlatego, by miała coś przeciwko paleniu, ale ponieważ zawsze były brzydkie i tandetne. Na widok niedopałków sterczących z piasku, czasem umazanych szminką, matką aż wstrząsał dreszcz.

Teraz Alice również się wzdrygnęła. Ale nie przez tę cementową miskę, tylko na widok korzystającej z niej Ronnie. Cały porządek tej czynności był jakiś dezorientujący. Palenie pasowało do Ronnie, ale powinna raczej cisnąć petem, nie dbając, gdzie upadnie. Należała do dziewczynek, które śmieciły, rzucały na chodnik papierki od cukierków i puszki po napojach. Ronnie była niegrzeczna. Nie powinna więc mieć żadnych skrupułów. Zwłaszcza teraz.

Rezultat ostatniej próby odnalezienia dawnego smaku orzeszków w czekoladzie, zapomniany, gdy Alice przyglądała się Ronnie, stopił się i zmienił w breję w brunatnej papierowej torbie trzymanej w dłoni. No i dobrze. One nie smakowałyby jak kiedyś. Nic już tak nie smakowało. Dziwne, ale kiedy Alice próbowała wstać, powietrze wciągane do płuc więzło jej w gardle, jakby się topiła.

Daniel Kutchner zsunął się z Sharon Kerpelman z głupawą miną mężczyzny, który właśnie uprawiał seks z kobietą, ale już nigdy więcej jej nie zobaczy. Sharon to jednak nie przeszkadzało. Podjęła względem Daniela podobną decyzję, zanim wylądowali w łóżku, a jeśli chodziło o ten wieczór, i tak niewiele się działo. Teraz przynajmniej z czystym sumieniem mogła powiedzieć matce, że naprawdę próbowała. Oczywiście nie mogła oznajmić, że ona i syn Evelyn Kutchner poszli na... zaraz, jak brzmiała ta straszna fraza, którą kilka dni temu usłyszała ze dwadzieścia razy?... poszli na układ. Jednak matka na pewno się tego domyśli i zrozumie szyfr, pod którym Sharon ukryje tę informację: „Całkiem miły. Ale żadnej chemii”.

– Gdzie jest łazienka? – zapytał.

– Pierwsze drzwi po twojej prawej, jak już będziesz w przedpokoju.

„Czy on jest takim czyścioszkiem – zastanawiała się – czy po prostu musi się wysikać?” Okazało się, że jedno i drugie. Usłyszała, jak po jednym plusku następuje drugi. Spodobała jej się ta schludność.

Co zatem było nie tak z Danielem Kutchnerem? Niektóre kobiety, świadome, że randka się nie udała, zastanawiałyby się, co z nimi jest nie tak, jednak nie Sharon. Czuła się na tyle dobrze we własnej skórze, że nie miała potrzeby wkładania szlafroka czy podkoszulka, wstała więc i naga ruszyła do przedpokoju, a przechodząc, zapukała do drzwi łazienki.

– Masz na coś ochotę? Idę sobie zrobić coś do picia.

To pytanie przerwało plusk trzeciego strumienia wody, zapewne z kranu. Daniel Kutchner musi teraz myć ręce.

– Mówisz o szklance wody albo jakiegoś napoju?

– To też mam – odpowiedziała Sharon. – Ale szczerze mówiąc, myślałam o czymś mocniejszym. Mam ochotę na kieliszek białego wina albo baileysa z lodem, zanim położę się spać. I mam pełen barek.

– Jakie to nieżydowskie – skomentował Kutchner przez drzwi i oboje się roześmiali, bo to był temat przewodni wieczoru, mała więź, którą ustanowili, jedząc kolację i robiąc żartobliwą listę tego, co żydowskie, a co nie. – Chętnie się napiję. Sama coś wybierz.

Sharon krzątała się po mieszkaniu, które zaskoczyłoby jej kolegów z pracy, oczywiście gdyby im je pokazała. Stanowiło klucz do jej tajemnicy: mogła pracować jako obrońca z urzędu, bo pochodziła z zamożnej rodziny. Nie przesadnie bogatej, ale na tyle, żeby zasypać przepaść między średnim poziomem życia za państwową pensję a stylem wyższej klasy średniej, do jakiego się przyzwyczaiła. Właśnie dlatego miło było przyprowadzić do domu kogoś takiego jak Daniel, który wiedział o Kerpelmanach i małej fundacji, która ich wszystkich

dobrze ustawiła, kiedy zajęła się opieką nad kobietami po operacji raka piersi.

Wróciła do sypialni z dwoma staroświeckimi kielichami, aluminiowymi kopiami w stylu Russella Wrighta. Wniosła je na podobnej tacy i postawiła na nocnym stoliku.

– Co za kultura – stwierdził Daniel, wracając do pokoju. Był szczupły, krótko ostrzyżony, choć linia włosów już niedługo mogła zacząć się cofać. Ale Sharon nie martwiła się łysieniem. Prawdziwy problem z Danielem Kutchnerem polegał na tym, że jej matka wybrała go dla niej, a jego matka wybrała Sharon dla niego. Tego nie dawało się przezwyciężyć.

Siedział na krawędzi łóżka, jak gdyby nie mógł się zdecydować: wyjść czy nie. Sharon było obojętne, czy Daniel wyjdzie, czy zostanie. Jedyne, o co prosiła swoich pojawiających się od czasu do czasu kochanków, to żeby po wszystkim z nią rozmawiali. Stąd rytuał wypijania drinka. Gdyby paliła, pewnie taką funkcję spełniałby papieros. Ale nie paliła, poza tym teraz paliło niewiele osób. Zresztą po propozycji wypicia czegoś rzadko który mężczyzna wychodził albo nalegał, żeby jednak iść spać.

Odstawiając kieliszek, Daniel potrącił małą drewnianą ramkę. Kiedy ją poprawiał, spojrzał na twarz ze zdjęcia, dobrze widoczną w świetle docierającym z łazienki.

– Kto to jest? Chyba nie ty, z takimi warkoczykami.

– Nie, ja nigdy nie byłam blondynką.

– Kuzynka?

– Klientka.

To było zdjęcie Alice, stara fotografia, którą Helen Manning dała Sharon, ale prawniczka już nie pamiętała dlaczego. Wiedziała tylko, że fotografię zrobiono „przed”, na początku tamtego lata. Zdjęcie całkiem zwyczajnej dziewczynki. I właśnie o to chodziło. Sharon nie chciała, żeby ktokolwiek o tym zapomniał.

– Klientka? Dlaczego postawiłaś zdjęcie klientki przy łóżku?

– Bo to była najbardziej niezwykła sprawa, z jaką miałam do czynienia – dopiero wypowiadając te słowa, uświadomiła sobie, że nie ma w nich ani odrobiny przesady. – Jesteś z Baltimore, prawda?

– No przecież wiesz, że mieszkam tu od urodzenia.

– Siedem lat temu dwie małe dziewczynki oskarżono o zamordowanie niemowlęcia.

– A ta dziewczynka jest...

– Jedną z oskarżonych. Nawet teraz nie mogę ci podać jej nazwiska. Nie wolno zdradzać nazwisk nieletnich przestępców, co wcale nie jest łatwe, wierz mi.

– Czyli nie sądzono ich jak dorosłe?

– One miały jedenaście lat! – Sharon odruchowo uniosła głos; musi się pilnować, żeby mówić tonem pasującym do rozmowy po seksie. – Prawo stanu

Maryland nie pozwala sądzić takich małych dzieci jak dorosłych. Początkowo rodzice ofiary na to nie naciskali. Ale gdy okazało się, że nie zdołają niczego przeforsować, matka ofiary zagroziła, że będzie lobbować za zmianą prawa, tak aby sprawy morderstw rozpatrywano w sądach dla dorosłych bez względu na wiek oskarżonych.

– Przez złe sprawy do złego prawa, tak?

– Tak... A ona miała ogromną siłę przebicia, jej rodzina miała koneksje. Mogłaby zrobić coś takiego. I właśnie dlatego musieliśmy pójść na kompromis.

– Jaki?

– Wtedy nieletni nie mogli za żadne przestępstwo odbywać kary dłuższej niż trzy lata. Prawnik drugiej dziewczynki i ja doprowadziliśmy do zawarcia ugody sądowej, która pozwoliła władzom stanu skazać je na siedem lat za trzy przestępstwa: morderstwo, porwanie i kradzież własności prywatnej. Wózka dziecięcego – dodała, uprzedzając pytanie. – Nie pamiętam marki, ale to był jeden z tych wózków, które są bardzo drogie, bo tak mało ważą.

– Tak jak z laptopami – powiedział Kutchner. – Albo z telefonami komórkowymi. Im jest mniejszy, tym więcej płacisz.

Sharon przytaknęła, zirytowana jego wtrętem.

– Miały więc pozostać w zakładzie, aż ukończą osiemnaście lat, a matka ofiary się uspokoi. W końcu... – Zakręciła kieliszkiem, patrząc, jak gęsty jasnobrazowy płyn zalewa lód. – Szczerze mówiąc, zawsze uważałam, że moja klientka wyszłaby lepiej, gdyby sprawę rozpatrywał sąd dla dorosłych, z ławą przysięgłych i w pełni jawnie.

– Jak to?

– Powiedziała mi, że jest niewinna. Że nie było jej przy dziecku, gdy to się stało. Porwały je z Ronnie, tą drugą dziewczynką, ale nie miały złych intencji. Myślały, że to dziecko ktoś porzucił, i starały się zrobić dobry uczynek. Nie zamierzały popełniać przestępstwa, dopuszczać się przemocy. Coś poszło nie tak.

– Jak... to znaczy...

– Uduszenie. To była następna wątpliwość. Przyczyna śmierci dziecka pasowała do zespołu nagłej śmierci niemowląt. Mogłam tak utrzymywać.

– Czy to nie sprzeczność? Najpierw utrzymujesz, że klientki w ogóle nie było na miejscu zdarzenia, a potem, że klientka mogła tam być, ale zgon nastąpił z przyczyn naturalnych. – Daniel Kutchner był księgowym.

– Dobra obrona nie musi być spójna.

Ze strony łóżka zajmowanej przez Daniela dobiegł tylko stukot lodu w jego kieliszku, cichy odgłos przełknięcia i lekkie skrzypnięcie sprężyn, kiedy zmieniał pozycję. Księgowy osądzający prawnika. Sharon postanowiła, że nie wspomni, ile księgowi nabroili w ciągu ostatnich lat.

– Swoją drogą, zawsze miałam wrażenie, że Alice poświęcono. – Nawet nie

zauważyła, że podała imię, którego zwykle tak starannie strzegła.

– Poświęcono?

– Cała ta tragedia wywołała tyle... złych emocji. Ofiara była czarna, oskarżone dziewczynki białe, rozumiesz. Na sprawę rzuciły się media. Ludzie chcieli mieć poczucie, że coś zrobiono. Chcieli gwarancji, że to już się nigdy więcej nie powtórzy. Co jest przecież niemożliwe. Młodociani zabójcy pojawiają się od setek lat. I nie mam na myśli socjopatów czy jakiejś idiotycznej teorii o szatańskim nasieniu. Dzieciaki zabijają i właściwie najbardziej dziwi mnie to, że nie zabijają częściej niż inni. Bo przecież one tak naprawdę jeszcze tego nie rozumieją. Wiesz, chodzi mi o śmierć.

Nie powiedziała mu, że kiedyś pragnęła, by Alice mogła osądzić ława przysięgłych złożona z osób takich jak ona – dwunastu wielkookich dziewczynek, które wiedzą, co to znaczy popełniać błędy niebędące większym grzechem niż pragnienie, aby iść przed siebie i jakoś dawać sobie radę. Wyobraziła sobie dwanaście małych samic gamma – a może Alice była samicą beta, zgodnie z terminologią używaną w publikacjach na temat „niegrzecznych dziewczynek” – patrzących na nią z uwagą, gdy przedstawia wszystkie fakty, opisuje, jak Ronnie manipulowała jej klientką. Takiej ławie przysięgłych wystarczyłaby godzina, żeby uniewinnić Alice.

– Niemniej ty uważasz, że twoja klientka nie zabiła. – Daniel nachylił się w stronę wezglowia, ale jego lewa noga pozostawała za krawędzią łóżka, wciąż w kontakcie z podłogą, jak u amanta filmowego przestrzegającego zasad *Kodeksu Haysa*. On nie był z tych, którzy zostają na noc, co nie przeszkadzało Sharon. Jeśli mężczyzna zaraz po seksie nie biegł gdzieś w noc albo nie uciekał w sen, to nie przejmowała się, co robił.

– Nie, ona nie zabiła.

– To dlaczego pozwoliłaś, żeby dostała siedem lat? Dlaczego nie dostała mniej niż ta druga dziewczynka?

– Dowody były... trochę sprzeczne. I zeznania oskarżonych. Jedna mówiła jedno, druga drugie. Sędzia, który przewodniczył rozprawie, nie znalazł żadnego sposobu, aby to rozwikłać.

– Wygląda na to, że twoja klientka została wrobiona.

– Nie wiesz o tym wszystkim nawet połowy.

Zespół miał skończyć grać o pierwszej w nocy, ale Andy – w rozwiązanym krawacie, bez marynarki – złapał za mikrofon i zażądał, by weselni goście otworzyli portfele i zapłacili za dalszą część występu. Nancy, niezłe już wypełniona płynną dobrą wolą, z zachwytem patrzyła na męża. To właśnie był mężczyzna, w którym się zakochała, hałaśliwy i pewny siebie. W służbie federalnej nie pochwalano osobowości tego rodzaju, dlatego wciąż musiał się hamować, aż wreszcie jego szerokie ramiona nieco się zaokrągliły, a głowa czasem wydawała

się ciężko zwisać z szyi. Miała nadzieję, że Andy, gdy już skończy studiować prawo i zacznie pracę w kancelarii, odzyska nieco dawnej figury.

Teraz, kiedy przyklął na parkiecie na jedno kolano, z banknotami ściśniętymi w garści, był pod każdym względem tym chłopakiem, którego znała od gimnazjum i kochała od liceum.

– Więcej! – krzyczał. – Więcej, więcej, więcej! Będziemy mieli muzykę! I bar będzie otwarty! Polskie wesele nie może się skończyć tak wcześnie! To byłby wstyd!

Kiedy impreza wreszcie dobiegła końca, ani Nancy, ani Andy nie zdołali prowadzić. Ale do prowadzenia nie nadawał się żaden z gości, więc przespacerowali się do Double-T-Diner przy trasie numer 40, na przeciwnym krańcu niż New York Fried Chicken. Tam, zapomniawszy o diecie, Nancy lewą ręką nurzała frytki w sosie, a prawą trzymała za rękę Andy'ego. On wolną dłonią wertował zawartość stolikowej szafy grającej, co było trochę kłopotliwe, bo muzyka w knajpie zależała od tego, kto szybciej wrzucił ćwierćdolarówkę do maszyny. Przez noc popłynęła jakaś piosenka Bon Joviego. Nancy nie wiedziała, czy to stary utwór, czy nowy, który brzmiał jak stary, ale poczuła się, jakby znowu miała osiemnaście lat i to była noc jej balu maturalnego. Sukienka drużyny, którą miała na sobie – taki żółty horror – świetnie by pasowała na zabawę w liceum Kenwood.

Nancy należała do grona niewielu znanych jej ludzi, przyznających się, że w liceum czuli się szczęśliwi. Dlaczego inni tak bardzo się tego wstydzili? Nie uważała czasów licealnych za najwspanialszy okres życia, tak jak pokazywano je w *Dniach chwały*, ale czuła się wtedy fajnie. Dobrze wiedziała, że w przyszłości nie zawsze będzie tak wesoło i łatwo. I właśnie dlatego rozkoszowała się byciem osiemnastolatką, starała się nie marnować ani chwili. Owszem, już wówczas martwiła się swoją wagą, ale mogła jeszcze wszystko zwalić na swój nastoletni metabolizm. Wspominała miło nawet złe chwile, krótkie rozstania z Andym, wielkie problemy z nauką przedmiotów ścisłych, bo pozwalały jej doceniać codzienną, tak łatwo przychodzącą radość.

Andy próbował trafić frytką do kubka z kawą.

– Ale się wstawiłam – stwierdziła Nancy, nie mając nic przeciwko temu, że on też jest pijany. Ciężko pracował. Zasłużył sobie na odrobinę luzu.

– Wiesz – powiedział trochę bełkotliwie – pojedźmy na Gunpowder Falls.

– Teraz?

– Tak, teraz. Dlaczego nie teraz? Tak jak kiedyś.

– Jak kiedyś... – Wtedy rozumiała.

Trzy kwadransy później siedziała na nim na tylnym siedzeniu jego dżipa cherokee, ciesząc się, że terenówki są tak przestronne, i myśląc o tym, jakby to było śmiesznie, gdyby jakiś gliniarz z hrabstwa był akurat na patrolu i zrobił im

„puk-puk” latarką w szybę. A potem zobaczył ją dosiadającą Andy’ego, w tej koszmarnej żółtej sukience, zadartej powyżej bioder i zsuniętej poniżej biustu, odsłaniającej stanik bez ramiączek, który uwierał ją całą noc. Andy, w stanie, w jakim teraz był, nie zdołałby go nawet rozciąć nożem.

Wyobraziła sobie, jak mówi: „Dobry wieczór, panie władzo”, i wystawia przez okno odznakę. „Nazywam się Porter, jestem detektywem z wydziału zabójstw, a to agent federalny Porter z miejscowego oddziału biura do spraw alkoholu, tytoniu, broni palnej i materiałów wybuchowych”.

Jednak nikt im nie przeszkadzał, więc Nancy zadowolona się przyprawiającymi o dreszcze rozkoszami, jakich dostarczał jej mąż. A gdy w ostatniej chwili spytał, czy chce, żeby wyskoczył, bo się nie zabezpieczył, przytrzymała go mocno w sobie, kręcąc głową. Później zastanawiała się, dlaczego wtedy nie przejęła się ryzykiem. Na pewno nie chodziło o sukienkę.

Helen Manning zobaczyła wschodzące słońce, a właściwie światło sączące się do kuchni, której okno wychodziło na wschód. Ona siedziała w nadal ciemnym salonie. Kieliszek miała pusty od paru godzin. Trzy papierosy wydzielone na miniony wieczór też już dawno skończyła palić. Zwykle papierosy, na trawkę pozwalała sobie tylko wtedy, gdy w jej życiu pojawiał się właściwy mężczyzna, a to zdarzało się coraz rzadziej. Dziwne, ale gdy Alice odeszła, umawiała się na randki sporadycznie, choć przecież teoretycznie łatwiej spotykać się z mężczyznami, nie mając dziecka na głowie. Ona jednak po prostu nie miała na to ochoty. Od towarzystwa mężczyzn zawsze wołała ich adorację. A o tę jest łatwo, dopóki kobieta o sobie dba. Helen dbała i wystarczała jej świadomość, że mężczyźni wciąż jeszcze za nią się oglądają.

Wreszcie usłyszała dźwięki, na które czekała całą noc – trzaśnięcie drzwiczek samochodu, stukot kroków na chodniku, szarpanie za klamkę, zgrzyt klucza w zamku.

– Dzień dobry – powiedziała Alice. – Nie musiałaś na mnie czekać.
– Jest szósta rano.
– Naprawdę nie masz się czym martwić – uspokajała matkę Alice. Już jako dziewczynka mówiła miłym kontraltem, zatroskanym i ciepłym.

– Nie było cię całą noc. Dokąd poszłaś? I z kim?
– Nigdzie i z nikim. Przepraszam, ale ostatnio jakoś nie mogę zasnąć. Dlatego spaceruję.

– To niebezpieczne? – W głosie matki pojawiła się nutka niepewności, przez co jej stwierdzenie zabrzmiało jak pytanie.

– Nie tam, gdzie chodzę.
– Czyli...
– Wiesz, mam, powinnaś się położyć. Będiesz do niczego, jeśli nie prześpisz swoich ośmiu godzin.

Tak właśnie Helen mówiła o sobie: „Jestem do niczego, jeśli nie prześpię swoich ośmiu godzin”. Alice powtórzyła te słowa neutralnym tonem, jednak Helen poczuła się osądzona. Nieważne, czy przespała osiem godzin, czy nie – jest teraz dla córki do niczego i będzie, dopóki nie da jej tego, czego Alice chce, dopóki nie powie jej tego, co chciałyby usłyszeć.

Gdyby tylko mogła powiedzieć.

Piątek, 3 lipca

15

19.30

Brittany Little zaginęła pierwszego dnia długiego weekendu, późnym popołudniem. Zgubiła się matce i jej przyjacielowi, kiedy kupowali sofę w Value City.

– W jednej minucie była tutaj – opowiadała policji matka, Maveen Little – a w następnej już jej nie było.

Maveen widziała, że nikt nie wierzy, by do zniknięcia dziecka wystarczyła minuta. Bo przecież kto gubi dziecko w minutę? Uparcie jednak obstawała przy swoim: ona i jej partner Devlin Hatch nie spuszczała małej z oczu na dłużej niż minutę, kiedy oglądali kanapy, leżanki i tapczany. A minuta to długi, bardzo długi czas.

– Niech pan policzy sobie sam – rzuciła młodemu policjantowi, który udawał współczucie.

Jeśli jej wierzą, to dlaczego jeszcze nie rozmawiała z detektywem? Dlaczego ci policjanci niańczą ją i Devlina w ich mieszkaniu, zamiast szukać dziecka w mieście?

Dwaj mundurowi z patrolu powiedzieli, że trzeba iść do mieszkania po zdjęcie Brittany, żeby pokazano je w wieczornych wiadomościach. Maveen domyślała się, że chcieli się też rozejrzeć po domu, poszukać śladów, których tam nie było. Wyglądało na to, że podejrzewają bardziej Devlina niż ją, ale i tak doprowadzało to Maveen do szału.

– Kiedy gubi się jakieś dziecko, zawsze je znajdujemy – oznajmił młodszy z policjantów, Ben Siegel, który został, by razem z nią siedzieć na starej sofie. Właśnie ten mebel Maveen i Devlin mieli nadzieję wymienić na lepszy, gdy Devlin dostał pieniądze z ubezpieczenia. Chciała jakoś wytłumaczyć, że zdaje sobie sprawę, że sofa jest poobijana i stara, ale dostała ją po matce. Sama nigdy nie wybrałaby tak jasnego materiału, na którym widać brud, zwłaszcza jeśli ma się dziecko. Jednak funkcjonariusz Siegel nie zwracał uwagi na jej wyjaśnienia. Siedział między Maveen a Devlinem tak swobodnie, jakby spędzał tutaj każdą noc i czekał na wieczorne wiadomości.

– Naprawdę zawsze je znajdujecie? – dopytywała się Maveen.

– Zawsze. Nie pamiętam ani jednej sprawy, kiedy dziecko rzeczywiście zaginęło na dłużej niż kilka godzin.

Wyłapała to „rzeczywiście”. Wciąż ich podejrzewał. Każdy cały czas osądzał ich oboje.

Wreszcie zaczęły się wiadomości. Maveen poczuła dziwny przyptyw dumy, widząc zdjęcie swojej córeczki już w drugiej informacji w serwisie. Nawet Devlin się uśmiechnął, co rzadko robił, kiedy Brittany jeszcze tu była. Wcale nie musisz być sławny ani bogaty, żeby twoje zaginione dziecko stało się ważne. Każde zaginione dziecko jest ważne i to właśnie czyni Stany Zjednoczone Ameryki wspaniałym krajem. Brittany jest taka śliczna, więc Maveen pomyślała, że ludzie przed telewizorami nie zdołają oprzeć się pokusie, aby dokładnie się jej przyjrzeć. Kiedy zaczęła spotykać się z Byronem, rodzice mało nie dostali zawału, ale kto teraz odrzuciłby owoc tamtego związku? Brittany miała skórę koloru kawy z mlekiem, pierścionki włosów tylko o jeden ton ciemniejsze i zielone oczy z rzęsami tak długimi, że można je było wziąć za sztuczne. Wyglądała cudownie, nawet inne dzieci chciały uszczypnąć jej policzki, pociągnąć ją za włosy.

Telefon zadzwonił, zanim przebrzmiały ostatnie dźwięki sygnału wiadomości. Maveen aż podskoczyła, ale usłyszała od drugiego policjanta, Donalda Jakiegoś tam, że ma dopuścić funkcjonariusza Siegla do aparatu. Niechętnie zawróciła z uczuciem, jakby w gardle uwięzły jej ćma albo chrząszcz.

– Coś nie tak? – spytała, kiedy odłożył słuchawkę. – Coś jest nie tak. Wiem to. Co on powiedział? Co się dzieje?

Przez głowę przemknęła jej szalona myśl, że powinna zacząć bić go pięściami w piersi, tak jak kobiety robią na filmach. Wtedy mężczyźni chwytają je za nadgarstki i całują. Nie chodziło o to, że chciała się całować z gliniarzem, on zupełnie jej się nie podobał. Ale gdyby zaczęła zachowywać się jak na filmie, może wszystko skończyłoby się jak w kinie: wszyscy okazaliby się cali i zdrowi.

– Tak naprawdę nic się złego nie stało – zaczął Siegel. – Mamy już trop, a trop to coś dobrego. Zakładając, że... Pani Little, mówiła nam pani, co Brittany miała dzisiaj na sobie?

– Mówiłam wam chyba sto razy. Miała letnią sukienkę dzinsową z białymi szwami i kieszeniami, i białe tenisówki.

– A umiała korzystać z toalety?

– Tak. Ale nosiła pieluchy. – Funkcjonariusz Siegel wydawał się zdziwiony.

– Na wypadek, gdyby się zapomniała.

Od kiedy Devlin z nimi zamieszkał, Brittany zapominała się dość często, jednak Maveen nie widziała żadnego powodu, aby mówić o tym policjantowi.

– Właśnie o to chodzi. – Siegel położył rękę na jej ramieniu. Maveen szarpnęła się, jakby spadły na nią jakieś belki. – Dozorca w centrum handlowym sprzątał łazienki i znalazł coś w koszu na śmieci. Dżinsowe ubranko...

Zanim dokończył zdanie, Maveen padła z płaczem w ramiona Devlina. Siegel, czując się niezręcznie, stał z boku. Detektywom z wydziału zabójstw, którzy zjawili się w ciągu godziny, zostawiono decyzję, czy powiedzieć wciąż łkającej matce o włosach na dnie kosza na śmieci i poplamionym krwią

podkoszulku, wiezionych teraz do policyjnego laboratorium.

II

Psy z Pompejów

Sobota, 4 lipca

16

Windy w komendzie głównej baltimorskiej policji słynęły z powolności, więc wszyscy, poza najbardziej leniwymi pracownikami, wyznawali nieformalną zasadę „jedno piętro w górę i dwa w dół”. Ale Nancy, zanim zagłębiła się w klatce schodowej, zawsze sprawdzała okolice wind. Nigdy nie wiadomo, czy nie zastanie tam komisarza, jakiegoś majora albo innego detektywa, z którym mogłaby wymienić spostrzeżenia. Tego nauczyła się od wujka Stana, znanego jako „porucznik trzydzieści-trzy-trzydzieści-trzy”, bo dostał ten stopień w wieku trzydziestu trzech lat i nie awansował już aż do emerytury, trzydzieści trzy lata później.

W sobotni poranek, zwłaszcza w długi weekend, szanse na jakieś pożyteczne spotkanie były zerowe, więc Nancy od razu ruszyła w stronę schodów. Niemal pobiegła z dziewiątego piętra, siedziby wydziału zabójstw, na dziesiąte, gdzie mieściło się laboratorium kryminalistyczne. Umieszczono je na ostatniej kondygnacji z przyczyn praktycznych – gdyby coś w nim wybuchło, budynek uległby mniejszym zniszczeniom. Kiedy Nancy zaczynała tu pracować, uważała to za śmieszne, ale potem przestała. Teraz wszystko stało się możliwe.

– Nie wiedziałam, że zajmujesz się tą sprawą – powiedziała technik z laboratorium Holly Varitek. – To nie jest dla ciebie trudne, że znowu masz do czynienia z podobną historią?

Nancy wzruszyła ramionami. Nie chciała narzekać. Infante zaczął grymasić jak rozkapryszony dzieciak, kiedy Lenhardt ostatniej nocy zmienił im kolejność w grafiku. Poszedł za sierżantem aż do męskiej toalety prosić go o zmianę zdania. Planował jechać do Deep Creek Lane z rudą barmanką, Charlotte. Nie udało mu się i przez resztę nocy był dla Nancy niemiły. Facetom wolno marudzić jak małym bachorom, a ona musiała zachowywać stoicki spokój. Musiała nawet zachowywać stoicki spokój w kwestii stoickiego spokoju.

– Przynajmniej ten twój porywacz zachował się całkiem w porządku – oznajmiła Holly. Gadatliwa, wręcz niecierpiąca ciszy, miała mnóstwo energii, duże oczy, lśniące ciemne włosy, ubierała się w żywe kolory i należała do osób, które wydają się złożone z części o znacznie lepszej jakości niż inni ludzie. Nawet metabolizm miała lepszy od przeciętnego człowieka, bo mogła jeść wszystko, co chciała, i nie tyła. Nancy nie byłaby sobą, gdyby tego nie zauważyła.

– W jakim sensie w porządku?

– Po pierwsze, zostawił... przyjąłem, że to „on”, bo rzeczy znaleziono w męskiej toalecie... zostawił razem z ubrankiem włosy dziewczynki. Tak jakby chciał, żebyśmy mogli porównać DNA, gdyby krew nie pasowała. Oczywiście

potrzebowaliśmy próbki od matki do kontroli, bo przecież musieliśmy się upewnić, że włosy w koszu należały do zaginionej dziewczynki. Zobaczysz...

– Wiem – przerwała jej Nancy, próbując nie okazać swojego zniecierpliwienia. Różni specjaliści: technicy z laboratorium, lekarze sądowi, nawet specjaliści od analizy balistycznej byli trochę jak jedenastoletni chłopcy, którzy właśnie poznali podstawowe prawa fizyki i teraz muszą zanudzać nimi resztę świata. – I co, ta krew pasuje czy nie?

Przepełniający Holly entuzjazm sprawiał, że nie dawało się jej urazić.

– Ślady na ubranku to bez wątpienia krew, ale nie zaginionej dziewczynki ani jej matki. Pasuje natomiast do krwi z męskiego podkoszulka. Wrzucono go do tego samego kosza i jest na nim jeszcze więcej krwi.

– Hm... – Nancy oparła się o stół i zamyśliła. Te ustalenia były jakby odwrotnym przełomem w sprawie, rodzajem informacji, która najpierw poszerza zakres śledztwa, ale później, przy odrobinie szczęścia, może go zawęzić. Krew na ubranku prawdopodobnie pochodziła od porywacza, więc gdyby kogoś aresztowali, mieliby kluczowy dowód.

Jedyny problem polegał na tym, kogo aresztować. Zresztą największy przełom w sprawie mógł się okazać najsmutniejszy. Odnalezione zwłoki dostarczyłyby więcej śladów niż to, co odkryto w męskiej toalecie centrum handlowego Westview. Ostatniej nocy Nancy prawie nie zmrzyła oka, cały czas zastanawiała się, czy dziewczynka jeszcze żyje. Tak bardzo chciała, żeby żyła. Sprawę przekazano wydziałowi zabójstw ze względu na dużą ilość krwi na podkoszulku, ale teraz wiedzieli, że to nie krew zaginionej, więc jeszcze była jakaś nadzieja.

– Czy to nie dziwne – zapytała laborantkę – że krew jest z przodu ubranka?

Holly wzruszyła ramionami.

– Niezbyt. Ktoś mocno krwawił. Może krew kapłała z jakiejś rany na głowie. Poza tym zakrwawiony podkoszulek może nie mieć nic wspólnego z ubrankiem, mógł je pobrudzić, kiedy ktoś go wrzucił do kosza.

– Ale jeśli stoi się za dzieckiem, obcina mu włosy... – Nancy zrobiła odpowiedni ruch, bardziej dla siebie niż dla Holly, a zdanie dokończyła już w myślach. Trudno kogoś aż tak mocno skaleczyć nożyczkami, zwłaszcza tak, żeby na ubranko spadło tylko kilka kropel krwi, a cała reszta ściekła na podkoszulek. A jeżeli porywacz stał z przodu... Rozważyła także taki scenariusz. Nie, to nie miało sensu. Może krew zabrudziła ubranko po tym, jak je zdjęto. Albo Holly miała rację: przesiąknięty krwią T-shirt wylądował w koszu później niż ubranko i przypadkowo je pobrudził. Nancy bez trudu mogła sobie wyobrazić bezdomnego, który sięga do śmietnika, żeby opatrzyć ranę kawałkiem szmaty.

A może to dziewczynka zadrapała tego, kto obcinał jej włosy? Dzieci nie lubią, jak im się obcina włosy, przynajmniej tak Nancy słyszała od kuzynów,

którzy dochowali się potomstwa. Chociaż to, co się tutaj stało, trudno nazwać obcinaniem włosów. Gruby pukiel znaleziony w śmietniku wskazywał, że porywacz po prostu odciął kucyk pod przytrzymującą go frotką. Zrobił to szybko, nie dbając o fryzurę dziewczynki.

Nancy zaniósła te wieści Kevinowi, który wciąż był wściekły, że został prowadzącym śledztwo. Sprawa Brittany Little nie wyglądała ani na łatwą, ani na wymarzoną, a na domiar złego bez wątpienia przyciągnie uwagę mediów, gdy na jaw zaczną wychodzić szczegóły. Na razie udało się powstrzymać dziennikarzy, w piątek wypuszczono im tylko zwyczajowe sygnały porozumiewawcze. Kilka lat temu mieli prawdziwy wysyp spraw, które Lenhardt nazywał „sześciogodzinnymi porwaniami”. Kilkunastoletnie dziewczyny, którym nie chciało się czekać dziewięć miesięcy na własne dziecko, zaczęły zabierać cudze niemowlęta, jakby to były porzucone lalki. Trudno jednak ukraść niemowlaka, nie zwracając niczyjej uwagi, kiedy jest się nastolatką mieszkającą z rodziną, więc tamte sprawy rozwiązywano w ciągu kilku godzin.

– Łatwiej ukryć ciążę niż dziecko – mawiał Lenhardt, ilekroć próbowali wytropić dziewczynę, która porzuciła noworodka w śmietniku.

Wysyp „sześciogodzinnych porwań” miał miejsce wiosną siedem lat temu. Gliniarze z miasta początkowo myśleli, że zniknięcie Olivii Barnes to jeden z takich przypadków. Była jeszcze jakaś opiekunka do dzieci, krępa, tępa dziewczucha, ale nie naprowadziła na żaden trop. Minęły siedemdziesiąt dwie godziny, zanim studentom akademii policyjnej polecono przeszukać Leakin Park. I nawet wtedy uważano, że to bardziej ćwiczenie praktyczne dla kadetów niż akcja mogąca przynieść konkretne rezultaty.

– Obca krew? – powtórzył Infante, kiedy Nancy powiedziała mu, czego dowiedziała się na dziesiątym piętrze. – Jeśli mamy szczęście, będzie pasowała do jej faceta.

– Myślę, że oni oboje są czyści jak łąza. Nie mają teczki w pomocy społecznej, sąsiedzi nie narzekają, nie było telefonów na policję.

Kiedy rodzice albo ich partnerzy zabijali dziecko, zwykle pojawiały się podobne incydenty.

– No tak, wyjąwszy jej oskarżenie o napaść i jego zarzut nielegalnego posiadania broni, to najmilsza para młodych ludzi od czasów Marii i Józefa. Ale to także jedyny sensowny scenariusz. Gach posuwa się za daleko, dyscyplinując dzieciaka, więc razem ze spanikowaną dziewczyną wymyślają jakąś historyjkę. Bo kto porywa małą dziewczynkę z Value City? To nie jest miejsce, gdzie można znaleźć kogoś w rodzaju dziecka Lindbergha. Tam nie chodzą ludzie, którzy mogą zapłacić duży okup.

– Taa, według ciebie tacy chodzą do Ethan Allena albo do Crate & Barrel.

Infante się roześmiał.

– Ale z ciebie mądrała. Gdyby Lenhardt wiedział chociaż połowę tego, co czasem wygadujesz.

– A sprawdziłeś zboczeńców z tej części hrabstwa? To może być jakiś podglądacz albo obmacywacz, który właśnie zapragnął awansować na wyższy poziom.

– Nikt mi nie wyskoczył z komputera. Ci, którzy by pasowali, już dawno siedzą.

– Biologiczny ojciec?

– On też siedzi w Worcester w Massachusetts.

Nancy wzięła zdjęcie dziewczynki z biurka Kevina. Jaka ona ładna! Miała śliczne włosy, gęste i lśniące nawet w kiepskim oświetleniu taniego studia fotograficznego. Do zdjęcia ulizano je gładko do tyłu, ale uszy dziewczynki ledwie zatrzymywały spływającą kaskadami czuprynę. Nancy zauważyła, że Brittany miała przekłute uszy. Przekłuwanie uszu małym dzieciom uważała za barbarzyństwo.

– A co z nożyczkami?

– Jakimi nożyczkami?

– Widziałeś włosy. Odcięto je nożyczkami, a nie chłaśnięto sprężynowcem. Nosisz przy sobie nożyczki? Prawdziwe, a nie ze scyzoryka? Bo tylko nożyczkami można było się przebić przez taką gęstwinę włosów.

– Czyli facet albo łąził z nożyczkami...

– Albo je kupił, kiedy już sobie upatrzył cel. Powinniśmy sprawdzić wszystkie sklepy w centrum handlowym sprzedające nożyczki. Każdy z nich ma skomputeryzowany asortyment, prawda? Czyli powinniśmy się dowiedzieć, kto wczoraj sprzedał nożyczki i o której godzinie. Możemy też sprawdzić, kto kupował ubranka dla małego dziecka w Westview. Bo przecież porywacz nie mógł wyprowadzić jej na zewnątrz nagiej albo tylko w pieluszce.

Infante z aprobatą pokiwał głową.

– Podobasz mi się, Porter.

– Niech to zostanie naszą słodką tajemnicą.

Infante otworzył zaznaczone spisy i zaczął układać listę sklepów w Westview. Nie musiał mówić Nancy, że odwiedzą je wszystkie osobiście. Pracowali, spotykając się z ludźmi twarzą w twarz, pokazując im odznaki i legitymacje. Nikt, z kim warto było porozmawiać, sam z siebie nie zgłaszał się przez telefon.

Nancy nadal wpatrywała się w fotografię, oryginał, z którego zrobili kopie dla gazet i telewizji. Zdjęcie z Kmart albo jakiegoś innego zakładu w centrum handlowym. Przedstawiało dziewczynkę na tle pola sztucznych kwiatów. Nancy powinna włożyć je do koperty i upewnić się, że natychmiast wróci do matki. Byłoby fatalnie, gdyby zdjęcie dotarło do niej po fakcie – zakładając, że ten fakt

okazałby się najgorszym z możliwych. Cały czas mogli o tym najgorszym tylko gdybać, mimo włosów i porzuconego ubrania. Ale nie mogli też zapomnieć o krwi, nawet jeśli nie należała do dziewczynki. W tej toalecie coś musiało się wydarzyć.

Nie wszystkie media stanęły na wysokości zadania. „Beacon-Light” jak zwykle zażądał od policji najwięcej i najmniej dał w zamian. Próbowali nawet skłonić Nancy, żeby przywiozła im fotografię do redakcji; tłumaczyli, że jeśli jakiś reporter wystąpi w roli kuriera, trzeba mu będzie to policzyć jako nadgodziny. Tak jakby obchodziły ją ich nadgodziny. W końcu przysłali młodą dziennikarkę ze swojego biura w hrabstwie, ale ponieważ wydział nie sprecyzował natury zaginięcia dziewczynki, zdjęcia w ogóle nie wydrukowano. Najwyraźniej jakiś redaktor przejrzał dostępne informacje pod kątem swojej wizji działu z newsami i uznał, że się do niego nie nadają. Czy dlatego, że dziecko miało niezamożnych rodziców? A może dlatego, że dziewczynka była Mulatką? Trudno zrozumieć sposób rozumowania dziennikarzy prasowych.

Telewizja okazała się lepsza. Gdy pokazywała coś o odpowiedniej porze, potem zawsze były rezultaty. Mnóstwo ludzi ogląda telewizję.

Poza tym w telewizji wiadomość o zaginięciu dziewczynki powtarzano cały czas, a informacja w gazecie to jednorazowy strzał. Wszystkie lokalne stacje pokazywały zdjęcie Brittany w dzienniku o dziesiątej i o jedenastej, a w sobotnich porannych programach co pół godziny. Nancy cykl pokazywania fotografii rozpoznawała po falach telefonów. Wizerunek dziewczynki pojawiał się na kanałach dwunastym, jedenastym czy trzynastym – samo zdjęcie i objaśnienie, że dziewczynka „oddaliła się” w Westview w piątkowy wieczór – a kilka chwil później telefon rozdzwaniał się podwójnym staccato, co oznaczało, że rozmowę przekierowano z centrum obsługi numeru 911. Ludzie nie wiedzieli, że policja w takich wypadkach wyłącza w centrali siedmiocyfrowy zamiennik numeru i dane każdego dzwoniącego trafiają do bazy informacji. Tymczasem telefonowały tylko jakieś świry. Ale wszystko po kolei, jak zwykły mawiać Lenhardt. Wszystko po kolei.

Właśnie teraz telefon zadzwonił. Tak jakby Nancy go obudziła.

– Czy rozmawiam z panią Nancy Porter?

– Tak, słucham.

Dziwne. Jej nazwiska nie wymieniano w związku z tą sprawą. Przed kamerą wypowiadała się tylko kapral Bonnie.

Kobieta na drugim końcu linii odpowiedziała na to niezadane pytanie:

– Właśnie rozmawiałam z sierżantem Lenhardtem i powiedział mi, że powinnam porozmawiać z panią. Mam... informację.

Nancy usiadła przy biurku i usiłowała wyciągnąć z torebki notes i ołówki.

– Mogę prosić o nazwisko?

Rozmówczynie zignorowała pytanie.

– Pani detektyw Porter – oznajmiła – jest coś, co powinna pani wiedzieć o tym zaginionym dziecku. Informacja, której nikt się u pani nie spodziewa, jednak którą ja, chcąc nie chcąc, znam. A gdy przekażę już pani tę informację, to jak sądzę, zmieni ona pani spojrzenie na całą sprawę.

„Jezu – pomyślała Nancy – czy ta głupia baba słyszała kiedyś o zwiędłych wypowiedziach?”

– Ta informacja może nie wydać się pani znacząca, ale jest znacząca dla mnie i dla pani też powinna być. I będzie, jeśli wysłucha jej pani uważnie...

„Chryste Panie! Jak ktoś taki przebrnął przez Lenhardta? Najwyraźniej to jakaś wariatka o dobrych intencjach, pragnąca znaleźć swoje miejsce na świecie, udając, że dysponuje wiedzą, której nie ma. Sierżant zrobił mi kawał czy mnie sprawdza?”

– Gdyby mogła pani przejść do sedna sprawy... – powiedziała, siląc się na uprzejmość.

– Właśnie w ten sposób przechodzę do sedna – odparła kobieta. – Nazywam się Cynthia Poole Barnes. A teraz niech pani mnie posłucha. Niech pani bardzo uważnie posłucha wszystkiego, co mam do powiedzenia.

Tego ranka Cynthię obudził znajomy dźwięk piosenki, którą słyszała ostatnio co najmniej dwa razy dziennie. *Wiem, kim jesteś...* Rosalind znowu oglądała *Śpiącą Królowną*. Tego lata oglądała ją codziennie, aż matka musiała narzucić jej limit – raz rano i raz po południu, a poza tym żadnej telewizji. Myślała, że jeśli Rosalind będzie musiała wybierać między *Śpiącą Królowną* a resztą telewizyjnego wszechświata, zdecyduje się na coś innego. Ona jednak była urodzoną monoteistką. Chciała tylko jedną zabawkę – pluszowego misia, i tylko jedną książkę – *Baśni* braci Grimm. Potrzebowała też tylko jednego rodzica, ale ponieważ była nim mamusia, Cynthia nie miała nic przeciwko temu.

Teraz Rosalind patrzyła, jak jasnowłosa księżniczka tańczy w lesie. Zakończenie filmu, które do dzisiaj przerażało Cynthię, na jej córce nie robiło żadnego wrażenia. Chociaż zamek porastały ciernie, a ekran wypełniał cień smoka, dziewczynka nawet się nie wzdrygnęła. Mogła patrzeć bez strachu, bo wiedziała, jak wszystko się skończy. Równie obojętnie podchodziła do grozy w baśniach braci Grimm – czy chodziło o przyrodnie siostry Kopciuszką kaleczące sobie stopy, czy też o Rumpelsztyka rozdzierającego się na pół, gdy królowa odgadła jego imię.

Cynthia spojrzała na zegarek – siódma trzydzieści. Warren, który wybierał się na golfa, wstał już wcześniej, nie budząc jej. Narzuciła szlafrok i zeszła na dół. Warren właśnie wychodził. W widoku męża w stroju golfisty było coś, co wzruszało ją do łez, ale czego nie potrafiłaby sprecyzować. Swego czasu możliwość wejścia do klubu golfowego Caves Valley wiele znaczyła. Potem nie znaczyła już nic.

Warren też o tym wiedział. Przeżywał stratę równie głęboko jak ona. Nigdy nie wątpiła w jego żalobę, nigdy nie twierdziła, że jej ból jest większy. Ale tylko jedno z nich mogło wycofać się ze świata i mąż właśnie ją obdarzył tym przywilejem. Warren nadal pracował, a część jego pracy stanowiły właśnie gra w golfa w sobotnie poranki, wkładanie korkowych butów i radosnej maski prawnika, „oliwienie” znajomości, dzięki którym do jego firmy płynął strumień zleceń. Cynthia pierwsza odpowiedziałaby każdemu, kto ważyłby się pytać, że Warrenowi wcale nie jest lżej od niej.

Chodziło jednak o to, że nikt nie ważył się zapytać.

Jednak on czuł się winny, zostawiając ją w sobotnie poranki, i zawsze wyglądał na zakłopotanego. A przecież nie robił nic złego, zwłaszcza że w tę szczególną sobotę Cynthia chciała zostać sama. Woląca, żeby Warren nie było w pobliżu, gdy zadzwoni na policję.

Mogła tam zadzwonić dopiero za kilka godzin. Zbyt wczesny telefon byłby podejrzanym. Poczekala, aż lokalne dzienniki zaczną pokazywać zdjęcie, a potem zadzwoniła i udawała ignorancję, zachowywała się, jakby nie wiedziała albo nie

przywiązywała wagi do tego, kto prowadzi śledztwo.

Wczoraj w nocy ojciec Cynthii skontaktował się z sierżantem Lenhardtem. Sierżant o dwunastej nadal siedział w biurze, chociaż detektywów posłał już do domu, żeby wypoczęli przed czekającym ich długim dniem, pełnym przesłuchań i pracy w terenie. Potraktował Cynthię uprzejmie i z szacunkiem, była w końcu córką sędziego Poole'a, i zachęcił ją, by zadzwoniła bezpośrednio do detektywów.

– Do Nancy Porter albo Kevina Infante'a, który prowadzi sprawę – uściślił. – Ale jeśli pani woli porozmawiać z Nancy, to bardzo proszę.

– A dlaczego miałabym woleć porozmawiać z Nancy?

Oczywiście znała odpowiedź. Niektórych rzeczy nie da się zapomnieć. Ale ciekawiło ją, czy sierżant też wie. Cynthia zawsze starała się wy badać, ile wiedzą o niej inni ludzie; czuła wtedy takie dziwne przyciąganie-odpychanie, jakie plotkarz czuje w stosunku do innych plotkarzy. Bała się, że ludzie mogą rozmawiać na jej temat. Ale bała się również, że mogą nie rozmawiać.

– Nie wiem... – Sierżant zawiesił głos, dając Cynthii możliwość wyjaśnienia. Gdy nic nie powiedziała, dodał: – Ale o ile się orientuję, kobiety czasem wolą rozmawiać z innymi kobietami. Porter i Infante to dobrzy detektywi, na pewno wysłuchają pani.

– Dlaczego pan nie przekaze im tego, co panu powiedziałam? Dlaczego w ogóle muszę do nich dzwonić?

Nadeszła jego kolej, aby unikać odpowiedzi i czekać w ciszy. Mijały sekundy, a żadne z nich się nie odzywało. Sierżant w końcu przerwał tę ciszę.

– Jeśli pani zadzwoni do Nancy albo do detektywa Infante, otrzymają ślad, którym będą mogli podążyć. Gdyby dostali informację ode mnie, poczuliby się, jakbym ich pouczał.

„Prawie w porządku” – pomyślała Cynthia. Ale w rzeczywistości była to tylko połowa prawdy. Sierżant nie powiedział jej wszystkiego. Byli więc kwita, bo ona też nie powiedziała mu wszystkiego.

Usiadła więc w kuchni sobotnim rankiem i czekała, aż zegar wybije kolejną poranną godzinę, a *Śpiąca Królowna* podąży ścieżką swojego przeznaczenia – od wspaniałych narodzin do spotkania z wrzecionem i podobnego do śmierci snu, z którego zdoła ją obudzić tylko prawdziwa miłość. Wszystko słyszała, bo monitorowanie małej zamontowane w pokoju dziecinnym było cały czas włączone. Gdyby Tanika, przesiadująca na piętrze przy telefonie, pamiętała, żeby je włączyć tamtego dnia. Gdyby słysząc dzwoniący telefon, pamiętała, że w kuchni też jest aparat, i nie biegła na górę do pokoju Cynthii, by podnieść słuchawkę. Gdyby pamiętała, po której stronie drzwi zostawiła wózek, albo chociaż nie przysięgała później na niebiosa, że Olivia była w domu, za zamkniętymi drzwiami. Nieporadne kłamstwa Taniki, mające zasłonić jej błędy, spowolniły śledztwo i posłały detektywów w złym kierunku.

Cynthia zaparzyła dzbanek kawy i przelała ją do karafki na ceramicznej podstawie. „Włochy – pomyślała. – Nasz miesiąc miodowy”. Ilekroć wspominała Tanikę – rozciągniętą na jej łóżku ze swoim chłopakiem, zostawiającą czarne ślady butów na dywanie – zawsze kończyła na Włoszech i swoim miesiącu miodowym.

– Dlaczego jedziecie do Włoch? – pytali ich ludzie, a konkretnie przyjaciele jej rodziców. – Dlaczego nie na Hawaje? Albo na Jamajkę? Pojedźcie gdzieś, gdzie nie trzeba się tak męczyć. Dlaczego akurat Włochy?

– Ze względu na buty – odpowiedziała Cynthia.

Śmiali się, tak jak się spodziewała.

– Ale zobaczcie Rzym i oczywiście Wenecję, i Toskanię, jak będziecie mieli czas – radzili.

Cynthia kładła wtedy rękę na ramieniu takiego kierowanego dobrymi intencjami przewodnika i mówiła wolno i wyraźnie, jakby rozmówca miał kłopoty ze słuchem (część rzeczywiście miała):

– Tak, to wszystko bardzo miłe. Ale ja jadę po buty.

Oczywiście nikt jej nie wierzył. Nikt nie wierzył, że Cynthia jest tak prózna i skoncentrowana na sobie, jak uparcie twierdziła. I może rzeczywiście nie była. Bo jeśli nawet pojechali tam po buty, jak zapewniała wszystkich, skończyli na zwiedzaniu całego tego apenińskiego buta – od czubków palców aż po cholewę. Kierowali się przy tym zasadą: jedna rzecz dla Warrena, dwie rzeczy dla Cynthii. Na tej zasadzie opierało się ich małżeństwo. Działała bardzo dobrze aż do dnia, kiedy nic już nie działało, wyjąwszy inercję oraz wspólną żalobę, tak ciężką, że przyniotłaby każdego, kto niósłby ją samotnie.

We Włoszech – ku wielkiemu zaskoczeniu Cynthii – Warren okazał się obowiązkowym, sumiennym turystą. To był pierwszy niespodziewany okrucich wiedzy o nim zdobyty w trakcie małżeństwa i chociaż wcale nie nieprzyjemny, i tak zadziwiło ją, jak bardzo jest spostrzegawcza. Siebie widziała jako podróżnika-zdobycę, zgarniającego niemożliwie wielki łup z rozległych terenów, natomiast Warren, z przewodnikiem w rękę, niebezpiecznie zbliżał się do krawędzi nudziarstwa. Spoglądając wstecz, uświadomiła sobie, że powinna wtedy wiedzieć, że męczyzna odnoszący takie sukcesy i tak przystojny jak Warren powinien być trochę ostrzejszy. Ładna twarz i szerokie ramiona okazały się dosyć późnymi udoskonaleniami w życiu mola książkowego. Warren dorastał w Pittsburgu, przez astmę trzymany z dala od sportu, a przez samotną matkę o żelaznej woli z dala od ulic, które mogłyby go skusić jakimiś nieodpowiednimi zajęciami. Fascynacja Egiptem zrodziła jego podziw dla archeologii. Pomysłem Warrena na miesiąc miodowy – przedstawionym z nieśmiałością człowieka przyzwyczajonego do tego, że jego pomysły od razu się odrzuca – były wykopaliska w Ameryce Środkowej, gdzie płaci się za możliwość przesiewania kurzu w jakiejś niby-świątyni. Cynthia musiała sporo się napracować, żeby wybić mu to z głowy.

Nie mogła jednak odmówić Warrenowi spędzenia dnia w Pompejach. Nie towarzyszyła mu, została w hotelu i pisała podziękowania dla przyjaciół matki, którzy powiadomiliby sędziego i panią Poole, gdyby Cynthia ociągała się z wykonaniem tego zadania. Przejrzała też książki, które mąż przywiózł ze sobą. I żałowała tego do dziś. W jednej z nich zobaczyła ilustrację, o której nie potrafiła zapomnieć i która wracała do niej raz za razem. Zobaczyła ją, kiedy jej komórka rozdzwoniła się siedemnastego lipca siedem lat temu. I ostatniej nocy około dwudziestej drugiej dwie, gdy na ekranie telewizora pojawiła się twarz Brittany Little.

Dziwne, że w ogóle oglądała te wiadomości, przecież rodzina traktowała ją jak Śpiącą Królową, próbując chronić przed niebezpieczeństwem. Niemniej Cynthia zamiast wrzecion nie mogła oglądać zaginionych dzieci. Przez siedem lat chowano gazety i ściszano telewizor, aby nie dowiedziała się o kolejnym zaginionym lub zamordowanym dziecku.

Nikt nie rozumiał, że ona nie przejmuje się żadnym dzieckiem poza własnym.

Wreszcie nadeszła wybrana przez nią godzina – jedenasta rano. Wystukała numer i poprosiła o rozmowę z Nancy Porter. Pomyślała, że kiedy podała dziewczynie swoje nazwisko, w głosie policjantki pojawił się ton będący jakby zaproszeniem do rozmowy o ich wspólnej przeszłości. Jednak Cynthia zlekceważyła tę myśl i przeszła ku sprawom dnia dzisiejszego. Nancy Porter była dla niej nikim. Choć, z drugiej strony, usłyszawszy ją, poczuła się jakaś onieśmielona, czego nie potrafiła zrozumieć. Miała wrażenie, że detektyw zaraz może ją o coś oskarżyć.

– Jak może pani pamiętać, prawie siedem lat temu porwano mi córkę – powiedziała policjantce.

– Pamiętam tę sprawę – odparła lakonicznie Nancy Porter.

– Więc pewnie pani pamięta, że córki szukano kilka dni, zanim została... odnaleziona... – Cynthia urwała, nie chcąc wypowiadać tego słowa. Odnaleziona... martwa. Moje dziecko odnaleziono martwe. Do dziś nienawidziła tego mówić. I nie chodziło o grozę samego słowa, ale o jego prostotę. „Martwa” – to nie obejmowało wszystkiego, co przydarzyło się jej córce. Śmierć była jedynie końcem.

– Wiem – wyszeptała Nancy.

– One wróciły do domu, wie pani? Przed kilkoma tygodniami. Wróciły do południowo-zachodniego Baltimore, niecałe pięć kilometrów od miejsca, gdzie to się stało.

– Ma pani jakieś konkretne informacje łączące je z tą sprawą?

– Są w domu. Co więcej musi pani wiedzieć?

– Tak, ale... pod wieloma względami oba zaginięcia... bardzo się różnią.

Pani dziecko było niemowlęciem, a to już uczy się chodzić. Pani córkę zabrano pod wpływem impulsu, tutaj wygląda to na zaplanowane działanie. Została przebrana...

– Chce pani podobieństw? Proszę bardzo. Ta dziewczynka, którą zabrano...
– Próbowała przypomnieć sobie imię.

– Brittany Little.

– Tak, Brittany Little. No więc Brittany Little ma długie kręcone włosy i skórę koloru kawy z mlekiem. Brittany Little bardzo przypomina moją trzylatkę, która właśnie siedzi koło mnie. Ale nie mogę powstrzymać się od myśli, że mogło być inaczej, gdyby te dziewczyny nie okazały się tak nieudolne.

– Ma pani drugą córkę? – W głosie detektyw usłyszała zaskoczenie, niemal oszołomienie.

– Tak. I chciałabym, żeby ta córka przeżyła. Chciałabym też, żeby przeżyła Brittany Little – dodała o ułamek sekundy za późno. Oczywiście, że chce, by tę dziewczynkę odnaleziono całą i zdrową. Nie chce, żeby komukolwiek przytrafiło się to, co jej.

Ale przede wszystkim chciała, żeby Alice Manning i Ronnie Fuller wreszcie spotkała odpowiednia kara.

– Czy one wiedzą o tym nowym dziecku? Czy w jakikolwiek sposób groziły pani rodzinie albo próbowały się z panią skontaktować?

– To nie pora na pytania! – Cynthia całkiem straciła cierpliwość i na krótką chwilę stała się kobietą, jaką była kiedyś: władcą, niedopuszczającą sprzeciwu, przyzwyczajoną, że wszyscy wykonują jej polecenia. – I proszę nie gadać głupot. Czy pani wie, dlaczego one robią to, co robią? Kto się w ogóle przejmuje ich motywami? Poprzednim razem czekały, pamięta pani? Czekały cztery dni. Jeśli aresztuje je pani teraz, nie zrobią tego, co zrobiły wtedy. Nie zabiją następnego dziecka.

– Pani Barnes...

– Pani z nimi porozmawia. – To zabrzmiało równocześnie jak pytanie i rozkaz.

– Nie mam uprawnień, aby rozmawiać o śledztwie z osobami postronnymi.

– Pani z nimi porozmawia. – Tym razem Cynthia nie pozwoliła, by do jej głosu wkradła się niepewność.

– Tak – odparła Nancy niemal szeptem. – Oczywiście, że z nimi porozmawiamy.

Cynthia Barnes odłożyła słuchawkę i wypila kolejną filiżankę kawy. Zerknęła na podstawkę i przeniosła się myślami do Włoch. Jak Włochy, to Pompeje, a z Pompejów zawsze wracała do miejsca, w którym skończył się świat – na Oliver Street we wschodnim Baltimore, siedemnastego lipca siedem lat temu.

Trafiła do wschodniego Baltimore przez lubiącego maskarady burmistrza.

Wtedy założył kombinezon śmieciarza i pojechał z ekipą sprzątającą do jednej z tych dzielnic, których mieszkańcy stale narzekali, że ratusz ich zaniedbuje. W zwyczajnych okolicznościach Cynthia w ogóle by się tam nie pojawiła, ale za burmistrzem jeździł reporter spoza miasta, dlatego chciała mieć wszystko na oku.

Podczas gdy ona niańczyła burmistrza, Tanika, dziewiętnastoletnia studentka z Coppin, niańczyła Olivię. Pracowała dla rodziny Barnesów od miesiąca. Obowiązkowa i nudna, wyglądała na dziewczynę, która nie interesuje się chłopakami, a mówiąc ściślej, na taką, którą chłopcy się nie interesują. Kto mógł wiedzieć, że już ma chłopaka, takiego na pół gangstera, z którym nie mogła widywać się w domu, więc wydzwaniał do niej do Barnesów o każdej porze dnia i nocy. Kto mógł przewidzieć, że zadzwoni akurat w chwili, gdy Tanika wyprowadzi wózek z Olivią przed dom, i że ona pobiegnie na górę odebrać telefon, sądząc, że zajmie jej to nie więcej niż minutę? I kto by przypuszczał, że potem, przerażona, że surowy ojciec dowie się o jej nieposłuszeństwie, straci dziewięćdziesiąt cennych minut na samodzielne poszukiwania podopiecznej? Zmarnowała półtorej godziny, zanim odważyła się zadzwonić na komórkę Cynthii. Przepadło dziewięćdziesiąt minut, potem cztery dni, aż wreszcie całe życie.

Ale siedem lat temu na rogu ulic Oliver i Montford Cynthia nic o tym nie wiedziała. Wiedziała tylko, że dzwoni do niej niania, próbując przekazać nieprawdopodobną wiadomość, że Olivia zaginęła. Cynthia początkowo walczyła, przekonana, że może coś zrobić – i wtedy przypomniała sobie obrazek z książki Warrena, ten, który sprawił, że ścisnęło ją w dołku. Zdjęcie psa przywiązanego do słupka, zastygłego w chwili swojej walki. Rzucił się, walcząc z roztopioną lawą, bo ogromnie pragnął żyć. Z jakiegoś powodu pies wydawał się bardziej świadomy swojego losu niż wszyscy mieszkańcy Pompejów razem wzięci. Oni stali spokojnie. Pies walczył.

– Coś nie tak? – zapytała praktykantka, wesola dziewczyna nazwiskiem Lisa Bell, która tak bardzo naśladowała swoją szefową, że zaczęto ją nazywać Cynthietą albo po prostu Małą Cynthią. – Cynthia, co się stało?

Fotograf, który towarzyszył reporterowi, zrobił burmistrzowi zdjęcie dokładnie w chwili, gdy Cynthia wyłączała komórkę. Na tym zdjęciu widać, jak uśmiechnięty szeroko burmistrz podnosi kosz z tyłu śmieciarki. Ale jeśli przyjrzeć się uważniej, w tle można dostrzec też Cynthię – zakonserwowaną w popiele jak ten pies z Pompejów.

Teraz, w lipcowy poranek, pierwszy raz od bardzo długiego czasu naprawdę poczuła, że żyje. Nawet Rosalind wywijająca fikołki na obrazie z USG nie zdołała obudzić w niej tyle sił witalnych. Alice Manning i Ronnie Fuller jeszcze z nią nie skończyły? W porządku, ona też dopiero zaczęła działać.

Helen Manning dopiero wstała, kiedy detektywi pojawili się pod jej drzwiami. Poznała, że to detektywi po sposobie, w jaki się przedstawili. Mocniej związała szlafrok, chociaż pasek już był dość mocno ściśnięty. To nie negliż sprawiał, że czuła się zawstydzona, stojąc przed śniadym mężczyzną i jasnowłosą dziewczyną o rumianych policzkach. Miała dziwne wrażenie, że potrafią przejrzeć ją na wylot, dostrzec wszystkie błędy, jakie popełniła. Kiedy śliska jedwabna szarfa wrzynała się jej w talię, uświadomiła sobie, że nie jest tym wszystkim zaskoczona. Trwało to całe lata, ale wreszcie stało się, co się miało stać.

– Nazywam się Kevin Infante – przedstawił się detektyw. Miał urodę śródziemnomorskiego przystojniaka, kiedyś ulubiony typ Helen. Przyłapała się, że gładzi włosy i przesuwa palcami po karku, jakby mogła zmasać te drobne kreseczki, które się tam pojawiły. – A to moja partnerka Nancy Porter.

– Chcieliśmy porozmawiać z pani... z Alice Manning – oznajmiła dziewczyna. Była pulchna, ale zarazem taka, jaka zawsze chciała być Alice: niegroźna, możliwa do zaakceptowania, lubiana. Panna Milutka. Sekretarz klasy, lecz nigdy przewodnicząca. Alice pewnie wciąż pragnie właśnie czegoś takiego. Biedactwo.

– Nie ma jej. Ona... wyszła.

– Wie pani, gdzie teraz jest albo kiedy wróci do domu?

– A mogę zapytać, o co chodzi? – Głos Helen nieco zaskrzeczał.

– Po prostu chcemy z nią porozmawiać – powtórzyła detektyw stanowczym tonem. – Nic poza tym.

– Myślę, że poszła na spacer.

– Na spacer?

– Dużo spaceruje. – „Boże – pomyślała – z tymi rozczochranymi włosami i w tym dekadencckim szlafroku muszę wyglądać jak jakaś burdelmama ze starego lupanaru w Storeyville. Brakuje tylko nagiego do pasa mężczyzny za kuchennym stołem, pachnącego seksem i wołającego o śniadanie”.

– Czy ona ma komórkę? Albo jakąś pracę, w której możemy ją znaleźć?

– Wie pani, namawiałam ją, żeby znalazła sobie pracę. – Helen poczuła ulgę, mogąc wyjawic tę drobną prawdę. – Mówi, że czegoś szuka. Pewnie dzisiaj właśnie to robi.

– Wie pani gdzie?

– No, nie wiem. – Helen próbowała sobie przypomnieć przebieg ich rozmowy na ten temat. – Nie w spożywczym, bo tam są związki. I nie w sklepie całodobowym. Tam jest niebezpiecznie. Nie chciałby pan chyba, żeby pańska córka pracowała w sklepie całodobowym?

Uświadomiła sobie, że flirtuje, prowokuje detektywa, by jej powiedział, że

nie ma córki i w ogóle nie jest żonaty. Może zapisze jej na wizytówce swój numer domowy albo z udawaną nonszalancją spyta, czy pan Manning jest w domu.

Ale to dziewczyna wyciągnęła wizytówkę i podała ją Helen.

– Może pani do nas zadzwonić, jak córka wróci do domu? Po prostu musimy z nią porozmawiać. Nic formalnego. To może mieć więcej wspólnego z którymś z jej przyjaciół niż z nią samą.

– Alice ma jakiegoś przyjaciela? – Helen nie mogła znieść tego tonu idiotki w swoim głosie, tej odbijającej się echem głupiej częstotliwości, jakby była kimś w rodzaju Judy Holliday. Nigdy tak nie mówiła, nigdy. – Jeśli tak, to zachowuje to tylko dla siebie.

– Kiedy córka wraca do domu? – zapytała policjantka.

Aż do tej chwili Helen próbowała uchwycić się myśli, że to tylko przypadek, że nie ma żadnego związku między teraźniejszością a przeszłością. „Alice, do cholery” – pomyślała, nagle wściekła na córkę. Dziewczyna mogła zacząć wszystko od nowa, dostała drugą szansę, nawet trzecią. Ale ona woli karać matkę, niż korzystać z tych sposobności.

– A ostatniej nocy? – naciskała młoda kobieta. – O której wróciła do domu ostatniej nocy?

– Chyba nie muszę odpowiadać?

– Nie – przyznała detektyw. – Ale dlaczego miałyby pani tego nie zrobić?

– Myślę, że powodów by nie zabrakło – odparła Helen. – Na przykład wciąż mi pani nie powiedziała, o co chodzi.

– Bo nam naprawdę o nic nie chodzi. Zajmujemy się pewną sprawą i pani córka może nam pomóc. To wszystko.

Przypomniała sobie, że oni są z policji, a gliny nigdy nie mówią niczego wprost. Wyrażają się taktownie, z rezerwą, utrzymując, że właśnie ty jesteś tym-który-musi-się-dowiedzieć, nawet gdy zaczynają niszczyć ci życie. „Pani Manning, czy pani to rozpoznaje? Czy pani widziała to już wcześniej?” Pytanie padło, zanim zdołała się skupić na słowie „to”. Tamten detektyw był średniego wzrostu, średniej tuszy i śmierdział tytoniem. Nie chciała patrzeć na to coś w torebce i naprawdę chciała zaprzeczyć, ale wiedziała, że nie może.

Bo na spodzie metalowego pudełka były imię i nazwisko Alice napisane fioletowym flamastrem. Alice podpisywała wszystko: zabawki, książki, notatniki. Kiedyś nawet wydrapała swoje inicjały z tyłu małego zamykanego medalionu z wygrawerowanym imieniem.

– Tam jest Alice, nie Alice Manning – wyjaśniła matce Helen – więc jakaś inna Alice mogłaby go zabrać.

Tak bardzo się martwiła wszystkimi innymi dziewczynkami o imieniu Alice, fantomami chcącymi ukraść jej własność. Pisała pełne imię i nazwisko na wszystkim, co mogła, czasem nawet z nielubianym drugim imieniem. Alice Lucille

Manning, Alice Lucille Manning, Alice Lucille Manning, Alice Lucille Manning.

– Czy dałaś mi to imię po Lucille Ball? – zapytała kiedyś.

– Nie, po matce mojej matki – odparła Helen.

– Och. – Alice była wyraźnie rozczarowana. – Ale chyba mogę mówić innym, że dostałam imię po Lucille Ball, tak jakby była daleką kuzynką?

Detektywi przyszli bez żadnego nakazu. Może to naprawdę zwykły zbieg okoliczności, może Alice widziała wypadek drogowy albo jakiś rabunek. Nic poza tym.

– Nie wiem, kiedy córka wróci – powiedziała im. – Ale zawsze jest na kolacji. Zwłaszcza w sobotę. W sobotę jemy pizzę.

W spojrzeniu policjantki dostrzegła isierkę współczucia. Nie miała nic przeciwko temu. Zasłużyła przynajmniej na współczucie.

Południowe słońce oślepiało, odbijając się od parkingu przy Westview, dlatego Ronnie zauważyła mężczyznę i kobietę idących do sklepu z bajglami, dopiero gdy weszli do środka. Ale kiedy tylko ich zobaczyła, wiedziała, że to jacyś urzędnicy, którzy przybyli tu służbowo. Kontrola sanitarna? Nie w sobotę i nie z pistoletami przy pasach. Ochrona centrum handlowego? Ochroniarze noszą mundury i nie chodzą parami. Nie, to są gliny.

– Ronnie Fuller? – zapytała kobieta. Wyglądała jakoś znajomo, chociaż Ronnie jej nie kojarzyła. Może po prostu miała taką twarz.

– Tak.

– Chcielibyśmy z tobą porozmawiać.

Ronnie wiedziała, że Clarice słucha, chociaż jest odwrócona plecami.

– Za pięć minut będę miała przerwę. Porozmawiam z państwem na zewnątrz. Czy to może poczekać?

– Jasne.

Policjanci nie wyszli na zewnątrz. Wyjęli dwa napoje z chłodziarki i usiedli przy jednym z okrągłych stolików, zwrócieni w stronę Ronnie. Rozmawiali, ale jedno z nich zawsze patrzyło na nią, a czasem oboje. W dodatku Clarice zerkała raz po raz w jej stronę. Ronnie ledwo panowała nad nerwami. Dawno nie patrzyło na nią tyle osób naraz.

Pięć minut mijało wolno, co uznała za dziwne. Nie chciała rozmawiać z policjantami, więc minutowa wskazówka na dużym zegarze z logo Coca-Coli powinna błyskawicznie przeskoczyć pięć kresek. Jednak czas się włókł. Obsłużyła kilka klientek, same nastolatki. Chwileczkę, ona też jest nastolatką. Czasem o tym zapominała. Czuła się, jakby miała więcej wspólnego z Clarice niż z dziewczynami po drugiej stronie lady. I ona, i menadżerka miały krzywe paluchy u stóp, czego nabawiły się od ciągłego stania. Pod koniec dnia obie też narzekały na obolałe nogi.

– Możesz iść na przerwę – oznajmiła wreszcie Clarice. – Ja zajmę się kasą.

Jej brązowe oczy chciały powiedzieć coś jeszcze, tylko co? Czy jest rozczarowana Ronnie, bo przyszli z nią porozmawiać jacyś policjanci? Poczwałyby jeszcze większy zawód, gdyby знаła jej przeszłość. Czy pozwoliłaby Ronnie dalej tu pracować? Pewnie nie. A nawet jeśli, nie byłaby już jej przyjaciółką. Traktowałaby ją z uprzejmym dystansem, tak jak klientów. Kiedy przed ladą stanęły nastolatki, rozchichotane i ciągle zmieniające zamówienia, Ronnie czuła, że Clarice jest im niechętna. „Białe, głupie egoistki”. Chybaby umarła, gdyby Clarice traktowała ją tak samo.

Ale gdyby Clarice dowiedziała się o Olivii Barnes, mogłaby uznać, że Ronnie jest jedną z tych białych, co nienawidzą czarnych. Kolejne kłamstwo rozprowadane przez matkę Maddy. Ze wszystkich rzeczy, które zrobiła i o które ją oskarżano, ten jeden szczegół pozostał niezmiernie bolesny. Wypowiedziała jedno słowo, straszne słowo, którego nie da się już cofnąć. Właśnie dlatego większość ludzi bardziej wierzyło Alice. Ona nigdy nie powiedziała tego straszego słowa.

– Muszę pójść na zaplecze – oznajmiła detektywom – i zostawić fartuch. Nie wolno nam ich nosić na przerwie. Chodzi o higienę.

Clarice rzuciła jej zdumione spojrzenie, słysząc to kłamstwo, ale Ronnie o to nie dbała. Przepchnęła się do kuchni, gdzie O’lene przyglądała się piekarnikom.

– Hej, Ronnie, mam upiec coś nowego czy wystarczy nam do trzeciej to, co mamy? – zapytała.

– Wystarczy to, co mamy – odparła Ronnie. Złożyła fartuch, położyła na jednym z pudełek i otworzyła drzwi na zapleczu, przez które przynoszono zaopatrzenie.

– Hej, co do...

Ale była już poza zasięgiem głosu O’lene, biegła na oślep w stronę trasy numer 40. Nie wiedziała, dokąd uciekać ani co w ogóle robić. Jedyne, co wiedziała, to że gdy po ciebie przychodzą, robią to z konkretnym zamiarem. Dlatego równie dobrze można uciec i pozostać wolnym jeszcze kilka godzin. Równie dobrze można uciec.

Dochodziła osiemnasta, kiedy Alice weszła do domu, gwałtownie mrugając. Helen nie aprobowała klimatyzacji. Właśnie tak mówiła – „aprobować”, jakby chodziło o jakąś ideę czy zwyczaj. Latem w domu panował półmrok, bo zaszuwała wszystkie zasłony. W salonie było zdumiewająco przyjemnie, jednak Alice nie lubiła nagłych zmian oświetlenia. Naprawdę czuła, jak rozszerzają się jej źrenice, gdy desperacko starała się uchwycić tyle światła, by cokolwiek widzieć w ciemnym pokoju.

Helen siedziała w starym bujanym fotelu wygrzebanym w jakimś sklepie Armii Zbawienia. Uwielbiała ten fotel z kwiecistym obiciem.

– Jak byłem w twoim wieku, miałam z tego sukienki – mówiła córce.

Teraz siedziała w fotelu, wciąż w szlafroku, chociaż była już prawie pora

kolacji.

- Szukali cię jacyś ludzie.
- Jacy ludzie?
- Detektywi z policji.
- Czego chcieli?
- Chcieli z tobą rozmawiać.
- Dlaczego?
- Nie powiedzieli. Może ty mi powiesz?
- Jak mam powiedzieć, skoro nie wiem?
- Na pewno nie wiesz?
- Jasne, że nie.

Alice usiadła na sofie, zdjęła buty i obejrzała pięty. Używała specjalnego kremu, ale ciągle były popękane od tego włożenia się, jak nazywała w myślach swoje spacerowanie. Chciałyby znać kogoś poza Helen, kto by ją zapytał, co robiła, bo wtedy mogłyby odpowiedzieć: „Ja? Cóż, włożyłam się”. To brzmiało romantycznie.

- Ja nie chcę jeszcze raz przez to przechodzić.
- Przez co?
- Dobrze wiesz.

Alice wiedziała, ale chciała, żeby Helen wypowiedziała te słowa.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.
- Alice, dziecinko.
- Nie nazywaj mnie dziecinką.
- Jesteś moją dziecinką. Jedną jedyną. I zawsze będziesz.
- Jasne. – Alice zaśmiała się krótko. – Jasne.
- Dlaczego policja chce z tobą rozmawiać?
- Mówiłam ci: nie wiem. Ale domyślam się, że jest sposób, aby się dowiedzieć.

Podniosła dłoń i nagle ogarnęło ją potworne zmęczenie. Jeszcze przed paroma minutami była pełna energii mimo długiego dnia włożęgi. Myślała o swojej wieczornej sobotniej pizzy, zamówionej, jak nalegała Helen, w jednym z wyszukanych miejsc, gdzie podają ją z takimi dodatkami, jak krewetki, drobiowe fajitas, a nawet gołąbki z liści winogron. Alice wystarczyłaby zwykła pizza z serem z Domino's.

Helen wpatrywała się w wyciągniętą ku niej rękę.

- Zostawili ci wizytówkę, prawda? – powiedziała Alice. – Daj mi ją.

Helen wyłowila wizytówkę z kieszeni szlafroka i wręczyła córce. Nancy Porter. Wydział Zabójstw Policji Hrabstwa Baltimore.

- Zadzwonisz? – zapytała, jakby Alice była dorosłą kobietą, która sama podejmuje decyzje.

– Po kolacji. Dzisiaj jemy pizzę, pamiętasz?

– O tej porze mogą być już w domu.

– To zadzwonię w poniedziałek.

– Ale...

– Jeśli to dla nich ważne, wrócą – rzuciła Alice i poszła do kuchni wyjąć ulotkę z menu, spod lodówkowego magnesu z podobizną Glindy, Dobrej Wróżki z Północy. Znała to menu i numer telefonu na pamięć, ale lubiła je studiować przed złożeniem zamówienia, na wypadek gdyby postanowiła spróbować czegoś innego niż zazwyczaj. – Oni zawsze wracają.

Nancy i Kevin pracowicie spędzili popołudnie – odwiedzili większość sklepów w centrum handlowym, szukając kogoś, kto sprzedał nożyczki albo ubranko dla małego dziecka. Wszyscy sprzedawcy starali się być pomocni, ale na nic się nie przydali. Nikt niczego nie zauważył, nikt nie widział ani zaginionej dziewczynki, ani żadnej podejrzanego osoby.

Nancy i Kevin mieli poczucie, że sumiennie wykonali swoją pracę. No, prawie. Uciezka Ronnie właściwie równała się przyznaniu do winy. Dziewczyna coś ukrywała i powie im co, kiedy ją odnajdą. Bo odnajdą. Nastolatka pracująca w sklepie z bajglami i mieszkająca z rodzicami nie mogła długo się ukrywać. Ronnie nawet nie umiała prowadzić samochodu – dowiedzieli się tego od jej matki, kobiety nie tyle bladej, ile spłowiałej i zniszczonej jak lalka, która zbyt długo leżała na zewnątrz. Ronnie nie miała chłopaka ani żadnych przyjaciół, cały czas. Tak właśnie powiedziała jej matka, siedząc przy kuchennym stole z głową pochyloną ze wstydu: „Nie ma chłopaka. Nie ma przyjaciół. Cały czas”.

Ale co, jeśli czas ma tu znaczenie? Nawet jeśli ich klient był już trupem – określenie ze złotej myśli Lenhardta o ich pracy: „Twój trup to nasz klient” – to czas się liczył. A jeśli dziewczynkę trzymano żywą, tak jak Olivie Barnes, czas jest zarówno wrogiem, jak i sprzymierzeńcem, zachętą i oszustwem.

– Wiesz, co byłoby najgorsze? – spytała Nancy, jakby Kevin słyszał jej wcześniejsze myśli.

Infante od razu zrozumiał, o co chodzi, jak zawodowy tancerz przyzwyczajony do tego, aby nadążać za zmianami kroku partnera.

– Gdyby wcześniej przez jakiś czas była żywa, ale teraz już nie żyła... – stwierdził. – To znaczy, gdyby miała zostać odnaleziona martwa, to lepiej już, żeby była martwa cały czas, od piątkowego wieczoru. Inaczej to byłaby dla nas maksymalna wpadka. Ludzie by nas rozliczyli, a z ich perspektywy wszystko, co zrobiliśmy, i tak byłoby złe. Samo rozwiązanie sprawy nie miałoby żadnego znaczenia.

– Bo przecież nie miałyby znaczenia.

– Chciałem tylko powiedzieć, że ja myślę, że ona nie żyje.

– A ja sama nie wiem, co myśleć. To nie ma sensu. Obcięcie włosów i zmiana ubrania sugeruje celowe wprowadzenie. Ale jest też ten zakrwawiony podkoszulek.

– Tyle że nie jej krwią.

– To nie wygląda na coś, co one mogłyby zrobić. To znaczy tamte dziewczynki. To nie jest podobne do tego, co zrobiły.

– Masz rację. Znasz je, prawda? – spytał Infante tonem, jakiego mógłby użyć w trakcie przesłuchania. Nancy zastanawiała się, co Lenhardt powiedział mu

ostatniego wieczoru w męskiej toalecie. Usłyszała, że Infante chce pracować nad tą sprawą, bo Jeffries jest zajęty. Ale przecież Jeffries nie był zbyt dobrym gliną. Teraz, gdy został mu rok do emerytury, przypominał mebel, który wyszedł z mody i przestawiany jest z kąta w kąt, bo szkoda go wyrzucić. Potrafiła uwierzyć, że Lenhardt nie chciał, by Jeffries zajął się tą sprawą. Potrafiła uwierzyć, prawie miała pewność. Nancy wiedziała jednak, bo sierżant stale jej o tym przypominał, że rzeczy wiarygodne wcale nie muszą być prawdziwe. Przecież w swojej pracy codziennie obalali wiarygodne wersje wydarzeń.

– Nie mogę powiedzieć, że je znam – odparła, starannie dobierając słowa. Przed dzisiejszym dniem nigdy nie rozmawiała z Ronnie Fuller, Alice Manning zaś wciąż pozostawała tylko twarzą, która mignęła jej w sądzie dawno temu. W jej życiu wplątało się „dzieło” obu dziewczynek jako dowód ich zbrodni, ale nie one same. – Miałam pewien związek ze sprawą Olivii Barnes, więc to raczej zbieg okoliczności, że zajmuję się tym śledztwem?

Dawała Infante’owi szansę, by zaprzeczył, powiedział, że sierżant nie przesunął ich w kolejce do spraw z jakiegoś konkretnego powodu.

– Nie wiem. Gdy jakiś czas pracujesz w policji, to z niektórymi osobami masz do czynienia więcej niż raz, nawet jeśli zmieniasz rewir. Tak jak Lenhardt przy sprawie Epsteina.

– Tak... – Nancy nie miała pojęcia, do czego odnosi się Infante. Nie wahała się pytać, kiedy czegoś nie wiedziała, ale zauważyła też, że wiele można wywnioskować z kontekstu, o ile ma się dość cierpliwości. Sprawa Epsteina. Na razie zostawiła to w spokoju, i tak w końcu pozna całą historię.

Byli na obwodnicy, kończąc długi, gruntowny objazd miasta, i wracali do komendy. Olbrzymia przestrzeń hrabstwa wciąż wprawiała Nancy w zdumienie. Sama tylko jazda samochodem stanowiła jedną trzecią jej wszystkich nadgodzin w ciągu roku. Niektórzy mówili, że hrabstwo ma kształt klucza do śrub, a Baltimore to uchwyt. Jej zdaniem wyglądało jak smarki zwisające z Pensylwanii.

– Tak dużo przestrzeni i tak mało przestępstw – stwierdził kiedyś Lenhardt, a w jego głosie brzmiała tęsknota za gęstym od zbrodni obszarem miasta. W hrabstwie powinno być łatwiej o kryjówkę. Ale Ronnie przecież go nie znała. Pochodziła z miasta, a jedynym miejscem, z jakim miała do czynienia przez ostatnich kilka lat, był zakład poprawczy dla nieletnich.

Wszystko, co miała Ronnie, to pięć minut przewagi, ale na razie to wystarczało. Potrzebowali właśnie pięciu minut, aby dojść do wniosku, że dziewczyna jednak nie zamierza wrócić z kuchni, że nie wiesza fartucha, nie poszła do łazienki ani się nie czesze. O’lene, która pracowała przy piekarnikach, po prostu wzruszyła chudymi ramionami i stwierdziła, że niczego nie zauważyła. Szefowa zmiany, Clarice, starała się pomóc tak mało, jak tylko mogła. Na odległość dawało się wyczuć jej niechęć do Nancy i Kevina. Czarna kobieta w średnim wieku

mieszkająca i pracująca w południowo-zachodnim Baltimore w żadnych okolicznościach nie kochałaby policji, ale antypatia Clarice wydawała się osobista. Nancy miała wrażenie, że ta kobieta nie chce, by ktokolwiek rozmawiał z Ronnie, zanim ona sama tego nie zrobi.

Ale właśnie ona, choć nie celowo, powiedziała im to, czego chcieli się dowiedzieć: w piątek, dzień zniknięcia Brittany Little, Ronnie wyszła ze sklepu o piętnastej trzydzieści. To oznaczało, że znajdowała się kilkaset metrów od Value City kilka godzin przed doniesieniem o zaginięciu Brittany.

– Matka Brittany zadzwoniła na policję około szóstej trzydzieści – powiedział Infante. – Ronnie Fuller miałyby więc trzy godziny na przejście przez parking, kupienie wszystkiego, czego potrzebowała, a potem wybranie ofiary.

– Ale przecież to nie miałoby sensu, gdyby chodziło jej o młodszą siostrę dziewczynki, którą zabiła siedem lat temu. Jeśli Cynthia Barnes ma rację, pomyłono tożsamość. A Ronnie wie, jak wygląda Cynthia i jej mąż. Gdyby widziała Brittany razem z jej prawdziwą matką, toby się nie pomyliła.

– Może myślała, że ta kobieta jest opiekunką albo kimś w tym rodzaju. Wiesz, ta Maveen Little ma dar przekonywania, nawet jeśli jest głupia. Jej zeznania były spójne, przynajmniej gdy rozmawialiśmy z nią wczoraj. Nancy, spotykałaś się kiedyś z czarnym facetem?

Teraz to ona musiała nadażyć za biegiem myśli Kevina.

– To, że jej facet i ojciec jej dziecka jest czarny, nie znaczy, że umawia się tylko z czarnymi.

– Mogę się założyć, że tak robi. Jest pewien typ kobiet, cały czas się je spotyka, zwłaszcza w południowym i południowo-zachodnim Baltimore. O co chodzi białym laskom umawiającym się wyłącznie z czarnymi? Nie kapuję tego.

– Nie wiem.

– A spotykałaś się kiedyś z czarnym facetem?

– Jestem z Andym od liceum. Z nikim innym się nie spotykałam.

– A spotykałybyś się? Z kimś takim jak... Denzel Washington? Spotykałybyś się z nim? To znaczy nie z nim, bo, do diabła, sam bym na niego poleciał ze względu na jego gigantyczną kasę i przystojny wygląd. Ale powiedzmy, że jest facet, na przykład w wydziale do spraw kradzieży samochodów, atrakcyjny, miły i z dobrym podejściem do kobiet. Umówiłabyś się z nim?

– Jestem mężatką, pamiętasz?

– A gdybyś nie była? No, Nancy, puść wodze fantazji. Umówiłabyś się z czarnym facetem w takich okolicznościach?

– Jasne. – Wcale tak nie sądziła, ale również nie wykluczała takiej możliwości. Po prostu wołała blondynów w stylu polskich chłopców, takich jak tata.

– Ja bym się chętnie umówił z czarną dziewczyną.

– Myślałem, że gustujesz w rudych.

– Jestem... hm... wszechstronny.

Nancy nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Rozbrajająca szczerość Infante'a, kiedy mówił o swoich słabościach, sprawiała, że łatwo się je wybaczało. Nie udawał nikogo innego, niż naprawdę był.

Chciałaby móc tak powiedzieć o sobie.

Kiedy wrócili do biura, słońce już zachodziło. Najdłuższy dzień w roku nadszedł i minął, ale dni wciąż jeszcze były długie, a sprawa taka jak ta nie zapewniała żadnych naturalnych przestojów. Czasem powrót do domu stanowił wręcz formę zdyscyplinowania się, przyznania, że jest się tylko człowiekiem, który potrzebuje snu i jedzenia. Ale kto porzuca pracę, a zwłaszcza śpi, kiedy trwają poszukiwania zaginionej dziewczynki? Tego ranka ogłoszono Żółty Alarm. Komisarz zapowiedział, że jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin nie znajdą żadnych solidnych śladów, nakaże rozpoczęcie regularnego przeszukiwania. Jedyne problem polegał na tym, gdzie szukać, jaką siatkę przeczesywania terenu ustalić? Okolice centrum handlowego czy domu Ronnie Fuller?

A może miejsce dawnego przestępstwa – tam gdzie została zabita Olivia Barnes?

„Leakin Park” – dręczył Nancy wewnętrzny głos. „Będziesz musiała wrócić do Leakin Park”. To był spokojny, beznamiętny głos i słyszała go coraz częściej, w miarę jak awansowała w policji. Sądziła, że to głos jej samej, starszej i mądrzejszej, odzywający się z przyszłości. Chwilami chciała, żeby powiedział jej wszystko, co wie. A czasami po prostu pragnęła, żeby ucichł, zostawił ją w spokoju.

Zresztą Kurczakowej Chatki na pewno od dawna nie ma. Już siedem lat temu się waliła, a projekt przeprowadzenia tamtędy drogi mógł oznaczać jej koniec. Albo rodzina Barnesów postarała się, żeby domek rozjechały buldożery. To smutne miejsce nie było pomnikiem, jakiego ktoś by chciał dla swojego dziecka.

Odezwał się pager Infante'a. Kevin zerknął na wyświetlacz.

– Dziwne – powiedział – ktoś dzwoni z wnętrza budynku, z centralki.

Weszli do holu, a recepcjonista uniósł wzrok, w ogóle niezaskoczony pojawieniem się obojga detektywów ledwie kilka sekund po wezwaniu.

– Te panie przyszły do was – oznajmił przez otwór w pleksiglasie.

Kevin i Nancy zobaczyli, że dwie kobiety siedzące w holu to Helen Manning, która wyglądała inaczej w zwykłym ubraniu, oraz wysoka, monstrualnie gruba dziewczyna w różowym podkoszulku i legginsach pokrytych barwnym nadrukiem, zmuszonych do tego, by w pełni udowodnić swoją elastyczność.

– Jestem Alice – przedstawiła się grubaska – i chcę państwu pomóc, na ile tylko zdołam.

Mira Jenkins siedziała w śródmiejskiej redakcji „Beacon-Light”, próbując znaleźć jakiś temat akurat wtedy, kiedy dzienniki postanowiły, że wolą, aby nic się nie działo. Na cotygodniową nocną zmianę przyszła jak zwykle zdeterminowana, gotowa nalać choćby z próżnego, byle znaleźć coś na nagłówek jutrzejszego wydania. Dzienny reporter do spraw kryminalnych miał, ku jej zazdrości, znakomite wyniki: przesiał całonocny zbiór mniej poważnych morderstw i śmiertelnych wypadków samochodowych, a potem zmienił je w krótkie notki. Mirze zostało tylko sprawdzenie tych, którzy nie byli na tyle mili, aby umrzeć do piątej po południu.

Teraz, też przed dziesiątą, nie mogła wyjść z redakcji z żadnego powodu mniej ważnego niż miejska wojna światowa – czyli wielokrotne morderstwa w złej dzielnicy albo jedno w dobrej – ponieważ redaktor odpowiedzialny z nocnej zmiany nie mógł zatwierdzić nadgodzin ani wstrzymać druku bez pozwolenia redaktora prowadzącego. Poza tym musiała jeszcze obejrzyć wieczorne wiadomości o dziesiątej i jedenastej, bo jedyna rzecz, w której stacje telewizyjne są lepsze od gazet, to nawał historii płynących z anteny.

Ale nawet to nie gwarantowało znalezienia dobrego tematu. W niektóre weekendy redaktor mógł darować sobie nawet newsy w rodzaju narodzin wieloraczków. Bywały jednak sobotnie noce, kiedy Mirę wysyłano w koszmarną okolicę do nieciekawej sprawy, gdzie nawet nie było trupów, ale musiała tam jechać dlatego, że wzrok naczelnego przykuł jakiś przelotny obraz na wideo.

Najważniejszym przywilejem Miry, przynajmniej tak ją informowano, kiedy zaczynała pracę na sobotniej zmianie, była przerwa na kolację o ósmej. Nocny redaktor, który w innych wypadkach trzymał ją na krótkiej smyczy, wychodził ze skóry, żeby zgodziła się na ten rutynowy posiłek.

– Możesz wybierać – oznajmił, rozkładając ulotki z restauracji. – Chińszczyzna, pizza, japońskie jedzenie.

– Dlaczego w ogóle miałabym dostawać wymyślone przez ciebie kolacje? Bo jestem dziewczyną?

– Och, nie bądź Glorią Steinem – powiedział. On ją naprawdę porównał do Glorii Steinem. – Gliniarze na nocnej zmianie też dostają kolację. Zapytaj któregośkolwiek. Zapytaj korektorów. Albo faceta, który zajmował się tą robotą przed tobą. W sobotę po szóstej ta okolica jest kompletnie pusta. Możesz zamówić z dowozem albo kogoś wysłać. Noś pager.

Ostatnia rada była niepotrzebna, bo Mira zawsze nosiła pager. Stała się z nim niemal jednością, chociaż stanowił raczej ozdobę, rzadko potrzebną lokalnemu reporterowi w dziale do spraw hrabstwa. Myślała, że jej przydział do przedmieść potrwa sześć, najwyżej dziewięć miesięcy. Tymczasem minęło już siedemnaście,

a ona nadal tkwiła w hrabstwie, patrząc, jak młodszy stażem i gorsi dziennikarze są wysyłani do śródmieścia. A wszystko przez jeden błąd, który mógł przydarzyć się każdemu i w ogóle nie był jej winą.

Mira, jako jedyna w gazecie, nie obwiniła o swoją sytuację Tego Tematu, jak nazywano go w newsroomie, ale swoje imię.

– Mira przez „i”! – codziennie świergotała do słuchawki. – M-i-r-a, Mira.

Całe zamieszanie powstało wyłącznie z jej powodu. Urodziła się jako Myra przez „y”, ale zaczynając naukę w college’u, postanowiła się odmienić, zmieniając jedną literę. „Myra” brzmiało jak imię starszej pani, a „Mira” miało swoisty urok.

Niespodziewanie okazało się, że ciągle musi poprawiać innych. „Nie, to Mi-ra, przez długie «i». Nie Meer-a. Nie tak jak ta aktorka”. Musiała tłumaczyć wszystko dokładnie, zmieniać wymowę razem z literowaniem, ale wyglądało to jak większa nieprawdziwość. Tak właśnie Mira nazywała niewinne kłamstwa, na które pozwalała sobie nie częściej niż ktokolwiek inny: nieprawdziwości.

A gdyby tego nie musiała robić, nigdy nie sprzeciwiłaby się naczelnemu, kiedy ten zwrócił się do niej Meera. „Mam na imię Mi-ra” – rzuciła odruchowo, a potem uświadomiła sobie swój błąd. Nozdrzodamus, jak nazywano szefa za plecami, denerwował się każdą swoją pomyłką, nawet tak niewinną, jak zła wymowa nietypowego imienia. Mira dostała pracę, ale miała wyraźne wrażenie, że jeśli Nozdrzodamus, wtedy znany jej jako Willard B. Norton, chciał, żeby była Meerą, to powinna była zostać Meerą.

Próbowała naprawić swoją pierwszą wpadkę, rozgryzając kod zwyczajów tego szczególnego miejsca pracy, tak jak robiła w liceum, college’u, na stażach i w poprzednich pracach. Miała wiele cech potrzebnych do osiągnięcia sukcesu – była młoda, pracowita i odpowiednio ładna. Słowo „odpowiedni” interpretowano, tak jak wszystko o Nozdrzodamusi, przez analogie i przykłady. Sądząc po kobietach, jakie zatrudniał, preferował panie szczupłe, niezbyt energiczne i niewyzywające. Lubił także, gdy kobiety pytały go o zdanie w każdej sprawie i kiedy traktowały go jak ojca. Młode kobiety uważały, że to nieprzyjemne, ale nieszkodliwe; rodzaj szarej strefy flirtu, która od dawna stanowiła część ich życia.

Po katastrofalnym pierwszym spotkaniu Mira wzorowała się na kolegach odnoszących największe sukcesy. Umawiała się, że „wpadnie”, szukała u szefa pomysłów na tematy, radziła się go co do rozwoju kariery. Gdyby znowu nazwał ją Meerą, pozwoliłaby już, aby tak zostało, lecz wyglądało na to, że dobrze zapamiętał gafę. „Dlaczego Mira przez «i»?”, pytał, ilekroć wchodziła do jego biura. Pytał o to w holu, gdy zdarzało im się mijać, a także podczas swoich rzadkich wizyt w redakcji. Zaczynała się zastanawiać, czy wie o niej cokolwiek innego.

Kiedy pytała go, do jakiego działu mogłaby przejść, i zapewniała, że jest gotowa na nowe wyzwania, robił się zdystansowany i udzielał niejasnych

odpowiedzi, jakby była telesprzedawcą, którego chce uprzejmie splawić.

– Z tego, co zauważyłem, ludzie nie spędzają wystarczająco dużo czasu przy swoich rewirach i nie poznają wszystkich plusów i minusów reportażu lokalnego. Przewiduję... – był dobry w przewidywaniu, co wyjaśniało, skąd wzięło się jego przewisko; unosił nawet palec wskazujący jak prawdziwy jasnowidz – że będziesz jeszcze miała mnóstwo czasu na zajmowanie się innymi rzeczami.

– A dopóki tak się nie stanie?

– Poświęcaj sprawom lokalnym tyle uwagi, na ile zasługują. Chodź na spotkania miejscowych społeczności. Umawiaj się na lunche z miejscowymi działaczami. Zapełnij swój notatnik kontaktami, poszerzaj źródła. Sprawy lokalne to cegły, z których zbudowane jest społeczeństwo, to DNA Baltimore.

– Ale tu w hrabstwie granice nie są tak wyraźnie wytyczone jak w mieście – zaryzykowała stwierdzenie, starając się, by zabrzmiało bardziej jak pytanie niż wyzwanie. Rozmowa z Nozdrzodamusem stanowiła rodzaj teleturnieju. Każda odpowiedź musiała mieć postać pytania. Teraz po prostu pokiwał głową, założywszy, że w jej głosie znalazła się aprobata. Czasem nie była pewna, czy w ogóle słuchał jej słów albo czyichkolwiek innych. Odpowiedzi, jakich udzielał, zwykle do niczego nie pasowały. Nieraz miało się wrażenie, że kiedy ktoś do niego mówi, Nozdrzodamus odpływa gdzieś daleko, jakby astralnie opuszczał ciało, i wracał, gdy nadchodziła jego kolej, by podtrzymać rozmowę.

– Zaistete – rzekł, bo zwykł mawiać właśnie „zaistete” i „wspaniale-le”, a także, co stanowiło największą zagadkę, „dziękuję za wiedzę z college’u”. – Społeczności lokalne to DNA naszego miasta, a ty powinnaś postrzegać siebie jako naukowca starającego się rozpracować genom.

Pokiwała głową ze zrozumieniem, wpatrując się w bezdenne dziury w jego nosie, drugą przyczynę przewiska. Miał wyjątkowo duże nozdrza, a podczas rozmowy głowę trzymał tak, że podwładni musieli w nie zaglądać.

– Uważaj na niego – ostrzegł Mirę jakiś starszy reporter w pierwszych tygodniach jej pracy. – On cię wyśle na pola kukurydzy.

– Co?

– Jasne, jesteś za młoda, żeby pamiętać *Strefę mroku*. W jednym z odcinków był taki dzieciak o zdolnościach parapsychoicznych, który trzymał w ryzach całe miasto i karał każdego, kto nie robił dokładnie tego, co on lubił. A lubił wciąż takie samo jedzenie i urodzinowe przyjęcie pod koniec każdego dnia. I nie znosił najmniejszego sprzeciwu. Gdy przyłapywał kogoś choć na myśleniu o sprzeciwie, wysyłał go na pola kukurydzy, co w gruncie rzeczy oznaczało śmierć.

Mira wzruszyła ramionami, jak zwykle zirytowana zwyczajem osób z wyżu demograficznego, które nie lubiły nawiązywania do ich młodości. *Strefa mroku*, też coś. A dlaczego nie *Bardzo długa podróż poślubna* albo *Fibber McGee*? Z jej punktu widzenia każdy, kto pamiętał czarno-białą telewizję, powinien czytać kilka

kolorowych magazynów i starać się być ze wszystkim na bieżąco.

Nozdrzodamus nie mógł jej wysłać na pola kukurydzy, bo już tam była. Mógł za to ją tam trzymać w ramach kary za błędy. Chociaż sprawa Tego Tematu była jego winą. Ale tylko on i Mira o tym wiedzieli. Właśnie Nozdrzodamus przesłał jej odręczną notatkę z wyróżnionymi na czerwono słowami: „Tylko propozycja, ale wygląda bardzo ciekawie”.

„Tylko propozycja” oznaczało „zrób to”, dlatego ostro wzięła się do pracy. Pojechała do Woodlawn i wypytała starego czarnoskórego mężczyznę o jego udział w zniesieniu segregacji rasowej w pobliskim wesołym miasteczku w Gwynn Oak. Niemal czterdzieści lat po tamtych wydarzeniach jej rozmówca chciał kupić ten opuszczony teren za ogrodzeniami, dziki i zaskakujący swoim istnieniem obszar podmiejskiej niegdyś okolicy. Ostatnio zaczęło gwałtownie niszczyć. Przedstawił wizję urzędzenia tam parku z pomnikami liderów walki o prawa obywatelskie. Potrzebował tylko, jak twierdził, kapitału, aby zacząć. Był nawet gotów zastawić swój skromny dom na początek. Tak właśnie powiedział: „na początek”.

Temat trafił na pierwszą stronę w rocznicę urodzin Martina Luthera Kinga i na początek zrobił tylko tyle, że zmiażdżył Mirze karierę. Telefony zaczęły dzwonić już o siódmej rano, wręcz przygniotły porannego reportera do spraw kryminalnych, jedyną osobę, która była w redakcji tak wcześnie. Rozmówca Miry okazał się drobnym oszustem, całkowicie pogrążonym w złudzeniach. Kiedy bojownicy o prawa obywatelskie maszerowali Gwynn Oak, on siedział za przywłaszczenie mienia. Jego marzenie może było prawdziwe, ale nic poza tym. Nie miał nawet tego domu, który rzekomo chciał zastawić.

Po co tak kłamał? O co w tym chodziło?

– Jeśli własna matka mówi ci, że cię kocha, lepiej to sprawdź – instruował ją kiedyś któryś ze starszych dziennikarzy, wydawałoby się z sympatii, ale Mira miała wrażenie, że naigrawał się z jej wpadki. Chociaż ani jej nazwiska, ani jej tematu nie wymieniano później w notatkach prasowych ani na kolegiach redakcyjnych, wszyscy wiedzieli, dlaczego przypomina im się o sprawdzeniu policyjnej kartoteki i dokładnym przyjrzeniu się rozmówcy. Gdyby Mira porównała opowieści swojego oszusta z relacjami o tamtych wydarzeniach, dostrzegłaby, że czarnoskóra mężczyzna mylił się w kilku ważnych szczegółach. Sobotnia nocna zmiana w dziale kryminalnym gazety była pokutą, którą sama dla siebie wybrała. Zawarła układ z Nozdrzodamusem i działem płac, godząc się na sześć dni ciągłego urlopu zamiast liczenia jej nadgodzin. Sześć dni urlopu, o których szef wiedział, że i tak ich nie weźmie, bo nie wykorzystywała nawet przysługujących jej dwóch tygodni. To stanowiło kolejny element miejscowych zwyczajów: nikt nie wrywał się z braniem wolnego. Gdyby związek zawodowy dowiedział się o tym układzie, wyszłoby niezłe gównno, ale związek zabierał jej dwadzieścia dwa dolary tygodniowo, lecz niewiele dla niej zrobił. Fakt, byli gotowi bronić Miry po tamtej

wpadce, ale robili to bardziej dla siebie niż dla niej. Związek nie zamierzał pozwolić, żeby cały czas pracowała na mieście. Gdyby prawo stanu Maryland na to pozwalało, przestałaby płacić składkę. Wtedy Nozdrzodamus wiedziałby, komu tak naprawdę jest wierna.

Tak więc zajmowała się śródmieściem przez jeden dzień w tygodniu. Ale przy jej zezowatym szczęściu, od kiedy zaczęła się tym zajmować, sobotnie noce zrobiły się nieciekawe. Dobre tematy, takie na całą stronę, przytrafiały się teraz we wszystkie inne dni tygodnia. Nie było do roboty nic poza czytaniem telegramów i innych gazet, co tak naprawdę niezbyt ją interesowało. Lubiła samą ideę gazety, chętnie mówiła innym, że jest reporterką, ale codzienne wydania niewiele dla niej znaczyły. Koncentrowała się na pokonywaniu kolejnych kamieni milowych, gromadzeniu namacalnych dowodów swojego awansu.

Teraz utknęła na przedmieściach jak w jakimś czyścicu. I wciąż bez chłopaka, co było dla niej nietypowe. Nie pamiętała już, dlaczego wybrała dziennikarstwo, ale pamiętała swoją determinację, aby osiągnąć w tej pracy sukces. Nie zamierzała prześlizgiwać się do działu PR. Dzięki Bogu nie wskoczyła też na pokład tamtego okrętu, kiedy boom na dotcomy zwabił tylu jej przyjaciół, by później zrobić z nich rozbitków. Wcale nie była nieudacznikiem. Dostawała od Nozdrzodamusa mnóstwo pochwał za „dobrą robotę”, a od czasu do czasu bon American Express na pięćdziesiąt dolarów, głównie za nieopłacone nadgodziny. Powoli się odradzała. Niemniej trwało to cholernie długo.

Przypomniała sobie historię z któregoś z zachodnich stanów, jak pewna matka wynajęła specjalistę od rebirthingu, żeby pomóc swojej pogrążonej w depresji córce, i skończyło się tym, że dziewczyna udusiła się własnymi wymiocinami, udając przejście przez kanał rodny. Teraz to byłby niezły temat. Mogłaby coś z nim zrobić. Ale co mogła zrobić w mieście, gdzie zdarzały się tylko kolejne bum-bum-bum, odbierające komuś kiepskie życie, zwykle przez kogoś, kto sam kiepsko żył, a dodatku nawet nie w godzinach jej dyżuru?

Głos nocnego redaktora przerwał jej rozmyślenia.

– Jenkins, telefon do ciebie.

– Przełącz na 6129.

– Znam wewnętrzny – odparł redaktor. Zawsze przypominał Mirze o tym, co wiedziała, i o wszystkim, czego nie wiedziała. Kilka miesięcy temu, w mroźną zimową noc, kazał jej pójść pięć przecznic na północ stąd i spojrzeć na nazwę ulicy, którą pomyliła w raporcie. Mira zeszła na dół, odczekała stosowny czas i wróciła.

– Centre Street – oznajmiła. – C-E-N-T-R-E – udawała pokorny ton, trochę się bała, co z tego będzie. Sprawdziła nazwę na planie, który nosiła w torebce. – Już się nie pomylę.

– Newsroom, słucham – powiedziała teraz do słuchawki. – Mira Jenkins przy

telefonie.

– Pani jest reporterem?

Wyzywający ton rozmówcy, zawarta w nim niezasłużona wrogość zapowiadały kłopoty. Redaktor z nocnej zmiany musiał przełączyć do niej jakiegoś wariata.

– Tak, jestem reporterem. W soboty zajmuję się sprawami kryminalnymi, a w tygodniu problemami hrabstwa Baltimore.

To powinno odstraszyć rozmówcę. Wariaci zawsze chcą rozmawiać z najważniejszymi osobami, Nozdrzodamusem albo chociaż jakimś felietonistą z miasta.

– Ile pani ma lat?

– To przecież nieważne. W jaki sposób mogę pani pomóc?

– Och, to bardzo ważne.

Ten chropowaty kobiecy głos trudno było rozgryźć. Składnia jak z ubogich dzielnic, ale wymowa wyraźna, aż nazbyt prawidłowa. Mówiła tak jak ktoś pijany, kiedy chce przekonać o swojej trzeźwości.

– W jaki sposób mogę pani pomóc? – powtórzyła Mira. Nie wolno jej było tracić cierpliwości, niezależnie od tego, jak nieuprzejmy byłby rozmówca. Jedno niemiłe słowo do niewłaściwej osoby, takiej, która znała Nozdrzodamusa, a już nigdy nie zdołałaby się zrehabilitować.

– Mogłaby pani pomóc, znając nieco historię. Zna pani historię?

– Myślę, że tak.

– Zna pani historię tej okolicy?

Dla Miry głos rozmówczyni brzmiał tak, jakby pochodziła ona z jakiejś wiejskiej dzielnicy. Należało jednak zachować ostrożność. Kilku ludzi ze świata polityki mówiło dokładnie w ten sam sposób.

– Co mogę dla pani zrobić?

– Zniknęło dziecko.

– Tak, jesteśmy na bieżąco z tą sprawą. – Kolejna nudna robota, wykonana już przez reportera dyżurującego za dnia. On już zajął się kwestią braku postępu w śledztwie i tym, że gliniarze z hrabstwa odmawiają jednoznacznego stwierdzenia, kim może być porywacz – osobą obcą, członkiem rodziny, czy też wchodzi w grę jeszcze jakaś inna opcja. Mira usłyszała dziś od redaktora z nocnej zmiany, że Nozdrzodamus nie przepadał za tematem zaginionego dziecka.

– Przewiduję – oznajmił naczelny na piątkowym spotkaniu w sprawie newsów – że to okaże się smutną, lecz drobną sprawą. Media za dużo zajmują się tematami, które tak naprawdę nie mają globalnego znaczenia. Przewiduję – uniesiony palec – że już czas, aby wahadło ruszyło w drugą stronę.

Nikt z obecnych nie miał odwagi zasugerować, że Nozdrzodamus przewidywałby co innego, gdyby dziecko było białe i pochodziło z klasy średniej.

– Jak się chce dostać na pierwszą stronę „Beacon-Light” – tłumaczył nocny redaktor Mirze – to trzeba zaginać w lepszej części miasta. Najlepiej w tej.

Starał się ją pocieszyć, gdy zabrano jej temat i nie mogła pisać o jedynym naprawdę istotnym wydarzeniu w tej jej najnudniejszej z nudnych okolicy. Na razie istotnym wkładem Miry było przyniesienie do śródmiejskiej redakcji jakiegoś zdjęcia, czym zasłużyła sobie na wzmiankę, nawet jeśli w końcu zapomniano o wykorzystaniu tej fotografii.

– Pani była na bieżąco – uściśliła kobieta. – Więc pani musi teraz stanąć na czele.

– Nie jestem pewna, czy...

– Musi pani przypomnieć, że to już się kiedyś zdarzyło, że takie zbiegi okoliczności należy badać, a nie ignorować.

– Przykro mi – odparła Mira, sprawdzając na swoim aparacie numer dzwoniącej. Jednak rozmowę przełączono z telefonu redaktora, zobaczyła więc tylko końcówkę jego numeru. – Ale nie wiem, o czym pani mówi.

– Widzi pani – w głosie zabrzmiał triumf. – Właśnie dlatego pytałam panią o wiek. Nikt, kto mieszkał tutaj siedem lat temu, nie mógłby zapomnieć, co się stało tamtego lata.

Siedem lat temu Mira kończyła naukę w Penn i spotykała się z chłopakiem o imieniu Bart (skrót od Bartholomew). Miał pieniądze i ambicję i – jak się później przekonała – pierwsze osiągnęło przewagę nad drugim. Nie kochała go tak naprawdę i on też jej nie kochał, ale używali tego słowa od czasu do czasu, tak z uprzejmości. Wróciły do niej wspomnienia niczym montaż filmowych scen. Złote jesienie, łagodne wiosny, łódki na Schuylkill.

– Cóż, nie mieszkałam wtedy tutaj i nie wiem.

– Zaginęła wtedy dziewczynka o imieniu Olivia – wysyczał głos. – Wnuczka sędziego Poole’a. Zabiły ją dwie białe jedenastolatki, ale sądzono je jako nieletnie właśnie dlatego, że były białe. Domyśla się pani, co by było, gdyby dwie czarne dziewczynki zabiły wnuczkę białego sędziego? Sądzi pani, że prawnicy powiedzieliby wtedy: „Nie możemy obniżyć granicy wieku, nie możemy wysłać jedenastolatek do więzienia dla dorosłych”?

– A co to ma wspólnego z tą dziewczynką, która teraz zaginęła?

Rasistowski wątek nie spodobał się Mirze. Zdawała sobie sprawę, że rasizm istnieje, ale mówienie o nim uważała za równie niepotrzebne jak dyskusowanie o wszystkim, nad czym się nie ma kontroli: o pogodzie, czasie, śmierci, podatkach. Ludzie muszą przecież iść do przodu.

– Zamknęli te dziewczynki na siedem lat. Teraz wróciły do domu i zaginęło kolejne dziecko. A ja zapewniam panią, że policja ich szuka, stara się ustalić, czy mają coś wspólnego z wczorajszym porwaniem. Niech pani zadzwoni na policję i zapyta, czy rozmawiali z dziewczynkami. Potwierdzą, jeśli pani nie okłamie.

Niech pani powie ludziom, że kolejne dziecko umrze, bo poprzednim razem nie zrobili tego, co należy.

Koniec połączenia.

Mira wpatrywała się w telefon przez kilka chwil.

– Hej, Bolt! – zawołała do redaktora nocnej zmiany. – Wiesz, z jakiego numeru była ta rozmowa, którą do mnie przełączyłeś?

– Nie znam ani numeru, ani głosu – odparł. – Mamy nowego świra?

– Może.

– Ktokolwiek to był, podał twoje nazwisko. To jakaś twoja znajoma?

Nie, ale przecież jej nazwisko wymieniono w związku z tym tematem. No i przedstawiała się, kiedy tamtego wieczoru wykonała kilka telefonów, starając się być z całą sprawą na bieżąco.

Zamknęła swoją skrzynkę mejlową, z której wysyłała żartobliwe, cięte liściki do znajomych z college'u, i połączyła się z archiwum gazety. Podała interesujący ją okres z tolerancją do trzech lat, bo ludzie często się mylili, gdy przychodziło określić czas. Szukała słów „Olivia” i „zaginiona”. Pojawiło się dużo trafień, w tym kilka odnośników do *Dwunastej nocy* Szekspira. Zerknęła na notatki, które zrobiła podczas rozmowy z tą kobietą i spróbowała z hasłami „Olivia” i „Poole”.

Siedemnaście trafień, żadnego sprzed roku morderstwa – siedem lat temu. Mira przeczytała wszystko dokładnie, odrywając się tylko, aby obejrzeć wieczorne wiadomości. Na wszystkich czterech kanałach mówiono o zaginionej dziewczynce, ale na żadnym nie wspomniano o tamtej starej sprawie ani nie łączono ich obu. Wydawało się też, że brak postępów w śledztwie.

Kiedy nadszedł koniec dyżuru, redaktor aż trzy razy przypomniał Mirze, że może już wyjść. Wydrukowała artykuły, które przeczytała, włożyła do skoroszytu i zabrała do domu.

Nancy eksperymentowała z różnymi pozami i pozycjami, jakie mogłaby przyjmować w trakcie przesłuchań, nie wspominając już o rozmaitych intonacjach oraz formach kontaktu wzrokowego. Ostatnio zwykła stać oparta o ścianę, z rękami założonymi na piersiach. Myślała, że wygląda wtedy jak surowy nauczyciel albo rodzic.

– Na tym właśnie polega problem – skomentował Lenhardt. – Wyglądasz jak nauczyciel, a to nie są ludzie, którzy wynieśli ze szkoły miłe wspomnienia. Gdyby ci faceci słuchali nauczycieli, trochę inaczej ułożyłoby im się w życiu.

Miał rację. Ci mężczyźni – a Nancy przesłuchiwała głównie młodych mężczyzn, jedynie od czasu do czasu trafiała się czyjaś mama albo dziewczyna – byli ponurzy lub nieprzyjaźnie nastawieni, rzadko starali się współpracować. Jednak nie potrafiła ich zastraszać, tak jak robił Infante, zwłaszcza pod koniec dnia, kiedy zmęczenie nadawało mu wygląd wilkołaka. Nie umiała też wytworzyć aury ponurego niezadowolenia, co robił Lenhardt, zdumiewająco skutecznie wobec niektórych cwaniaczków. Ale stojąc, miała przynajmniej przewagę wzrostu.

Jednego była pewna: nie zamierzała wykorzystywać uroku osobistego. Gliniarz nie może wydobywać zeznań, flirtując, a ona wyglądałaby na słabą, gdyby spróbowała.

Żadna z tych trosk nie wiązała się z Alice Manning, która pojawiła się tutaj niezwłocznie jak obywatel naprawdę szanujący władzę. Nancy usiadła naprzeciwko niej w pokoju przesłuchań, dłonie spłotła przed sobą na stole. Dziewczyna bezwiednie powtórzyła ten gest jak szympan w zoo naśladujący gapiów. Niemniej przypominała kogoś, kto czeka na posiłek w kościelnym przytułku. Nancy spojrzała na jej blade przedramiona w poszukiwaniu świeżych ukłuc albo śladów nacięć, lecz niczego nie dostrzegła.

– Chcę pomóc. Ja naprawdę chcę pomóc – powtarzała Alice.

– Możesz pomóc, mówiąc nam, co wiesz.

– Nie jestem pewna, czy wiem o wszystkim.

– To dlaczego tu jesteś?

– Bo mama powiedziała, że chcecie ze mną rozmawiać.

– Wiesz, dlaczego szukaliśmy cię w domu? Dlaczego myślimy, że możesz mieć dla nas jakieś informacje?

– Przez moją... przeszłość.

Ostatnie słowo zabrzmiało tak, jakby Alice dopiero co nauczyła się je wypowiadać. Nancy wyobraziła sobie Helen Manning instruującą córkę przed przesłuchaniem – podsuwającą jej wyszukane słowa, jakby Alice była Bette Davis w dniach swojej największej chwały, kiedy jej wielkie oczy wydawały się skrywać jakąś tajemnicę.

– Coś w tym rodzaju... – Ważne było, aby nie naprowadzać dziewczyny, nie zdradzać jej zbyt wielu informacji. – W piątek wieczorem zaginęła mała dziewczynka. Sprawdzamy wszystkie tropy.

– Ja jestem tropem? – Alice smakowała to słowo, jednocześnie przyciągające i odpychające.

– Właśnie tego chcemy się dowiedzieć.

– A czy to inna nazwa podejrzaney?

Nancy nie była pewna, ale wydawało jej się, że dostrzegła jakiś błysk na twarzy Alice, hardą iskierkę w jej wielkich niebieskich oczach. Znowu jak u Bette Davis. Jak w tej głupiej piosence, która leciała w radiu, kiedy Nancy chodziła do gimnazjum. „Ona cię rozdrażni” – głosił refren. To były jedyne słowa, które zapamiętała.

– Czasem tropy są podejrzeniami, a czasem tylko tropami. Na razie jesteś tylko tropem.

Czy Alice wpadnie na to, żeby poprosić o prawnika? Zabawne, jak wiele i niewiele zarazem neofici wiedzieli o procedurze. Recydywiści mieli to wszystko w małym palcu. Ale ci, którzy popełnili przestępstwo pierwszy raz, nie wiedzieli, że mogą prosić o prawnika, nawet jeśli nie zostali oskarżeni i nie przeczytano im praw. Nie wiedzieli też, że wolno im po prostu wstać i wyjść, mówiąc: „Nie rozmawiam z wami, dopóki nie przedstawicie mi jakiegoś zarzutu”.

Jednak Alice już kiedyś popełniła przestępstwo. Wtedy z trudem cokolwiek z niej wyciągano, wydawała się wręcz nienaturalnie opanowana – w każdym razie tak mówili detektywi zajmujący się tamtą sprawą. „One zabrały dziecko, bo myślały, że nie jest tam bezpieczne. Bały się je oddać, gdy rodzice zrobili wielką aferę z jego zniknięcia. A potem dziecko się rozchorowało. Alice nie wiedziała, dlaczego Ronnie je zabiła. Nawet jej tam wtedy nie było”.

– Dlaczego mi nie powiesz – zaczęła Nancy, siląc się na neutralny ton – gdzie byłaś w piątkowe popołudnie i wieczór?

– Spacerowałam.

– Spacerowałaś?

– Dużo spaceruję. To dobry sposób na schudnięcie.

Nancy starała się nie patrzeć na fałdy tłuszczu pod jasnoróżową koszulką dziewczyny. Alice musi ważyć prawie sto kilogramów. Czyżby była jeszcze grubsza, kiedy wróciła z zakładu?

– Jak długo spacerowałaś?

– Nie spaceruję przez cały czas, kiedy wychodzę z domu. – Alice zorientowała się, dokąd prowadzi to pytanie. – Spaceruję przez pewien czas, a potem robię sobie przerwę w jakimś miejscu z klimatyzacją, gdzie można wejść i sobie usiąść.

– Coś jak restauracja fastfoodowa?

– Tak, tyle że tam trzeba coś zjeść albo chociaż czegoś się napić. A to strata pieniędzy, bo oni wrzucają do napojów mnóstwo lodu.

– Lepsze jest centrum handlowe? – Nancy celowo uogólniała. Jeszcze nie było potrzeby wspominać o Westview.

– Jasne.

– Więc gdzie poszłaś w piątek, gdzie się zatrzymałaś?

– Zaczęłam na trasie numer 40 i złożyłam list motywacyjny w Arby's. Szukam pracy. Nie chcę pracować w fast foodzie, ale mama mówi, że nie mogę sobie pozwolić na wybrzydzenie.

– Tam nie jest źle, sama pracowałam jakiś czas w fast foodzie.

– Tak? – Alice wyglądała na szczerze zaintrygowaną.

– Stałam za ladą w Long John Silver's, dopóki nie dostałam pracy kelnerki w restauracji Chili's. Zbierałam na samochód.

„Dlaczego przekazuję tej dziewczynie osobiste informacje?” – pomyślała Nancy. Nigdy nie robiła czegoś takiego, jednak w Alice było coś, co sprawiało, że chciała wkraść się w jej łaski – coś zamkniętego, jakieś niewypowiedziane oskarżenie w spojrzeniu. Wyglądała jak dziecko, które przyjmuje niezасłużoną karę bez krzywienia się i narzekań.

– Lubię restaurację Chili's – zaproponowała Alice – ale moja mama nie. Była pani lubiana?

– W restauracji?

– W liceum.

– Nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Cieszyła się, że Lenhardt tego nie widzi. Wystarczająco stresująca była świadomość, że Infante przypatruje się przesłuchaniu przez lustro weneckie. Traciła kontrolę, pozwalała Alice kierować rozmową. Chociaż może to rozluźni dziewczynę, skieruje ku czemuś, co z kolei ona będzie mogła wykorzystać.

– Czyli musiała pani być lubiana. Tylko ktoś lubiany nie zastanawiałby się nad tym.

– To było tylko liceum.

– Ja nie chodziłam do liceum. Nie do takiego prawdziwego. Chociaż dostałam świadectwo w Middlebrook.

Nagle Nancy uświadomiła sobie, czego chce od niej Alice. Współczucia. Ta dziewczyna naprawdę oczekiwała współczucia, bo ominęły ją szkoła średnia i wszystkie inne zwyczajne rytuały dorastania.

– Olivia Barnes też nie poszła do liceum.

Alice pochyliła głowę, dlatego Nancy nie widziała jej oczu, kiedy wyszeptwała:

– Wiem.

– Alice, zaginęła kolejna dziewczynka.

– Wiem.
– Skąd wiesz?
– Widziałam w wiadomościach. Powiedziała mi mama.
– To w końcu skąd? Z telewizji czy od mamy?
– Powiedziała mi mama, a potem zobaczyłam to w wiadomościach dzisiaj rano.

– Zniknęła z centrum handlowego Westview. Czy to jedno z miejsc, do których chodzisz, kiedy spacerujesz? Jest przy trasie numer 40.

Alice wciąż trzymała opuszczoną głowę, głos miała słaby.

– Tak.

– Czy coś wiesz? Cokolwiek o tej zaginionej dziewczynce?

– Wiem – odparła Alice. – Wiem coś, czego nie powinnam wiedzieć. Ale wiem to, bo, bo... złamałam zasadę.

– Zasadę?

– Właściwie nakaz. – Podniosła głowę, jakby zaskoczona, że zna to słowo i potrafi go używać.

– Nakaz?

– Myślę, że on jest w porządku. To znaczy to nie jest prawo ani zasada, to po prostu coś, o czym mi mówiono, żebym tego nie robiła. Mama i moja prawniczka mówiły mi, że są rzeczy, których nie powinnam robić. Ale niektóre zrobiłam.

– Co zrobiłaś, Alice?

– Wcale nie byłam przy domu Barnesów – oznajmiła.

Ciekawe. Zapytana o to, co zrobiła, zaczęła wymieniać rzeczy, których nie zrobiła. Jeśli nie spacerowała w pobliżu domu Barnesów, to może nawet nie wie, że mają drugą córkę.

– Nie było powodu, żebyś tam szła. Prawda?

– To w mojej okolicy i to ładna ulica. Kiedyś ciągle nią chodziłam. Ale teraz tam nie chodzę.

– Widziałaś kogoś z Barnesów?

– Nie.

Jej zaprzeczenia brzmiały przekonująco i szczerze. Co znaczyło, że nie miała powodu porywać dziewczynki podobnej do Rosalind Barnes. „Być może – pomyślała Nancy – to wszystko jest zbiegiem okoliczności? Być może paranoja Cynthii Barnes popchnęła nas w złym kierunku?” Próbowała się pocieszyć, że przecież ona i Infante musieli brać pod uwagę wszystkie możliwości. I sprawdzić wszystkie, nawet najmniej prawdopodobne tropy. A w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin udało się znaleźć wyłącznie ten trop. Gdyby nie przesłuchiwała Alice, odbierałaby teraz telefony od rozmaitych dziwaków, próbowała coś wydobyć z tępowych pracowników centrum handlowego albo oglądała nagrania z kamer, na których i tak niczego by nie znalazła.

– Czyli tego nie zrobiłaś. A co zrobiłaś? Jaki nakaz – specjalnie powtórzyła słowo użyte przez Alice – zignorowałaś?

– Widziałam Ronnie – wyszeptała dziewczyna.

– Ronnie Fuller?

Alice skinęła głową z taką miną, jakby właśnie przyznała się do czegoś strasznego.

– Widziałaś Ronnie... – Zawiesiła głos w nadziei, że Alice dokończy jej myśl, jednak dziewczyna za nią nie podążyła. – Widziałaś Ronnie, jak co robiła?

Alice kuliła się, wyraźnie przestraszona.

– Ja po prostu... ją widziałam. Poszłam tam, gdzie pracuje, i patrzyłam na nią. Ona mnie nie widziała. Ale nie powinnam nawet na nią patrzeć. Sharon tak powiedziała.

„Jaka znowu Sharon?” – zastanawiała się Nancy.

– Kiedy to było? – spytała.

Lekki grymas zniecierpliwienia.

– Jak to kiedy? Wczoraj. Przecież właśnie o tym mówimy. O wczoraj.

– Byłaś wczoraj w Bagel Barn?

– Nie weszłam do środka. Nawet nie podeszłam blisko. Po prostu siedziałam na krawężniku. Mogłam widzieć Ronnie, ale ona mnie nie widziała.

Alice potwierdziła więc, że Ronnie była w Westview kilka godzin przed zniknięciem Brittany Little. Tyle że ona też tam była.

– Czy widziałaś, żeby Ronnie robiła coś... nietypowego?

– Nie. Ale widziałam ją. Chyba chcieliście się dowiedzieć, czy ona tam pracuje.

– Owszem – przyznała Nancy – chcieliśmy.

– Och... – Alice wydawała się zmieszana. – Myślałam, że właśnie dlatego przyszliście się ze mną zobaczyć. Bo wiedzieliście, że widziałam Ronnie. Myślałam, że to dlatego mam kłopoty. Nie mam pojęcia, co innego mogłam zrobić.

– Naprawdę?

Dziewczyna skinęła głową.

– Czy wchodziłaś wczoraj do centrum handlowego?

– Nie. Poszłam stamtąd, bo nie chciałam, żeby Ronnie mnie zauważyła.

– A dlaczego chciałaś zobaczyć Ronnie?

– Nie chciałam jej zobaczyć. Po prostu ją zobaczyłam.

– Przypadkiem?

– Coś w tym rodzaju.

– Co masz na myśli, mówiąc „coś w tym rodzaju”? To był przypadek czy nie?

– Widziałam od mamy, że Ronnie pracuje w sklepie z bajglami. Ale nie wiedziałam, w jakich godzinach ani w jakie dni. Dlatego nie jest tak, że mogłam to

sobie zaplanować.

– Ale miałaś nadzieję, że ją zobaczysz?

Alice odwróciła wzrok.

– Tak – powiedziała tak cicho, że Nancy dopiero po kolejnym skinięciu głową upewniła się, że dobrze ją słyszała.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Nie wiem – powtórzyła i dodała, jakby próbując się usprawiedliwić: – Myślałam, że nie wiecie o tym sklepie z bajglami, więc mogę wam pomóc. Chcę pomóc.

– Możesz nam pomóc – odparła Nancy – mówiąc prawdę.

– Ja zawsze mówię prawdę. – Odruchowa, żarliwa odpowiedź.

– To mi ją powiedz. Czy wiesz coś o Brittany Little, tej dziewczynce, która zniknęła? Cokolwiek?

– Nie znam Brittany Little. Widziałam tylko jej zdjęcie w wiadomościach.

– Alice, mogę cię o coś zapytać?

Dziewczyna spojrzała na Nancy trochę zdziwiona, ale skinęła głową.

– Chodzi o to, że to może dać mi... dać nam... jakiś pogląd na całą sprawę.

Co myślałaś, kiedy porywałyście Olivię Barnes?

Niebieskie oczy spojrzały na nią ostro.

– Jak to mogłoby dać pani jakiś pogląd na całą sprawę? To znaczy, zakładając, że ani ja, ani Ronnie nie zrobiłyśmy tego, co się teraz stało. A ja na pewno tego nie zrobiłam.

– Ale... – Nancy musiała wiedzieć. Nawet gdyby się okazało, że to nie ma nic wspólnego z bieżącą sprawą, musiała poznać odpowiedź na pytanie dręczące ją przez tyle lat. – O czym myślałyście?

– Myślałyśmy, że dziecko zostało porzucone. Że powinniśmy się nim zaopiekować, zanim wrócą jego rodzice.

– A dlaczego ją zabiłyście?

– Ja nie zabiłam – odparła Alice, jednocześnie rozczarowana i zrezygnowana. – To Ronnie zabiła. Mnie nawet tam nie było, gdy to się stało.

– To już mówiłaś. Ale teraz możesz powiedzieć prawdę. Już po wszystkim. I już niczym nie ryzykujesz, mówiąc mi, co się naprawdę stało.

– Ja mówię prawdę. Zawsze mówiłam prawdę. To nie moja wina, że nikt mi nie wierzy. Ronnie to zła dziewczyna. Nie macie pojęcia, co ona może zrobić. To trochę tak, jakby mieszkała w niej jakaś druga dziewczyna, która pojawia się od czasu do czasu. Dlatego ludzie wierzą Ronnie, kiedy mówi, że czegoś nie zrobiła, bo rzeczywiście nie pamięta, jak to robiła, więc wygląda, jakby mówiła całą prawdę. Ale ona jest zła, naprawdę zła.

– Uważasz, że ma podwójną osobowość?

– Coś w tym stylu – głos Alice był niepewny. – Widziałam kiedyś

w zakładzie taką dziewczynę. Ale u Ronnie to nie jest takie... oczywiście, rozumie pani?

– Co masz na myśli?

– Głos się jej nie zmienia i nie każe, żeby ją nazywać innym imieniem. Ale to jest tak, jakby była dobra Ronnie i zła Ronnie. Zła Ronnie robi wszystko, a potem dobra Ronnie nie potrafi uwierzyć, że to zrobiła, dlatego jest wiarygodna, gdy mówi, że nic nie pamięta. Nie wiem, dlaczego zabiła Olivię. Może gdybym tam była, zdołałabym ją powstrzymać. Ale nie byłam. Nawet tam nie byłam.

Alice coraz bardziej podnosiła głos, mówiąc o tym, co przeszła przez tamte lata. Tak, zabrała niemowlę, tak, wiedziała, gdzie ono było, tak, zmówiły się i ukrywały dziecko przez cztery dni. Ale ona go nie zabiła i wciąż nie rozumie, dlaczego nie ukarano jej łagodniej jako mniej winnej.

Nancy też nie miała pewności, czy Alice zabiła. Nietypowy związek ze sprawą Barnesów nie dawał jej żadnych specjalnych przywilejów, ale przez te wszystkie lata próbowała się dowiedzieć, co działo się później. Alice twardo obstawała, że nie było jej z Ronnie, kiedy Olivia została zabita, miała nawet częściowe alibi: ponoć siedziała w domu z matką i czytała. O ile coś takiego można nazywać alibi. Która matka nie potwierdziłaby słów córki w podobnych okolicznościach? Ale i tak na nic się to zdało, bo ze względu na upał oraz inne czynniki zewnętrzne nie udało się dokładnie określić chwili zgonu. Patolog podał czas śmierci w przybliżeniu do dwudziestu czterech godzin, dodając jeszcze słowa, na jakie mógł się zdobyć tylko lekarz sądowy: „Przynajmniej nic jej nie jadło, gdy umarła”. Tak właśnie brzmiało pocieszenie w jego stylu.

– Alice... – Nancy chciała ją zapytać o wiele spraw, ale miały niewiele wspólnego z Brittany Little, za to wszystko z Olivią Barnes. Znalazła się oko w oko z dziewczyną, która odmieniła jej życie jak nikt inny. Może poza Ronnie Fuller. Gdyby nie one, Nancy mogłaby nigdy nie trafić do hrabstwa. Gdyby nie jej okrutna chwila chwały w sprawie Olivii Barnes, miałyby mniej do zyskania i w konsekwencji – mniej do stracenia. Pewnie nadal pracowałyby w mieście jako detektyw w wydziale kryminalnym, może nawet jako sierżant. Zostałyby tym, kim miała zostać: oficerem policji w trzecim pokoleniu.

– Policja hrabstwa? – zapytał ją wujek Stan, kiedy postanowiła tam się przenieść. – To w hrabstwie są w ogóle jakieś przestępstwa?

– Mogę się założyć, że są – odpowiedziała. Jedyne różnice polegały na tym, że było ich dziesięć razy mniej. Ale detektywi i tak mieli mniej więcej tyle samo pracy. Nancy wolałaby pięćdziesiąt strzelanin handlarzy narkotyków niż jedno takie zabójstwo.

Alice wciąż trzymała pulchne ręce w modlitewnej pozycji. Miała mlecznobiałą skórę, niemal straszłą w swojej jednorodności. Żadnego śladu ukłucia, żadnego nacięcia, nawet siniaka. Wydawało się, że nigdy nie używa rąk – do niczego.

– Powiedziałaś, że chcesz nam pomóc – odezwała się Nancy. – Jest pewna rzecz... to zajmie tylko chwilę...

Usłyszała ciche pukanie do drzwi. Otworzyła, a stojący w nich Infante wskazał gestem, by wyszła na zewnątrz. Zamykając za sobą drzwi, zauważyła, że Alice wygląda na bardzo zmartwioną tym, że zostanie sama.

Na korytarzu stała Helen Manning, a obok niej pulchna ciemnowłosa kobieta z dziwnym skupiskiem piegów z lewej strony twarzy.

– Nazywam się Sharon Kerpelman – przedstawiła się. – Jestem adwokatem Alice. Proszę postawić jej zarzuty albo ją wypuścić. Tak czy owak, dziś już nic więcej wam nie powie.

– Widziałem pani legitymację – wtrącił się Infante. – Pani jest z miejskiego wymiaru sprawiedliwości, tutaj nie ma pani uprawnień. Alice Manning nie jest już nieletnia, a to nie jest sprawa z miasta.

– Mówiłam panu, że jestem tu z polecenia Rosario Bustamante, która zgodziła się reprezentować Alice. Pani Bustamante jest... niedysponowana i poprosiła, żebym w jej imieniu uzgodniła warunki zwolnienia Alice.

– Nie sądzę, żebyśmy mogli to zrobić.

– Pieprzenie. Dwie godziny temu Alice zadzwoniła do mnie i nagrała się na sekretarce. Poprosiła, żebym towarzyszyła jej tutaj albo znalazła kogoś, kto z nią przyjedzie. Odsłuchałam tę wiadomość dwadzieścia minut temu. Wiecie równie dobrze jak ja, że dziewczyna może w każdej chwili wstać i wyjść. Nie zamierzam pozwolić, żebyście rozmawiali z nią o tak późnej porze, kiedy jest zmęczona, podatna na sugestie i może powiedzieć coś, co będzie wam na rękę.

– Ona była na miejscu zdarzenia – oznajmiła Nancy.

– Naprawdę? To dziwne, bo wczoraj wieczorem jadłam z nią kolację i nie sądzę, żeby miała czas zabrać dziecko, schować je gdzieś i jeszcze wrócić do domu. – Sharon podeszła do drzwi pokoju przesłuchań i gwałtownie je otworzyła.

– Alice, byłaś w piątek w Westview? Kochana, nie bój się powiedzieć, co się naprawdę stało.

Z pokoju dobiegł głos Alice, niewinny i niepewny:

– Może to był jakiś inny dzień. To znaczy, ja raz tam poszłam i widziałam Ronnie. Ale to było tydzień albo dwa tygodnie temu.

Sharon Kerpelman triumfowała.

– Widzicie? Ona słyszała, że jej szukacie, i wie, że to wszystko przez to, co się wydarzyło w przeszłości. – Może to Sharon, a nie Helen nauczyła Alice, by myślała o swojej zbrodni jako o sprawie z przeszłości. – Wie, że Ronnie Fuller pracuje w Bagel Barn, i myśli, że wy też powinniście o tym wiedzieć.

– Ale dlaczego kłamała? Dlaczego powiedziała, że to było wczoraj, skoro nie było?

– Jest mnóstwo... – zaczęła Helen, ale Sharon uciszyła ją spojrzeniem

i wymownym gestem. Potem, zwróciwszy się do Nancy i Infante'a, poprowadziła ich korytarzem poza zasięg słuchu Alice.

– Alice jest ciężko. – Starła się mówić rozsądnym, pojednawczym i zarazem konspiracyjnym tonem, ale niezbyt jej to wychodziło. – Wpakowała się w coś, co ją przerosło, i stara się to odkręcić. Siedem lat temu za bardzo się bała Ronnie Fuller, żeby ją powstrzymać od zrobienia tego, co zrobiła. Teraz odwiedziła ją policja i ona widzi w tym szansę na coś w rodzaju odkupienia. Myśli, że jeśli powie to, co chcecie usłyszeć, wreszcie uda jej się wyrównać szale wagi. Ale ona nie miała nic wspólnego z wczorajszym porwaniem. A jeśli Ronnie Fuller miała – wzruszyła ramionami – to już problem jej adwokata.

– Ona ma adwokata?

– Figura retoryczna. Nie wiem.

Bez pytania o pozwolenie Sharon Kerpelman wkroczyła do pokoju przesłuchań i wyszła stamtąd z Alice; ręką obejmowała ramiona dziewczyny.

– Jeśli będziecie chcieli znowu z nią porozmawiać, zadzwońcie do mnie.

– Myślałem – odezwał się Infante – że jej adwokatem jest Rosario Bustamante.

– Racja. Właśnie to chciałam powiedzieć. Zadzwońcie do niej.

Kevin spojrzał na Nancy, która ze smutkiem pokiwała głową. Mogli spierać się z tą jędzą, utrzymywać, że zwolnią Alice, dopiero kiedy Bustamante zjawi się osobiście. Ale i tak stracili impet. Alice już z nimi nie rozmawia, nie popłynie dalej z prądem. Dziwne, że była na tyle sprytna, by zadzwonić po prawnika, i zarazem tak naiwna, aby zacząć rozmowę bez niego. Infante odwrócił się do Kerpelman i szybko skinął głową, tak jakby to była jego decyzja.

Kobiety wyszły bez słowa. Jednak Alice, ku zdumieniu Nancy, odwróciła się, uniosła dłoń i lekko jej pomachała.

Gloria Potrzuski rozplakała się, gdy pierwszy raz zobaczyła córkę w mundurze. Nancy uznała, że to ze względu na jej wujka, brata matki, który kiedyś został ranny podczas patrolu. Zresztą „ranny” to była lekka przesada – pocisk drasnął mu szyję i wystarczyła krótka wizyta w punkcie opatrunkowym. Ale całe zdarzenie przyniosło rodzinie kilka godzin prawdziwego bólu, bo lokalna radiostacja podawała informację o funkcjonariuszu „poległym” przy Hollins 900. Wszyscy w rodzinie Stana Kolchaka znali swoje rewiry i godziny pracy, więc doskonale wiedzieli, kim jest ten bezimienny policjant. Chociaż wszystko dobrze się skończyło, ból utrwał się w pamięci Glorii mocniej od ulgi. Kiedy zaczęła lkać na widok swojej dwudziestojednoletniej córki w mundurze, Nancy uznała, że na matkę spłynął dawny strach.

– Och, kochanie – powiedziała w końcu Gloria. – Wyglądasz w tym paskudnie.

Miała rację, ale Nancy się tego spodziewała. Od kiedy wstąpiła do akademii, zaczęła dostrzegać, że nawet amantki filmowe wyglądają klocowato i niezgrabnie w policyjnych mundurach – a przecież miały przewagę wciętych talii i kształtnych pupek oraz pomoc specjalistów od kostiumów. Na Nancy, średniego wzrostu i raczej pulchnej, mundur leżał wyjątkowo źle, zwłaszcza zimą, kiedy musiała wpychać pod niego sweter.

Ale Gloria Kolchak Potrzuski płakała dlatego, że mundur jest czymś męskim. Dorastała jako jedyna dziewczynka w sześciuosobowej rodzinie, więc świat, który stworzyła dla własnej jedynej córki, był wręcz stereotypowo kobiecy: biało-różowy pokój, łóżko z baldachimem, półki pełne lalek, brak ograniczeń w wydatkach na sukienki i fryzjera. Prawie dopięła swego, kiedy dwudziestojednoletnia Nancy stwierdziła, że ma dość walki ze swoim przeznaczeniem. Zmieniła kierunek studiów na prawo karne, a niecałe dwa lata później stanęła przed matką jako świeżo upieczony kadet.

– Nigdy nie sądziłam, że moja córka wyrośnie na gliniarza – stwierdziła córka gliniarza i siostra dwóch gliniarzy.

– Nie martw się, mamó – powiedziała Nancy. – Szybko zostanę detektywem, a wtedy będę codziennie nosiła spódnice.

Należała do córek, które dotrzymują obietnic. Teraz, siedem lat później, kiedy sobota zmieniała się w niedzielę, a czwarty lipca ustępował miejsca piątemu, miała na sobie dopasowaną białą bluzkę, spódnice do kolan w kolorze khaki, rajstopy i buty na wysokim obcasie z Easy Spirit. Te buty były wygodniejsze od zwykłych czólenek, ale nie chciałyby grać w nich w koszykówkę, tak jak robiły kobiety z reklam w telewizji.

Nie chciała też iść zarośniętą ścieżką i przez brudny strumyk, wśród

ciemności oświetlanych tylko promieniem małej latarki. Jednak zdecydowała się to zrobić.

Noc była upalna i tak duszna, że kiedy starzy mieszkańcy śródmieścia wachali wiatr, zastanawiali się, czy aby fabryka przypraw McCormicka znowu nie pojawiła się nad zatoką. Ten zapach unosił się nad całym miastem i przypominał bardziej zboże niż korzenie. Gorący, pachnący wiatr przypominał Nancy kuchnię babci Potruski – domowe bułeczki rosnące w zakrytej miednicy, pierogi czekające na nadzienie, słodką nutę kapusty. Kapusta potrafiła cudownie pachnieć, jeśli kucharz łagodnie się z nią obchodził. Policjantka jechała ku przeszłości z otwartymi szybami w samochodzie. Zastanawiała się, czy po tylu latach odnajdzie to miejsce.

Od zaginięcia Olivii Barnes minęły cztery dni i niedługo miał się zacząć piąty, policyjnych kadetów wysłano na asfaltowy parking przy południowo-zachodnim krańcu Leakin Park. Wcześniej znaleziono tam jakiegoś bezdomnego, który w wózku Olivii przewoził swój dziwaczny zbiór różnych przedmiotów. Od razu uznano go za podejrzanego, ale twardo się upierał, że wózek znalazł w korycie strumienia – wąskiej strudze wysuszonej letnim skwarem. Dlatego żółty szkolny autobus zawiózł studentów akademii na południowo-zachodni skraj parku. Wśród nich była Nancy.

Niewiele roczników kadetów ominęło co najmniej jednokrotne przeczesywanie Leakin Park, bo była to dobra okazja do ćwiczeń praktycznych. Poszukiwania rozpoczynano zwykle od żartobliwego nakazu, żeby nie wygrzebywać każdego znalezionego trupa, bo wtedy chodzenie po krzakach zajmie cały dzień. Nikt jednak nie dowcipkował, kiedy ruszali, by znaleźć Olivie Barnes. Jedynymi dźwiękami, jakie rozlegały się w Leakin Park, były kroki kadetów zagłębiających się między drzewa i próbujących zachować regulaminowe odstępy trzech metrów. Poszukiwania w terenie są skazane na niedokładność. Nancy wiedziała o tym, jeszcze zanim poszła do akademii. Ludzie zawsze się dziwią, kiedy ciało zostaje znalezione w rejonie już przeczesanym przez policję, ale ci wszyscy mędrkujący po fakcie nigdy sami nie próbowali przeczesywać lasu krok po kroku. Tamtego lipcowego dnia głęboki cień Leakin Park mamił oczy jak skomplikowana układanka, aż wreszcie wszystko robiło się zielone i szare. Łatwo było sobie wyobrazić, że ciało niemowlęcia leży akurat w tej kępie zarośli, która znalazła się między stopami.

Nancy szła w parze z Cyrusem Hickorym, dwudziestotrzyletnim cwaniaczkiem, który się przechwalał, że skończył college. Cyrus był czarnoskórym mężczyzną z ogoloną głową i wymową, którą określiłaby jako „w stu procentach wieśniacką”, bo nie miała jeszcze ucha przyzwyczajonego do wyłapywania miękkiej imitacji wyszukanego wirgińskiego akcentu, nazywanego Tidewater, z jakim tamtego lata usiłował mówić Cyrus.

– Kidy ja kyńczyłem Commonwealth...

Mniej więcej po każdym trzecim napomknieniu o nauce w college'u Virginia Commonwealth Nancy przypominała mu, że teraz większość kadetów ma ukończony college. Jednak Cyrus kontrował:

– Moim głównym przedmiotem była kryminalistyka, a drugim socjologia. Wybrałem taką karierę jeszcze w szóstej klasie podstawówki.

Nancy uznała, że Cyrus ją obraża, chociaż w ukryty sposób. Miała w policji dwóch wujków i narzeczonego, mogła więc być oskarżana o potrójny nepotyzm. Okazało się jednak, że Cyrus z Wirginii nic o tym nie wiedział i dlatego należał do nielicznego grona osób, które ważyły się traktować ją protekcyjnie. Było to w jakiś dziwny sposób odświeżające. Przynajmniej nie musiała się martwić, czy aby nie daje jej taryfy ulgowej, tak jak wydawali się robić inni kadeci.

W przerwie na lunch jedli kanapki i pili wodę mineralną, przyniesione przez wolontariuszy powiązanych z rodziną zaginionego dziecka. Nancy stwierdziła, że siatkę poszukiwań nieprawidłowo ustalono i wysłano ich w złym kierunku.

– Nie wiesz, o czym mówisz – szydził Cyrus. – Wózek znaleziono w korycie strumienia. Porywacz uznał, że nie da rady go pchać pod górę, więc wyrzucił tutaj, a potem poszedł do góry i dalej.

– Myślę, że on szedł wzdłuż strumienia i nie próbował go przekroczyć, kiedy postanowił się pozbyć wózka. A co, jeśli szedł strumieniem?

– Dlaczego miałyby robić coś takiego?

– W ten sposób zostawiłby mniej śladów. Żadnych odcisków butów w ziemi, żadnych połamanych zarośli. To sprawy, których uczą o Indianach, kiedy chodzisz do w piątej klasy.

W Szkole Świętego Wilhelma z Yorku rzeczywiście przekazywano wiedzę tego rodzaju na zajęciach o rdzennych Amerykanach, jak zresztą w każdej szkole parafialnej już w czasach Nancy. Ale ona nie miała na myśli piątoklasistek, nie wtedy. Wtedy szukali kogoś dorosłego, socjopaty bez trudu niosącego dziecko ważące niemal dziesięć kilogramów. Nikt nawet nie pomyślał, że dwie małe dziewczynki niosły niemowlę na zmianę, a wcześniej porzuciły niechciany wózek na skraju strumienia. Nie szły korytem dlatego, bo miały gołe stopy, wiedziały zaś, że w parku rośnie pełno trującego bluszczu i sumaku. Poprzedniego lata Helen Manning nauczyła Alice i Ronnie rozpoznawać te liście, ponieważ obie dziewczynki po zabawie w lesie dostały straszliwej pokrzywki.

– Kawalek od Franklinton była kiedyś taka chatka – powiedziała Nancy. – Moja matka ma kuzyna w tej części miasta, który pracuje w sklepie z krabami.

Aż ją język świerzbił, żeby wymienić nazwisko Kolchak i zobaczyć, czy Cyrus je pozna. Ale zdecydowała się tego nie robić. Nie chciała zyskać uprzejmości Cyrusa w taki sposób.

– Poszłyśmy kiedyś tym skrótem przez park – kontynuowała – dlatego

pamiętam chatkę. Mieszkał tam pewien mały człowieczek, razem z kurami i kogutami. Nazywałyśmy go Kurczakowym Ludem. Był jak... jak obrazek z przeszłości. Nie mam pojęcia, jak mógł tak mieszkać – w chatce z papy z małą szopą.

– To nie jest na naszym obszarze poszukiwań – zauważył Cyrus.

– Mamy przerwę na lunch. Nikt nie będzie miał do nas pretensji, że gdzieś poszliśmy, jeśli wrócimy na czas.

– Hierarchia służbowa. Musisz trzymać się łańcucha dowodzenia. Jeszcze nawet nie jesteś policjantką. Rób to, co akurat chcesz robić, a nigdy nią nie zostaniesz.

– Szanuję hierarchię służbową tak jak wszyscy. Jak przyjdzie pora na wykonywanie poleceń, to zrobię, co mi każą. Ale teraz jest pora na to, co ja chcę, prawda? Nie musisz iść ze mną.

Ale poszedł. I tak ruszyli wzdłuż strumienia, kierując się w stronę chatki, o której przypomniawszy sobie Nancy. Okazało się, że domek stoi dalej, niż sądziła, więc nie zdołają wrócić na czas.

– No to świetnie. – Cyrus zerknął na zegarek. – Wdepnęliśmy w niezłe gówno.

– Jestem prawie pewna, że to już za następnym zakrętem.

Ale tak nie było. Ani za jeszcze następnym zakrętem, ani za następnym, ani jeszcze dalej. Przeszli co najmniej półtora kilometra, zanim Nancy wreszcie dostrzegła zapamiętane miejsce po drugiej stronie koryta, na niewysokim wzgórzu. Nie było go widać z drogi, jak w jej dzieciństwie. Zadbali o to las, tworząc zasłonę z drzew i zarośli. Chatkę mógł znaleźć tylko ktoś, kto wiedział, gdzie szukać.

Śmieszne, ale na widok domku była przerażona dokładnością własnej pamięci. Cyrus pierwszy przekroczył strumień. Nie zwracając uwagi, że może zamoczyć buty i spodnie, pobiegł w górę wzgórza. Chciał mieć to wszystko jak najszybciej za sobą. Wtedy usłyszeli gwizdek sierżanta. Nie zdołaliby wrócić na czas, niezależnie od tego, jak bardzo by się spieszyli. Nancy zdawała sobie sprawę, że będą mieli przerabane, a ona nawet podwójnie. Jej niesubordynacja zostanie uznana za przejaw pewności siebie związanej z rodzinnymi koneksjami. Ruszyła na drugi brzeg, skacząc z jednego omszałego kamienia na drugi, a przy ostatnim skoku o mało się nie wywróciła.

Stanąwszy w drzwiach chatki, Cyrus wydał odgłos, który początkowo brzmiał jak okrzyk radości, ale po chwili zmieniał się w zdławiony i ponury dźwięk. Cyrus zgarbił się i oparł o chatkę, która aż zadrżała pod jego ciężarem.

– Zostań tu! – zawołał zduszonym głosem, ale Nancy go nie posłuchała. Wspięła się na wzgórze, gotowa stawić czoło konsekwencjom swojego pomysłu.

W chatce panował chłód, zaskakujący w upalny dzień. Jak domek sklecony z patyków, jeszcze pokraccniejszy od tego, który w bajce zbudowały trzy świnki,

mógł tak dobrze chronić przed upałem? Gdy oczy przyzwyczajały jej się do ciemności, Nancy poczuła, że drży. Tak jakby przeczuwała, że zobaczy coś, czego nikt nigdy nie powinien oglądać.

W kącie piętrzył się stos zużytych pieluch. Ich odór niemal uspokajał swoją normalnością, chociaż widać było, że to, co zostawiło po sobie dziecko, ma zgniły żółtozielony kolor. W drugim kącie leżały plastikowe kubki i łyżki – po lodach, jogurcie czy puddingu – a Olivia Barnes miała białawą substancję rozsmarowaną na ustach, tak jakby ktoś próbował ją karmić.

„Po co karmić dziecko, które chce się zabić?” – pomyślała Nancy.

– Nie wiem – odparł Cyrus, choć przecież była pewna, że nie powiedziała tego na głos. – Po prostu nie wiem.

Dziecko miało otwarte oczy, a rączki sztywno ułożone po bokach, tak jakby czekało, aż ktoś jeszcze raz je przytuli. Obok leżała staroświecka zabawka: pordzewiałe na rogach pudełko z wyskakującą zniecka figurką. Właśnie ta zabawka wstrząsnęła Nancy. W jej wypłowiałych, ale wciąż jeszcze kłująco jaskrawych kolorach, było coś niemal obscenicznego.

Wyjęła z kieszeni rękawiczki, które rano rozdano im w autobusie, tak jak dzieciom na szkolnej wycieczce rozdaje się bilety do muzeum. Pouczono ich, żeby w miarę możliwości niczego nie dotykali, ale Nancy postanowiła zignorować również ten nakaz. Bała się, że zacznie płakać, jeśli szybko czymś się nie zajmie. Sięgnęła po pudełko i chociaż nie dotknęła dźwigienki znajdującej się z boku, figurka nagle wyskoczyła na zewnątrz, jakby czekała właśnie na tę chwilę. Nancy i Cyrus odskoczyli z krzykiem, a potem zaczęli się niepewnie śmiać.

Pudełko kryło małpkę w czerwono-żółtym ubranku z taniej satyny; z plastikowego pyszczka już dawno zesza nadająca mu rysy farba.

– Powinna wyskoczyć łasica – stwierdziła Nancy.

– Dlaczego? – zapytał Cyrus.

– W piosence jest łasica, nie małpka. – Zamknęła pokrywkę, obróciła niewielką dźwigienkę i rzeczywiście z pudełka dobiegła piosenka o łasicy.

– I tak nikt nie wie, jak wygląda łasica – orzekł Cyrus.

Wiedzieli, że ta rozmowa jest zupełnie nie na miejscu, ale oboje byli młodzi i niedoświadczeni. Cynizm, jaki mógłby wówczas nimi kierować, znalazł się lata stąd, wiele zwłok stąd, może nawet całe życie stąd. Pewnie w całym Baltimore nie znalazłby się gliniarz na tyle twardy, aby skwitować tamtą chwilę cwaniackim komentarzem.

Nancy przekręciła pudełko i obróciła je dnem do góry. Właśnie wtedy zobaczyła kawałek przylepca, a na nim duże, koślawe litery, nakreślone przez dziecko, które właśnie nauczyło się pisać kursywą. *Alice Manning*. To nazwisko nic jej nie mówiło, ale potrafiła sobie wyobrazić nauczyciela uczącego Alice Manning, tak jak kiedyś nauczyciele uczali ją, że A ma wyglądać jak płynąca do

tyłu żaglówka, a M powinno być wysokie i mocne jak żelazny płot. Nauczyciel byłby dumny z dziewczynki, która skreśliła te litery.

Nancy zamknęła pokrywkę, żeby zabawka wyglądała tak jak wtedy, gdy ją znaleźli, i wyszła z chaty. Cyrus już biegł w górę strumienia, rozbryzgując brudną wodę. Myślała, że chciał dotrzeć na miejsce pierwszy, aby zebrać pochwały, okazało się jednak, że źle go oceniła. Po prostu chciał jak najszybciej się oddalić, zwiększyć dystans dzielący go od martwego dziecka.

Nancy wspomniała Cyrusa, kiedy szła pośród ciemności wzdłuż tego samego strumienia, a światło latarki wyluskiwało dla niej ścieżkę. Droga znowu trwała dłużej, niż zapamiętała. Mijała zakręt za zakrętem, spodziewając się, że lada moment zobaczy chatę, ale chaty ciągle nie było. Może już nie istnieje?

Ostatnim razem spotkała Cyrusa dwa lata temu w Circuit City, kiedy kupowali z Andym nowy telewizor. Mówił, że jest handlowcem i świetnie zarabia. Lepiej niż się spodziewał. Sam był zdziwiony, że tak dobrze sobie radzi.

– Nadal jesteś gliną? – zapytał Nancy.

– Tak – odparła. – Ale w hrabstwie.

Skinął głową, a Nancy dostrzegła w tym skinieniu całą masę domysłów. Wszyscy wiedzieli, dlaczego przestała służyć w mieście. I wszyscy się mylili. Ale nawet gdyby im powiedziała, toby jej nie uwierzyli. Sama by w to nie uwierzyła. Kto mógł przypuszczać, że szczęśliwy traf okaże się najgorszą rzeczą, jaka może się wydarzyć? Błędy... Wszyscy robią błędy, a potem im się wybacza. Nancy zepchnęło z toru jej własne zezowate szczęście.

Chatka się zapadła, zgarbiła jak barki Cyrusa. Nancy zawahała się, stojąc u stóp wzgórza, tak jak kiedyś. Może jej młodsze „ja” rozumiało podświadomie konsekwencje wejścia na wzgórze i znalezienia tego, co znalazła? Czy teraz czekają ją jeszcze gorsze następstwa, jeżeli znowu przekroczy próg? Ale przecież już przebyła całą drogę w ciemnościach. Teraz musi zajrzeć do środka.

Światło latarki odkryło Ronnie Fuller skuloną w kącie izby, z kolanami pod brodą, kiwającą się rytmicznie. Pisnęła, gdy strumień światła oblał jej twarz, ale nic nie powiedziała. Nancy omiotła snopem światła resztę pomieszczenia. Nikogo innego tam nie było, ani żywego, ani martwego. W ogóle niczego nie było. Tylko Ronnie kiwająca się w tył i w przód i nucąca jakąś melodię.

===LUIg

– Ona tam była? – zapytał Infante, kiedy dotarł na dziewiąte piętro około drugiej w nocy, przywołany pagerem przez Nancy.

– Tak – odparła i wypila duży łyk świeżo zaparzonej kawy, chociaż właściwie nie potrzebowała kofeiny. Adrenalina wystarczała: czyniła Nancy czujną i skoncentrowaną, likwidowała potrzebę snu.

– Rozmawiałaś z nią?

– Trochę gadałyśmy, ale o niczym szczególnym. Kiedy ją tu przywiozłam i zesłam na dół do automatu, żeby jej przynieść jakiś napój i batonik, zasnęła.

– I tak ją zostawiłaś?

Wiedziała, że Kevin nie chciał, aby jego pytanie zabrzmiało jak wyrzut, ale tak właśnie zabrzmiało.

– W ogóle nie mogłam jej obudzić – odparła, starając się, by to nie brzmiało jak obrona. – Potrząsałam nią, szarpałam, robiłam wszystko oprócz wrzeszczenia jej do ucha, ale cały czas spała.

– Cały czas spała – powtórzył Infante. – Dobra, to niech śpi. I ty też się prześpij. Utnij sobie drzemkę, a ja jej popilnuję. A tak na marginesie: skąd wiedziałaś, gdzie jej szukać?

– Tak mi przyszło do głowy.

Była to najszczerza odpowiedź, jakiej mogła udzielić, ale nie cała prawda. Pewnego dnia wszystko opowie Kevinowi. Pewnego dnia, nie nocy. Złapała się na tym, że mówi mu to samo, co Cyrusowi siedem lat temu.

– Pamiętałam tę chatkę w Leakin Park z czasów, gdy moja rodzina chodziła do Millrace po kraby.

– Ale żadnego śladu zaginionej dziewczynki?

– Żadnego.

– Czy Ronnie próbowała uciekać?

– Nie, wydawała się wręcz zadowolona, że ją znalazłam. Nocą to jest straszne miejsce. Sama się bałam.

W rzeczywistości dziewczyna uniosła przed nią złożone dłonie, przyjmując modlitewną pozę i wprawiając Nancy w zakłopotanie. A potem detektyw zrozumiała: Ronnie podawała jej nadgarstki do zakucia w kajdanki.

Nancy nawet przez myśl nie przeszło, żeby ryzykować prowadzenie kogoś tą ciemną, wyboistą ścieżką, a zwłaszcza kogoś w kajdankach. Wybrała się tu z zamiarem poszukania ciała Brittany Little. Jaki użytek zrobiłaby z kajdanek? To, że Ronnie była gotowa, aby ją skuto, świadczyło, że nie myślała o ponownej ucieczce. Postanowiła oddać się w ręce policji.

Ale co, jeśli ucieknie, gdy tylko znajdzie się na ulicy? Co, jeśli uwolniwszy się od ciemnych kształtów lasu, obezwładni Nancy, zabierze jej broń albo ukradnie

samochód? „To jest tak, jakby była dobra Ronnie i zła Ronnie” – ostrzegała Alice. – „Zła Ronnie zrobi wszystko, a potem dobra Ronnie nie potrafi uwierzyć, że to zrobiła”. Jak Nancy wytłumaczyłaby się przed Lenhardtem i przed porucznikiem? Nie cierpiała rozważania najgorszych scenariuszy, ale skłonność do samokrytyki leżała w jej naturze.

Pomogła Ronnie Fuller zejść ze wzgórza z rękami skutymi za plecami. Po mozolnej wędrówce wreszcie dotarły do samochodu Nancy, toyoty RAV-4.

– To wóz policyjny?

– Mój prywatny.

– Och – westchnęła Ronnie, a potem dodała, jakby to była zwyczajna rozmowa i teraz ona powinna coś powiedzieć: – Ładny.

– Dzięki.

Ronnie nie powiedziała już nic więcej. Posłusznie usiadła na tylnym siedzeniu i pozwoliła zapiąć sobie pasy, jakby była dzieckiem sadowionym na samochodowym foteliku. Nancy dostosowała długość pasów, żeby dziewczyna mogła pochylić się do przodu i miała miejsce na skute za plecami ręce.

– Gdzie jest Brittany Little? – zapytała, kiedy już jechały.

– Kto?

– Dziewczynka, którą porwano z Value City.

– Z Value City porwano jakąś dziewczynkę?

– Daj spokój, Ronnie. Jeśli nie wiedziałaś, że porwano jakąś dziewczynkę, to dlaczego uciekłaś?

– Bo jest pani gliną. Tym gliną.

– Jestem detektywem i zajmuję się sprawą zaginięcia trzyletniej dziewczynki, do którego doszło niecałe sto metrów od miejsca, gdzie pracujesz.

– Chodzi mi o to, że to pani jest tym gliną. Tym, który znalazł tamto dziecko. Na początku pani nie poznałam, ale potem zastanowiłam się i już wiedziałam, gdzie panią wcześniej widziałam. Dużo się pani nie zmieniła. Nosi pani taką samą fryzurę.

– Skąd wiedziałaś, jak wyglądam?

– Moja mama... – To słowo sprawiło, że Ronnie straciła wątek. – No, była pani w telewizji, prawda? Dawali pani chyba jakąś nagrodę. I w gazecie. No a później, jak już siedziałam, też była pani kilka razy w telewizji. Prawda?

– Tak – przyznała Nancy.

Przez jakiś czas jechały w ciszy. Nie mając możliwości kontaktu wzrokowego, Nancy nie chciała poruszać tematu Brittany Little. Ale mogła zapytać o Olivię.

– Ronnie, dlaczego pudding?

– Co?

– Karmiłaś Olivię Barnes puddingiem. Znaleźliśmy opakowania

porozrzucane po całej chatce. Ale skoro kupiłaś pudding, mogłaś przecież kupić odżywkę dla niemowląt. Nie wiedziałaś, że powinnaś jej dawać odżywkę dla niemowląt?

– My niczego nie kupowałyśmy. Zabrałam pudding z domu.

– Och.

Nancy się zamyśliła. Przez te wszystkie lata myślała, że to niezmiernie istotne pytanie i rozmyślała o kubeczkach po puddingu, a wyjaśnienie okazało się banalnie proste. Czy inne odpowiedzi okażą się równie banalne? Jeśli tak, mogła śmiało ruszyć naprzód i zapytać o jedyną rzecz, którą uważała za naprawdę ważną.

– Dlaczego ją zabiłyście?

– Chodzi pani o tamto dziecko?

Czy Ronnie musiałyby pytać, gdyby zabiła tylko jedno dziecko? To uściślenie nappełniło Nancy jednocześnie nadzieją i strachem, bo o ile dobrze zrozumiała, Ronnie właśnie przyznała, że Brittany Little nie żyje.

– Tak, o Olivię Barnes – potwierdziła.

Widziała sylwetkę Ronnie w lusterku, ale nie widziała jej twarzy. Dziewczyna siedziała przechylona na bok, policzek przyciskała do szyby. Tak długo zwlekała z odpowiedzią, że Nancy już myślała, że zignorowała pytanie albo śpi. Jednak w końcu się odezwała:

– Była przygnębiona. Bardzo, bardzo przygnębiona.

Czy mówiła o sobie samej w trzeciej osobie? Czy właśnie nastąpiło przejście od dobrej Ronnie do złej albo na odwrót? Bo przecież niemowlę nie może być przygnębione, nawet w oczach jedenastolatki. Smutne – owszem. Rozgniewane czy nawet wściekłe. Ale kto mówi o niemowlaku, że jest przygnębiony?

– Skąd wiedziałaś, że dziecko jest... przygnębione?

Znowu minął dłuższy czas, zanim z tylnego siedzenia dobiegł jakiś dźwięk.

– To skomplikowane – odparła wreszcie Ronnie. Zabrzmiało to podobnie jak w przypadku Alice wspominającej o „przeszłości”, jakby odtwarzała słowa wypowiedziane przez kogoś starszego. – To bardzo skomplikowana historia.

Przez resztę jazdy już się nie odezwała. A teraz spała. Infante i Nancy przyglądali jej się zza szyby. W podkoszulku i dzinsach wyglądała na młodszą, chociaż przy niewielkim wysiłku mogłaby wyglądać na starszą. Wystarczyłyby krótka spódniczka i trochę makijażu.

Nancy pomyślała, że to jedna z dziwnych właściwości wieku osiemnastu lat. Wskazówki zegara dawało się przesunąć i do przodu, i do tyłu. Było się znowu dzieckiem, kiedy zachodziła potrzeba, albo tak zwodziło świat, by ludzie myśleli, że jest się dojrzałą kobietą.

To był czas pełen obietnic. Tamtego lata, kiedy skończyła osiemnastkę, zerwała z Andym, zaryzykowała, żeby ruszyć w świat. Ale szybko wróciła do swojego chłopaka, bo uświadomiła sobie, że nie może odrzucać szczęścia, jakim

było odnalezienie swojej drugiej połowy już w wieku czternastu lat.

– Najpierw ucieka, potem śpi – stwierdził Infante. – Podręcznikowy przykład poczucia winy.

– Jest wykończona – odparła Nancy. Automatycznie obudziło się w niej poczucie sprawiedliwości. – Ma za sobą naprawdę długi dzień. I wydawała się naprawdę zaskoczona, kiedy wspomniałam o Brittany Little.

– Ty też jesteś zmęczona i nie spałaś. Jedyna różnica między wami polega na tym, że ona wie, co się stało z Brittany Little, a ty nie. Myślisz, że powinniśmy ją obudzić?

– Mówię ci, nie da się. Ona umarła dla świata.

Te słowa zawisły w powietrzu, a Nancy pożałowała, że nie wybrała jakichś innych.

Ronnie Fuller spała, ale nie był to sen człowieka winnego czy niewinnego, lecz sen człowieka zmęczonego życiem spędzonym na zmaganiach z niezrozumiałym światem. Potrafiła zasnąć w każdych warunkach. Przesypiała całą noc, kiedy miała zaledwie trzy latka. Gdy zasypiała na tylnym siedzeniu samochodu rodziców, mocno wciśnięta między braci, ojciec mówił, że wcale nie musi zapinać pasów. Tak jakby ten stary towarowy ford jakieś miał. Przysypiała w szkole, przez co nauczyciele podejrzewali, że domowe konflikty nie pozwalają jej wyspać się nocą. Poniekąd mieli rację. Ronnie doświadczała domowych konfliktów, ale to właśnie dzięki nim wypoczywała, bo od każdej awantury uciekała w sen. Łóżko stanowiło jedyne prywatne miejsce w domu pozbawionym prywatności.

A kiedy młodszy z braci, Matthew, zaczął wchodzić do jej łóżka, spała dla własnego bezpieczeństwa.

Matthew miał wtedy dwanaście lat, a Ronnie dziewięć i już od paru dni podejrzewała, że coś względem niej planuje. Do tej pory większość planów Matthew dawało się znieść. Uszczypnięcia, kuksańce, niekończące się: „Muka, Puchatku!”. Gdy przetrzymywała jego ataki bez słowa, brat szybko się nudził i znajdował sobie kogoś albo coś innego do dręczenia. Helen Manning opowiedziała kiedyś Ronnie bajkę o Królowej Śniegu i dziewczynka od razu dostrzegła zalety posiadania lodowej drzazgi w sercu. Pod warunkiem, że można ją wyjąć, kiedy się chce. Myślała o sobie jako o Królowej z Kamienia, przyjmującej pozę w pewnej zabawie, w której nie wolno się poruszyć przez określony czas. Ronnie zawsze była dobra w tej grze.

Tamtego sierpniowego wieczoru dwunastoletni Matthew wszedł do pokoju dziewięcioletniej Ronnie. Dom ogarnęła już cisza – a właściwie prawie cisza, bo z salonu dobiegały odgłosy grającego telewizora i chrapania ojca, które na przemian robiło się głośniejsze i cichło. Matthew zaciskał dłonie na kroku swojej pidżamy, jakby chciał się wysikać. Trzymał go tak, że wystawał tylko czubek.

W ten sam sposób trzymał małe polne myszki, które czasem łapał na dzikim, zarośniętym podwórku Manningów. Ronnie przeczuwała, że przyjdzie właśnie tej nocy.

– Ronnie – odezwał się gardłowym szeptem. – Ronnie, śpisz?

Westchnęła, wydając z siebie dźwięk będący na wpół pomrukiem, na wpół mamrotaniem, tak jak ojciec, kiedy zasypiał na sofie po kolacji i jeszcze nie przeszedł do imponującego crescendo chrapania. Nie odważyła się udawać samego chrapania, bo wiedziała, że nie wyjdzie jej to jak u bohatera z kreskówki, z tymi wszystkimi gwizdami i klapaniem wargami.

– Mam coś, co chcę ci pokazać. – Matthew sięgnął po jej przegub, ale Ronnie przekręciła się jak w niespokojnym śnie, łącząc dłonie w ścisłe V pod brzuchem.

– Ronnie, obudź się. Daj spokój, Ronnie, to jest tajemnica, naprawdę fajna tajemnica.

Ze wszystkich sił starała się nie odpalić: „To wcale nie tajemnica, tumanie!”. Wiedziała sporo o seksie. Matka poroniła, kiedy Ronnie miała cztery lata, przez co wcześniej poznała pewne życiowe fakty. Luki zostały zastąpione przez filmy z kablówki i opery mydlane, więc dziewczynka miała ogólne pojęcie, co się z czym łączy, jakie są tego następstwa i jaki wpływ ma cała ta sprawa na mężczyzn. Widziała nawet w telewizji filmy wyjaśniające, dlaczego jej brat znalazł się tutaj w środku nocy. Zgodnie z nimi w rodzinach zdarzały się czasem rzeczy tego rodzaju, ale zawsze okazywały się złe, nawet jeśli chłopiec był przystojny, nie tak jak Matthew, i naprawdę kochał dziewczynę, też nie tak jak Matthew.

Jednak Ronnie przegrałaby w bezpośrednim starciu z bratem. Uderzyłby ją, ona by krzyknęła, a ojciec przyszedłby i rozdawał klapsy na lewo i prawo, nie zwracając uwagi na to, kto wywołał całe zamieszanie. Następnej nocy Matthew by wrócił, wszystko by się powtórzyło i w końcu wzięłby od niej to, czego chciał. Opowiedzenie rodzicom, co chciał zrobić, nie wchodziło w grę, znaną by się wstydziła. Czuła, że musi chronić matkę przed prawdą o najmłodszym synu – o tym, co zrobił handlarzom z sąsiedztwa, nie wspominając już o kotach ani o jego zachowaniu w szkole. Musiała chronić matkę przed całą brzydota życia. Matka lubiła opowiadać o starych programach, które oglądała w czymś, co się nazywało *Obrazek na niedzielne popołudnie*, kiedy telewizja miała tylko trzy kanały. Nie powinna się dowiedzieć, jak wszystko się zmieniło, że dzieci są teraz tak podłe i że jest ze sto kanałów pełnych rzeczy, których nikt nie powinien oglądać.

Helen Manning lepiej знаła życie, Ronnie jeszcze bardziej wstydziłaby się opowiedzieć o wybrykach brata swojej sąsiadce. W tamtym okresie to Matthew był tym złym, to on kroczył drogą prowadzącą prosto do kłopotów i poprawczaka. Zabawne, ale okazał się całkiem w porządku, kiedy stało się jasne, że to Ronnie jest tak straszna, że przy niej nikt w całej rodzinie nie wygląda już na złego. Nigdy

nie zapomni wyrazu jego twarzy w dniu, kiedy przyszedł do niej po procesie. Wyglądał na oszołomionego, ale również zadowolonego, że już więcej nie musi być tym złym.

To jednak stało się dwa lata później. Gdy miała dziewięć lat, trzymała ramiona na brzuchu, a dłonie przyciśnięte do swoich części intymnych. Wtedy Matthew uchodził za złego, a ona za dobrą, przynajmniej lepszą od niego. I sprytniejszą. Doszła do wniosku, że brat nie wejdzie w nią dopóty, dopóki ona będzie udawać, że śpi. Może jakiś starszy chłopiec, bardziej złośliwy, wcale by się nie zatrzymał, ale Matthew uznał, że potrzebuje współpracy ze strony siostry. Ciało kobiety stanowiło dla niego tajemnicę. Bez małej pomocy nie znalazłby drogi do środka.

Potrząsał jej ramionami i syczał jej imię jeszcze dzikszym szeptem. Dźgnął ją w biodro swoją twardością, co Ronnie bardzo zbrzydziło, chociaż dotyk nie różnił się od palca. Dalej więc „spała”. Wkrótce nie musiała już nawet udawać. Drzemała wśród tych szeptów, aż wreszcie dał jej spokój. Później usłyszała, że dorwał jakąś dziewczynę ze swojej klasy, taką głupią dziewczynę, z której wszyscy się śmiali.

Nawet w Harkness i później w Shechter Ronnie nigdy nie miała problemów ze snem. Gdyby nie ścisły rozkład dnia, spałaby dziesięć, jedenaście, nawet dwanaście godzin każdej nocy i jeszcze ucinając sobie drzemkę za dnia. Jednak w Shechter zbyt dużo spania uznawano za niepokojący objaw, dlatego dała spokój. To stanowiło jeden z kosztów pozostania w zakładzie.

Dzisiaj zdrzemnęła się w starej chacie, oparta o ścianę. Nie miała nic do roboty poza snem i czekaniem. Wiedziała, że ją znajdą. Była tylko zaskoczona, że tak długo musi czekać. Kiedy zamykała oczy, na zewnątrz wciąż było jasno, a obudziła się w kompletnej ciemności. Większość miejsc w Baltimore było głośniejszych, niż pamiętała, a Leakin Park okazał się cichszy.

To nie była jej pierwsza wizyta w chacie po wyjściu na wolność. Trafiła tam, niemal przez przypadek, wkrótce po powrocie do domu. Po prostu szła wzdłuż Franklinton Road, przemierzając stare ścieżki. Zawsze uważała park za swoje miejsce, sekret do dzielenia się z innymi. Gdy odkryła chatkę latem tamtego roku, w którym skończyła dziesięć lat, z trudem zdołała przekonać Alice, żeby z nią do niej poszła. Alice była bojaźliwa. Jednak ledwo zobaczyła chatkę, zaczęła ją sobie przywłaszczać, wymyślając różne głupie reguły i nalegając, żeby bawić się w jej niedorzeczne zabawy. „Ty będziesz uczennicą, a ja nauczycielką”. „Ty będziesz tatą, a ja będę mamą”. „Ty będziesz lisem, a ja kurczakiem”. „Ty będziesz kangurem, a ja misiem koala”. Alice zawsze sobie przydzielała najlepszą rolę i tłumaczyła, że to sprawiedliwe, bo przecież ona wymyśliła wszystkie zabawy.

Ronnie spała. Ronnie śniła. Sny miała czarno-białe jak *Obrazek ma niedzielne popołudnie* jej matki. Pamiętała je – tak jak większość ludzi pamięta sny

następnego ranka – w mglistych fragmentach. Po przebudzeniu zawsze zaskakiwało ją, jak trudno ułożyć spójną historię z tego, co w nocy wydawało się logiczne i normalne. W snach często pojawiały się Helen Manning, matka Ronnie, a teraz także jej terapeuta. Te sny nie były ani straszne, ani kojące. Po prostu były.

Po powrocie na Nottingham Road Alice nie spała, co zresztą często jej się zdarzało o trzeciej w nocy. Albo odziedziczyła po Helen skłonność do nocnego trybu życia, albo wcześniej zaczęła ją naśladować. Nawet jako dziecko często nie spała o pierwszej, drugiej czy trzeciej w nocy. Noc była pełna ciekawych dźwięków, które gubiły się za dnia, jak łoskot pociągów towarowych jadących wiele kilometrów stąd.

Helen nigdy nie karciała córki za to, że nie zasypia, chociaż kazała jej leżeć w łóżku, poza wizytami w łazience.

– Jak się kładzie do łóżka, to się w nim zostaje – oznajmiła. – To, co robisz w łóżku, to już twoja sprawa. Dopóki za dnia nie jesteś zmęczona i ospała, nie obchodzi mnie, co robisz w nocy.

Alice nie pytała, ale uznała, że takie same zasady dotyczą matki. To, co Helen robiła we własnym łóżku, stanowiło jej sprawę. Chociaż pewnych rzeczy w swoim łóżku nie robiła. Kiedy się z kimś umawiała – co nie zdarzało się często – albo wynajmowała na noc opiekunkę do dzieci, albo nie wpuszczała mężczyzny na piętro. Gdy Alice szła do swojego pokoju na górze, Helen zajmowała salon – potajemnie paliła, potajemnie piła, potajemnie oglądała telewizję. To znaczy chciała to robić potajemnie. Czy naprawdę sądziła, że córka niczego nie zauważy, jeśli pozostanie w łóżku? Do pokoju na górze docierały wszystkie dźwięki: lodu wpadającego do szklanki, zapalki uderzającej o szorstki bok pudełka, włączanego późno telewizora i wreszcie zduszony śmiech Helen czy męskie pomruki. Alice wszystko słyszała.

Dziadkowie mówili, że Helen jest zbyt pobłażliwa. Alice te słowa również podsłuchiwała, ale to wymagało skradania się na szczyt schodów, co zresztą robiła znacznie częściej, niż podejrzewała matka. Dom nie tłumił dźwięków, ale zniekształcał słowa, więc jeśli chciała słyszeć wyraźnie jakąś rozmowę albo dialog z nocnego filmu, wykradała się z łóżka i sunęła po drewnianej podłodze, jakby jechała na łyżwach. Inaczej Helen usłyszałaby kroki. Porowata konstrukcja domu miała dobre i złe strony. Sztuczka polegała na tym, by poczekać, aż włączony telewizor albo zestaw stereo zagłuszy skrzypienie podłogi.

Inna sztuczka polegała na włożeniu skarpetek, bo podłoga była stara i pełna drzazg. Alice ślizgała się po niej w tempie raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa, jakby tańcząc na łyżwach. Wyobraziła sobie siebie w stroju, jaki matka nosiła jako dziecko: czarnej spódnicy z naszytą podobizną łyżwiarki i wełnianej czapce z jej inicjałami z boku. „Nie cierpiałam tego” – oznajmiła Helen, kiedy Alice zatrzymała się przy tym zdjęciu w starym albumie.

Tej nocy Alice leżała pod kołdrą w żółte i czerwone paski. Wybrała te poszwy prawie dziesięć lat temu, kiedy Helen powiedziała, że ładna pościel stanowi ozdobę pokoju. Zdecydowała się na śmiałe i abstrakcyjne, bo wiedziała, że matkę rozczaruje wzór, który jej samej podobał się najbardziej: dziewczynki z konewkami i pączki róży na różowym tle. Ale paski też przypadły jej do gustu i z pewnością lepiej pasowały do osiemnastolatki niż pączki róży.

Przyjrzała się dwóm obłym górkom utworzonym przez swoje kolana. Gdyby spała w tej pościeli co noc, od kiedy skończyła dziesięć lat, poszwy byłyby miejscami wytarte i zaczynały się strzępić na krawędziach. Spłowiąły, ale tylko dlatego, że Helen nie pomyślała, aby trzymać zasunięte żaluzje. Przez siedem lat światło padało na łóżko, na pościel rozłożoną tak, jak Alice zostawiła ją ostatniego poranka w domu. Nocą w świetle lampki nie widziała subtelnych linii zgadzających się z przebiegiem pasków żaluzji, ale wiedziała, że tam są.

Oparła notes na udach i zaczęła pisać list. Wiedziała, że nigdy go nie wyśle, ale fajnie się go pisało, bo był o niej. Matce, która zauważyła, jak nad nim pracuje, powiedziała, że to aplikacja do college'u. Mógł się nią zresztą stać, bo pisała esej, w którym usiłowała przedstawić siebie w dziwacznej formie polegającej na chwaleniu się poprzez krytyczne wyrażanie się o sobie. Wiedziała, że właśnie tego wymagają w tego rodzaju esejach.

Ale to nie była aplikacja do college'u, lecz list do producentów *reality show* z MTV, takiego, w którym siedem osób mieszka pod jednym dachem. Nie chciała stać się jedną z nich, jeździć jak głupia wozem kempingowym i robić różnych bezsensownych rzeczy nazywanych misjami. Wszyscy wiedzieli, że do tego programu biorą ludzi przegranych, nieudaczników. Ale jeszcze nigdy nie pojawił się nikt... jak to wyrazić... naprawdę okryty złą sławą. Pewien chłopak miał brata, który został zamordowany, i to było najwięcej, na co się zdobyli.

Wiedziała, że byłoby lepiej, gdyby jej przeszłość wiązała się z jakimś wypadkiem, na przykład gdyby skazano ją za zabicie kogoś w trakcie jazdy po pijanemu i teraz należałaby do koła Anonimowych Alkoholików. Może powinna zacząć chodzić do kościoła i mówić o Bogu? Przydałoby się też, żeby robiła coś twórczego – pisała poezje czy rapowała.

Jednak Alice wiedziała, że prawdziwą przeszkodę stanowiła jej otyłość. W programie czasem pojawiały się grube dziewczyny, ale zawsze czarne. Białe były chude, co roku chudsze, tak chude, że mogły nosić bluzki odsłaniające brzuch, bikini i kolczyki w pępku. Nie wiedziała, dlaczego czarne dziewczyny mogą mieć nadwagę, a białe nie, lecz najwyraźniej taka była zasada. Chociaż ostatnio nawet czarne dziewczyny przestawały być grube.

Mimo wszystko cieszyło ją opisywanie swoich cech, nawet jeśli nie planowała kiedykolwiek wysłać tego listu. Ludzie zawsze mówili Alice, że ma w życiu wiele możliwości, lecz jedynymi, które potrafili wymienić, były praca

i szkoła. One nie wyglądały na coś stworzonego specjalnie dla niej. Wyglądały jak coś, co mieli wszyscy inni.

– Masz całe życie przed sobą – oznajmiła jej matka. Sharon Kerpelman mówiła mniej więcej to samo. Alice wiedziała, że obie się mylą. Miała całe życie za sobą, wielki, niezgrabny ciężar, który musiała targać, gdziekolwiek poszła, tak jak własne ciało. Takie życie powinno się na coś przydać.

Przeczytała list. Kiedyś była rozkochana w kursywie, lecz niedawno odkryła, że pisze znacznie szybciej, jeśli używa prostych liter. Jej litery stały się więc kanciastymi kapitalikami, już nie majestatycznymi okrętami, które kiedyś sunęły po stronach. Ale nawet to nowe odręczne pismo nie było dla niej zadowalająco szybkie. Woląла pisać na komputerze matki, ale nie mogła zabrać go do łóżka – i co ważniejsze – nie mogła zaufać, że Helen uszanuje jej prywatność. Wprawdzie zawsze zapewniała, że rozumie potrzebę utrzymywania czegoś w sekrecie, ale była kłamczuchą. Wielką, tłustą kłamczuchą. Kłamstwa matki nie miały sensu dla Alice.

Nawet w notatniku, który mogła ukryć pod materacem, nawet w liście, którego nigdy nie wysłała i którego nikt nie przeczyta – nie ośmieliła się napisać prawdy, całej prawdy i tylko prawdy, jak mówili w telewizji. Dotychczas jeszcze nie słyszała, żeby ktoś tak się wyraził w prawdziwym życiu. Ale ona też nigdy nie dotarła do miejsca, w którym mogłaby zeznawać jako świadek, nigdy nie położyła ręki na Biblii i nie przysięgała na Boga. Chciała, ale nikt inny nie chciał. Tak naprawdę wszystkim chodziło głównie o to, żeby siedziała cicho. Mówili, że nie będzie dobrze ani dla niej, ani dla Ronnie, gdyby zeznawały przed sądem, zanim wszystko się rozstrzygnie. Chcieli osiągnąć porozumienie poza sądem. Alice nie rozumiała, jak to porozumienie jej pomogło. Prawda była po jej stronie, nie po stronie Ronnie, więc gdy pewnego dnia pozwolą jej mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, wszyscy staną się wobec niej bezbronni.

Przewróciła stronę notatnika i zaczęła pisać nowy list, który zostanie wysłany, gdy nadejdzie odpowiednia pora.

Niedziela, 5 lipca

24

Lenhardt rozłożył na stole mapę okolicy. Oto siostry Baltimore – miasto i hrabstwo – połączone, lecz niescalone, skute jak dwaj uciekinierzy w starym filmie.

– Wiecie, co to jest?

– Mapa – oznajmił Infante. Powiedział to najzupełniej poważnie. Sierżant zadał pytanie i detektyw na nie odpowiedział.

Nancy zaczęła chichotać, ale śmiech przeszedł w ziewanie. Była jedenasta rano, przespała kilka godzin, a Infante próbował obudzić Ronnie. Oboje ślaniali się na nogach ze zmęczenia. Zaczynali też brzydko pachnieć, bo już ponad dobę nosili te same ubrania.

– Znakomicie, detektywie Infante. Tak, to jest mapa – pochwalił Kevina Lenhardt. – Ale mapa czego?

– Baltimore.

– Nie, przyjacielu. Tylko wygląda jak Baltimore, ale to jest Zajebanów, nasze nowe miasto w niedalekiej przyszłości.

– Dlaczego... ktoś... ma... nas... zajebać? – Nancy mimowolnie ziewała po każdym słowie. Lenhardt zaklął. Przy niej. Czyli musiało się dziać naprawdę źle. Ciekawe, czy od tej pory przestanie unikać przekleństw w jej obecności.

– Nancy, nie bądź ordynarna. – Nagana sierżanta była pozbawiona ironii. – Komisarz chce, żebyśmy zaczęli poszukiwania.

– Nie możemy zacząć poszukiwać. Nie mamy pojęcia, gdzie może być dziecko.

– Nie, ale mamy oddaną pracy młodą detektyw, która tropiła podejrzaną w Leakin Park wczoraj w nocy. – Lenhardt skinął głową w stronę Nancy. – Swoją drogą, dobra robota, chociaż wolałbym, żebyś powiedziała komuś, dokąd idziesz. I wzięła radiowóz. Tak dla bezpieczeństwa.

– Wytropiła podejrzaną – stwierdził Infante – ale podejrzana nic nam nie powiedziała.

– Nawet nie postawiliśmy jej zarzutów – dodała Nancy.

– Co mówi o piątkowym wieczorze?

– Była sama w domu. – Nancy udało się dowiedzieć chociaż tyle. – Rodzice poszli na grilla zorganizowanego przez związek zawodowy; to samo mówiła nam jej matka. Czyli nie ma żadnego alibi od czwartej, gdy dotarła do domu po pracy, do jedenastej, kiedy jej rodzice wrócili z grilla.

– Nastolatka i do nikogo nie telefonowała? Nie usiadła przy komputerze i nie odbywała dziwacznych rozmów, tak jak to teraz robią? Moje dzieciaki nie potrafią

wytrzymać nawet dwudziestu minut, nie kontaktując się z przyjaciółmi.

– Ona nie ma przyjaciół. – Nancy przypomniała sobie smutne pełne rezygnacji słowa matki Ronnie: „Nie ma chłopaka, nie ma przyjaciół”.

– A co z Alice Manning?

– Dziewczyny twierdzą, że nie kontaktowały się po powrocie do domu. Alice przyznała się, że poszła do Bagel Barn, żeby zobaczyć Ronnie, ale ponoć Ronnie nie ma o tym pojęcia.

– To było dziwne – skomentował Infante. – Alice przysłała tu z własnej woli, żeby powiedzieć nam coś, co umieszcza ją w pobliżu Bagel Barn na kilka godzin przed porwaniem. Potem pojawia się ta prawniczka, do której Alice zadzwoniła i zostawiła jej wiadomość, zanim sama się tu zjawiała. I dziewczyna nagle mówi, że to nie był piątek, ale sobota tydzień albo dwa tygodnie temu.

– Właśnie, o co w tym chodzi? – zastanawiał się Lenhardt.

To pytanie odbiło się echem w głowie Nancy. Sądziła, że Alice – motywowana chęcią udzielenia pomocy albo nienawiścią żywioną przez siedem lat – chciała mieć pewność, iż nikt nie przeoczy faktu, że Ronnie znajdowała się w pobliżu miejsca przestępstwa. Kłamała. Ale czy na pewno? Sharon Kerpelman twierdziła, że zabrała ją na kolację w piątek o ósmej. Cztery godziny nie wystarczyłyby na uprowadzenie dziecka, przebranie go, ukrycie albo zabicie, a potem przejście prawie pięciu kilometrów do domu. A jeśli Alice nie poruszała się pieszo? I jeśli nie działała sama?

– Komisarz nakazał prowadzić poszukiwania aż do skutku – powiedział Lenhardt. – Chce wszystkich przekonać, że robimy, co w naszej mocy. Jednocześnie... komisarz powiedział to burmistrzowi, który przekazał to mnie... nie chce, aby do mediów dotarła jakakolwiek sugestia, że ta sprawa może się wiązać z inną. – Zrobił krótką pauzę i upewnił się, że Infante i Nancy patrzą mu prosto w oczy. – Rozumiecie, co mówię? Nic nam nie da mówienie o Ronnie Fuller albo Alice Manning, dopóki którejś z nich nie postawimy zarzutów. A nawet wtedy pamiętajcie, że przed siedmioma laty były nieletnie. Nie można wstukać ich nazwisk do sądowego komputera i otrzymać jakichś informacji. Tamta sprawa była utajniona. To nie są dane publiczne.

– Nie tylko my o wszystkim wiemy – zauważył Infante. – Policjanci z miasta, którzy pamiętają sprawę Olivii Barnes, nie będą mieli żadnych oporów przed mówieniem o niej, bo na nich to się nie odbije. W dodatku matka Olivii Barnes może powiedzieć, komu chce, że zadzwoniła do nas, bo jej córka była jak skóra zdjęta z tego... tego drugiego dziecka.

W myślach Nancy dokończyła zdanie, tak jak początkowo zamierzała zrobić to Kevin: „Jak skóra zdjęta z tego martwego dziecka”.

– Słyszałem, że wczoraj wieczorem prokurator stanowa spotkała się z Barnesami oraz ich teściem, sędzią Poole'em – poinformował Lenhardt. – Nieźle

się napociła, żeby ich przekonać, że ograniczenie się do jednej wersji nic nie da. Jeśli opinia publiczna zacznie uważać sprawę za rozwiązaną, to ludzie przestaną zauważać sprawy, które mają znaczenie. Dopóki my mamy ten cholerny Żółty Alarm, ludzie zwracają na to uwagę.

– Ale poszukiwania? – prychnęła Nancy. – To strata czasu i pieniędzy.

– Tylko jeśli uważasz, że nasza robota to rozwiązywanie spraw. Chyba pamiętasz, że od czasu do czasu mamy rzucać coś mediom. Komisarz uznał, że to będzie dobry *show* na niedzielę. Dziś nakręcą materiał z gliniarzami przeszukującymi lasy. Podadzą, że podążamy za wyraźnymi tropami, co zresztą robimy. Ale podadzą tylko tyle, jasne?

Nancy zaczerwieniła się, świadoma, że Lenhardt patrzy teraz na nią, nie na Kevina.

– Tak, sierzancie.

– A teraz wypuść tę Fuller, idź do domu i trochę się prześpij.

– Chciałabym jeszcze coś sprawdzić. – Nancy wskazała zamknięte drzwi pokoju przesłuchań. – Wiem, że nie możemy trzymać jej dłużej bez nakazu, ale potrzebuję tylko paru minut.

– Nie prosiła o prawnika? – spytał Lenhardt.

– Nie. Idzie w zaparte jak stary wyga, ale nie prosiła ani o prawnika, ani o możliwość wykonania telefonu. Wygląda na to, że nie zależy jej nawet na zawiadomieniu rodziców. Kiedy nie śpi, ciągle powtarza w kółko: „Nie wiem. Nie wiem”.

– No to co jeszcze chcesz sprawdzić?

– Myślałam o podkoszulku, który znaleźliśmy w koszu na śmieci. Była na nim krew, która nie pasowała ani do dziewczynki, ani do jej matki. Do kogoś jednak pasuje.

Lenhardt skinął głową. Był za sprytny na to, żeby nie pomyśleć o tym już wcześniej.

– Widziałaś coś u niej?

– Nie, żadnych ranek czy zadrapań. Ale widziałam tylko przedramiona. Ma bluzkę z krótkimi rękawami i długie spodnie.

– I co, pójdziesz tam, dasz jej nóż i powiesz: „Hej, możesz się dźgnąć?”. Poprosisz, żeby sobie ogoliła nogi? Zawrzesz z nią pakt i staniecie się siostrami krwi?

– Siostrami krwi – mruknął Infante, zbyt zmęczony, żeby zdobyć się na szyderczy ton.

– Sama nie wiem – odparła Nancy. – Może zgodzi się na pobranie krwi, gdyby to mogło ją wyeliminować z kręgu podejrzanych.

– Ale nie wyeliminuje, sama wiesz – stwierdził Lenhardt. – Najwyżej wykluczy ją jako osobę, która zakrwawiła podkoszulek. Musimy być otwarci na

możliwość, że było dwóch porywaczy. Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, jak jedna dziewczyna dałaby radę sama zrobić coś takiego.

– Jeżeli nie zdobędziemy niezbitych dowodów, nawet adwokat idiota będzie wiedział, jak się z tym rozprawić. Dlatego lepiej wykorzystamy czas na znalezienie choćby najdrobniejszego śladu, niż gdybyśmy wysłali wszystkich ludzi, jakich mamy w hrabstwie, na przeszukiwanie, które prawdopodobnie nic nie da.

Sierżant wzruszył ramionami.

– Dobra, masz moją zgodę. Ale potem masz wracać do domu i trochę się przespać.

Przyniósł im tego ranka torbę bajgli. Nancy wybrała jeden ze słodszych, jagodowy, i zabrała do pokoju przesłuchań razem z oranżadą.

– Proszę – powiedziała, podając bajgla Ronnie. – Śniadanie mistrzów.

Ronnie siedziała nieruchomo, wpatrzona w przestrzeń. Nawet po przebudzeniu zachowywała się niesamowicie, jakby stale zapadała w jakąś śpiączkę i budziła się z niej. Dobra Ronnie czy Zła Ronnie?

– Skąd to jest? – zapytała, wskazując bajgla. Potem oderwała mały kawałek i przeżuła ostrożnie, tak żeby w każdej chwili móc go wypluć.

– Z Einstein's. Przy Groucher Boulevard.

– Nasze są lepsze. To znaczy ten jest w porządku, ale ma inny środek. My używamy mrożonego ciasta z Brooklynu i mamy bajgla prawie takie jak nowojorskie. Clarice mówi, że właśnie tego chcą ludzie. Pracowała kiedyś w innym miejscu, gdzie bajgla były za słodkie. Mówiła o nich „bajgla montrealskie” i że w Baltimore ludzie takich nie lubią.

– Clarice?

– Szefowa zmiany z Bagel Barn. Poznaliście ją.

– Tak, prawda. Rozmawialiśmy z nią, kiedy uciekłaś.

– Och! – Ronnie wyglądała na zakłopotaną, jakby miała nadzieję, że już nie będzie się wspominać o tamtym incydencie.

– Dlaczego uciekłaś?

– Powiedziałam pani – głos miała zmęczony, ale spokojny. Nancy pomyślała, że ta dziewczyna może nigdy sobie nie uświadomić, że ma jakieś prawa. – Wiedziałam, że jesteście gliniarzami, a ja nie mam równych szans z gliniarzami. Nie miałam ostatnim razem.

– Jak to?

Ronnie wzruszyła ramionami.

– To nie ma znaczenia.

– Przecież jesteś tutaj. Więc to ma znaczenie.

– Chodzi o to, że jeśli wtedy nikt mi nie wierzył, to dlaczego miałby mi wierzyć teraz? Ludzie ustalili, co się wydarzyło, więc właśnie to się wydarzyło.

Nancy patrzyła na prawie nietknięty bajgiel. Próbowwała zachowywać się tak,

jakby to było zwyczajne śniadanie dwóch dziewczyn, które dzielą stół w zatłoczonym bufecie. Pochyliła się, tak że podbródek miała ledwie trzy centymetry nad blatem, i spojrzała Ronnie w oczy. Niespodziewanie okazały się błękitne. Brwi miała niewyregulowane, cerę trochę pryszczatą. Ale mogłaby być ładna, gdyby choć trochę się postarała.

– Ronnie, nie mogę odwrócić niczego, co zrobiłaś, a ty nie możesz odwrócić niczego, co zrobił ktoś inny. Ale możesz sprawić, żeby nie stało się coś jeszcze gorszego, jeśli rozumiesz, o czym mówię.

– Nie, nie rozumiem – odparła Ronnie. – Bo ja o niczym nie wiem.

– Czy nie zastanawia cię, że to się stało tak blisko miejsca, gdzie pracujesz? I że... – Nancy przerwała. Nie chciała mówić o podobieństwie zaginionej dziewczynki do Olivii Barnes. Chciała, żeby Ronnie sama o tym powiedziała. Sharon Kerpelman twierdziła, że Alice jest podatna na sugestie i zgodziłaby się na wszystko, byle okazać się pomocna. Jednak Ronnie wydawała się znacznie bardziej wrażliwa na zranienie.

Nancy przesunęła po stole fotografię Brittany Little.

– Ładna dziewczynka – powiedziała Ronnie.

– Czy nie przypomina ci kogoś, kogo znasz?

– Tak, trochę.

– Kogo ci przypomina?

– Alice. Przypomina Alice.

– Alice? Przecież ta dziewczynka jest Mulatką i ma kręcone włosy.

Ronnie wyglądała na zmieszaną.

– Ma pani rację. Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Czasem mówię „Alice” i sama nie wiem dlaczego.

– Często myślisz o Alice?

– Nie. Rzadko.

– Byłoby zrozumiałe, gdybyś myślała.

– Dlaczego? – spytała Ronnie takim tonem, jakby wręcz tęskniła za odpowiedzią.

– Przez... przez tę historię, jaką ze sobą dzielicie. Domyślam się, że to coś, czego nie zapomnisz.

– Nigdy?

– Co?

– Myśli pani, że kiedyś będę mogła zapomnieć? Jeden doktor powiedział mi, że to możliwe. Że wraz z upływem czasu pojawią się inne rzeczy, o których będę mogła myśleć, inne rzeczy, które... mnie określą.

Nancy, zanadto zbита z tropu, by coś powiedzieć, podniosła fotografię i spojrzała na uśmiechniętą Brittany. „Czy ty żyjesz? Proszę, powiedz mi, że żyjesz” – pomyślała.

– W toalecie znaleźliśmy jej ubrania. – Nie wspomniała o włosach, jeszcze nie pora. Nawet matce dziewczynki nie powiedziano, że je obcięto, na wypadek gdyby zrobił to jej konkubent, chcąc stworzyć złudzenie uprowadzenia przez kogoś obcego. – Była na nich krew. I na jakimś T-shircie.

Ronnie szeroko otworzyła oczy.

– Dużo?

– Wystarczająco wiele, by nas zaniepokoić. Zrobiliśmy testy. I wiesz, co się okazało? – Odczekała chwilę, by zobaczyć, czy Ronnie coś powie, ale ona milczała. – To nie była krew tej dziewczynki.

– Skąd wiecie?

– Krew jest jak odcisk palca. Jest unikalna. To nie była jej krew ani krew jej matki. Porównaliśmy próbki.

– Och.

– Tak, to niesamowite, co można zrobić z niewielką ilością krwi. Jeśli pobierzemy komuś krew, porównamy z tą, którą znaleźliśmy i okaże się, że jest inna, to możemy go puścić do domu.

– Chce pani, żebym oddała trochę krwi? – Ronnie zeszywniała.

– Nie musisz się na to godzić. Ale to może przyspieszyć bieg spraw. Możemy pobrać ją z palca, wystarczy małe ukłucie. Czy jak byłaś dzieckiem, zawierałaś z kimś braterstwo krwi?

Ronnie pokręciła głową, najpierw wolno, jakby niepewnie, potem szybciej i gwałtowniej. Była jak jedna z lalek o ruchomych głowach – gdy głowa zaczęła się poruszać, wydawało się, że traci nad nią kontrolę. Niemniej głowa Ronnie, zamiast chybotać się w górę i w dół, kiwała się z boku na bok.

– Nie, nie, nie, nie, nie, nie.

– To tylko małe ukłucie, nawet nie poczujesz. Jeśli to nie jest twoja krew... a musi się okazać, że nie twoja, bo przecież nie wiesz, co się stało... będziemy musieli zostawić cię w spokoju.

– Nie. – To nie był krzyk, jednak w głosie dziewczyny zabrzmiało coś takiego, że Nancy aż podskoczyła. – Nikt oprócz mnie nie będzie mnie ciął!

– Co?

– To, że nie chcę. Nie chcę, nie chcę, nie chcę, nie chcę.

Zacząła walić pięściami w stół, aż Nancy musiała złapać ją za nadgarstki. Przez chwilę Ronnie wyglądała, jakby chciała ją ugryźć. Jej drobne białe zęby kłapnęły tuż koło twarzy Nancy.

Potem zwiotczała, a gdy Nancy puściła jej ręce, opadły na blat. Schowała twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

– Ronnie, czy Brittany jeszcze żyje? To najważniejsze, żeby żyła, kiedy ją znajdziemy. A jeśli już nie żyje, potraktujemy łagodniej tego, kto nam pomoże. Nie mogę zawrzeć układu, jestem tylko policjantką, ale wierz mi, że zawsze lepiej jest

współpracować.

– Ja nie wiem. Ja nic nie wiem. Zapytajcie Alice. Jej pobierzcie krew. – Uniosła wzrok i pociągając nosem, wypowiedziała te magiczne słowa: – Chcę wracać do domu. Czy mogę już iść? Czy mogę zadzwonić do mamy? Czy powinnam zadzwonić do prawnika?

– Tak – odparła Nancy. – To znaczy możesz iść i możesz zadzwonić do mamy, ale nie musisz dzwonić do prawnika.

Jeszcze nie.

Zaprowadziła dziewczynę do swojego biurka i pozwoliła jej skorzystać z telefonu. Idąc, Ronnie mamrotała do siebie:

– Nikt mnie nie tnie, tylko ja. Nikt mnie nie tnie, tylko ja.

– Powinnaś do niej pójść.

– Co? – Cynthia Barnes gwałtownie odwróciła głowę od telewizora i pospiesznie szukała wyłącznika na pilocie, jakby przyłapano ją na oglądaniu czegoś niedozwolonego.

– Powinnaś do niej pójść – powtórzył Warren. Był boso, a buty do golfa trzymał w ręku, żeby nie uszkodzić kuchennej podłogi. Oboje trochę się wkurzyli, kiedy wykonawca już po fakcie oznajmił, że ten kamień można uszkodzić.

– Nie mam jej nic do powiedzenia.

Maveen Little już zniknęła z ekranu i teraz widać było dziecko, które rozpromieniło się na widok hot doga z Esskay.

– Łączą was podobne przeżycia.

Ledwo się powstrzymała, aby nie rzucić mu w twarz: „Nigdy nie będę miała nic wspólnego z Maveen Little”.

– Obawiam się, że ona nie wzbudza zbyt dużej sympatii – powiedziała, starannie dobierając słowa.

– Bo jest nieatrakcyjna i nie potrafi się wysłowić? – Warren, jak to on, wyrażał się delikatnie. Maveen Little była gruba i brzydka, miała paskudną cerę i trwała domowej roboty. – Och, kochanie, ludzie nie są tacy źli.

– Są nawet gorsi i dobrze o tym wiesz.

Nie mógł zaprzeczyć, więc pocałował żonę w czoło – a pocałunek był raczej ojcowski niż mężowski – i wyszedł z kuchni, rzuciwszy ostatnie spojrzenie w stronę telewizora. Najwyraźniej chętnie by go wyłączył. Kiedy jego pocałunki przeniosły się z ust na czoło? Przed narodzinami Rosalind czy później? Cynthia nie mogła sobie przypomnieć. Pewnie nadejdzie dzień, kiedy Warren będzie całował ją w czubek głowy albo przyjacielsko klepał po ramieniu, a ona nie będzie się tym przejmować. Kochała go nawet bardziej niż kiedyś, ale nie potrafiła się przejmować utratą romantycznej miłości mężowskiej, musiała bowiem utrzymywać czujność wymaganą przez miłość matczyną.

Przynajmniej ból tamtej matki był szczery – to ból, który zniekształca twarz i głos. Chociaż tego nigdy nie da się powiedzieć na pewno. Ludzie twierdzili, co prawda już po fakcie, że od początku podejrzewali, że ta kobieta z Karoliny Południowej kłamie, i wcale nie byli zdziwieni, kiedy jej chłopców znaleziono na dnie jeziora. Ale Cynthia wiedziała, że ludzka umiejętność obserwacji wcale nie jest doskonała. „Droga Czarna Dziwko”, napisał do niej siedem lat temu jakiś zatroskany obywatel. Adres znał, bo w niektórych materiałach telewizyjnych i na zdjęciach prasowych widać było numer domu i nazwę ulicy. „Myślisz, że kogo nabierasz? Wszyscy wiedzą, że sama zabiłaś swoje dziecko i próbujesz nakłonić czarnych, żeby wszczęli zamieszki, bo mówisz, że to zrobiły Białe Dzieci. Będę na

dachu ze swoją strzelbą. Tak jak w 1968. Już zniszczyliście miasto, a teraz także hrabstwo jest pełne czarnuchów. Kiedy będzie wam dość?”

„Tak jak w 1968” odnosiło się do zamieszek, które wybuchły po zamordowaniu Martina Luthera Kinga. Biali uciekli z miasta, a mieszkańcy Małej Italii wyszli z bronią na dachy, gotowi strzelać, jeśli zobaczą czarnych przekraczających Pratt Street.

Pewnie Maveen Little też dostawała listy z obelgami. Związanymi raczej z jej poziomem intelektualnym niż z rasą. Chociaż wyraźne zamiłowanie do czarnych mężczyzn, na co wskazywały barwa skóry dziecka i obecny partner, też mogły wywołać kilka komentarzy. Tak, nie brak ludzi, którzy chętnie oznajmiliby Maveen Little, że jest okropną matką i w pełni zasłużyła na swój los. Jeśli okaże się, że uprowadzenie Brittany ma związek ze śmiercią Olivii, Cynthia znowu zostanie wciągnięta do kręgu winy za grzech ciągłości istnienia. I nikt, kogo oszczędził los, nie uwierzy, że stało się to przypadkiem.

Czy zniknięcie Brittany Little miało jakiś związek ze śmiercią Olivii? Po raz pierwszy od lat Cynthia przeczytała niedzielną gazetę od deski do deski, chociaż nie spodziewała się znaleźć niczego, o czym nie wiedziałaby już dwadzieścia cztery godziny temu. Od prawie siedmiu lat była „cywilem”, ale nie zapomniała rytmów podawania wiadomości lokalnych, zrywów, z jakimi pojawiały się w każdy weekend. Tylko policjant wysokiej rangi – sam komisarz – mógł potwierdzić, że nowa sprawa ma związek ze starą, ale nie zrobiłby tego, dopóki ktoś go o to powiązanie nie zapyta. I nawet wtedy mogłoby się okazać, że nie wolno mu nic mówić, bo obie sprawczynie były za pierwszym razem nieletnie. Znała prawo na tyle, by wiedzieć, że sąd nie może brać pod uwagę ustaleń dotyczących poprzedniego morderstwa, chyba że zabójczynie zostaną powołane na świadków.

W końcu jednak ktoś doda dwa do dwóch i wtedy zaczną się telefony. Reporterzy wytropią Cynthię, a wówczas ona chętnie powie, co czuje. Złość, rozczarowanie, smutek. Będzie grała głównie na tym, że jest jej smutno, chociaż akurat to uczucie było najmniej ważne. Znajdzie jakiś sposób na przypomnienie czytelnikom gazet i telewizjom, że właśnie ona domagała się, by zamknąć dziewczynki na całe życie, a nie na siedem lat. Obrońcy, sędzia rodzinny, rodzice dziewczynek – wszyscy zachowywali się, jakby robili Cynthii przysługę, godząc się na siedmioletni wyrok. Tymczasem narazili całe miasto na niebezpieczeństwo.

Zakładając, że obydwie sprawy rzeczywiście się łączą. Nie odrzucała możliwości, że się myli, ale trudno było uznać podobieństwo jej córki do zaginionej Brittany za czysto przypadkowe. Włosy, kolor skóry, wiek – wszystko identyczne. Ona nie pomyliłaby Brittany Little ze swoją Rosalind, lecz osoba niebędąca matką, która widziała Rosalind jedynie z daleka – przyglądała się jej z drugiej strony ulicy albo na Giant czy Edmondson Avenue – mogła popełnić

błąd. Nie, to nie mógł być przypadek.

Przed siedmioma laty Cynthia nie potrafiła uwierzyć, że śmierć Olivii była przypadkowa, choć wierzyli w to wszyscy inni, nawet Warren. Dostrzegła w tym morderstwie jakąś przestrożę, jakiś spisek. „Dlaczego one tak nas nienawidzą?” – zapytała ojca i prawie usiadła mu na kolanach, jak kiedyś, gdy była dzieckiem.

Sędzia poklepał ją tylko po policzku, bezradny jak wszyscy inni. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby nie potrafił udzielić właściwej odpowiedzi. A wtedy oniemiał, niezdolny wytłumaczyć, dlaczego dwie, wydawałoby się, normalne dziewczynki mogły zrobić to, co zrobiły. Nawet lata spędzone w sądzie nie przygotowały go na coś takiego. Mordercy, z którymi miał do czynienia do tej pory, byli w gruncie rzeczy nieskomplikowani. Przede wszystkim wyglądali na takich, jacy byli: twardych, bezdusznych, martwych w środku. W dodatku mieli motywy, choć nie zawsze oczywiste. Sędzia Poole zwykł mawiać, że poczynania handlarzy narkotyków z Baltimore nie różnią się od tego, co robią korporacje w Delaware, gdzie do sądów federalnych trafiały sprawy związane z przejęciem mienia i zatrutymi lekami.

– To jest po prostu bardziej bezpośrednie – mówił o zabójczych transakcjach dokonywanych w mieście. – I bardziej ostateczne. Ale to ciągle biznes.

Tak więc nawet sędzia Poole nie potrafił dostrzec w śmierci Olivii niczego więcej niż najgorszy z możliwych nieszczęśliwych przypadków. Cynthia zastanawiała się, czy jakiś życzliwy przyjaciel trzyma właśnie Maveen Little za rękę i stara się ją uspokoić w ten nieudolny sposób, którego nie można ani zapomnieć, ani przebaczyć. „Nic nie mogłaś zrobić... Nic nie możesz zrobić... Nie roztrząsaj tego... Nie powinnaś się obwiniać”. W pierwszych dniach po odnalezieniu ciała Olivii nic nie pogarszało stanu Cynthii w większym stopniu niż ludzie, którzy starali się ją pocieszyć.

Czy powinna porozmawiać z matką zaginionej dziewczynki? Chciała zdobyć się na jakieś ciepłe uczucia do tej kobiety, ale nie umiała i nie była pewna, czy zdołałaby je udawać. Patrząc na Maveen Little, Cynthia czuła wyłącznie wstyd, jakby istniał jakiś protokół zachowywania się matek oszalałych z żalu. Ta kobieta była tak ckliwa w swoich apelach do osób przetrzymujących jej córkę. Cynthia zachowywała godność, którą wiele osób uznawało za chłód – w każdym razie na to wskazywały listy do „Czarnej Dziwki” – ale tak ją wychowano. Rodzice nie lubili, gdy chlipała i miotła się jak jakaś prostaczka. Twarda, cyniczna osoba – w rodzaju siostry Cynthii, Sylvii, albo nawet samej dawnej Cynthii – mogłaby pomyśleć: „Sama bym porwała Brittany Little, żeby ją uwolnić od takiej mamusi”.

Cynthia nie potrafiła znowu stać się okrutna, chociaż jej współczucie dla tej kobiety okazywało się w najlepszym razie umiarkowane. Po części dlatego, że Maveen Little była biała, a po części dlatego, że była biedna i tandetna. Co Cynthia Barnes mogła mieć wspólnego z kiepsko uczesaną kobietą, która robi zakupy

w Value City?

Cóż, czarnych mężczyzn. Ale to, że była biała, a spotykała się z czarnymi mężczyznami, czyniło ją jeszcze bardziej odrażającą. Jej obecny partner wyglądał całkiem normalnie, a siedzący w więzieniu ojciec Brittany najwyraźniej przekazał córce trochę dobrych genów. Dlaczego ci faceci, dlaczego jakkolwiek szanujący się czarny mężczyzna mógł uważać Maveen Little za wartą grzechu? Już jej samo imię krzychało białością, nie wspominając rozlazłego ciała, poznaczonej pryszczami twarzy, okropnych włosów. Co innego, gdyby jakaś Michelle Pfeiffer umawiała się z czarnym. Cynthia potrafiłaby zaakceptować scenariusz, kiedy to biała kobieta wybrała czarnoskórego, bo był tak przystojny, że nie mogła mu się oprzeć. Ale gdy patrzyła na blade, tandetne dziewczuchy chodzące z czarnymi, przychodziło jej do głowy jedno wyjaśnienie: ci mężczyźni szukali kogoś słabego, kogoś, kto ich nie ochrzani.

Dla czarnych kobiet stanowiło to prawdziwą zniewagę: nie status, jaki dawała biała dziewczyna, ale to, że czarni mężczyźni nie byli wystarczająco silni. Co za tchórz wybrał tę kobietę?!

Chyba właśnie podobna słabość prowadziła do stania się ofiarą przez wielkie O, czyli czegoś, z czym Cynthia nigdy nie umiała się pogodzić. To był żalony rodzaj ludzi, nieudacznicy, których nigdy nie chciałyby znać, nie mówiąc już o zaprzyjaźnieniu się z nimi. Nie życzyła nikomu swojego losu, nawet rodzicom dziewczynek, które zniszczyły jej życie. Ale to nie znaczyło, że musi przytulać inne ofiary. Nawiazywać z nimi kontakt, udawać, że coś ją z nimi łączy.

Próbowała tego, bo wszyscy mówili, że musi. Starła się przyłączyć do dwóch grup: do ofiar brutalnych przestępstw i do rodziców, którzy stracili dzieci. W skład pierwszej wchodziłi prości, niewykształceni ludzie, których głupota w znacznym stopniu odpowiadała za to, co ich spotkało. A druga grupa – cóż, tam z kolei jej nie chcieli. Chociaż nikt nie miał śmiałości, aby jej to powiedzieć. Dopiero moderatorka – co za trafna nazwa – podeszła do Cynthii i taktownie zasugerowała, że może lepiej by się czuła w innej grupie, że śmierć wskutek choroby to coś innego niż utrata dziecka wskutek brutalnego przestępstwa. „Co ty nie powiesz” – pomyślała wtedy Cynthia. Ale była zbyt dumna, żeby wciskać się tam, gdzie jej nie chcieli, zbyt dumna, by postrzegano ją jako osobę przylepłą, upokarzającą całą grupę. Przestała więc przychodzić. Przestała przychodzić na spotkania grup wsparcia. Przestała wychodzić z domu. Przestała robić cokolwiek.

Zabawne, ale jedynym człowiekiem, który przesłał jej wyrazy sympatii, był słynny gitarzysta. Jego syn wypadł przez okno. Odnosił sukcesy, mógł dać dziecku wszystko, co najlepsze, ale wszystko przepadło przez coś tak banalnego jak otwarte okno. Wiedziała, że gwiazdor rocka jest narażony na swoisty cichy ostracyzm. To ryzyko związane z prowadzeniem życia, którego zazdroszczą inni ludzie. Przypatrują ci się, by zobaczyć, jak kapryśna fortuna przyczyni się do twojego

upadku.

To był właśnie jej grzech, to za to ukarał ją Bóg. Ponościła winę, bo pragnęła żyć życiem, którego inni by jej zazdrościli. Była dumna i próżna, a ponadto zaprosiła świat, aby na nią spojrzął i potwierdził jej świetną opinię o sobie samej. Pozwoliła nawet lokalnemu magazynowi wydrukować zdjęcia jej i Warrena pozujących na ganku – małżeństwo trzymające władzę w mieście. „Barnesowie idą jak burza” – głosił podpis. Warren odnosił największe sukcesy ze wszystkich czarnych prawników w Baltimore. Cynthia zaś była kobietą kontrolującą dostęp do burmistrza, głosem szepczącym mu do ucha, jego odźwiernym.

Nie pozwoliła reporterowi sfotografować Olivii. Nie obnosiła się ze swoim macierzyństwem. Ale pozwoliła, by wiadano, że należy do kobiet, które godzą macierzyństwo z karierą – wróciła do pracy w biurze burmistrza już po trzech miesiącach, a figurę odzyskała w ciągu pół roku. (Gdyby nie odzyskała, nigdy nie pozowałyby do tego zdjęcia). W związku z cyklem wydawniczym magazynu reportaż ukazał się dwa miesiące później, miesiąc przed śmiercią Olivii. Jeden z jej korespondentów dołączył do listu właśnie tę fotografię i napisał: „Przed upadkiem – wyniosłość”, w poprzek wąskiej talii Cynthii, podkreślonej przez dopasowany koralowy kostium, jaki specjalnie włożyła.

Cynthia, dzięki temu, że jej rodzina często chodziła do kościoła, wiedziała, że autor listu zniekształcił przysłowie: „Przed porażką – wyniosłość”. Tak więc wyniosłość ducha doprowadziła do zwykłego upadku.

Wyłączyła telewizor i poszła na górę, żeby się ubrać. Nie wiedziała, co ma włożyć na wizytę u pogrążonej w rozpacz matki. Chyba powinna się ubrać swobodnie, ale bez jaskrawych barw. Nic czarnego, nic ponurego, nic kojarzącego się z pogrzebami. Jeśli Cynthia Barnes mogła czegoś życzyć Maveen Little, to wyrwania się z tego stanu zawieszenia. Taka niepewność jest straszna, ale dni, kiedy już się wie, jeszcze straszniejsze.

Mira Jenkins w dzieciństwie nie czytała dużo, ale nigdy nie zapomniała książki, której bohaterka dostała niespodziewany podarunek, chyba dziesięciocentówkę albo ćwierć dolara. Niesamowicie małą sumę, dziś nic niewartą, za którą jednak na początku XX wieku można było kupić mnóstwo rzeczy. Dziewczynka, nudna i obowiązkowa, postanowiła kupić różne smakołyki, którymi zamierzała podzielić się z rodzeństwem: kawałki lukrecji, ciastka, cukierki. Niemniej w końcu dała się skusić i kupiła sobie lody truskawkowe w wafelku, lecz nie był to przysmak, którym mogłaby się podzielić z innymi. Lody – co za niespodzianka! – jej nie smakowały, więc oddała je drugiemu dziecku. Była w tej powieści jakaś chwila odkupienia, coś związanego z kotkiem, i na końcu dziewczynka obiecała, że już nigdy nie zapomni, jakie to ważne dzielić się z innymi.

„Co za bzdura!” – myślała przed laty Mira. Przecież rodzeństwo tej dziewczynki nie musiało w ogóle wiedzieć, że dostała ćwierć dolara, a zwłaszcza że kupiła sobie lody. Skąpstwo nie jest złe, dopóki utrzymuje się je w tajemnicy. Okrutne jest rozkoszowanie się różnymi rzeczami na oczach innych ludzi i czegoś takiego Mira nigdy by nie zrobiła.

Nie miała więc wyrzutów sumienia, że zatrzymała dla siebie tę wskazówkę od anonimowej rozmówczyni. Jeśli coś z tego wyjdzie, dostanie to, na co uczciwie zasłużyła. A jeżeli wszystko okaże się błagą, nikt się nie dowie, że dała się nabrać jakiejś wariatce. Jedyne, na co Mira nie zamierzała pozwolić, to żeby uważano ją za łatwowierną.

Przynajmniej tak sobie mówiła późnym niedzielnym popołudniem, kiedy postanowiła jechać do domu Maveen Little. Miała nadzieję, że reporterzy, którzy rozmawiali z nią dzisiaj, już sobie poszli. Wiedziała z radia, że rozpoczęto poszukiwania Brittany – to była dzisiaj wiadomość dnia. Matka dziewczynki znalazła się na drugim miejscu.

Maveen Little mieszkała w rejonie West Side, w kompleksie jednopiętrowych budynków wzniesionych dekadę przed przyjściem Miry na świat. Jak na standardy panujące w okolicy, osiedle było dobrze utrzymane, bez wraków samochodów i śmieci porzucanych na ziemi. Chociaż aspiracje mieszkańców do bycia klasą średnią irytowały Mirę. Każdy szczegół – opuszczony diabelski młyn, który nie był ani zadbany, ani kompletnie zaniedbany, zapach przypraw i potu na klatce schodowej, przemoczone dekoracje na drzwiach wejściowych – służył jedynie do podkreślenia, że mieszkający tu ludzie chcą czegoś więcej i pewnie tego nie dostaną.

– Szukam pani Maveen Little – powiedziała konkubentowi Maveen, który otworzył jej drzwi. Znała go z telewizji.

- Zajęta – mruknął z nieskrywaną pogardą.
- Jestem z „Beacon-Light”...
- Ona nie ma już nic do powiedzenia dziennikarzom.

Mira słyszała ściszone głosy dobiegające z wnętrza mieszkania. Głosy kobiet. Jeden zachrypnięty, łamiący się. Drugi znacznie cichszy i ciepły, jakby miał nieść pocieszenie. Z kim rozmawiała Maveen? Z inną dziennikarką? Z pacjentką? Wyobraziła sobie Nozdrzodamusa, kiwającego głową i uśmiechającego się do niej, może nawet wręczającego jej bon na pięćdziesiąt dolarów, który dziennikarze dostawali za „przejechanie dodatkowych kilometrów”.

- To nie potrwa długo – stwierdziła. – Tylko jedno pytanie.
- Nie dziś – odparł i zamknął jej drzwi przed nosem.

Przez ułamek sekundy Mira zastanawiała się, czy nie wepchnąć stopy między drzwi a framugę. Ale włożyła nowe sandały, które mogłyby się uszkodzić. Zresztą ten facet pewnie chętnie zmiażdżyłby jej palce.

Wyszła z budynku, wsiadła do samochodu i włączyła radio i klimatyzację. Czowała się ponizona, chociaż nikt nie widział, jak ją odprawiono. „Porażka nie wchodzi w grę, porażka nie wchodzi w grę” – próbowała powtarzać w myślach, ale kogo chciała nabrać? Porażka zawsze wchodziła w grę. Zaczynała się obawiać, że dla niej w rachubę wchodzi wyłącznie porażka.

Co będzie, jeśli okaże się, że ostatecznie poniosła porażkę? Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy ludzie, których uważała za odnoszących sukcesy, nie są przypadkiem nieudacznikami w przebraniu. Jej ojciec był maklerem, trochę staroświeckim – nie miał na koncie śmiałych spekulacji czy głośnych transakcji, ale zapewnił rodzinie wygodne życie. Czy właśnie to chciał osiągnąć? Nigdy się nad tym nie zastanawiała. Jej ojciec został maklerem, bo jego ojciec też pracował jako makler.

„Jeśli na początku ci nie wyjdzie, to spróbuj jeszcze raz” – słyszała często. Ale czy chodziło o spróbowanie czegoś nowego, czy o powtarzanie tego samego tak długo, aż wyjdzie? Czy Nozdrzodamus chciał być tym, kim został, czy też pragnął innej ścieżki kariery, może w dużej ogólnokrajowej gazecie?

Do oczu napłynęły jej łzy. Zamrugała gwałtownie, żeby się ich pozbyć. Czowała, że tkwi w pułapce. Nie mogła odejść z „Beacon-Light”, dopóki nie zacznie być postrzegana jako kobieta sukcesu, ale teraz zaczynała się bać, że to się nie uda. Powtarzała sobie, że nie ma niczego niewykonalnego, jeśli tylko człowiek się stara, ale to kłamstwo stawało się niemożliwe do podtrzymywania. Z tyloma rzeczami nie dawała sobie rady – począwszy od fizyki, po zwinięcie języka w śmieszny kształt bułki do hot dogów. Nie potrafiła pstrykać palcami ani gwizdać. Jako dziecko objawiała talent taneczny, ale kiedy stała się nastolatką, zderzyła się z murem fizycznych ograniczeń. Po prostu nie miała odpowiedniej giętkości ani właściwego podbicia w stopie. Nie brakowało rzeczy, których nie mogła robić.

Dlaczego z pracą miałoby być inaczej?

Tak głęboko zatonała w myślach, że prawie nie zwróciła uwagi na kobietę wychodzącą z klatki Maveen Little. Wysoką czarnoskórą kobietę o nobliwym wyglądzie i w zabójczych ciuchach. Kobieta weszła do półterenowego bmw, które wyglądało zdecydowanie za ładnie jak na tę okolicę.

Z jeszcze wilgotnymi oczami Mira sięgnęła po notatnik i zapisała numery rejestracyjne. Jutro w bibliotece poprosi kogoś, żeby je sprawdził. Powie, że chodzi o miejscowe kłopoty z parkowaniem i że nic więcej jej na ten temat nie wiadomo. Ale czuła, że trafiła na ślad, ważny ślad.

Sharon Kerpelman zawsze musiała przeproszać za to, że mieszka w budynku trudnym do odnalezienia, do którego niełatwo wejść, z wjazdem na parking i drzwiami do klatki chronionymi kodami. Wyjaśniała też, dlaczego mieszka w tak sterylnym miejscu, na tak dalekich przedmieściach. Robiła tak, bo sądziła, że jej goście spodziewają się, iż poczuje się zawstydzona życiem w miejscu, które jest czyste, dobrze utrzymane i wręcz naszpikowane udogodnieniami. Nie zawracała sobie głowy tłumaczeniami, że uciekła z miasta, bo już serdecznie miała dość jego tak zwanych uroków.

Objawienie nadeszło, gdy szukała mieszkania w rejonie Mount Vernon, na północ od śródmieścia. Miasto wreszcie zaczęło budować apartamentowce, ale głównie na wschodzie, w pobliżu wody, i wokół kompleksu szpitalnego na zachodnim skraju. Żadne z tych miejsc nie podobało się Sharon, która uznała, że jej życie nabierze większego sensu, jeśli będzie mogła chodzić do pracy pieszo, skoro nigdy nie ma czasu na ćwiczenia. Agent nieruchomości dokładnie wysłuchał jej życzeń i zaczął oprowadzać ją po coraz obskurniejszych mieszkaniach, które nie spełniały nawet części wymagań Sharon. Kiedy w końcu pokazał jej mieszkanie, w którym do sypialni można było wejść jedynie z kuchni, zrezygnowała z jego usług i w ciągu tygodnia, korzystając tylko z działu ogłoszeń w „Beacon-Light”, znalazła obecne mieszkanie w Cedars of Owing Mills. Matka była przerażona, ale Sharon się podobało, bo w niczym nie przypominało mieszkania, jakiego spodziewaliby się po niej ludzie.

Zawsze lubiła robić coś wbrew oczekiwaniom innych. Nawet gdy mieszkała w odrestaurowanym młynie i tandetnych szeregowcach, zaskakiwała gości meblami, które pochodziły z postmodernistycznych kolekcji albo były ich dobrymi imitacjami. W pracy była bałaganiarą, ale w domu zachowywała idealny porządek. Uwielbiała te zdziwione spojrzenia gości, którzy nie mogli pogodzić Sharon publicznej z prywatną.

Teraz też, czekając na gości, zastanawiała się, czy zauważą, jak piękne ma mieszkanie. Usiadła na krześle z podkulonymi stopami i wpatrywała się w szklane drzwi prowadzące na maleńkie patio. Słońce właśnie zachodziło, widziała więc swoje odbicie w oknie. Podobało jej się, chociaż wiedziała, że bycie niepiękną jest uznawane za tragedię. „Niepiękną” było wyrażeniem stosowanym przez Sharon, całkiem zresztą trafnym. Rysy twarzy miała dość regularne, włosy gęste, figurę kształną. Jedyne defektem stanowił ten zbiór znamion na policzku, ale uważała, że lepsze to niż skóra pokryta pryszczami. Najlepszym określeniem na jej wygląd byłoby „zwyczajna”, lecz to brzmiało trochę jak użalanie się nad sobą; „niebrzydka” z kolei wydawało się banalne. A zatem – niepiękną. Była niepiękną, nieuroczą, nieśliczną. Ale dawała sobie radę. Prawdę mówiąc, wczoraj dzwonił

Daniel Kutchner, miała jednak za dużo na głowie, żeby się z nim umówić.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Podała poszczególnym gościom dwie różne godziny odwiedzin, dzięki czemu wiedziała, kto właśnie przyszedł. Na wszelki wypadek zerknęła jeszcze przez wizjer, tak dla pewności.

– Sharon, kochaniutka! – Rosario całowała powietrze obok jej głowy. Przy okazji do ust dostało jej się kilka kosmyków włosów gospodyni. Sharon wyczuła w oddechu Rosario alkohol, czego się spodziewała, ale co wciąż ją zdumiewało. Picie jest takie gojowskie. Katolickie, poprawiła się, bo Rosario praktykowała ten połowiczny alkoholizm oparty na winie i rozwodnionej whisky.

Nawet nieoglądana przez zniekształcającą soczewkę judasza Rosario Bustamante wyglądała nieco kuriozalnie: niska i przysadzista, ale o chudziutkich nóżkach i praktycznie bez szyi. Prawdopodobnie dobiegała sześćdziesiątki, nikt jednak nie wiedział tego na pewno, bo Rosario słynęła z utrzymywania swojego wieku w tajemnicy. Tego wieczoru była ubrana jak do pracy – w kostium z krótką spódnicą, co sugerowało, że uważa się za niezłą laskę, która jednak straciła zainteresowanie swoim wyglądem w połowie ubierania się. Sharon dostrzegła małe pęknięcie w okolicy dekoltu, a kiedy Rosario wyciągnęła ku niej rękę, nie mogła nie zauważyć ciemnych plam pod pachami.

– Miałaś problem ze znalezieniem domu? – spytała, zastanawiając się, czy powinna zaproponować Rosario drinka, skoro ta już jest podpita. – To kawał drogi z Bolton Hill.

– Zwabiłaś starą kocicę, co? Jestem zaintrygowana. Ciekawość mnie wręcz zżera. Czy one...? – Urwała z nietypową dla siebie delikatnością.

– Powiedziałam Alice i jej matce, żeby przyszły później, około wpół do dziewiątej. Uznałam, że najpierw powinnyśmy porozmawiać w cztery oczy.

Rosario usadowiła się na karmazynowej sofie, z której Sharon była szczególnie dumna, ale wydawało się, że nie zwraca uwagi na meble. Sharon miała ochotę zaproponować jej drinka choćby po to, żeby pokazać barek od Russella Wrighta.

– Myślisz, że policja zamierza oskarżyć twoją... jak mam ją nazywać?... Dawną klientkę? – Szybkie przechodzenie do istoty sprawy było charakterystyczne dla Rosario. Dużo piła, ale zawsze pozostawała skupiona. I rzadko mówiła o czymkolwiek poza prawem, polityką i plotkami łączącymi jedno z drugim.

– Alice – odparła Sharon. – Ona ma na imię Alice.

Przed sądem dla nieletnich zawsze używała imienia dziewczynki, by zyskać pewność, że nikt nie straci z oczu małej istoty znajdującej się w centrum tego wszystkiego. Szybko dostrzegła, że anonimowość, mająca na celu ochronę Alice, jest bronią obosieczną. Konkretna osoba – dziecko z twarzą, imieniem i warkoczykami – była znacznie mniej przerażająca od widmowej pary jedenastoletnich zabójczyń.

– Alice. – Rosario pokiwała głową, jakby to imię stanowiło najważniejszy element, dzięki któremu podjęła decyzję. – Czy chcą ją oskarżyć? Mają powód?

– Najpierw odpowiedź na drugie pytanie: nie. Nie mają nic, co by ją łączyło z tą sprawą, poza jej... wynikającymi z dobrych intencji... staraniami udzielenia pomocy. To oburzające, że przyczepili się do niej tylko dlatego, że zaginęło jakieś dziecko i tak się składa, że to dziecko jest podobne do drugiej córki Cynthii Barnes. Przynajmniej tak Cynthia Barnes powiedziała glinom. Nie zdziwiłabym się, gdyby sama wszystko przygotowała. Jest cholernie mściwa.

Rosario uniosła brwi. Były tak wyskubane, że przypominały leżące nawiasy. Nie zdołałyby stworzyć tak idealnych kształtów sama, ale trudno było wyobrazić sobie kobietę płaczącą za tak wątpliwy efekt. Im dłużej patrzyło się na Rosario, w tym większe zakłopotanie wprawiał jej wygląd. Oprócz dziwnych nitkowatych brwi miała krzywo uszmkowane usta, a wystające z sandałów palce stóp przyciągały wzrok, bo krwistoczerwony lakier nałożono byle jak, pomijając kilka paznokci.

– Nie chcę konfliktu z rodziną sędziego Poole’a – oznajmiła Rosario. – To pewna przegrana.

– Racja. Nigdy przeciwko nim nie wystąpię. Ale nie zamierzam siedzieć i patrzeć, jak próbują zniszczyć Alice po raz drugi. Teraz nie są ofiarami. Zresztą wtedy też trochę zanadto płaszczyliśmy się przed uczuciami tej rodziny.

– To znaczy?

– Adwokat tej drugiej dziewczyny i ja zgodziliśmy się, żeby obie sprawczynie dostały po siedem lat i siedziały, dopóki nie skończą osiemnastki. Miały trzy zarzuty: zabójstwa, porwania oraz zaboru mienia i dostały po trzy lata za dwa pierwsze i rok za trzeci.

– Zabór mienia?

– Czy uwierzysz, że wózek dziecięcy Barnesów kosztował siedemset pięćdziesiąt dolarów? Wózki są jak telefony komórkowe: im mniejszy i lżejszy, tym droższy.

Spojrzenie Rosario wyraźnie mówiło, że nigdy zgodziłaby się na tak gówniany układ dla swojego klienta.

– Musisz uwzględnić okoliczności. – Sharon starała się mówić wolno i spokojnie, a nie jakby się broniła. – Cynthia Barnes chciała narobić wielkiego smrodu: uruchomić wszystkich kumpli ojca i lobbować w Kongresie na rzecz obniżenia wieku odpowiedzialności karnej nieletnich, tak żeby za najcięższe przestępstwa można było sądzić jak dorosłych nawet dziesięciolatków. Dziesięciolatków! Pewnie Alice Manning i Ronnie Fuller nie dostałyby dożywocia, ale każdy następny dzieciak, który by coś schrzanił, odsiadywałby wysoki wyrok. To byłoby katastrofalne. A najbardziej by to odczuły ubogie czarne dzieciaki z Baltimore.

– Ale ty odpowiadałaś za swoją konkretną klientkę – powiedziała Rosario. – Nie za ewentualnych przyszłych klientów.

Sharon zdawała sobie sprawę, że Bustamante ma rację. Przez lata miała mnóstwo czasu, aby porządnie złać samą siebie. Teraz jednak, usłyszawszy wypowiedziane głośno zarzuty, poczuła raczej irytację niż wyrzuty sumienia. Czowała, jakby jej stopy zostały przeszyte przez szpilki.

– Dlaczego sądzisz – odparła spokojnie – że pytam cię o zdanie? I że wciąż się przejmuję? Wiem lepiej niż ktokolwiek inny, co narobiłam. Oskarżenie miało zeznania dziewczynek, w których każda wskazywała na drugą, ale wynik sekcji był już dwuznaczny.

– Dwuznaczny?

– Zgodnie z wynikami autopsji śmierć Olivii Barnes mogła być wynikiem zespołu nagłej śmierci niemowląt. Albo zespołu dziecka maltretowanego.

– Nie wciskaj mi kitu, Sharon. – Rosario się uśmiechnęła. – Z tego, co pamiętam, nie było żadnych wątpliwości, że małą Barnes zabiły te dziewczynki. Zastanawiano się tylko nad tym, która z nich wzięła poduszkę i udusiła dziecko, i czy to był akt agresji czy paniki.

Sharon doceniała szczerłość Rosario, bo wiedziała, jak to jest być źle rozumianą, gdy mówi się prosto z mostu, nie tracąc czasu na owijanie w bawełnę.

– Alice współuczestniczyła w jednym przestępstwie: porwaniu. Ale cokolwiek się stało, prawda jest taka, że odsiedziała więcej, niż niektórzy dorośli dostają za zabójstwo. Spłaciła swój dług wobec społeczeństwa, a teraz społeczeństwo ją nęka, próbując zrobić z niej kozła ofiarnego z powodu jakiegoś dziwnego podobieństwa i przypadkowej zbieżności miejsca i czasu.

– Sharon – głos Rosario był uspokajający jak dłoń na ramieniu – naprawdę chętnie bym się czegoś napiła.

Nie dało się odmówić tak bezpośredniej prośbie bez zapytania Bustamante wprost, czy już nie jest podpita.

– Jasne. – Sharon opuściła stopy na podłogę. – Mam wódkę i szkocką.

– Szkocką z lodem... – Rosario się roześmiała. Miała tubalny, męski śmiech. Według plotki, która przerodziła się w legendę, była nieślubną córką jednego z najbardziej lubianych burmistrzów Baltimore. Każdy, kto widział jego portret w ratuszu, musiał przyznać, że to całkiem prawdopodobne. Daniel Florio w damskich ciuchach wyglądałby jak sobowtór Rosario Bustamante. Jednak prawniczka nie podtrzymywała tej legendy, by nie umniejszać rangi własnych dokonań. Oficjalna biografia Rosario Bustamante była jak historia z powieści Horatia Algera: dzięki pracowitości i uporowi córka meksykańskiej sprzątaczkii stała się najlepszym w mieście specjalistą od prawa karnego. Ale w jej życiorysie znajdowały się drobne wskazówki co do istnienia pewnych koneksji. Liceum Świętego Tymoteusza, potem Vassar i prawo w Yale. Naturalnie mogła dojść do

tęgo wszystkiego tylko dzięki wyteżonej pracy. Skąd jednak prosta sprzątaczką mogła wiedzieć, jak pokierować swoją mądrą córką w miejskim systemie prywatnej oświaty? Niewątpliwie ktoś czuwał nad Rosario Bustamante, już kiedy była nastolatką.

Sharon przyniosła drinka, nie dbając o to, czy jej barek wzbudzi podziw gościa.

– Rosario, nie poradzę sobie bez ciebie.

– Nie jestem pewna, czy nawet ze mną dasz radę. Im bliżej mi do wieku emerytalnego, tym bardziej kusi mnie praca społeczna. – Roześmiała się z własnych słów. Wszyscy w sądzie wiedzieli, że miną długie lata, zanim Rosario Bustamante umrze, zapewne przy swoim biurku albo w trakcie mowy końcowej. Nie opuści swojej cielesnej powłoki, zanim jeszcze kilku sędziów i prokuratorów nie doprowadzi na skraj apopleksji.

– Rodzice Helen Manning mają pieniądze – powiedziała Sharon.

Wiedziała, że Helen prędzej by się zabiła, niż poprosiła ich o pomoc. To właśnie dlatego Alice reprezentował obrońca z urzędu. Ale jakoś przekonały Helen, że tym razem nie warto unosić się dumą.

– Sharon, wiesz, jak ja pracuję. Biorę tylko sprawy, które mogę wygrać, na których mogę zarobić albo zdobyć rozgłos. Z tej nie byłoby zarobku, a ty mi mówisz, że chcesz uniknąć rozgłosu. Wiem, ja od lat namawiam cię, żebyś dla mnie pracowała, ale nie chodzi mi o pracę na takich warunkach. Mówiąc wprost: co ja z tego wszystkiego będę miała?

– Mnie. Nareszcie dostaniesz mnie w swoje ręce.

– Ile masz lat? Trzydzieści pięć? Czterdzieści?

– Trzydzieści cztery. – Sharon nie mogła się powstrzymać, żeby nie zerknąć na swoje odbicie w rozsuwanych drzwiach. Niebo zrobiło się już całkiem ciemne, więc widziała siebie znacznie wyraźniej. Ujrzała kobietę wyglądającą na mniej lat, niż miała w rzeczywistości.

– Kochanie, ja nie komentuję twojego wyglądu, chodzi mi po prostu o liczbę lat. Spotykałam cię w sądzie. Kiedy zaczynałaś, byłaś cudownym dzieckiem. Ale jak na moją kancelarię jesteś już za stara. Wiesz o tym.

Sharon wiedziała. Zespół Rosario przypominał farmę hodowlaną. Bustamante brała pełnych zapachu młodych mężczyzn i kobiety prosto ze studiów, a potem zaharowywała ich na śmierć. Czerpała zyski, podczas gdy większość jej współpracowników wypalało się i załamywało; niektórzy w ogóle porzucali kariery prawnicze. Zawsze jednak mogła liczyć na dopływ nowych, bo była znakomitym fachowcem. Wrodzony instynkt pozwalał jej wybierać sprawy, które wydawały się oczywistymi przypadkami, ale przy których można było pokombinować za pomocą odrobiny prawniczych sztuczek. Ludzie mawiali, że Rosario Bustamante pije, aby wyrównać szanse, i nigdy nie złożono na nią skargi do palestry, niezależnie od

tęgo, ile łyków pociągnęła w damskiej toalecie w trakcie procesu. Gdyby była legalną córką Daniela Floria, a nie nieślubną, mogłaby stać się wpływową osobą w mieście, zająć wysoko w hierarchii sądowej albo zostać wybrana na jakiś urząd. Pozbawiona dziedzictwa, znajdowała przyjemność w gnojeniu każdego, kto miał władzę.

– Na pewno masz bogatą rodzinę. – Rosario wskazała podbródkiem otaczające ją drogie sprzęty. – Jako jedna z niewielu potrafisz sprawować funkcję obrońcy z urzędu bez rezygnowania z pewnych, hm... subtelności, jakie daje prywatna praktyka. Wszyscy wiedzą, że jesteś dobrym prawnikiem. Jeśli zdecydowałaś się wpłacić kaucję, znajdź jakąś dobrą spółkę partnerską. Wiesz, że ja się nie podzielę zyskami mojej kancelarii, więc po co zwracać sobie głowę?

– Czy zamierzasz się kiedyś wybrać na emeryturę?

Rosario znowu się roześmiała.

– A dlaczego nie zapytasz, czy zamierzam umrzeć? Tak, któregoś dnia przejdę na emeryturę, ale jeszcze nieprędko. A ty co zamierzasz robić? Siedzieć jak sęp z próżną nadzieją, że w końcu przejmiesz moją kancelarię razem z wyposażeniem?

– Mogłabym nauczyć się od ciebie wystarczająco dużo, żeby założyć własną kancelarię. Albo ubiegać się o urząd publiczny.

– Rada hrabstwa?

– Raczej kongres stanowy. Rada hrabstwa to nadal klub wyłącznie dla chłopców.

– Te posady nie są na tyle dobrze płatne, żeby było warto spędzać trzy miesiące w Annapolis.

– Ale ty zapłacisz mi wystarczająco dużo. I nie zaszkodzi ci mieć współpracownika, który będzie w Annapolis na pół etatu.

– Może... – Rosario umilkła, a Sharon zastanawiała się, czy może jest zazdrosna. – Zakładając, że się tam dostaniesz. Ale co zaoferujesz mi wcześniej?

Pod wpływem impulsu Sharon uklękła przed Rosario Bustamante i chwyciła jej dłonie. Rosario miała koślawe kolana, a rajstopy w takim odcieniu brązu, że jej nogi wyglądały, jakby chorowała na żółtaczkę. W dodatku z miejsca, w którym się znalazła, Sharon widziała oczko na wewnętrznej stronie prawego uda, sięgające za krawędź krótkiej spódnicy. Czuła się, jakby klęczała przed królową, oczekując pasowania na rycerza.

– Wiem, że to nie wygląda zachęcająco, bo jeśli dobrze się postaramy, nie będzie żadnego rozgłosu. Najlepszy scenariusz w tej sprawie jest taki, że w ogóle jej nie ma. Gliniarze znajdą prawdziwego porywacza i zostawią Alice w spokoju.

Rosario przyjrzała jej się uważnie i powiedziała:

– Ale sądzisz, że tak się nie stanie, prawda?

– Tak. Myślę, że zamierzają znaleźć sposób na postawienie Alice zarzutów

albo przynajmniej zdobyć nakaz przeszukania domu jej matki, co zasugeruje dziennikarzom, że dziewczyna jest podejrzana. Alice i jej matka będą potrzebować silnego sojusznika, kogoś, kto utrzyma prasę na wodzy, przedstawi wszystko w korzystnym dla nich świetle. Ja zrobię całą robotę, ty będziesz tylko występowała przed kamerami. Ale proszę cię, Rosario, błagam, pozwól mi to zrobić. Oddam ci pięć albo nawet dziesięć lat zawodowego życia, jeśli tylko teraz mnie wynajmiesz i pozwolisz zajmować się tą sprawą.

Rosario poklepała Sharon po włosach gestem bardziej ojcowskim niż matczynym.

– Dobra, zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi. Może nie powinnam tego mówić, ale to może być niezła zabawa. A teraz – potrząsnęła szklanką – poproszę o trochę więcej szkockiej i trochę mniej lodu.

– Jeszcze jedno... – zaczęła Sharon.

Rosario się skrzywiła.

– Poprzednim razem zawarto dżentelmeńską umowę, że obie dziewczynki... hm...

– Zawisną razem?

– Tak. Można tak powiedzieć.

– A co za dżentelmeni zawarli tę umowę?

– Ja – przyznała Sharon – i obrońca Ronnie Fuller, tej drugiej dziewczynki. Ale stała za tym Helen Manning. Chciała, żeby było fair.

Sharon przypomniała sobie dziwaczny upór Helen Manning, że procedury prawne nie mogą doprowadzić do wzajemnego oskarżania się i wytykania palcami. „Nieważne, kto to zrobił, kto to wymyślił – powtarzała. – Ważne, aby traktowano je tak samo”.

– Sharon? – Rosario wyciągnęła stopę w pantoflu na wysokim obcasie i dźgnęła ją paluchem w brzuch.

– Co?

– A mój drink?

Dzwonek zadźwięczał, kiedy Sharon była przy barku. Niemal podbiegła do drzwi, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie przedstawi Rosario „ich” klientkę. Jak zawsze potrzebowała chwili, aby pogodzić obraz wielkookiej dziewczynki ze swojej pamięci z tą zwałistą młodą kobietą o nieprzeniknionym spojrzeniu.

Ale i tak ją uściskała.

– Alice, mam dla ciebie wspaniałe wieści. Twoim obrońcą zgodziła się zostać Rosario Bustamante, a ja będę jej pomagać. Teraz policja hrabstwa nie będzie cię dręczyć. Nie odważą się. Dostałaś za darmo najlepszego specjalistę od prawa karnego w okolicy. Za darmo!

Helen z radości klasnęła w dłonie. Alice spojrzała na nią, jakby nie do końca pewna, co ma myśleć, dopóki matka nie da jej jakiejś wskazówki. W tej chwili

w jej okrągłej jak księżyc twarzy Sharon zobaczyła dziecko, które zapamiętała – oszołomioną małą dziewczynkę, która po prostu nie rozumiała, co stało się z jej życiem.

Poniedziałek, 6 lipca

28

Właśnie minęła północ, kiedy pewien czternastolatek mieszkający na zachód od Baltimore wyslizgnął się z łóżka, wyciągnął z niezamkniętej szuflady w kuchni pistolet ojca, a potem zastrzelił rodziców i starszą siostrę. Następnie zdjął z haczyka przy kuchennych drzwiach kluczyki od dzipa cherokee siostry i zdołał przejechać pięćdziesiąt kilometrów, zanim zatrzymano go na drodze I-70. Szczupły i niski jak na swój wiek, w dużych okularach wyglądał jak sowa i do złudzenia przypominał pewnego młodego aktora znanego z filmów fantasy. Wciąż miał na sobie pidżamę. Policjanci uświadomili mu, że nie wierzą w opowieść o ucieczce przed trójką szalonych morderców jego rodziny – zaczerpniętą z kryminału, który oglądał w sobotę wieczorem – i zapytali chłopca, dlaczego to zrobił.

– Nie jestem pewien – odparł, wzdychając cicho. – Tak naprawdę nie miałem konkretnego planu.

– Konkretnego – powtórzył Lenhardt, przekazawszy najnowsze wieści Nancy i Kevinowi, którzy nie wyglądali zbyt świeżo mimo szesnastu godzin odpoczynku. – „Tak naprawdę nie miałem konkretnego planu”. Domyślam się, że to wyjaśnia pidżamę. Mój kumpel z policji stanowej nie potrafi się otrząsnąć. Chłopak zastrzelił rodziców, kiedy spali, ale siostra usłyszała strzały i pobiegła zobaczyć, co się dzieje. Znaleźli ją na korytarzu, obok jej pokoju.

– Czy coś go sprowokowało? – dopytywała się Nancy. – Jakaś kłótnia, konflikt, cokolwiek?

– To, co mówił po zatrzymaniu, to jedyna rzecz, którą nam będzie powtarzał przez dłuższy czas. Postawiono mu zarzuty jak dorosłemu, a jego adwokat już zaczął robić aluzje, że wyjawi najróżniejsze rewelacje, gdy przyjdzie na to pora. Ważne, że nikt nie będzie się zajmował tym, co robimy. Już nie jesteśmy na topie.

– Że co? – spytał Infante, ziewając.

– Na topie – powtórzył Lenhardt, wskazując najnowszy numer „Beacon-Light”. – Osiem akapitów o poszukiwaniach, nic więcej. Możemy latać poza zasięgiem radaru przez przynajmniej kilka dni i odwalać zwykłą policyjną robotę. Chłopak, który zabił swoją rodzinę, przebija zaginione dziecko.

Nancy poczuła jednocześnie ulgę i rozczarowanie.

– Baltimore nie potrafi się interesować dwoma przestępstwami naraz?

– Ledwie potrafią zainteresować się jednym – odparł sierżant. – Nikt nie potrafi, nigdzie. Cały kraj dostał ADHD, ale to dzieciaki są na ritalinie. Mogę się założyć, że ten dzieciak był na ritalinie.

– Daj spokój, sierżancie, chyba nie sugerujesz, że przez ritalin zabił rodziców i siostrę – odezwała się Nancy jedynie po to, aby podtrzymać rozmowę

do czasu, gdy jej otępiąły rano mózg uzyska jasność myśli. Uwielbiała sposób, w jaki gliniarze rozmawiali we własnym towarzystwie. Publicznie musieli opowiadać o podejrzanym, zarzutach, opiniach i dowodach, a potem czekać na przysięgłych i sędziów, aby zatwierdzili ich robotę. Między sobą mogli mówić prawdę, jaką znali. Ten dzieciak zabił rodziców. H. Grayson Campbell, milioner, który wymknął się Lenhardtowi, zaaranżował zniknięcie swojej żony. Alice Manning i Ronnie Fuller kłamały. Szczegóły jeszcze wyjdą na jaw, ale na pewno kłamały.

– Nie, ja pozwolę temu prawnikowi, temu co tak nagle wyskoczył w Westminster Barracks, by zaoferował swoje usługi. Dostał wielką sprawę. Ostatecznie zawsze może poprosić sąd o łagodny wymiar kary, uzasadniając, że jego klient jest sierotą.

Przewrócił oczami, a Nancy i Infante posłusznie zaśmiali się ze starego dowcipu. Oto hierarchia służbowa – detektywi śmieją się z kawałów sierżanta.

– A teraz – rzekł Lenhardt, przysuwając krzesło bliżej i ścisząc głos – pogadajmy o tej krwi.

– Nic nie mamy – westchnęła Nancy, martwiąc się, że to z jej winy. – Próbowałam nakłonić Ronnie, żeby dała próbkę. Niestety, nie zgodziła się. Alice pilnuje teraz pitbull, nie prawnik. – Podsunęła mu faks, który już na nich czekał, kiedy przyszli rano do pracy, a który informował, że Sharon Kerpelman zrezygnowała z funkcji obrońcy z urzędu i będzie reprezentować Alice Manning we współpracy z Rosario Bustamante.

– Pitbull? Raczej wściekła lesba – stwierdził Lenhardt.

– Bustamante może i taka jest, ale nie ta młoda – powiedział Infante, jakby spędził sporo czasu, zastanawiając się nad tym.

– Tak czy owak – podsumowała Nancy – nie mamy próbek krwi i nie dostaniemy ich, chyba że uzyskamy nakaz. Ale go nie uzyskamy.

– Te dziewczynki były przez siedem lat gośćmi naszego stanu – zauważył Lenhardt.

– I co?

– Znasz kogoś, kto przez siedem lat ani razu nie poszedł do lekarza?

– Tak, ja nie byłem u lekarza od dziesięciu lat – odparł Infante.

– To powiem inaczej: znacie kogoś normalnego, kto nie był u lekarza? Zwłaszcza w pace, gdzie robią z tobą porządek? Zdobądźcie ich rejestry medyczne, może coś znajdziemy. Przynajmniej poznamy grupę krwi.

– Grupa krwi przydaje się tylko do eliminacji, nie do weryfikacji – zauważyła Nancy.

– W tej chwili wystarczy mi, że którąś wyeliminują – odparł Lenhardt. – Poproszę Batesa z wydziału rodzinnego, żeby zajrzał do akt faceta tej Little i przetrząsnął wszystko, co się z nim wiąże.

– Czy wydział przestępczości nieletnich wyda nam dokumenty bez nakazu?

– Może. Ale lepiej załatwić nakaz, tak dla bezpieczeństwa. – Lenhardt spojrział na zegarek. – Już prawie dziewięć. Załatwcie papierkową robotę i postarajcie się złapać sędziego Prossera przed dwunastą. Podpisze wszystko, co go oddała od lunchu.

Mira Jenkins musiała stłumić triumfalny okrzyk, kiedy przeczytała mejla z biblioteki: samochód, który widziała pod domem Maveen Little, był zarejestrowany na Warrena Barnes z Hillside Drive. Z doniesień prasowych wiedziała, że nazwisko Barnes nosiła dziewczynka, którą zamordowano przed siedmioma laty, że Warren był jej ojcem, a Cynthia matką. Wprowadzając w elektronicznej bazie danych brakowało fotografii, ale kobieta, którą widziała przed domem Maveen Little, musiała być Cynthią Barnes. Te dwie zbrodnie muszą się łączyć, tak jak zapewniała tajemnicza rozmówczyni.

Co więc robić? Jeśli poprosi o pomoc reportera do spraw kryminalnych, będzie chciał mieć udział w temacie, a może nawet go jej ukradnie. Zresztą po co? Żeby śródmieście zabrało go im obojgu? Jeżeli spróbuje sama współpracować z glinami, ta informacja może zatoczyć koło i trafić do reportera do spraw lokalnych, a wtedy Mira stanie się winna złamania procedury.

Ponownie przestudiowała mejla. Bibliotekarz oprócz danych właściciela przesłał także zapisy z systemu automatycznego śledzenia ruchu pojazdu. Ludzie przeżyliby szok, gdyby mieli pojęcie, co komputery wiedzą o ich życiu. Wśród informacji dotyczących Warrena Barnes był jego adres, wykaz podróży, a nawet informacje o zaciągniętym przez niego kredycie. Używając systemu śledzenia ruchu, dawało się też odnaleźć właścicieli łódek, licencje pilotów oraz mnóstwo różnych adresów i telefonów. Jednak domowy telefon Barnesów okazał się zastrzeżony. Wiedziała, że właściciele zastrzeżonych numerów przeważnie są nieuchwytni. Aby porozmawiać z Cynthią Barnes, Mira musiałaby pojechać do niej do domu, czyli zrobić skok w bok, który ciężko ukryć w planie dnia pracy. Może znajdzie jakiś temat na reportaż i powie, że jedzie do Woodlawn albo Catonsville porozmawiać z informatorami z sąsiedztwa.

Redaktor, niski, pulchny mężczyzna, który jak na gust Miry za cicho chodził, nagle wychynął zza jej pleców, rzucając niemal w twarz oświadczenie dla prasy. Szybko zamknęła mejla, żeby nie zobaczył, co wyświetla się na ekranie. Pracował w gazecie zaledwie od trzech lat, niemniej nazwisko Warren Barnes kojarzyło mu się wyłącznie ze znanym prawnikiem.

– Potrzebujemy jakiegoś materiału z dnia, żeby ci z działu śródmiejskiego dali mi spokój – oznajmił. – Zobacz, czy dasz radę z tym coś zrobić.

Materiał był informacją, że biblioteki zakupiły specjalny program do tłumaczenia, dzięki któremu czytelnicy będą mogli komunikować się z poszczególnymi placówkami w setkach języków za pośrednictwem centrali

elektronicznej w Kalifornii.

– To może być coś więcej niż zwykła wiadomość – powiedziała Mira, widząc szansę na wyrwanie się z biura. – Zamiast cytować gadające głowy, warto zrobić większy reportaż. Mogę pojechać do którejś z bibliotek na północnym zachodzie, gdzie mają mnóstwo rosyjskich imigrantów, i zobaczyć, jak działa ten system. Pogadam z bibliotekarzami, zapytam, czy inne systemy biblioteczne też korzystają z tego programu. Przydałyby się też dane demograficzne, prawda? Ilu obcojęzycznych użytkowników bibliotek mamy w hrabstwie Baltimore? Może powinnam spróbować w Catonsville...

– Rób, co chcesz – przerwał jej redaktor – ale do czwartej ma być dwieście lub dwieście pięćdziesiąt słów. Mój dzieciak gra dzisiaj mecz i muszę wyjść przed szóstą.

Mira zerknęła na zegar w prawym górnym rogu ekranu. Dochodziła jedenasta. Nawet jeśli za pierwszym podejściem zbierze minimum informacji, to i tak gromadzeniem materiałów zajmować się będzie do drugiej po południu. Pisanie zajmie jej kolejne dwie godziny, ponieważ nie czuła się zbyt dobrze w biurowej tematyce. Och, gdyby dali jej do obrobienia zwykłą relację, to poradziłaby sobie szybko i zgrabnie! Tamten niesławny materiał o parku i prawach obywatelskich zawierał fałszywe informacje, ale nikt nie mógł zarzucić, że był źle napisany. Reportaże po prostu z niej wypływały. Tak będzie z Barnesami, kiedy tylko złapie temat. Cóż, musi pogodzić się z tym, że lunch zje przy biurku, stukając do czwartej dwieście lub dwieście pięćdziesiąt słów, a potem spędzi kolejną nerwową godzinę, odpowiadając na jakieś banalne pytania redaktora. Ale jeśli szef naprawdę opuści redakcję przed szóstą, będzie mogła wyjść przed wpół do siódmej. Taka energiczna kobieta jak Cynthia Barnes pewnie ma niezłą posadę w jakiejś prywatnej firmie i zapewne nie siedzi w domu w ciągu dnia.

Mira wybrała numer biblioteki, ale odpowiedziała jej automatyczna sekretarka. Westchnąwszy ciężko, nagrała wiadomość, a potem poprosiła jednego z kolegów, żeby jej przyniósł z delikatesów sałatkę grecką i dietetyczną pepsi.

Nancy i Infante złapali sędziego Prossera tuż przed lunchem, tak jak radził Lenhardt. Rzeczywiście był zniecierpliwiony i zrzędlawy. Miał zeza w lewym oku. Zdjął okulary o grubych szklach i zaczął czytać raport. Zakończeniem rogowego zausznika wskazywał drobne omyłki w tekście.

– Wszystkie dane medyczne? – zrzędził. – Po co wam dostęp do ich wszystkich danych medycznych, skoro chcecie tylko poznać grupę krwi?

– Jeśli wyszczególnimy grupę krwi, a okaże się, że oni jednak gdzieś tam mają jeszcze próbki DNA, to nie daj Bóg, żeby jakiś cwany prawnik później nam wyciągnął, że przegięliśmy – powiedział Infante i jeszcze, odrobinę za późno, dodał: – Proszę pana sędziego.

– Czy to jest prawdziwy powód, czy jakiś powód wymyślony na poczekaniu,

żebyście w razie czego mogli chronić swoje tyłki?

– A może tak być, że i jedno, i drugie? – zapytał Infante.

Inny sędzia pewnie by się uśmiechnął, ale Prosser skierował prawe oko na leżący przed nim dokument, a zezowate lewe powędrowało ku oknu. Nancy, która potrafiła zgłodnieć, stojąc nad trupem, zrobiło się słabo na ten widok.

– Kiepsko to wygląda – powiedział Prosser. – Cholernie kiepsko. Znika dziewczynka, na jej ubranku i na jakimś podkoszulku jest krew, ale nie należy do niej ani do żadnego z jej krewnych. Chcecie sprawdzić, czy to krew którejś z dwóch dziewczyn, które zabiły niemowlę siedem lat temu, bo zadzwoniła do was Cynthia Barnes i narobiła trochę hałasu. Rozumiem, dlaczego gliny z miasta aż podskakują, kiedy dzwoni Cynthia Barnes, ale czego pani się obawia, pani detektyw? – Pytanie skierował do Nancy, ale nie czekał na odpowiedź. – Isaac Poole to sędzia magistracki.

– Wyeliminowanie dziewczyn jako podejrzanych też się przyda – odparła. – W tej sprawie poruszamy się w wielu różnych kierunkach, a chcielibyśmy zawęzić jej obszar, stać się wydajniejsi.

– A konkretnie?

– Konkubent matki. To intrygujące... – O Boże, co za niefortunne sformułowanie! Chciałaby je cofnąć, ale już nie mogła. – To zastanawiające, że żadna z kamer ochrony w centrum handlowym nie zarejestrowała, że dziewczynka tam była. Sprawdzamy także dozorcę, który twierdzi, że znalazł ubrania.

– A czy wiecie, ile dzieci jest porywanych w Baltimore w ciągu roku? Chodzi mi o uprowadzenia przez obce osoby, z żądaniem okupu i tak dalej. Jedno, może dwoje. Większość zaginionych dzieci to uciekinierzy z domu.

– Panie sędzio, to dziecko ma trzy lata.

Skrzywił się.

– Wiem. Ale dlaczego nie chcecie sprawdzić krwi konkubenta matki?

– Już to zrobiliśmy. Krew nie pasuje – odparł Infante. – Nadal rozmawiamy z nim i z matką, szukając jakiejś luki w ich zeznaniach, ale jak do tej pory są w pełni zgodne. W socjalnym też nic na nich nie mają, nawet informacji o pozostawieniu dziecka bez opieki.

– Twierdzicie, że ich zeznania są w pełni zgodne. Ale czy nie są zbyt zgodne? Spójność jest często cechą czegoś, co zostało przećwiczone. Głupia konsekwencja jest chochlikiem małych umysłów, jak to ujmował Emerson.

Nancy, nie chcąc ryzykować obrazy sędziego, powstrzymała się od przewrócenia oczami. Ludzie cytujący klasyków to najczęściej bufoni.

– Matka wygląda na zrozpaczoną, a jemu jest przykro, że ona się martwi.

– Czyli on nie martwi się tym, że dziewczynka zniknęła?

Sędzia, przy całym swoim nadęciu i groźnych minach, zdołał wychwycić jedyną rzecz, która nie dawała jej spokoju, kiedy myślała o konkubencie Maveen

Little. Mężczyzna wydawał się zaskoczony ogromem bólu swojej partnerki. Kiedy w sobotę Nancy i Infante odwiedzili ich i dalej przesłuchiwali – chociaż pod pozorem okazania współczucia i udzielenia wsparcia – przytulił szlochającą Maveen i powiedział: „Wciąż masz mnie, dziecinko. Wciąż masz mnie”. Ale to mogło wynikać z tego, że gdzieś w głębi serca chciał, by dziecko zniknęło, lecz przeraził się skutkami zrealizowania tego życzenia.

– On nie jest ojcem dziecka – wyjaśniła sędziemu Nancy. – I z tego, co wiem, nie sędzę, żeby chciał być dla małej ojczymem. Zamieszkał z kobietą, która już miała dziecko. Czy dziewczynka sprawiała kłopoty? Na pewno. Ale czy aż tak duże, że chciał się jej pozbyć albo wściekły zrobił jej krzywdę? Nie możemy tego wykluczyć, jednak byłoby to jego pierwsze takie przestępstwo.

Infante pokiwał głową.

– Panie sędzio – mówiła dalej Nancy – zaginiona dziewczynka i córka Barnesów naprawdę są prawie identyczne. To może być zwykły przypadek, ale trudno coś takiego zignorować.

„Ale jeszcze trudniej zignorować – pomyślała – że ani Ronnie, ani Alice prawdopodobnie nie wiedziały o istnieniu drugiej córki Barnesów. Chociaż może właśnie tę wiedzę próbowały ukryć”.

– Zwłaszcza gdy czuje się na karku oddech Cynthii Barnes i jej ojca – odparował Prosser i ponownie włożył okulary, dzięki czemu jego lewe oko patrzyło teraz prosto. – Dobrze, podpiszę to. Chociaż byłbym zdziwiony, gdyby udało się znaleźć jakiegokolwiek akta. Ci od nieletnich nie potrafią znaleźć dzieciaków siedzących w areszcie, a co dopiero dotyczących ich papierów. Mogli zresztą przekazać dane medyczne dziewczyn ich lekarzom rodzinnym.

– One wyszły na wolność osiem tygodni temu. Mamy nadzieję, że urzędnicy nie są aż tak skrupulatni.

– Z mojego doświadczenia wynika, że są skrupulatni właśnie wtedy, kiedy nie chcesz, żeby byli. – Sędzia zachichotał, zachwycony własną błyskotliwością i dodał prawie mimochodem: – Mam nadzieję, że znajdziecie tę małą i że nie stała jej się krzywda. Tylko nie dajcie się nabrać rodzinie królewskiej.

– Rodzinie królewskiej?

– Isaacowi Poole'owi i jego córce. Oni myślą, że wszystko, co się dzieje, dotyczy właśnie ich. A jeśli nie ich osobiście, to przynajmniej ich rasy. Powinniście posłuchać, jak Poole jęczy i marudzi na temat swojej kariery, podczas gdy ma szczęście, że w ogóle dotarł tak daleko. Ci ludzie to kompletni paranoicy.

Nancy wzięła podpisany nakaz i wyszła. Ale miała ochotę zapytać sędziego, czy Poole'owie zawsze tacy byli. Bo uważała, że kobieta, której dziecko porwano i zamordowano, ma prawo do paranoi.

W poniedziałek Ronnie przyszła do pracy i starała się zachowywać tak, jakby nic się nie stało.

– Podbiłam za ciebie kartę – powiedziała Clarice.

Ronnie skinęła głową w geście podziękowania. Aż do ciszy późnego poranka nie było żadnej wzmianki o wydarzeniach z soboty.

– Masz kłopoty? – spytała Clarice beznamiętnym głosem, jakby odpowiedź nie miała znaczenia.

– Może – odparła Ronnie. A po chwili dodała: – Tak, myślę, że mam. Ale nic nie zrobiłam. Naprawdę.

Clarice pokręciła głową. Była czarną kobietą z Baltimore. Znała mnóstwo ludzi, którzy mieli kłopoty, żaden z nich niczego nie zrobił. Znała też takich, którzy mieli kłopoty i coś zrobili, ale niekoniecznie to, przez co w te kłopoty wpadli. Znała również ludzi, którzy zrobili wszystko, o co ich oskarżano, lecz wciąż mieli dobre powody, aby kłamać. Mówili oni, że spowiedź jest dobra tylko dla duszy – i może faktycznie tak było. Dla ciała na pewno stanowiła piekło. Chłopcy z jej rodziny – siostrzeńcy i kuzyni – wychodzili z aresztu z guzami i siniakami, nadal zaprzeczając wiszącym nad nimi oskarżeniami.

Ronnie nie miała żadnego piętna, chyba żeby wziąć pod uwagę jej oczy. Ciemnoniebieskie, prawie granatowe, przypominały Clarice bratki, ale nie te świeże, jakie widziało się w skrzynkach przed oknami. Oczy Ronnie były jak kwiaty po ulewie, rozpląszczone na ziemi.

Cynthii Barnes było obojętne, co je, ale starała się przyrządzać Warrenowi wyszukane potrawy nawet w letnie upały. Dziś podała grillowanego tuńczyka z mango i papają, chłodnik z pomidorów i kukurydzy, a do tego kukurydziane bułeczki z jalapeño. Bułeczki, upieczone w starym piekarniku matki, wyglądały jak miniaturowe kolby kukurydzy. Wszystko było przepyszne, ale Cynthię interesowało tylko wino pinot noir, które Warren wybrał do kolacji.

– Wspaniałe – pochwalił żonę. Nigdy nie pozbył się plebejskiego gustu. Gdyby mógł, jadłby co wieczór kielbaski, szynkę albo sztukę mięsa. Ważyłby sto pięćdziesiąt kilo, miał nadciśnienie i cukrzycę. Ale po narodzinach Rosalind Cynthia mu oznajmiła:

– Możesz mieć nałóg, ale tylko jeden: albo pracoholizm, albo obżarstwo, albo picie. Bo ja w żadnym wypadku nie będę sama zajmować się dzieckiem.

Wtedy nie powiedział tego, czego zresztą nie powiedział nigdy i może nawet nigdy o tym nie pomyślał. Ale pomyślała Cynthia. Gdyby była Warrenem, codziennie myślałaby: „Gdybyś zajmowała się naszym pierwszym dzieckiem, zamiast pozostawiać to jakiejś tępej dziewczusze”.

Przez siedem lat oczekiwała właśnie tej odpowiedzi, lecz cios nigdy nie został zadany. Ona z kolei nie potrafiła się zdobyć na zadanie bezpośrednich pytań, które zmusiłyby Warrena do powiedzenia, co o niej myśli.

Czasem miała wrażenie, że to te niewypowiedziane słowa, a nie utrata Olivii tak mocno go przygniatają. Czowała się, jakby zawarli jakiś układ, poświęcili swoje małżeństwo w hołdzie Olivii. Czy byłoby źle, czy może nie, gdyby znowu stali się szczęśliwi? Chwilami, gdy siedziała z Rosalind, nadchodziło szczęście, i to ją przerażało. Być szczęśliwym oznaczało zapomnieć. A zapomnieć to ryzykować, że wszystko się jeszcze powtórzy.

– Czy wiesz – zapytała męża – że tuńczyk kosztuje prawie tyle co stek?

– Naprawdę?

– Czasem nawet więcej. Tyle co dobry kawałek polędwicy. Oczywiście nie ma w nim kości i tłuszczu.

– Fakt.

Zastanawiała się, czy Warrenowi zdarzają się skoki w bok. Jej by się zdarzały, gdyby zamienili się rolami. Warren był teraz znacznie przystojniejszy niż w czasach, kiedy się poznali, i spełniony zawodowo. Na początku małżeństwa rodzice krytykowali ich za pełne luksusów życie i związane z tym długi. Ale teraz byli bogaci, bogatsi niż ktokolwiek podejrzewał, mimo że o sukcesach Warrena mówili wszyscy. Tak naprawdę żyli skromniej, niżby mogli, gromadzili pieniądze, których nie mieli już ochoty wydawać, chyba że na Rosalind.

„Kiedy Olivia umarła, miała na swoim funduszu na college pięć tysięcy

dolarów” – przypomniała sobie nagle Cynthia. Zostawili te pieniądze, a po narodzinach Rosalind mogli je przenieść na jej fundusz.

– Smakuje ci wino? – spytał Warren.

– Uwielbiam je – odparła, zaciskając palce na nóżce kieliszka. Nie знаła przyjemniejszego uczucia niż smak pierwszego łyku wina, które piła co wieczór, tak jak od kawy zaczynała każdy dzień. To były dwa kamienie milowe, znaki, że przetrwała kolejny dzień, kolejną noc. Następne łyki nie smakowały tak dobrze, ale pierwsze – po prostu baśniowo.

– Może kupię skrzynkę? Przy skrzynce dają zniżkę.

– Nie widzę przeszkód.

Pewnie jakaś inna, lepsza od niej kobieta dałaby mu odejść i zrobiłaby to tak, że nikt by o nim źle nie pomyślał. Cynthia powinna mieć już romans, przeżyć załamanie nerwowe, może jedno i drugie. Warren nie był aż tak wyniszczony jak ona, ponieważ nie dźwigał aż tak ciężkiego brzemienia winy, a nie dlatego, że był mężczyzną. Może jednak powinna znaleźć mu nową kobietę? Kilka lat temu w miejscowej gazecie opublikowano cykl reportaży o kobiecie, która zrujnowała sobie zdrowie, by dać mężowi dziecko. Gdy wskutek kuracji hormonalnej zachorowała na raka – za przyczynę choroby uznała leki przeciw niepłodności, ale bez żadnego naukowego potwierdzenia – wybrała mężowi nową żonę. Z pełną wyższości arogancją, której Cynthia prawie jej zazdrościła, rozejrzała się wśród swoich przyjaciółek i spośród nich wybrała kobietę, która jeszcze nigdy nie była mężatką. Jasno dała obojgu do zrozumienia, że uzna to za hołd złożony jej pamięci, jeżeli po jej śmierci zwiążą się ze sobą. Cynthia wtedy czytała to z typowym dla siebie lekceważeniem dla każdej kobiety, która miała czelność myśleć, że to ona cierpi.

– Biali ludzie są szaleni – mówiła Warrenowi w przerwach między ukazywaniem się kolejnych artykułów, chociaż fascynowało ją okrucieństwo umierającej kobiety. Było jasne, że nie wybrała ani najładniejszej przyjaciółki, ani najbardziej spełnionej, lecz taką, która nigdy nie zdołałaby jej przewyższyć. Kobieta umarła, zanim jej córka skończyła dwa lata. Mąż i przyjaciółka pobrali się dwa lata później. Cynthia dawała temu małżeństwu najwyżej pięć lat. Ciężko żyć z duchem.

Przynajmniej Olivia była takim niewymagającym duszkiem, niezmiernie szlachetnym wobec tych, których zostawiła. Nigdy nie płakała, nigdy nie trzeba było jej ganić. Jako niemowlę często miała kolki, ale teraz była już spokojna, prosiła tylko, żeby o niej nie zapomnieli.

– Bardzo smakują mi te bułeczki – powiedział Warren.

– Są niskotłuszczowe. To, co na nich rozsmarowujesz, to nie margaryna, ale jogurt.

– Jakoś to przeżyję.

– O to właśnie chodzi – stwierdziła Cynthia. – Żebyś przeżył.

Żart, że Warren ledwie wytrzymuje starania żony usiłującej zachować go w dobrym zdrowiu, był już stary, ale nigdy wcześniej nie formułowali go tak otwarcie. Surowość własnych słów sprawiła, że Cynthii zrobiło się głupio. Z Olivią też o to chodziło – żeby przeżyła, dorosła, korzystała z przewag dawanych przez wszystko, do czego miałyby prawo z racji urodzenia, klasy społecznej i wykształcenia.

Czasem zapominała. Przez ponad godzinę nie pamiętała, że jest matką zamordowanego dziecka. Ale Rosalind wszystko zmieniała. Teraz Cynthia nie potrafiła patrzeć na Rosalind, nie myśląc o Olivii. Rosalind była jak stek z tuńczyka, a Olivia jak kawałek polędwicy. Równie cenna, pod pewnymi względami lepsza, ale Cynthia nie mogła nic poradzić na to, że woli jedno od drugiego. Warren pewnie czuł podobnie, to jednak stanowiło temat do kolejnej rozmowy, której nigdy nie odbyli. Martwili się o Rosalind, owszem, a ich wyobrażenia sięgała granic, jakich inni rodzice nie potrafiliby pojąć. Czym innym jest powrót do dawnej figury po ciąży, a czym innym doprowadzenie do ładu umysłu sflaczałego od ciągłego lęku. Nie potrafili kochać Rosalind tak bardzo, jak kochali Olivię, bo wiedzieli, że kiedyś może im zostać odebrana.

– Wszystko w porządku? – zapytał Warren.

– Tak, nic mi nie jest.

– Nie jesz.

– Nie mam apetytu w taki upał.

– Ustawiłaś klimatyzację na taką temperaturę, że aż nosisz sweter.

Miała na sobie koralowy jedwabny kardigan.

– Ale wcześniej byłam w mieście na zakupach. Wiesz, że nie potrafię po prostu pójść w jedno miejsce. Warzywa na osobnym stoisku, ryba w Nick's. Mówią, żeby w poniedziałek nie jeść ryby w restauracjach, ale to chyba nie dotyczy ryby kupionej w poniedziałek, prawda?

– Mam nadzieję, że nie.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Cynthia wstała, zanim Warren zdążył odsunąć się od stołu. W ciężkich drewnianych drzwiach znajdowało się małe kwadratowe okienko z żelazną kratką. Osłaniał je ekran z gęstej siatki, więc trudno było dokładnie obejrzyć osobę stojącą na ganku. Jakaś biała kobieta, dobrze ubrana, smukła jak chart wyścigowy. W ręku trzymała notatnik.

Cynthia otworzyła drzwi, ale tylko po to, by oznajmić:

– Nie będę z panią rozmawiać.

Dziennikarze nie powinni do niej przychodzić. Jeszcze nie był to czas na żalobę.

– Pani Barnes? Nazywam się Mira Jenkins, jestem reporterem z „Beacon-Light” i dostałam informację, że zaginięcie Brittany Little może mieć

związek ze śmiercią pani córki.

– Nie będę z panią rozmawiać.

– Nawet nieoficjalnie?

Cynthia poczuła rozbawienie. Ta dziewczyna była jak mechaniczna lalka rzucająca frazami ze swojego ubogiego słownika.

– Czy pani w ogóle wie, co to znaczy nieoficjalnie?

– Oczywiście. To znaczy, że pani mi powie, czy to prawda, ale ja nie podam pani nazwiska.

– A potem pani będzie mogła to wykorzystać? Czy też będzie pani musiała znaleźć jeszcze kogoś, żeby to potwierdził? A może pani to wykorzysta, powołując się na „pewne źródła”?

– Ja... ja nie... Proszę pani, pani mi tu mówi o regułach, do jakich muszę się stosować. Ale ja nie rozumiem, po co pani miałaby dzwonić do redakcji i mówić mi o śledztwie, gdyby nie chciała pani, żeby to znalazło się w gazetach. – Mechaniczna lalka nagle stała się nieco mniej urocza.

– Dlaczego pani sądzi, że to ja dzwoniłam? Nie rozmawiałam z prasą przez siedem lat. Dlaczego teraz miałabym zacząć?

– Ktoś jednak zadzwonił. Ktoś, kto dużo wie o pani sprawie. A wczoraj zobaczyłam panią w pobliżu mieszkania tej drugiej kobiety.

Cynthia obejrzała się przez ramię. Warren był w kuchni i sprzątał po kolacji – dobry nawyk, zasługa jego matki. Odgłos płynącej wody skutecznie zagłuszył jej słowa.

– Proszę wejść – powiedziała. – Usiądziemy w salonie i porozmawiamy przy mrożonej herbacie. To znaczy pani będzie piła mrożoną herbatę, a ja wino. Kiedy mój mąż przyjdzie, by zobaczyć, co się dzieje, powiemy mu, że jest pani studentką nauk politycznych i profesor polecił pani porozmawiać ze mną o polityce samorządowej miasta. Mąż pójdzie na górę oglądać telewizję albo czytać gazetę. Dopiero wtedy porozmawiamy o tym, co panią tu sprowadziło.

– Oficjalnie?

Och, co za dziewczyna! Dasz jej palec, a chwyci całą rękę. Cynthia podziwiała ten rodzaj przebojowości. Właśnie dzięki niej daleko zaszła.

– Proszę się zbytnio nie wyrywać do przodu – odezwała się ciepłym, niemal matczynym tonem, który uwielbiały młode kobiety i którym często zwracała się do swoich stażystów. – Ale jeśli zrobi pani to, co powiem, dokładnie tak, jak powiem, będzie pani miała swój materiał.

Alice szła ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w ziemię. Chodniki w Ten Hills były miejscami powybrzuszane, uniesione korzeniami wielkich dębów i wiązów. Na takim chodniku łatwo się potknąć, zwłaszcza w zielonoszarym półmroku, a Alice nienawidziła potykania się. Uważała je za znacznie gorsze od upadku, kiedy ludzie wokół czuli się zobowiązani wyrazić współczucie albo podać rękę. Potykając się, wyglądasz po prostu głupio i niezdarnie.

Jednak Alice wpatrywała się w chodnik głównie dlatego, że nie chciała patrzeć w oczy Sharon Kerpelman, która nalegała, aby towarzyszyła jej dziś wieczorem. Przyjechała do nich niemal dokładnie w chwili, gdy Alice zaczęła skrobać łyżką po dnie talerza, polując na ostatnie malinowe krople tego, co Helen uparła się nazywać sorbetem.

– Akurat przechodziłam – stwierdziła, jakby Alice nie wiedziała, gdzie Sharon mieszka i pracuje, i jakby maskująca poczucie winy krzątania matki przy naczyniach nie dowodziła, że obie zaaranżowały to rzekomo przypadkowe spotkanie. Co znaczyło, że Helen i Sharon rozmawiały ze sobą tak, żeby Alice niczego nie słyszała? To wcale jej się nie podobało. Już raz ukartowały spotkanie z drugą prawniczką, tą brzydką kobietą. Nie chciała, by rozmawianie za jej plecami weszło im w nawyk. Siedem lat temu robiły to często i Alice się zastanawiała, co powiedziały sobie, a przez nią zataiły.

– Zwykle spaceruję po kolacji – oznajmiła, zerkając na stopy Sharon. Prawniczka miała czarne sandały na niskich obcasach i ze skomplikowanym układem pasków. – Mama mówi, że to dobrze robi na trawienie.

– Wspaniale – potwierdziła Sharon – Chętnie pospaceruję z tobą.

Alice nie mogła pójść z nią tam, gdzie zwykle chadzała wieczorami. Ominęła to miejsce, prowadząc prawniczkę obrzeżami Ten Hills, gdzie nad wielkimi trawnikami poroziadały się duże domy. Kiedyś w taką ciepłą noc przez pootwierane okna byłoby słyszeć mnóstwo różnych dźwięków: głosy rodziców wołających dzieci, pobrzękiwania z kuchni sprzątanym po kolacji, zgiełk meczu baseballowego w telewizji. Ale teraz większość domów została odnowiona i wyposażona w klimatyzację, więc jedynym dźwiękiem było jednostajne buczenie.

– To jest prawie tak samo złe jak szarańcza, która pojawia się u nas co siedemnaście lat – oznajmiła Sharon. – A nawet gorsze, bo szarańcza to część ekosystemu. Te wszystkie klimatyzatory pewnie prowadzą do globalnego ocieplenia.

– Pani ma klimatyzację, prawda? – spytała niewinnym tonem Alice.

– No tak, ale ja mieszkam w bloku.

– Och.

– Chodzi mi o to, że te domy zbudowano tak, żeby dawało się oddychać

w letni upał. Czyli robi się coś wbrew ich konstrukcji, kiedy montuje się w nich klimatyzację. To bardzo nieefektywne.

– Moja mama nie wierzy w klimatyzację, chyba że w sypialniach. Ale nawet tam stara się jej nie używać. Mówi, że przez nią w zatokach rosną ludziom grzyby.

– Przypuszczam, że to możliwe – powiedziała Sharon.

Alice zdawało się, że prawniczka szuka sposobu, aby porozmawiać o tym, co doprowadziło do tego niby przypadkowego spotkania. Chciała, żeby cały czas wyglądało na przypadkowe, takie prawie mimochodem. „Jesteśmy, spacerujemy sobie, to może przy okazji powiesz mi, gdzie byłeś w piątek wieczorem, zanim przyszedłam. A może wiesz, gdzie jest ta dziewczynka? Powiedz, to zostanie między nami”.

– Prawie się nie pocę – oznajmiła Alice. – I nawet kiedy spaceruję w południe, nigdy się nie zgrzewam. Cały sekret polega na tym, żeby nie iść za szybko.

– Pijesz wystarczającą ilość wody?

– Tak sędzę. – Codziennie wypijała trzy dietetyczne pepsy.

– Bo może dlatego się nie pocisz, że pijesz za mało płynów. Pocenie się to system chłodzący organizmu. To nasza biologiczna klimatyzacja.

Alice była dumna, że tak mało się poci, a teraz poczuła się, jakby to stanowiło jej kolejną wadę.

– Ale to wspaniale, że masz dużo ruchu – stwierdziła Sharon. – Spacerujesz w południe i po kolacji?

– Tak, prawie codziennie.

– Tylko spacerujesz?

– Czasem siadam na chwilę. No i szukam pracy. – Tak często powtarzała to kłamstwo, że przychodziło jej łatwiej niż mówienie prawdy.

– Helen mówiła, że raz ktoś podwiózł cię do domu samochodem. Przynajmniej raz.

– Naprawdę?

– Tak.

– Nie wiem, dlaczego miałyby tak powiedzieć. Jedyne, co robię, to spaceruję.

– Pewnej nocy słyszała, jak trzaskają drzwiczki od samochodu tuż przed twoim powrotem.

– Mieszkamy przy ruchliwej ulicy. Przyjeżdżają i chodzą tam też inni ludzie.

– Czyli... nie podwożą cię... – chwila przerwy – mężczyźni.

Alice ledwie powstrzymała się od śmiechu. Zrozumiała, co martwiło jej matkę i Sharon.

– Nie pozwolilabym się podwieźć nikomu, kogo nie znam. To naprawdę niebezpieczne.

Dotarły do rogu ulicy, gdzie kończyły się duże domy i zaczynał rejon małych sklepików. Jego centralną część stanowił kościół z oszklonym wejściem, w którym wyświetlano filmy. Helen opowiadała kiedyś, że właśnie tam ona i ojciec Alice poszli na pierwszą randkę. Obejrzelili film *Kokon*, a potem wstąpili do Mr G na kręcone lody wanilinowo-czekoladowe. Helen miała na sobie letnią sukienkę w stylu lat pięćdziesiątych, w drobną czarno-białą kratkę. W opowieściach Helen pełno było szczegółów – co widziała, co jadła, jak się ubrała.

– Tutaj powinniśmy zawrócić – powiedziała Alice.

W milczeniu szły ulicą, wracając tą samą drogą. Zrobiło się już ciemno, a pomruk klimatyzatorów wydawał się jeszcze głośniejszy.

– Alice, twoja mama myśli...

– Wiem, co myśli moja mama – jej głos był hardy, chociaż wcale tego nie chciała. – Myśli, że jestem brzydką, grubą dziewczuchą, która wozi się z obcymi facetami i uprawia z nimi seks, bo to jedyny sposób, żeby zwrócić na siebie uwagę mężczyzn.

– Nie, nie. Ale chodzi o to, że jeśli jechałaś z kimś tamtego piątkowego wieczoru, to musisz o tym wiedzieć.

– Dlaczego?

– Bo nie taką wersję przedstawiłyśmy policji. A jeśli powiesz policji kłamstwo, nawet zupełnie bez znaczenia, to może przysporzyć wielu kłopotów.

– Szłam pieszo.

– To dobrze.

– Ale to było tylko pięć kilometrów – powiedziała Alice. – Każdy może przejść pięć kilometrów w ciągu godziny.

– Tak, ale ty nie mogłaś... to nie byłoby... na razie jeśli chodzi o policję...

Alice zatrzymała się i po raz pierwszy spojrzała Sharon w oczy.

– Mówi pani, że to ważne, gdzie byłam i czy wróciłam do domu samochodem, czy pieszo, bo policja myśli, że ja to zrobiłam.

– Nie całkiem. Jesteś podejrzana. Nie powinnaś być, ale jesteś.

– Pani chce być moim prawnikiem dlatego, że pani myśli, że jestem winna, czy dlatego, że uważa pani, że jestem niewinna?

– Chcę cię chronić, upewnić się, że nikt cię nie skrzywdzi.

Sharon oparła się o wielkie stare drzewo. Jego poorana bruzdami kora przypominała ślady bieżników opon. Przeniosła ciężar ciała z jednej nogi na drugą i wsunęła dłonie pod paski sandałów, żeby je poluzować. Paski zostawiły ciemnoczerwone ślady na stopach.

– Poprzednio też miała pani mnie chronić.

– Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Naprawdę zrobiliśmy, Alice.

– Och. – Dziewczyna udała, że się zastanawia. – Czyli to wszystko, co było w pani mocy.

Wypowiedzenie tych słów sprawiło jej prawdziwą, niemal fizyczną przyjemność. Przypomniało Alice fajerwerki, które widziała sobotniej nocy, kiedy razem z Helen jechały na policję: długie, jasne pasma barw, wybuchające pośrodku i rozlewające się po niebie. Jednak to uczucie zniknęło prawie tak szybko, jak się pojawiło.

– Na szczęście mamy to już za sobą.

– Nie. Tak naprawdę nigdy nie miałyśmy tego za sobą. Dlaczego musiałam iść do więzienia za to, co zrobiła Ronnie?

– Przede wszystkim dlatego, że znaleźli twoją zabawkę, to pudełko z wyskakującą małpką...

– Podłożoną tam przez Ronnie, która mi ją ukradła.

– I nie dało się dokładnie ustalić, kiedy umarło to dziecko.

– Ronnie ją zabiła, kiedy mnie tam nie było. Myśli pani, że pozwoliłabym jej zabić dziecko na swoich oczach? Myśli pani, że mogłabym stać tam, podczas gdy ona robiłaby to, co zrobiła?

– Ale byłaś z Ronnie, kiedy zabrała dziecko. I nie powiedziałaś nikomu, gdzie ono jest, nawet gdy... kiedy...

– No, niech pani to powie – przerwała jej Alice. – Kiedy jeszcze żyło i mogłam je uratować. Ale ja nie potrafiłam tak na to spojrzeć. Ja rozumiałam tylko, że będziemy miały kłopoty, bo ją zabrałyśmy i ludzie się przez nas martwili. Wpadłyśmy w wielkie tarapaty. Próbowałam wymyślić jakiś sposób, żeby pomóc ją odnaleźć. Próbowałam namówić Ronnie, żeby odniosła dziecko do domu. Ale nie odniosła i nie pozwoliła mi tego zrobić. Po prostu chciała tam zostać i udawać, że to jej dziecko. A potem ni stąd, ni zowąd, chciała, żeby to dziecko umarło.

– Wiem – powiedziała Sharon, kiwając głową. – Wiem.

– Teraz myślę, że to ja zabrałam tamtą dziewczynkę i może zrobiłam jej krzywdę. Dlaczego policja myśli, że mogłam to zrobić?

– Bo policjanci widzą terażniejszość przez pryzmat przeszłości. To jest jak w tej historyjce, wiesz, o chłopcu, którego matka wysłała do sklepu.

– Jakiej historyjce? Nie znam tej historyjki.

Ale nagle sobie przypominała. Przypomniała sobie, jak miała dziewięć lat i siedziała w bibliotece w Catonsville na popołudniowych zajęciach, które Helen uznała za warte uwagi. „John Jacob Jingleheimer Schmidt / Ja nazywam się tak samo / Gdy nas ludzie spotykają / Wtedy zawsze tak wołają / Oto idzie John Jacob Jingleheimer Schmidt / la la la la la la la la”.

Opowiadali im tam historyjkę o chłopcu, który nigdy nie robił niczego jak należy, lecz Alice zapamiętała głównie piosenkę o Johnie Jacobie, radość z wykrzykiwania refrenu, aż się ochrypło.

– Ten chłopiec – powiedziała Helen – obwiązał kotlet wieprzowy sznurkiem i ciągnął za sobą, ale zjadły go psy. Matka powiedziała mu: „Powinieneś schować

go pod czapką”. Chłopiec poszedł do sklepu po masło, schował je po czapkę i roztopiło mu się. Matka powiedziała... właściwie nie pamiętam, co powiedziała, ale chodziło o to, że do rozwiązania problemów z dzisiaj stosował metody z wczoraj.

– Czyli że jestem metodą z wczoraj.

– W pewnym sensie.

– Więc byłam także problemem z wczoraj.

Sharon znów zaczęła przestępować z nogi na nogę. Alice przypomniała sobie, co działo się z jej stopami, kiedy zaczęła codzienne spacerować, jak piekły i bolały. Teraz były tak twarde, że mogłaby przejść z pięć kilometrów bosą, nawet tego nie czując.

– Nigdy nie uważałam cię za problem – powiedziała Sharon.

– A co z tym, co się ze mną stało, kiedy byłam zamknięta? Co z tym, co mi zrobiono?

Ku jej przerażeniu Sharon zaczęła płakać. Alice nie oczekiwała takiej reakcji i nawet nie potrafiła jej wykorzystać. Ilekroć dorosły zaczynał płakać, wiedziała już, że przegrała.

– Alice, ja próbowałam. Naprawdę próbowałam. Robiłam wszystko, co w mojej mocy, i przykro mi, że stało się, jak się stało. Ale nikt nie wie... nikt nie mógł wiedzieć ani przewidzieć... Tak mi przykro, Alice. Jedyne, co mogę zrobić teraz, to próbować ci pomóc.

– Ma pani rację – przyznała Alice. – Ma pani całkowitą rację. Wszystko, co ktokolwiek mógłby zrobić, to próbować.

Zaczęła iść, nie zważając na to, czy Sharon dotrzymuje jej kroku. Skupiła wzrok na chodniku i tak odmierzała kroki, żeby jej stopy stawały pośrodku każdego kwadratu. Nie dlatego, że bała się nastąpić na spojenie. Podobno przynosiło to pecha, lecz tego obawiała się jeszcze mniej. Po prostu ten sposób poruszania się przypominał jej grę w klasy. Była dobra w klasy, a do rzucania używała starego gumowego obcasa. Helen poszłaby do zakładu szewskiego i trzepotała rękami do pracujących tam starych Włochów tylko po to, żeby Alice mogła rzucać na numerowane pola prawdziwym obcasem marki Black Cat Paw.

– Tak właśnie sprawy się mają w Baltimore – powiedział Lenhardt, przysiadając na rogu biurka Nancy. – Albo właściwie się nie mają. Biurokracja, która chce, żeby jej pomóc, gdy się nie może. I która pomaga, kiedy się tego nie chce.

– Jakiś problem z danymi medycznymi? – domyśliła się Nancy.

Sierżant przytaknął.

– Middlebrook, tam gdzie trzymali Alice, wreszcie przechodzi remont i wszystkie niepotrzebne aktualnie dokumenty schowano na ten czas do magazynu. Będą próbowali je znaleźć, ale coś mi się zdaje, że wcale nie wiedzą, gdzie one są. Shechter, oddział psychiatryczny w prywatnym ośrodku dla nieletnich, uparcie nam odmawia; twierdzą, że gdy wypuszczali Ronnie, wysłali jej dane do urzędu stanowego. Ale nie są pewni, czy chodziło o urząd do spraw nieletnich, czy zdrowia i higieny psychicznej.

– Krótko mówiąc, mnóstwo zawracania głowy, żeby znaleźć informacje, które mogą nam się do niczego nie przydać – podsumował Infante.

– Mamy krew i nie możemy tego zignorować – odparł sierżant. – Ale tak sobie pomyślałem, że w tej sprawie ważne jest to, czego nie ma. A czego przede wszystkim nie ma?

Spojrzał z wyczekiwaniem na swoich detektywów. Nancy, która chciałaby pierwsza znaleźć odpowiedź, przyglądała się twarzy sierżanta, szukając jakiejś wskazówki. Dostrzegła, że jego spojrzenie przesuwają się ku stosowi kaset wideo na biurku Infante'a.

Były to taśmy z zapisami ze sklepowych kamer oraz z kamer umieszczonych przy różnych wyjściach z centrum handlowego. Oglądali je kilka razy i zauważyli Maveen Little oraz jej partnera, którzy wyglądali, jakby szukali dziewczynki. Ale...

– Brittany Little – powiedziała Nancy. – Nie ma Brittany Little. Nie sfilmowała jej ani jedna kamera. Co jest możliwe, ale mało prawdopodobne.

– Jeśli ktoś obcy porwał dziecko, musiał je szybko złapać. – Lenhardt, by to zademonstrować, przycisnął książkę telefoniczną do piersi. – Ale nawet wtedy dziewczynka pewnie by krzyknęła. Może więc czymś ją zwabił.

– Rozmawialiśmy z szefem ochrony w centrum handlowym – powiedział Infante – i z ochroniarzem Value City. To gliniarz z miasta dorabiający na emeryturze, całkiem bystry. Przypomniał nam, że gdyby kamery nagrywały wszystko, żaden złodziej sklepowy nie chodziłby wolno.

– Maveen przyszła do niego i, jak twierdził, zachowywała się, jakby szalała

z niepokoju – dodała Nancy. – Prawie dostała hysterii.

– Gdyby twój facet zabił ci córkę, też byś oszalała. Dlaczego nie wróćcie do Westview i nie sprawdźcie wyjść i umiejscowienia kamer? Cynthia Barnes wskazała na podobieństwo jej córki do naszej zaginionej. Ale zadzwoniła jeszcze tego wieczoru, więc ledwie mieliśmy czas przemyśleć jej sugestie. To oczywiste, że ona miała powód, by się zdenerwować. Ale to nie znaczy, że my też musimy.

„Zadzwoniła jeszcze tego samego wieczoru” – powtórzyła Nancy w myślach. Przecież Cynthia Barnes zadzwoniła do niej w sobotę rano i powiedziała: „Właśnie rozmawiałam z sierżantem Lenhardtem i powiedział mi, że powinnam porozmawiać z panią”. Powróciła myślami do piątkowego wieczoru, kiedy zaginęło dziecko, do decyzji o potraktowaniu sprawy jak zabójstwa, mimo że dowody – jak włosy i ubranko – wskazywały raczej na porwanie. Potem była decyzja Lenhardta o przesunięciu w kolejności jej i Kevina. Infante poszedł za sierżantem do łazienki, długo się z nim sprzeczał, aż wreszcie wyszedł zrezygnowany i wściekły.

„Zbiegi okoliczności się zdarzają – mówił Infante. – Popatrz na sierżanta i sprawę Epsteina”. Nancy nie zadała wtedy żadnych pytań. Nie dlatego, że bała się ujawnienia swojej ignorancji w kwestii nazywanej sprawą Epsteina; po prostu nie chciała się dowiedzieć, że jej udział w rozwiązywaniu obecnej sprawy nie był zwykłym zbiegiem okoliczności. Jeśli Lenhardt kazał jej zajmować się poszukiwaniami Brittany Little ze względu na dawny związek z zabójstwem dziecka Barnesów, to ją sprawdzał. A skoro ją sprawdza, to na pewno jej nie ufa.

– Nancy?

– Słucham?

– Chciałbym zajrzeć do Westview w tym tygodniu – rzekł Infante, wstając. – Jeśli chcesz gapić się w przestrzeń i mieszać kawę, możesz robić to w samochodzie.

– Proszę popatrzeć na mój dzbanuszek, pani Manning. Ładny?

– Cudowny, Geraldzie.

Chłopiec się skrzywił. Miał doskonale okrągłą głowę, za dużą jak na jego ciało ośmiolatka, i krótko przycięte włosy. Wyglądał jak czarnoskóry Charlie Brown, chociaż pozbawiony zakłopotania cechującego tę komiksową postać.

– Mam na imię Ja-leel.

– Oczywiście, Ja-leel.

– A mój? Czy mój jest ładny? – Jakaś dziewczynka podniosła swój obrazek, nie zważając na to, że świeże farby spływają po papierze. Włosy miała splecione w warkoczyki i powiązane plastikowymi frotkami: w sumie trzy warkoczyki, tak proste i równe, jakby odmierzano je linijką. Ta fryzura w Baltimore nigdy nie wyszła z mody.

– Prześliczny, Bonnie.

– B-O-N-E-T – poprawiła dziewczynka. – Mam na imię Bonet.

– Ładnie, kochanie.

„Jezu Chryste” – pomyślała Helen. Na piętnastoro dzieciaków może dwoje miało imiona, które nie były jakimś przypadkowym zbiorem samogłosek. Popierała autoekspresję, ale zanim się złamie zasady, najpierw trzeba je dokładnie poznać.

Uczyła plastyki na letnich zajęciach finansowanych przez miasto, jak co roku, odkąd odeszła Alice. Gdyby mogła coś odwrócić, nie zgłosiłaby się na te zajęcia pierwszego lata po powrocie córki do domu. Ale zapisała się już w marcu, bo całkiem zapomniała, że jej życie się zmieni. Zresztą przyzwyczała się do większych dochodów, a rezygnacja z letnich lekcji równała się zmniejszeniu zarobków o pięć procent.

Szkoła mieściła się na północy miasta, w jednej z najbogatszych dzielnic. Ale wszystkie dzieci były czarne. Białym mieszkańcom wielkich domów wokół szkoły nawet nie śniło się wysłać tu swoich pociech, choćby na letnie zajęcia. Witamy w apartheidzie po baltimorsku. Ludzie racjonalizowali podziały w mieście, mówiąc o tradycji prywatnych szkół i o mocnej pozycji Kościoła katolickiego, ale w gruncie rzeczy chodziło o to, że miasto było podzielone. Biali, którzy nie mogli sobie pozwolić nawet na szkoły parafialne, ciągnęli do hrabstwa. Kiedy Afroamerykanie z klasy średniej poszli w ich ślady, biali przenieśli się dalej za miasto.

Alice byłaby jedyną białą dziewczynką w podstawówce, gdyby Helen zdecydowała się ją tam posłać. Jej samej by się to nawet podobało, jednak nie Alice. Lęk dziewczynki przed odmiennością był niemal patologiczny. Inne dziecko szczyiłoby się tym, że się wyróżnia, ale wszystko, czego potrzebowała jej córka, to iść z prądem. Matka Helen uważała tę cechę wnuczki za zaletę, zresztą odziedziczoną właśnie po niej.

– Może gdyby ona miała ojca... albo chociaż wiedziała, kim był jej ojciec, nie starałaby się wyglądać aż tak normalnie – tłumaczyła córce.

Tak więc Helen zapisała Alice do szkoły parafialnej, a potem z konsternacją patrzyła, jak córkę ciągnie do najbardziej pospolitych dziewczyn, których przeznaczeniem, gdy dorosną, będzie zmienić życie Alice w piekło. Ale ona tego właśnie chciała. Alice, nie Helen.

Od początku za jedną z głównych przyczyn zbrodni jej córki uznano kwestie rasowe. Stanowiła jedyną rzecz identyfikującą morderczynie, wyjąwszy ich wiek, okolicę i fakt, że zabójstwo popełniły we dwie. Obie były białe, a ich ofiara czarna. Jakiś prawnik zastanawiał się nawet nad możliwością sądenia dziewczynek za zbrodnię na tle rasistowskim. Nastroje robiły się coraz gorętsze. Przez chwilę wydawało się, że miasto jest gotowe zawrzeć i wykipieć, że wszystkie urazy, cała nienawiść skondensowały się w tej jednej sprawie. Tak jakby ludzie pragnęli nadać jakieś znaczenie temu, co się stało. Ale Helen była pewna, że w czynie Alice nie

ukrył się żaden podtekst.

– Proszę pani, niech pani popatrzy na mój domek. To mój dom, moja mama i moi bracia.

Kolejny chłopczyk – Dumas? Dunbar? Ducasse? – podetknął jej swój obrazek pod nos. Domek na pewno nie był jego, bo namalował wolno stojący dom z okiennicami i płotkiem. Z komina wydobywała się smużka dymu. Jeśli chłopiec kiedykolwiek widział taki dom, to w telewizji. Albo idąc przez okolicę, w której go nie chciano, gdzie w miejscowym sklepie spożywczym odmawia się wpuszczenia więcej niż czterech „uczniów” naraz, chociaż ta zasada jakoś nie obowiązuje dziewczynek z prywatnej szkoły. Zeszłej wiosny podczas wizyty w sklepie Helen z dezaprobatą słuchała, jak czarni licealiści drwią z kasjera pochodzącego z Bliskiego Wschodu, który próbował ich przegonić. „Żatnych uczniuf! Żatnych uczniuf we sklep!” Rozkoszowali się jego zajadłością, obracając ją przeciwko niemu.

Każdy w Baltimore kogoś nienawidził. Biali nienawidzili czarnych. Czarni nienawidzili białych. Ludzie z miasta nie lubili tych z przedmieść. Biedni nienawidzili bogatych. To było miasto, gdzie różnice ścierały się ze sobą, tworząc gryzący pył, równie niebezpieczny jak farba z ołowiem czy azbest. Ale tylko Alice i Ronnie – za młode, aby kogokolwiek nienawidzić – obarczono odpowiedzialnością za ten obywatelski upadek.

Mira musiała znaleźć jakiś sposób, żeby zadzwonić tak, by nikt jej nie podsłuchał. W newsroomie redakcji śródmiejskiej znajdowały się boksy dla reporterów, zapewniające odrobinę prywatności, ale redakcje do spraw przedmieść były wielkimi otwartymi przestrzeniami, gdzie wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich. Redakcja śródmiejska miała też identyfikację numerów i bar z przekąskami. Mira wkurzyła się, przez chwilę rozproszona odruchowym żalem związanym z tym, co ma, a czego jej potrzeba. Wtedy przypomniała sobie, że jeśli zrobi wszystko porządnie, już niedługo zacznie pracować w redakcji śródmiejskiej.

Reporterzy z przedmieścia dzielili swoje pomieszczenia z działem reklam, któremu zapewniono nieco więcej prywatności, bo tak naprawdę to właśnie on zarabiał pieniądze dla firmy. Mira poczekała, aż kierownik działu reklam pójdzie na lunch, a potem wślizgnęła się do jego gabinetu i zamknęła za sobą drzwi. Gdyby ktoś zapytał, dlaczego weszła do Gordona i dzwoni z jego telefonu, mogła odpowiedzieć, że musiała porozmawiać ze swoim lekarzem. Żaden mężczyzna nie rozwijałby tego wątku. Mira rozłożyła kartkę, którą dostała od Cynthii, i wystukała na pagerze numer detektyw zajmującej się sprawą. Potem jeszcze dodała numer wewnętrzny Gordona i czekała.

Zeszłego wieczoru Cynthia odmówiła powiedzenia czegokolwiek oficjalnie. Chciała, aby to policja potwierdziła, że zaginięcie Brittany Little ma związek z zamordowaniem jej córki. Zapytana dlaczego, tylko uniosła brwi i wskazała

podbródkiem fotografię na gzymsie kominka. Mira od razu dostrzegła podobieństwo.

– To jest...

– Moja córka Rosalind.

– Czy ona?...

– Nie, nie jest podobna do siostry. – Cynthia przez chwilę wyglądała, jakby odpłynęła gdzieś daleko, ogarnięta bezbrzeżnym smutkiem. Kiedy odezwała się ponownie, mówiła ostrym tonem: – To nie jest oficjalne. Nie może pani nawet wspomnieć o żadnym „informatorze”, czy jakiego tam słowa teraz używacie, to jest wyłącznie dla pani, żeby pani to potwierdziła u kogoś innego.

– Jak mam to zrobić? Wie pani, że gliniarze z hrabstwa odmówią komentarzy.

Wtedy Cynthia Barnes wytłumaczyła jej, jak wszystko załatwić krok po kroku. Mira patrzyła na kartkę z notatnika, na której Cynthia zapisała to, co bała się powiedzieć na głos. Wyrwała tę kartkę zaraz po wyjściu z domu Barnesów w obawie, że treść jakoś się wymaże albo cała strona zginie, jeśli pozostanie przyczepiona do metalowej spiralki łączącej wszystkie strony notatnika. Wsunęła ją do kieszeni, potem do portfela i znowu do kieszeni. Od wczoraj spoglądała na nią chyba ze sto razy, jakby zapisano tam magiczne zaklęcie, które musi zostać precyzyjnie wypowiedziane, aby zadziałać.

Detektyw Nancy Porter

Alice Manning

Ronnie Fuller

Ostatnie dwa nazwiska były istnym skarbem. Nawet jeśli z tej historii nic nie wyjdzie, Mira dostała informację, której od lat nie potrafił zdobyć żaden baltimorski reporter. Znała nazwiska dziewczynek, które zabiły niemowlę, gdy miały po jedenaście lat, nazwiska utrzymywane w ścisłej tajemnicy. Wypuszczenie Alice i Ronnie na wolność to był dopiero temat – historia o powrocie do tej samej okolicy, w której dopuściły się potwornego czynu. Dla dobra opowieści wołałaby, żeby były jakimiś pozbawionymi skruchy socjopatkami, które zabiły ponownie. Tak, to byłoby znacznie atrakcyjniejsze. Ale gdyby zaszła taka potrzeba, może też napisać artykuł o odkupieniu, chociaż osobiście uważała tego rodzaju opowieści za trochę nudne. Ponowne narodziny, bla, bla. W rzeczywistości kiedy ludzie spotykają się z mordercą, chcą poznać odpowiedź na pytanie: „jak to zrobiłeś?”. I nie chodziło o metodę, ale o to, jak doszło do złamania największego tabu.

Co się czuje, odbierając komuś życie? O to właśnie Mira zamierzała zapytać Alice i Ronnie. Ale jeśli zostaną aresztowane za zabicie Brittany Little, co – jak ostrzegła Cynthia – może się stać w każdej chwili, znajdą się poza jej zasięgiem. Najlepiej by było, gdyby śledztwo trochę się przeciągnęło. Wtedy Mira mogłaby podać informację, że dziewczyny przesłuchiowano i przy okazji przypomnieć ich

makabryczną przeszłość bez martwienia się o zarzut zniesławienia, związany z poruszaniem tej najświeższej sprawy. Wystarczyłoby też czasu, żeby przycichła sprawa zamordowania rodziny przez obłąkanego czternastolatka. Z taką zbrodnią nie mógł konkurować żaden dziennikarz.

Czy wystarczającej sensacji nie stanowił fakt, że dziewczyny wróciły do swojej okolicy, a mieszkańców nie zaalarmowano? Gdyby były dorosłymi skazanymi za molestowanie seksualne, podpadałyby pod prawo przeciwko pedofilom ustanowione w związku ze sprawą innej małej dziewczynki, która padła ofiarą zbrodni. Ale w momencie zabójstwa nie osiągnęły pełnoletności, teraz miały więc prawo chodzić po świecie anonimowo. Czy to w porządku? Mira przekonała samą siebie, że nie.

Zadzwoił telefon. Podniosła słuchawkę bez zastanowienia, zapominając, że siedzi w cudzym gabinecie. Nie dotarło do niej, że mógł dzwonić ktoś inny niż osoba, na której telefon czekała.

– Mówi detektyw Nancy Porter. Czy to pani wezwała mnie na pager i użyła numeru alarmowego?

Cynthia powiedziała Mirze, że dodanie numeru 911 do numeru telefonu pagera spowoduje, że policjantka odpowie natychmiast.

– Tak, to ja. Nazywam się Mira Jenkins, jestem z „Beacon-Light” i chciałabym porozmawiać z panią o zaginięciu Brittany Little.

– Nie udzielam komentarzy.

– Chwileczkę... – Mira z trudem panowała na piskliwą nutą w głosie. – Mam informacje o tej sprawie uzyskane z niezależnych źródeł. Zamierzam je opublikować bez względu na to, czy zechce pani współpracować ze mną, czy nie. Daję pani tylko okazję do skorygowania albo zaprzeczenia moim informacjom.

– Nie udzielam komentarzy. – Tym razem detektyw nie odpowiedziała od razu. I nie przerwała połączenia.

– Zamierzam napisać, że pani przesłuchiwała w tej sprawie Alice Manning i Ronnie Fuller. Czy będę się mylić?

– Nie... nie udzielam komentarzy.

– Jeśli pani nie powie, że się mylę, napiszę to. Wiem także, że zaginiona dziewczynka jest bardzo podobna do siostry Olivii Barnes. Widziałam zdjęcia, więc nie musi pani tego potwierdzać. Ale czy sądzi pani, że właśnie dlatego dziewczyny ją porwały? Chcą zemścić się na tej rodzinie? Dlaczego tak obsesyjnie chcą zaszkodzić Barnesom?

– Nie udzielam komentarzy.

– Czy sądzi pani, że sprawa ma podłoże rasowe? Z tego, co wiem, pierwsze morderstwo nastąpiło po rasistowskim wybryku jednej z dziewczynek.

– Nie może pani tego opublikować.

– Dlaczego?

- To może zaszkodzić naszemu śledztwu.
 - Ale czy podam jakieś nieprawdziwe informacje, jeśli to opublikuję?
 - Nie zamierzam odpowiadać na to pytanie.
 - Daję pani pięć sekund. Jeśli pani nic nie powie, uznam, że mam rację.
 - Ale...
 - A więc się mylę?
 - Nie udzielam komentarzy.
 - Jeśli się mylę, lepiej, żeby pani mi to powiedziała.
 - Proszę zadzwonić do naszego biura prasowego. Nie rozmawiamy bezpośrednio z dziennikarzami.
 - Nie zamierzam pani cytować. Po prostu napiszę „źródła z policji potwierdziły”.
 - Nie jestem pani źródłem i niczego nie potwierdziłam – głos Nancy brzmiał prawie histerycznie.
 - Na pewno? No cóż, ma pani mój numer, gdyby chciała pani oddzwonić. A ja porozmawiam z moimi redaktorami o tym, co opublikujemy jutro.
- Mira odłożyła słuchawkę i wydała z siebie cichy okrzyk triumfu, żałując, że nie ma obok żadnego kolegi, z którym mogłaby przybić piątkę. Potem wstała i wyszła z gabinetu szefa działu reklamy.
- Co ty tu robisz? – zapytał reporter do spraw kryminalnych.
 - Rozmawiałam z lekarzem, pytałam, dlaczego cały czas mam zimne ręce. Zrobi mi kilka badań.

– Cholera! – zaklęła Nancy, odkładając słuchawkę automatu w korytarzu obok Value City. – Niech to szlag trafi!

– Co się dzieje? – zapytał Infante, który właśnie wyszedł z łazienki. Trzymał pod pachą egzemplarz „Pennysavera”, co w innych okolicznościach Nancy uznałaby za zabawne.

– Jakaś dziennikarka goni za naszą sprawą.

– No jasne. Wszyscy za nią gonią.

– Ale ona wie. Wie o dziewczynkach, zna ich nazwiska i powiedziała mi, że ja to potwierdziłam, ponieważ nie zaprzeczyłam. Ale ja wcale nie potwierdziłam, prawda? Słyszałeś tę rozmowę? Czy ja coś powiedziałam?

– Przykro mi, Nancy, ale nic nie słyszałem. Byłem w kiblu.

– Cholera! – Więc znowu trafi do gazet, a inni policjanci pomyślą, że to z powodu jej dążenia do osiągnięcia rozgłosu, że wciąż rozpaczliwie pragnie przyciągać uwagę. Nikt nie uwierzy, że się zmieniła i teraz będzie musiała się z tym pogodzić. Już nie miała dokąd uciekać, już nie miała dokąd iść, chyba że za granicę stanu, do Pensylwanii.

– Może nie jest aż tak źle – powiedział Infante, co upewniło Nancy, że musi być naprawdę źle.

Oparła czoło o osłonę telefonu z imitacji drewna. Stali w obskurnym korytarzu na ostatnim piętrze Value City. Nancy przypomniała sobie, że przedtem była tu jakaś cukiernia, gdy zamiast Value City mieścił się tutaj Hutzler’s, największy sklep wielobranżowy w mieście. Przyszły tu z matką, żeby kupić Nancy sukienkę do pierwszej komunii. Potem matka zabrała ją do cukierni i pozwoliła wybrać tam, co chce. Nancy wybrała babeczkę truskawkową z różowym lukrem posypanym kawałkami owoców. Pewnie były z dżemu, jak uświadomiła sobie teraz. Ale w wieku jedenastu lat wierzyła, że są prawdziwe.

– Zróbmy, co mamy zrobić – oznajmiła. – Tym będę się martwiła później.

Obeszli sklep, przyglądając się ustawieniu kamer. Liczba się zgadzała: siedem kamer, a centrum handlowe przysłało siedem taśm. Nancy zatrzymała się na przeszklonym korytarzu z mniejszymi sklepami, przyjrzała się czemuś, a potem jeszcze raz na to popatrzyła.

– Co jest? – zapytał Infante, gdy kucnęła.

– Tutaj. – Wskazała trzy małe śrubki, ledwie widoczne na brudnej szarej wykładzinie. A jednak Nancy je dostrzegła. Wyglądały na zgubione albo rzucone tu bezmyślnie – dopóki wzrok nie powędrował około dwóch i pół metra w górę ściany, gdzie były trzy nie do końca jeszcze zaszpachlowane dziury.

Infante wspiął się na palce i nacisnął kciukiem białą smugę szpachli. Kiedy go odsunął, pozostała mała biała kropka.

– Cholerny Lenhardt – mruknął. – Czasem jest aż straszny.

– Tak – zgodziła się Nancy. – Tu chodzi właśnie o to, czego nie ma. Ale skąd on mógł wiedzieć, że zdjęto kamerę?

W korytarzu były drzwi wychodzące na odkryty parking i zamkniętą klatkę schodową prowadzącą do parkingu podziemnego. Nancy i Infante mierzyli korytarz kilka razy, a potem zaczęli sprawdzać schody. Nancy właśnie wchodziła na górę, kiedy dostrzegła jakiś błysk. Złoty kolczyk.

„Czy Britanny Little nie miała przekłutych uszu?” – pomyślała o zdjęciu, które widziała w domu Maveen. Była prawie pewna, że dziewczynka nosiła kolczyki.

– Może. Ale jak odróżnisz jej kolczyk od innego?

– Nie wiem. Może w uszach jest DNA. Może matka będzie potrafiła go rozpoznać.

Zamknęła kolczyk w plastikowej torebce, tak na wszelki wypadek.

– Chodźmy pogadać z szefem ochrony.

Od razu było widać, że facet jest emerytowanym gliniarzem. Pięćdziesiąt kilka lat, krótkie siwe włosy, rumiana twarz i co najmniej sto pięćdziesiąt kilogramów wagi. Bernard Carnahan.

– Zrozumcie mnie – tłumaczył. – To nie był mój pomysł. Kierownictwo centrum twierdziło, że tu chodzi o kwestię odpowiedzialności. Kamera źle działała, na taśmach nagrywało się wyłącznie śnieżenie. Można było nas za to zaskarżyć, ale nie można by nas zaskarżyć za brak kamery. Tak mi wyjaśniono. Daliśmy wam to, co mieliśmy, i nie daliśmy tego, czego nie mieliśmy. Zero szkody, zero kręcenia.

Nancy nagle uświadomiła sobie, że przecież potrafi unosić jedną brew, więc to zrobiła.

– Zero szkody? – prychnął Infante. – Gdybyśmy wiedzieli, że przy wyjściu zainstalowano niesprawną kamerę, spędzilibyśmy w tamtej części centrum więcej czasu. Właśnie znaleźliśmy kolczyk, który mógł należeć do dziewczynki, a jeśli tak, to potwierdza zeznanie jej matki, że Brittany tu była i ktoś ją porwał.

Carnahan wzruszył ramionami.

– I co, jak macie ten kolczyk, to już wszystko wiecie?

Detektywi milczeli.

– Słuchajcie, naprawdę mi przykro, ale muszę robić to, co każe mi szef. To nie wygląda na jakiś wielki przełom. Tak naprawdę niczego nie daje.

„Wszyscy kłamią” – przypomniała sobie Nancy. To podstawowa zasada, o której trzeba pamiętać. Suma kłamstw wypowiedzianych każdego dnia jest wręcz zawrotna. Kierownictwo centrum handlowego kłamało o kamerze, bo bało się procesu. Maveen kłamała, mówiąc, na jak długo spuściła córkę z oczu, bo nie chciała, aby pomyślano, że jest złą matką. Alice Manning też kłamała. Nancy nie wiedziała, na jaki temat ani z jakiego powodu, jednak bez wątplenia kłamała, i to

od samego początku. Ronnie Fuller... Ronnie Fuller. Co do niej już nie miała pewności.

– Masz ochotę na bajgla? – zapytała Kevina, gdy wyszli z gabinetu Carnahana.

– Jasne! – Od razu załapał, o co chodzi. – Mam ogromną ochotę na bajgla. Dużego, ciągnącego się i krągłego. I potrzebuję kogoś, kto mi go posmaruje serkiem kremowym.

Pierwszą rzeczą, której Ronnie Fuller nauczyła się w przedszkolu, był alfabet. Z innymi sprawami szło ciężiej – wydmuchiowaniem nosa, zawiązywaniem sznurówek, odpowiednim zachowywaniem się w grupie. Jednak abecadło zapamiętała i miała małą tablicę z magnetycznymi literami w różnych kolorach, odziedziczoną po braciach. Dobór kolorów oznaczał dla niej tajemnice, coś sugerujące istnienie jakiejś wewnętrznej zasady, której nie potrafiła odgadnąć. Litery od A do F były błękitne, od G do L – pomarańczowe, od M do R – czerwone, od S do W – trawiastozielone, a X, Y i Z – czarne.

Ronnie uznała, że litery to grupy przyjaciół. Gdyby w wieku sześciu знаła słowo „paczka”, mogłaby go użyć. Jasnoniebieskie miały w sobie fajność ludzi, co zawsze idą na przód, podczas gdy jaskrawe ze środka przyciągały uwagę. Martwiło ją, że inicjał jej imienia, R, jest na samym końcu czerwonej grupy. R musiało stać obok Q, a wszyscy wiedzieli, że Q jest dziwne, jakieś upośledzone, bo nie może znaleźć się w żadnym słowie bez towarzystwa U. Q znajdowało się między P a R, tak jakby R nie było wystarczająco dobre, żeby stać się przyjacielem P. Q przypominało grube dziewczynki, które stoją obok ładnej koleżanki i przeganiają wszystkich innych. Ale R nie mogło towarzyszyć S, T, U, V, W, bo te litery były zielone. To wszystko bardzo ją denerwowało.

Wspominała swoją starą tablicę z alfabetem, kiedy przebierała w białych literach, z których miała ułożyć na markizie ogłoszenie o specjalności sklepu w dniu jutrzejszym. W środy oferowali Pizza Bajgle – bez górnej połowy, a do tego napój i torebkę chipsów – za trzy dolary dziewięćdziesiąt dziewięć centów.

– Co wstawić jako polecane przez szefa? – zapytała Clarice.

– Indyka. Toniemy w indykach. Chyba pieprzeli się w zamówieniu.

Ronnie uśmiechnęła się lekko, rozbawiona obrazem, który stanął jej przed oczami. Zobaczyła siebie, Clarice i O’lenę płynące pieskiem przez stopy sprasowanego białego mięsa.

– Widziałam, że wrócili twoi przyjaciele.

– Aha. – Detektywi rozmawiali z Ronnie podczas jej przerwy na papierosa.

Zadali te same pytania i usłyszeli te same odpowiedzi.

– Dlaczego oni ciągle przychodzą?

– Nie wiem.

Clarice odczekała minutę, zanim odezwała się znowu.

– Masz chłopaka?

– Nie!

– Dlaczego odpowiedziałaś tak, jakbym zadała jakieś dziwne pytanie?

– Bo... bo skąd miałabym go wziąć? – W Shechter byli chłopcy, ale obowiązywały ścisłe zasady wzajemnych kontaktów, a Ronnie nigdy nie ważyła się ich łamać.

Clarice jej nie zrozumiała.

– Jesteś przecież niebrzydka – odparła Clarice. – Chuda, ale biali chłopcy lubią chude dziewczyny. – Pokręciła głową na myśl o dziwnych gustach białych mężczyzn.

– Pracuję tutaj, potem idę do domu. Nie spotkałam nikogo, od kiedy... no, od długiego czasu.

– A jak byłaś w szkole, miałaś chłopaka?

Ronnie wreszcie załapała. Clarice myśli, że wizyty detektywów mają związek z kimś, z kim ona się spotyka. Nawet nie przyszło jej do głowy, że Ronnie mogła zrobić coś na tyle złego, by wzbudzić zainteresowanie policji. Clarice sądziła, że ona jest dobra.

Detektywi ani razu nie wymienili zaginionej dziewczynki z imienia. Pytali Ronnie, co robiła, od kiedy widzieli się ostatnim razem.

– Spałam – odparła. – Potem poszłam do pracy. Potem wróciłam do domu. I znowu spałam.

Pytali, czy wolałaby porozmawiać z nimi w komendzie.

– Nie – odparła i czekała, aż stwierdzą, że i tak musi przyjść.

– Może jest coś, o czym wolałabyś porozmawiać na osobności?

– Co?

– Cokolwiek. – Detektyw, która trochę przypominała Alice, trzymała w dłoni jakąś plastikową torebkę.

– Nie ma nic, o czym mogłabym powiedzieć.

Poczuła ulgę, gdy wreszcie sobie poszli. Kiedy zobaczyła ich w drzwiach, sądziła, że przyszli pobrać jej krew, a nie potrafiła znieść nawet myśli o kłującej ją igle.

Przed laty zaproponowała Alice, żeby zostały siostrami krwi. Wtedy po raz pierwszy zabrała ją do domku w lesie. Alice była tak wystraszona, że podskakiwała przy najmniejszym szmerze. Kiedy już dotarli na miejsce, okazało się, że nie mają tam nic do roboty i wymieszanie krwi było po prostu sposobem na przedłużenie wyprawy, odsunięcie powrotu do domu w upale. Alice powiedziała, że jej krew jest za głęboko, żeby wypłynąć po ukłuciu igłą, że jest podatna na infekcję, a w dodatku mama zabroniła jej kłuć się w palce. Ronnie zrozumiała – Alice nie chciała zostać jej siostrą krwi. Zachowywała siebie dla innych dziewczynek z klasy, które nie mówią niestosownych rzeczy ani nie wdają się w bójki.

Jednak Alice w końcu polubiła ukryty domek, niemal na przekór sobie. Właśnie ona zaczęła proponować, żeby do niego chodziły. Nie tylko latem, ale także w niektóre weekendy. To ona chciała go naprawić, uczynić podobnym do prawdziwego domu, lecz był za daleko, żeby przynieść tam cokolwiek ciężkiego. W tamtą sobotnią noc Ronnie myślała, że może to właśnie Alice ją odnajdzie. Podświadomie oczekiwała, że Alice pójdzie jej szukać. Były ze sobą związane, niezależnie od tego, czy Alice się to podobało, czy nie.

Nie mogła tego dłużej odkładać. Musi porozmawiać z Alice. Musi stanąć z nią twarzą w twarz, przypomnieć sobie, jak się używa „dobrych” słów. Rozwiązanie konfliktu – tak to nazwał terapeuta z Shechter. „Zadawaj pytania. Miej cały czas otwarty umysł. Słuchaj innych. Skup się na znalezieniu czegoś wspólnego, obszaru porozumienia. Złość i niebezpieczeństwo idą ze sobą w parze”.

Najwyższy czas raz na zawsze zepchnąć tłuste Q z drogi i zająć należne sobie miejsce.

Mira siedziała w gabinecie Nozdrzodamusa i z całych sił powstrzymywała łzy. Czowała ucisk pod powiekami, u nasady nosa, nawet w klatce piersiowej, jednak nie zamierzała płakać. Udawała, że patrzy naczelnemu w oczy, ale tak naprawdę skupiała spojrzenie na zdjęciu jego żony, obróconym w stronę wnętrza pokoju. Kobieta wyglądała, o dziwo, normalnie, nawet była ładna. Może właśnie dlatego ustawił jej zdjęcie na widoku – żeby pracownicy wiedzieli, że zdołał poderwać kogoś normalnego.

– Nie rozumiem – zaczęła ostrożnie, upewniwszy się, że głos jej nie zdrzży.

– Podziwiam twoją inicjatywę – oznajmił Nozdrzodamus fałszywie miłym tonem, który miał pokazać, jaki to jest rozsądny i dobroduszny. Zawsze był rozsądny i dobroduszny, dopóki ktoś mu się nie sprzeciwił. – Ale nie sądzę, żebyś miała dobrą historię. Co z tymi dziewczynkami? Chociaż teraz to już są młode kobiety. Rozmawiałaś z nimi? Wiesz, jak to wygląda od ich strony?

– Dopiero trzy godziny temu zdobyłam ich nazwiska – powiedziała, odejmując sobie dwie godziny. Była piąta, a ją wezwano do śródmieścia, gdy wreszcie poinformowała szefa, czym się zajmuje. Pisała z zapalem, ufna, że samo ujawnienie faktu przesłuchiwania dziewczyn to niezły news. Musiała to opublikować, żeby tematu nie podebrała jej jakaś stacja telewizyjna.

Ale Nozdrzodamus się nie zgodził. Wezwał Mirę na rozmowę, a ona się bała, że chce jej zabrać temat. Za to, kim była i co kiedyś zrobiła. Oczywiście nikt nie powiedział tego głośno. Ani Nozdrzodamus, ani redaktor prowadzący Dominic DiNardo, za plecami nazwany Quasimodo, bo większość dnia spędzał zgarbiony nad komórką i śledził notowania giełdowe, przesuwające się na wyświetlaczu. Mira zastanowiła się, czy szefowie nadają jakieś przezwiska podwładnym. Pewnie nie. Oni znajdują pocieszenie w wygrywaniu wszystkich bitew.

– Moje źródło z policji potwierdzało, że dziewczyny są podejrzane –

powiedziała trzeci albo czwarty raz. – Nie pomylimy się, jeśli to podamy.

– Obawiam się, że policja chce nas wykorzystać – oznajmił Nozdrzodamus, odchylając głowę i eksponując ogromne dziurki nosa. I oczywiście wyprostował palec wskazujący. – Przewiduję, że to jakaś sztuczka. Próbują nam wcisnąć jakąś historyjkę, żeby zdobyć kilka informacji. Nie wchodzimy w to.

Mira była w kropce: nie mogła wyjawić, że policjantka cały czas odmawiała komentarza, więc rzekome potwierdzenie w gruncie rzeczy oznaczało brak zaprzeczenia.

– Jeśli to dobry temat – ośmieliła się zauważyć – dlaczego miałyby nas obchodzić, co jest celem policji?

Nozdrzodamus gwałtownie opuścił głowę i po raz pierwszy spojrzął Mirze prosto w oczy. Trwało to zaledwie chwilę, ale było to prawdziwe spojrzenie oko-w-oko, a nie oko-w-nozdrze.

– Nie będziemy publikować niczego, co byłoby wodą na młyn policji. Oni niech wykonują swoją robotę, a my swoją.

– Detektywi nie chcą, żebyśmy puszczaali ten materiał. Potwierdzili informację tylko dlatego, że mam ją z naprawdę solidnego źródła.

– Kolejne źródło z policji – mruknął z lekceważeniem Nozdrzodamus. – Oni pogrywają tobą jeden przeciwko drugiemu.

Mira zawahała się, a potem wypaliła:

– Nie. Moje źródło nie jest z policji. – Musiała się skupić, żeby nie powiedzieć jakiegoś zaimka mogącego być wskazówką. – To ktoś o nietypowej pozycji, kto wie wszystko o śledztwie, ale nie ma związków z policją. A nawet jeśli, to jest do niej nieco wrogo nastawiony.

– Jak to możliwe? – dopytywał się Quasimodo.

– Jeśli powiem więcej, skończy się na ujawnieniu tożsamości mojego źródła. A musiałam obiecać, że tego nie zrobię.

– Gdy obiecywałaś, że zachowasz tożsamość źródła w tajemnicy, chodziło o czytelników gazety, nie o jej redaktorów. – Nozdrzodamus pewnie sądził, że mówi głosem ciepłym i przekonującym, ale był to raczej głos surowego ojca, który próbuje przemówić do rozsądku niesfornemu dziecku. – Nam możesz powiedzieć.

– Nie. Moje źródło twardo obstawało, że nie wolno mi zdradzić nikomu jego tożsamości.

– Jeśli nie powiesz, kto jest twoim źródłem, nie będziemy mogli puścić twojego materiału. Potrzebujemy kogoś więcej niż jakiś detektyw z wydziału zabójstw, który mówi, że on nie zaprzecza, że policja uznaje te dwie dziewczyny za podejrzane.

– Ona.

– Źródło jest kobietą? – Nozdrzodamus się ożywił.

– Detektywem jest kobieta. Jeśli zaś chodzi o źródło, nie zamierzam nic

o nim mówić.

– Więc nie masz tego tematu. A ponieważ miałaś być reporterem do spraw lokalnych, nie mogę ci pozwolić pracować nad... zadaniem opartym na domysłach. Dlaczego nie przekażesz swojej drobnej wskazówki reporterowi do spraw kryminalnych?

Mira przygryzła wargę. Cynthia Barnes ostrzegła ją, że cena za ujawnienie jej tożsamości będzie straszna.

„Jeśli zdradzi pani komuś moje nazwisko, to przysięgnę, że pani wszystko wyssała z palca, że odmówiłam rozmowy z panią. Proszę nie zapisywać mojego nazwiska w notatniku ani nie używać tego małego magnetofonu. Jak pani myśli, kto by pani uwierzył? Nigdy nie rozmawiałam z żadnym dziennikarzem. Dlaczego miałabym rozmawiać akurat z panią?”

„Dlaczego zadzwoniła pani do newsroomu, skoro nie chce pani rozmawiać z prasą?” – spytała Mira.

„Dlaczego... Ale ja wcale nie dzwoniłam. Sama pani powiedziała, że zobaczyła mnie pod domem tej biednej kobiety. Że widziała pani, jak stamtąd odjeżdżam”.

„Ktoś dzwonił. Ktoś, czyj głos brzmiał tak jak pani”.

„To znaczy jak czarnej kobiety” – rzuciła Cynthia.

„Nie” – pomyślała Mira. „Nie jak czarnej kobiety, ale kobiety, która próbuje brzmieć jak czarna”. Dała sobie z tym spokój, zgodziła się na narzucone warunki. Jaki miała wybór? Była pewna, że Cynthia Barnes mogłaby ją zniszczyć. Powiedziałyby, że Mira wyssała wszystko z palca, i wszyscy by jej uwierzyli. Cynthia to pogrążona w żałobie matka, a ona – łatwowierna dziennikarka. I pozostanie nią na zawsze, jeśli nie wykombinuje, jak umieścić ten materiał w gazecie.

– Nie mogę wam ujawnić mojego źródła – powiedziała naczelnemu. – Przykro mi, ale musiałam obiecać, że nie ujawnię go nikomu, nawet moim szefom.

– To chociaż mnie – nalegał Nozdrzodamus. – Dominic wyjdzie.

Quasimodo wyglądał na zaskoczonego, ale wstał i wyszedł.

– Dobrze, Miro – rzekł Nozdrzodamus; prawidłowa wymowa jej imienia w wąskim otworze jego ust zawsze brzmiała nieco groźnie. – Teraz jesteśmy tylko ty i ja. Drzwi są zamknięte. Potrafię dochować tajemnicy, więc co ci szkodzi mi powiedzieć?

– Złożyłam obietnicę – odparła ponuro, dziwiąc się światu, w którym redaktor gazety mówi „tylko ty i ja”.

– Nie masz uprawnień do składania takich obietnic.

– To był jedyny sposób, żeby zdobyć ten materiał.

Nozdrzodamus gwałtownie uderzył palcami o oparcie fotela i spojrzał na nią.

– Cóż, więc nie będzie tego materiału, czyli twoja obietnica była na nic.

Jakieś pytanie, musiała zadać jakieś pytanie, pozwolić mu sobą pokierować, znaleźć rozwiązanie.

– Czy jest coś, co mogę zrobić w wolnej chwili, a co pana usatysfakcjonuje?

Odpowiedział bez namysłu. Ale Nozdrzodamus nigdy nie musiał się namyślać nad tym, co mówił, bo nigdy nie słuchał tego, co mówili inni.

– Złap te dziewczyny.

– Co?

– Zrób z nimi wywiad. Z obiema. Potem przyjdź do mnie i porozmawiamy.

Mira wyszła z gabinetu otumaniona strachem. Czowała się, jakby jakiś czarnoksiężnik kazał jej przynieść kij od miotły należący do złej czarownicy. Próbowwała się uspokoić powtarzaniem swojej mantry: „Porażka nie wchodzi w grę. Porażka nie wchodzi w grę”. Ale martwiła się, że jedyną rzeczą gorszą od porażki przy robieniu tego, czego od niej zażądano, było właśnie zrobienie tego.

Kiedy Infante i Nancy wrócili do komendy, na ich biurkach piętrzyły się tuziny kartonowych pudeł.

– Dane medyczne – wyjaśnił Lenhardt. – Dzięki uprzejmości wydziału do spraw nieletnich zaczęły napływać jakieś dwadzieścia minut po waszym wyjściu. Nic dziwnego. Skoro uznaliśmy, że możemy bez nich żyć, musiały nas znaleźć.

– Coś dużo tych danych – powiedział Kevin, podchodząc do jednego z pudeł i szturchając je palcem.

– Z tego, co wiem, to dokumentacja medyczna z ostatnich dwudziestu lat. Nie mam pojęcia, czy oni nie zrozumieli treści nakazu, czy też nie dbają o prywatność swoich podopiecznych. Gość, z którym rozmawiałem, powiedział, że po prostu chcieli pomóc.

– A czy to nie jest najstraszniejsza rzecz, jaką można usłyszeć? – zapytał Infante. – „Przysyłają nas władze i jesteście tu, aby ci pomóc”.

Nancy nie odzywała się, tylko stała wśród pudeł, ściskając torebkę z kolczykiem. Postarała się, żeby Ronnie Fuller zobaczyła tę torebkę w jej dłoni, zapytała ją nawet, czy wie, co to jest. „Kolczyk...” – odparła Ronnie. W jej głosie była dziwna niepewność, jakby rzadko potrafiła udzielić prawidłowej odpowiedzi.

– Chcesz, żebym się tym zajął? – spytał Infante.

– Tak – odparła. – Byłoby super.

– A to co? – zapytał Lenhardt, kiedy Kevin wyszedł.

– Kolczyk. Znaleźliśmy go na klatce schodowej. Okazało się, że przed jednym z wyjść z Value City zainstalowano niesprawną kamerę. Kierownictwo centrum kazało ją zdjąć i udawać, że w ogóle jej tam nie było, bo się bali, że matka Brittany mogłaby ich zaskarżyć.

– Niestety, jest duże prawdopodobieństwo, że w laboratorium nic z tego nie wyciągną.

– Wiem. Matka też może nie rozpoznać kolczyka. Ale musimy wszystko sprawdzić.

– Dobrze.

Lenhardt wrócił do swojego gabinetu. Nancy przez prawie minutę stała wśród pudeł, a potem ruszyła za nim. Wyglądał, jakby na nią czekał.

– Przyszło ci do głowy coś, co chciałabyś mi powiedzieć? – spytał.

– Jakaś dziennikarka... Nie wiem, skąd wzięła numer mojego pagera... Zadzwoiła i sporo wiedziała. Powtarzałam, że nie udzielam komentarzy, ale upierała się, że jeśli nic nie mówię, to znaczy, że potwierdzam. A gdybym coś powiedziała, to też bym potwierdziła.

– Co wiedziała ta kobieta?

– Że mamy oko na zabójczynię Olivii Barnes. Znała ich nazwiska

i powiedziała, że napisze, że z nimi rozmawialiśmy.

– W porządku, nic nie mogłaś na to poradzić.

– Ale jeśli ten materiał się ukaże, ludzie zaczną myśleć, że to ja byłem źródłem przecieku.

– I co?

– I nie będą chcieli ze mną pracować.

– Czy Infante sądzi, że rozmawiałaś z mediami?

– Nie, on wie, że nie rozmawiałam.

– Więc ja też to wiem. I postaram się, żeby porucznik i major dowiedzieli się, co się stało. Dlaczego więc się martwisz?

Nancy tylko pokręciła głową, obawiając się, że jeśli teraz spróbuje coś powiedzieć, zabrzmie to głupio. Zanim wstąpiła do akademii, wujowie nauczyli ją, że nie wolno płakać. „Masz być jak posąg, rozumiesz?” – powiedział Stan Kolchak. „Niczego nie czujesz, niczego nie słyszysz – mówił Milton Kolchak. – Teraz popatrz gdzieś niezbyt daleko przed siebie i udawaj, że jesteś z kamienia”.

Była posągiem. Nie rozpląkała się przed Lenhardtem, za to powiedziała:

– Nie był pan ze mną szczery, sierżancie.

Spojrzał na nią z urazą.

– O co ci chodzi?

– Gdy przesunął nas pan w kolejności, powiedział pan, że to dlatego, że Jeffries nie da sobie rady. Ale podjął pan decyzję już po telefonie Cynthii Barnes. Kazał mi pan pracować nad tą sprawą, bo pan wie.

– Co wiem, Nancy? Że to ty znalazłaś Olivię Barnes? Mnóstwo ludzi o tym wie.

– To prawda.

– Dlaczego z tego powodu miałbym przesunąć cię w kolejności? Jaki byłby w tym sens?

Nancy uświadomiła sobie, że Lenhardt nie zaprzecza. Chce, żeby wszystko dokładnie przemyślała i sama znalazła odpowiedź?

– Sprawdza mnie pan, sierżancie.

– Co?

– Żeby zobaczyć, czy... czy to, co o mnie mówią, to prawda.

– A co o tobie mówią, Nancy?

Była posągiem. Patrzyła niezbyt daleko przed siebie, unikając spoglądania mu w oczy.

– Nancy?

– Mówią, że lubię zwracać na siebie uwagę. Że cały czas muszę być gwiazdą. A kiedy jestem zwykłym gliną, takim jak wszyscy inni, to nie potrafię tego wytrzymać i robię wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę. Wszystko.

– Łącznie z narobieniem wielkiego smrodu, że jesteś gnębiona przez

przełożonego?

– Nie! – „Nie tym razem” – dodała w duchu. Wcześniej owszem, szukała rozgłosu, pragnęła go nawet bardziej niż jedzenia i wciąż nie miała go dość. Nie wiedziała dlaczego. Podejrzywała nawet, że jest z nią coś nie tak, że to takie samo uzależnienie jak wszystkie inne i że będzie potrzebować coraz więcej i więcej sławy. Dzień bez telefonu od reportera – każdy dzień bez rozgłosu – wydawał się szary i bezbarwny.

– Twierdzisz, że nie poszłaś z tym do gazet. Wierzę ci. A ty mi uwierz, że nie dlatego chciałem, żebyś się zajmowała tą sprawą. Nie mogę sobie pozwolić na luksus używania tego biura do ćwiczeń charakteru albo zgłębiania psychiki swoich detektywów.

Gdzieś poza gabinetem na ziemię spadło jakieś pudło. Usłyszeli, że Infante klnie na czym świat stoi.

– Czy Cynthia Barnes o mnie pytała? A może były inne powody, żebyś wzięła tę sprawę?

– Cynthia Barnes wspominała o tobie. Ale to był mój wybór. Chciałem, żebyś zajęła się tą sprawą wyłącznie z jednej przyczyny: bo jesteś dobra.

– Och.

– Całkiem dobra, ale mogłabyś być lepsza. Jesteś podatna na sugestie. Tak, potrafisz fenomenalnie dostrzegać różne drobiazgi: łuski naboju, kolczyki. Ale nie potrafisz aż tak dobrze przesłuchiwać. Zauważyłem to już z dziesięć lat temu. Muszę więc się postarać, abyś mogła okazać się dobra w innych rzeczach, rozumiesz?

– Dlaczego akurat ta sprawa?

– Odebrałem telefon. Jakaś dama powiedziała mi, że musimy się przyjrzeć dwóm dziewczynom, które zabiły jej dziecko. Nancy da sobie z tym radę, pomyślałem. Będzie mogła rozmawiać z dwiema osiemnastolatkami, bo się nie boi, że złapią ją za tyłek. A Jeffries to kupa gówna.

– Nie sprawdzał pan przypadkiem, czy zadzwonię do gazet i przypomnę, że to ja znalazłam dziecko Barnesów?

– Nie. Ale bądźmy szczerzy, Nancy. Chciałabyś, żeby ten cały rozgłos wrócił? Tęskniłaś za nim, gdy się skończył, prawda?

– Nie. Tak. Sama nie wiem. Bałam się, że... że osiągnęłam już wszystko w wieku dwudziestu dwóch lat. Nie byłam jeszcze wtedy dobrą policjantką, ale nagle ludzie zechcieli, żebyś nią była, jak jakieś cudowne dziecko. Im więcej uwagi na mnie zwracano, tym bardziej inni gliniarze mnie nienawidzili, a ja potrzebowałam jeszcze więcej rozgłosu, aby mi wynagrodził, że mnie nienawidzą. Błędne koło.

– Pamiętam cię z telewizji – powiedział Lenhardt. – Wyglądałaś, jakbyś miała dwanaście lat.

– „Bohaterowie naszych czasów”. Ale ja nie byłam bohaterem. Byłam niesubordynowanym kadetem. Nikt mnie nie lubił, nikt nie chciał ze mną pracować, a potem major Dolores Dorsey powiedziała: „Chodź do mnie do Northwest, zaopiekuję się tobą”.

– Znam Dolores od czasów, kiedy chodziła na piesze patrole. I zapewniam cię, że jedyną osobą, o jaką kiedykolwiek się troszczyła, była ona sama. A wiesz, co nią kierowało?

– Co?

– To co wszystkimi innymi.

– Pan taki nie jest, sierzancie.

– Może jestem, ale po prostu podszedłem do tego w odmienny sposób. Widzę potencjał w detektywach, którzy uczą się robić swoje. Inni chcą szybszych rezultatów. Kura znosząca złote jaja, prawda? Dolores ściągnęła cię na północ, żeby kąpać się w blasku twojej chwały. Jednak nie przysłała żadna chwała, bo byłeś po prostu głupim dzieciakiem, któremu udało się szczęśliwie na coś trafić. Więc cię zarznęła. I... co za niespodzianka... nie znalazła w środku żadnego jaja.

– Powiedziała, że nie miała wyboru. Że gdyby nie doniosła gdzie trzeba o tym, co się dzieje, to ja bym mogła w końcu podać sprawę do sądu. Tłumaczyła, że to musiało iść odpowiednimi kanałami.

– Wierzysz jej?

– Sama nie wiem. Czasami myślałam, że ona chciała mnie poniżyć, i nigdy nie wiedziałam dlaczego.

– Ona pewnie też nie. Ale to było cztery lata temu w innym wydziale. Wszyscy o tym zapomnieli. Poza tobą.

Nancy przypomniała się uwaga rzucona kiedyś przez Infante’a.

– Sierzancie, opowie mi pan o sprawie Epsteina?

– Nie.

– Nie? – Mogła się spodziewać „nie teraz” albo „kiedyś przy piwku”, ale nie przypuszczała, że Lenhardt zwyczajnie odmówi odpowiedzi na pytanie swojego detektywa.

– Nie. Wyrzuciłem to z głowy i nie chcę do tego wracać. O pewnych rzeczach lepiej zapomnieć.

Nancy wróciła do swojego biurka. Chciałaby, żeby to tak działało. Żeby dało się powiedzieć „otrząśnij się” i człowiek by się otrząsał. Powinna istnieć taka pigułka: zapomineks. Minęły cztery lata, a ona wciąż pamiętała każdy szczegół – odnalezienie graffiti, robotników, którzy przyszli usunąć drzwi, straszliwe poniżenie towarzyszące oglądaniu tych drzwi ładowanych na ciężarówkę, odsłoniętych i tak wiezionych przez całe miasto. „Dlaczego po prostu nie mogliśmy tego zamalować?” – zapytała wtedy swoją major. „Nie ma odpowiednich procedur – odparła Dorsey. – To nie jest zależne ode mnie”. „Zniosę to jakoś –

oznajmiła Nancy. – Pokażę tym gościom, że nie rusza mnie, jak robią takie głupoty”.

Drzwi od damskiej toalety wywieziono i przekazano wydziałowi wewnętrznemu, i wciąż miały na sobie napis „Potcipski”. Nancy nie wiedziała, czy powinna się czuć obrażona bardziej jako kobieta, czy jako Polka. Dziadek zabiłby człowieka, który zrobiłby coś podobnego z jego nazwiskiem. Jednak ona musiała z nim pracować, musiała przyjmować to z uśmiechem. A gdy historia dostała się do gazet w ugrzecznionej formie, wszyscy sądzili, że to Nancy rozmawiała z prasą i celowo naprowadziła reportera.

Bo tak było. Trudno się pozbyć starych nawyków. Przepelniona żalem o to, jak ją potraktowano, ukarana za bycie ofiarą, porozmawiała z komentatorem, którego poznała od dobrej strony w czasach, gdy zasłynęła odnalezieniem Olivii Barnes. Jednak cała historia wróciła jak bumerang. Nancy stała się radioaktywna. Kiedy wyszło na jaw, że zakapowała kolegę z pracy, musiała się przenieść do hrabstwa. Instynkt jej nie zawiódł. Powinna była jakoś to przeżyć, znieść.

Infante podniósł otwarte pudło i zaczął przeglądać akta.

– Holly bada kolczyk – powiedział. – Ale nie sądzi, żeby coś z niego wyciągnęła. „Gdyby to było kółko z nosa – stwierdziła – mogłabym na coś trafić”. A na kolczyku z języka mogłoby być trochę śliny. Przynajmniej ona tak mówi.

– Za dużo informacji.

– Owszem – zgodził się Infante.

– To coś zupełnie jak sytuacja, w której teraz jesteśmy.

– No, ale coś mają, my coś mamy, więc co jest, kurwa? Holly może coś wyciągnąć z tego kolczyka. A ja nie mogę teraz zwyczajnie zająć się jedną rzeczą i potem iść do domu. Praca przy sprawie, kiedy nie ma trupa, jest najgorsza.

– Tak. – Usiadła przy swoim biurku, nachyliła się nad pudłem z aktami i zaczęła je wertować. Już po chwili skupiła się na pracy, a przeszłość pozostawiła daleko za sobą.

Alice była małą dziewczynką, kiedy Helen Manning w ciągu kilku minut podjęła decyzję o kupnie domu przy Nottingham Road. „Jeśli decyzja jest natychmiastowa, to znaczy, że nie jest zła” – zwykła mawiać i nikt nie słyszał, żeby narzekała po kupieniu tego domu w rustykalnym stylu, wciśniętego w wielkie morze ceglanych szeregowców i odrapanych bloków. Porównywała go z domami z malowideł ściennych we wschodnim Baltimore, zwykle przedstawianymi ze stawami, po których pływały łabędzie. Później ludzie zaczęli dostrzegać uderzające podobieństwo do krajobrazów na dziwnie popularnych obrazkach faceta, który twierdził, że jest malarzem światła. Z tego porównania Helen była znacznie zadowolona.

Dla Ronnie Fuller, która nigdy nie widziała malowidła ściennego i siedziała jeszcze w poprawczaku, kiedy „malarz światła” otworzył swój interes i zaczął sprzedaż katalogową, dom Manningów wyglądał jak z bajki. Był w jej oczach tak piękny i kuszący, że nie zdziwiłaby się, gdyby po ugryzieniu gontu okazało się, że jest z piernika. Nie dostrzegała różnych oznak zaniedbania i zniszczenia, zdradzających, że brak kogoś, kto zajmowałby się domem przez cały czas. Widziała wyłącznie rzeczy, które według Helen miały uczynić jej miejsce na ziemi wyjątkowym – pooblupywane szarozielone posągi stojące wśród dzikich róż, płotek aż uginający się pod pnączami, różowe okiennice we framugach pomalowanych na szalwiową zieleń. „Nie ma to jak w domu” – to zdanie miało dla Ronnie sens tylko wtedy, gdy patrzyła na dom Helen Manning.

Tego wieczoru drzwi frontowe były otwarte, zamknięto jedynie te drugie, szklane. Ronnie stanęła na malutkim ganku, wsłuchując się w wirowanie skrzydeł wentylatorów gdzieś w środku.

Jak zwykle grała muzyka. Wymyślna muzyka, jaką Helen wybierała na wczesne wieczory. Dopiero po północy pozwalała sobie na puszczenie nagrań z czasów młodości, ścisząc dźwięk ze względu na sąsiadów. To nie były płyty CD, ale prawdziwe kasety, odtwarzane w starym stereo.

– Jeśli dbasz o swoje rzeczy, to się nie niszczą – tłumaczyła Helen Ronnie, która niedbale traktowała wszystko, co do niej należało. Wcale tego nie chciała, po prostu taka już była.

Helen dbała o wszystkie swoje starocie. Dom przy Nottingham był pełen jej starych książek, ubrań, a nawet zabawek – malutkich pluszaków z Niemiec, o których mówiła, że dziś takich nie kupi się nawet za sto dolarów. Przechowywała też stare gry planszowe, czerwony piętrowy autobus z Anglii, meksykańskie figurki cyrkowców z *papier mâché*, metalowe wiatraczki i pierwsze modele lalki Barbie.

Najfajniejsze były domki Miejskiej Myszki i Wiejskiej Myszki, które czasem pozwalała Ronnie ściągać z najwyższej półki w salonie i rozkładać na dywanie.

– Który bardziej ci się podoba? – pytała, a Ronnie wiedziała, że to sprawdzian.

Większość dziewczynek wybrałaby dom Miejskiej Myszki z łóżkiem z czerwonym aksamitnym baldachimem, srebrnymi lustrami i obiciami z czerwonej satyny. Alice uwielbiała Miejską Myszkę. Ronnie wskazała więc Wiejską Myszkę, która nosiła fartuszek w kratkę i trzymała miotłę.

– To także moja ulubiona – stwierdziła Helen.

Gdy tego wieczoru podeszła do drzwi, wydała się Ronnie taka sama jak przed siedmioma laty – ale panował półmrok, wewnątrz i na zewnątrz. Miała na sobie jaskrawopomarańczowe rybaczki, czarne baletki i męską hawajską koszulę pasującą do spodni. Wyglądała pięknie.

– Stylowe – stwierdziła Ronnie. Nie to chciała powiedzieć, kiedy pierwszy raz się z nią zobaczy, ale Helen się uśmiechnęła.

– Cześć, Ronnie... – Lekko pociągała nosem, jakby miała alergię.

– Cześć, He... Helen. – Matka Alice zawsze była Helen, nigdy panią Manning, jednak Ronnie od dawna nie wypowiedziała tego imienia. Nikomu nie mówiła o Helen, nawet doktorowi. Helen powiedziała, że to wyłącznie ich sekret, a Ronnie nikomu go nie zdradziła.

– Wyrosłaś na ładną dziewczynę. Zawsze wiedziałam, że tak będzie.

– Nie jestem ładna – odparła odruchowo.

– Powinnaś wyskubać sobie brwi pośrodku i zaczesywać włosy do tyłu. Ale i tak jesteś niezłą laską. Ciesz się swoim ciałem, bo nie będzie takie wiecznie, chociaż wiem, że trudno to sobie wyobrazić. Metabolizm zawsze w końcu daje o sobie znać. Mnie się to przytrafiło zaraz po trzydziestce.

– Och... – Ronnie czuła się rozczarowana. Spodziewała się innej reakcji Helen. Uścisku? Przepraszania? Czegokolwiek oczekiwała, nie myślała o rozmowie przez szklane drzwi, w dodatku o brwiach, włosach i metabolizmie. – Szukam Alice.

– Nie sądzę, żeby Alice chciała się z tobą zobaczyć.

„Ona nie może doczekać się, aż mnie zobaczy” – ta myśl, choć niewypowiedziana, przewierciła Ronnie głowę tak mocno jak trele piosenkarza dobiegające z wnętrza domu.

– Czy Alice jest w domu? He... Helen?

– Nie. I nie wiem, gdzie jest. Nie wiem, dokąd poszła ani co robi.

– Czy ma pracę?

– Mówi, że nie może znaleźć. Ale ty znalazłaś, więc myślę, że kłamie.

Czy Helen chciała ją obrazić? „Jeśli głupia Ronnie mogła znaleźć pracę, to każdy może” – pomyślała dziewczyna. Ale Helen nigdy rozmyślnie jej nie obrażała, a jedynie czasem i przez przypadek. Pewnie chodziło jej o to, że Ronnie dobrze sobie radzi, więc Alice też by potrafiła.

– Co ona robi, skoro nie pracuje?

– Mówi, że spaceruje. Żeby się odchudzić. Chociaż... tak między nami... jest grubsza niż wcześniej. Obawiam się, że nie wyświadczyłam jej przysługi, nie zastanawiając się nad tym, jakie geny ma jej ojciec. Tak między nami.

Między nami. Magiczne słowa.

„Ronnie, tak między nami, myślę, że jesteś obdarzona wyobraźnią. Ronnie, tak między nami, uważam, że masz artystyczny temperament. A tak między nami, Ronnie, czasem się zastanawiam, czy jakaś zła wróżka nie zamieniła ciebie i Alice zaraz po urodzeniu. Słyszałaś o takich zamianach? Bo ty jesteś bardziej do mnie podobna niż ona. Alice to dobra, miła dziewczynka, ale ty, Ronnie, jesteś wystrzałowa. Nie boisz się niczego, prawda? Właściwie to jesteśmy jak dwie krople wody”.

Ale te słowa najwyraźniej dla Helen nic nie znaczyły.

– Czy Alice niedługo wróci do domu? Już prawie noc.

– Nie wiem, Ronnie. Ale myślę, że nie powinnaś się tu kręcić.

– Czy... – głos jej się załamał.

– Och nie, dziecinko, cieszę się, że cię widzę. Naprawdę. Ale za godzinę przyjdzie tu reporterka. Chce napisać artykuł o tobie i Alice. Alice ma prawniczkę, tym razem bystrą. Ta głupia też jest, ale teraz pracuje z tą bystrą. Razem zajmą się moją dzieciną. Obiecały mi, że tak nastraszą tę reporterkę, że nawet nie pomyśli o umieszczeniu nazwiska Alice w gazecie. Masz prawnika?

– Ja nic nie zrobiłam – odparła Ronnie, a przypomniawszy sobie, o czym wie Helen, dodała: – Nie tym razem.

– Wiesz, można zrobić różne rzeczy. Czasem niewinni bardziej potrzebują prawnika niż winni. Ta reporterka ciągle mówi, że napisze ten artykuł, nawet jeśli nikt z nią nie porozmawia. Może blefuje. Nie wiem. Wszystko, co wiem, to, że z nią nie rozmawiałam i nie zamierzam, a tobie radzę to samo.

– Dokąd poszła Alice? Gdzie spaceruje? He... Helen?

– Nie wiem, naprawdę nie wiem. – To powtórzenie było odsłonięciem kłamstwa.

– Proszę, Helen. Proszę... – Po raz pierwszy udało jej się wymówić imię bez zająknięcia.

Helen Manning przysunęła się do drzwi. Gdyby Ronnie wysunęła głowę do przodu, dotknęłyby się czołami.

– Ona mi nigdy nie mówi, ale widziałam ją kiedyś, jak wracała ze sklepu spożywczego. Chodzi w stronę basenu. Spaceruje dookoła pływalni i patrzy na ludzi. Smutne, prawda?

Ronnie odwróciła się, żeby odejść, ale przypomniała sobie, o co chciała zapytać Helen od chwili powrotu do domu.

– Helen... pamiętasz kapryfolium?

– Chodzi ci o...?

– To, jak chciałam zrobić z kapryfolium napój i go sprzedawać.

Na twarzy Helen pojawiła się dziwna czułość.

– Tak, Ronnie. Oczywiście, że pamiętam. Próbowалаś wycisnąć sok z płatków do dzbanka wody z cukrem.

– Było ohydne. I oberwałaś moje pnącza do czysta. Ale nie byłaś na mnie zła. W ogóle się nie wkurzałaś.

– To był dobry pomysł – odparła Helen. – Powinni robić napój z kapryfolium. Zawsze miałaś dobre pomysły, Ronnie.

– Naprawdę?

– Naprawdę dziecinko. Bez dwóch zdań.

Było już po ósmej, ale Infante i Nancy wciąż przeglądali akta. Czekali na chwilę, gdy apatia zmieni się w wyczerpanie i będą mogli iść do domu bez poczucia winy. Nancy prawie zapomniała, czego szukają, i w pewnym momencie zorientowała się, że czyta o kłopotach ze zdrowiem jakiegoś Martina czy Moore'a (ataki astmy, ospa wietrzna), tak jakby czytała jakąś powieść. Wróciła do przeglądania akt, szukając śladów Alice Manning.

– Stawiam pięć do jednego, że danych Alice Manning w ogóle tu nie ma. Ale podoba mi się ta wyprawa do naszego systemu domów poprawczych. W ciągu ostatnich dwudziestu lat zamknięto sporo dzieciaków. Założę się, że z niektórymi z nich mieliśmy do czynienia.

– Charles Maddox brzmi znajomo.

– Wszystkie nazwiska brzmią znajomo. Właśnie o tym mówię. O, tu jest Metheny!

– Ten psychol był w poprawczaku?

– Nie, to nie ten sam. Ale to byłoby interesujące.

– Seryjni mordercy zwykle zaczynają od znęcania się nad zwierzętami. Albo od podpaleń.

– Kurczę, Infante, te dwa tygodnie w Quantico naprawdę się przydały. Tyle samo można się dowiedzieć z programów kryminalnych w telewizji.

– Spadaj.

– Jak chcesz. Oho, chyba jestem ci winna pięć dolców. Właśnie znalazłam Manning. – Otworzyła teczkę, sprawdziła imię i datę urodzenia. Tak, to była ta dziewczyna. – Trujący bluszcz. Infekcja dróg moczowych, grzybiczna. Grzybiczna...

– Ja tutaj jem – Infante wskazał torebkę z chipsami i napój gazowany – swoją dzisiejszą kolację.

Nancy roześmiała się i wróciła do lektury.

– Rety, kazali tej biednej dziewczynie do końca życia zażywać monistat. Naprawdę była podatna na grzybicę... O cholera!

- Co?
- O kurwa!
- Co?!
- Alice Manning urodziła dziecko. Trzy lata temu.
- Jak można urodzić dziecko w poprawczaku?
- Jak można zajść w ciążę w poprawczaku?

Lenhardt musiał podsłuchiwać zza uchylonych drzwi, bo zmaterializował się przy biurku Nancy i sięgnął po teczkę. Wyglądał, jakby chciał pochłonąć całą jej zawartość jednym szybkim spojrzeniem.

– Nawet w poprawczaku to się dzieje tak samo jak gdziekolwiek indziej. Jajeczko spotyka się z plemnikiem. A myślicie, że dlaczego zamknęli Middlebrook i robią tam remont? To zasrana dziura.

– Tak, ale...

– Jak jest ochota, to sposób się znajdzie. Darwin, dobór naturalny, całe to gówno. – Dalej czytał akta. – Wygląda na to, że udało jej się ukrywać ciążę aż do szóstego miesiąca. Myśleli, że jest grubą dziewczyną podatną na infekcje grzybiczne. Nigdy nie powiedziała, kto jest ojcem. Mamy tu puste miejsce. Niezła ciekawostka, ale czy ma coś wspólnego z naszą sprawą?

– Trzy lata temu Alice urodziła dziecko – odparła Nancy. Czy nie tak mówią akta? To dziecko, gdziekolwiek jest, powinno teraz mieć około trzech lat.

– I? – spytał Lenhardt, ale w jego głosie nie było wyzwania czy zwątpienia. Po prostu chciał się dowiedzieć, dokąd biegną myśli Nancy.

– Tyle samo ma zaginiona dziewczynka.

„Kogo ci przypomina?” – zapytała Ronnie Fuller, podsuwając jej zdjęcie Brittany Little. „Alice – odpowiedziała Ronnie. – Przypomina Alice”. Zmieniła zdanie, gdy Nancy wyraziła wątpliwość, lecz pierwsze słowa były szczerze, odruchowe. Nie chodziło o Alice, którą знаła Nancy, lecz o małą dziewczynkę. Ronnie znała inną Alice.

– Wiemy z testów DNA – powiedział Lenhardt – że zaginiona dziewczynka jest biologiczną córką Maveen Little.

– My to wiemy – przyznała Nancy – jednak Alice nie. Wie tylko, że miała dziecko, a teraz nie ma. Może dziecko oddano do adopcji, może umarło, może wychowują je dziadkowie? Ale w domu Manningów nie ma żadnego małego dziecka.

– Dlaczego porwała Brittany Little?

– Dziewczynka, która nie potrafi znaleźć swojej lalki, może ukraść inną. Alice nigdy nie zaprzeczyła, że porwała Olivię Barnes.

Helen Manning siedziała w ciemnym salonie. Pomyślała, że dobrze byłoby mieć pod ręką trochę trawki, ale nie miała pewności, czyby zapaliła. Teraz Alice wiedziałyby, co to jest. Może zawsze wiedziała. Helen kiedyś uważała swoją córkę

za uległą i posłuszną. Ale już dawno zmieniła zdanie, siedem lat temu.

Teraz wiedziała, że Alice jest zamieszana w to, co się dzieje. „Oszukasz mnie raz, wstydz się, oszukasz mnie dwa razy...” Na tym polegała podstawowa różnica między dzisiaj a kiedyś. Siedem lat temu Helen beztrudno szła przez życie, obojętna na tragedię, która rozgrywała się kilka przecznic dalej; pozwalała sobie na racjonalizacje, które czyniły takie wieści możliwymi do zniesienia. Zaginione dziecko było przecież niemowlakiem, nie chodziło jeszcze do szkoły. Pozostawiono je bez opieki. Pewnie zostało porwane przez opiekunkę albo kogoś, kto miał jakąś urazę do tamtej rodziny. Istniała nawet teoria – stworzona z niczego – że dziecko porwano, aby zemścić się na sędzi. Nawet wtedy Helen rozumiała, że ludzie muszą opowiadać tego rodzaju historie, by jakoś radzić sobie z życiem.

Myślała, że opanowała sztukę polegającą na mówieniu Alice tego, co córka powinna wiedzieć, przy jednoczesnym pozostawianiu uczciwą względem siebie samej. Nigdy nie zapomniała, że ojciec Alice wcale nie zginął w wypadku samochodowym, podczas gdy dziewczynka przyjęła tę informację prawie jak dogmat. Kochana Alice nie dopytywała się, nie zmuszała matki do piętrzenia kolejnych kłamstw na tym jednym. Zadowalała się historyjkami o randkach i oświadczeniach, których nigdy nie było.

Potem pojawiły się kłamstwa opowiedane rodzicom po aresztowaniu Alice. Czy Alice naprawdę była zamieszana w tę straszną zbrodnię? „Tak, ale tylko dlatego, że jest słaba i podatna na wpływy”. Czy zdawała sobie sprawę, co robi? „Nie całkiem”. Dlaczego nie powstrzymała tej drugiej dziewczynki? „Mówi, że jej tam nie było”.

Helen dokładnie pamiętała noc, kiedy umarła Olivia Barnes, chociaż nie wiedziała, że właśnie wtedy skończyło to biedne dziecko. Przy kolacji Alice była wyjątkowo miła, śmiała się ze wszystkiego, co opowiadała matka, chwaliła jej strój, pytała nawet o jej obrazy, czego nie robiła nigdy wcześniej. Obejrzała biżuterię i kosmetyki Helen i zapytała, czy może poudawać, że się stroi. Potem niemal przeproszającym tonem poprosiła matkę, żeby jej poczytała.

– Takiej dużej dziewczynce?

– Umiem sama czytać – odparła Alice – ale ty robisz to znacznie lepiej, z takim uczuciem.

Położyły się na łóżku i Helen czytała fragmenty z *Poszukiwania radości* i *Glindy z Oz*, jej ulubionej książki o Krainie Oz. Czytały też książeczki dla dzieci, jak *Kuchnia nocą*, którą Helen zawsze wołała od *Tam, gdzie czają się dzikie rzeczy*. Alice była na tyle rozsądna, aby nie śmiać się z nagiego chłopca spadającego z nieba, chociaż położyła palec – tylko raz – na jego widocznych na obrazku genitaliach.

– Która godzina? – ciągle pytała matkę. Była ósma, potem za piętnaście dziewiąta, dwadzieścia po dziewiątej, piętnaście po dziesiątej. – Która godzina?

– Godzina, kiedy już trzeba iść spać – oznajmiła Helen, gdy wybiła jedenasta. Położyła Alice do łóżka i zeszła na dół, czując się zadowolona z życia i z siebie samej. Dobrze sobie radziła w roli samotnej matki. Alice jest kochanym dzieckiem, mimo że tak bardzo pragnie aprobaty innych. Wyrośnie z tego. Już ona o to zadba.

Po północy Helen usłyszała dziwne pociąganie nosem dobiegające z podwórza i znalazła Ronnie skuloną pod pnączami kapryfolium. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, dlaczego Alice tak chciała czytać i dlaczego ciągle pytała o godzinę. W ten sposób tworzyła sobie alibi. Chciała, żeby matka powiedziała policji, gdzie była i co robiła w ciągu każdej minuty aż do północy.

Zdawała sobie sprawę, że będzie potrzebować alibi, bo wiedziała, że Ronnie zabije Olivie Barnes właśnie tego wieczoru, o tej konkretnej porze. Sama ją namówiła i z tego właśnie Ronnie zwierzyła się Helen pod kapryfolium siedem lat temu. A Helen nie przestała w to wierzyć nawet przez chwilę.

Alice zacisnęła palce na drucianej siatce ogrodzenia i przyłgnęła do niego twarzą tak, że czuła na policzku dotyk metalu. Stąd, gdzie stała, widziała niewiele. Na północnym skraju terenów pływalni mieściły się boisko do koszykówki i stare boisko do shuffleboarda, ale po zachodzie słońca nikogo tu nie było. Sam basen znajdował się w nieco większej odległości, a pomieszczenia klubowe jeszcze dalej. Kiedy niczego się nie widzi, nie ryzykuje się też, że samemu zostanie się zobaczonym. Właśnie dlatego przystawała w tym miejscu podczas większości swoich nocnych wizyt.

Niewiele stamtąd widziała, za to mnóstwo słyszała, zwłaszcza w takie wieczory jak ten, gdy nastolatki przychodzące na basen miały zabawę taneczną. Woda i beton sprawiały, że do Alice docierały dziwnie czyste dźwięki, urywki rozmów i muzyki, dudniące basy z piosenek. „Mówiłam ci, przestań”. „Diane myśli, że ma powodzenie, a wcale nie ma”. „Żeby znaleźć takie w sam raz, musimy pojechać do Columbii”. Paplanina była żeńska, a okrzyki i śmiech – męskie.

– To kłuje! – Dziewczęcy sprzeciw stanowił tylko udawaną skargę, zachęcał do flirtu i wyrażał zadowolenie. Jednak przypomniał Alice, że powinna jeszcze raz sprawdzić krzaki rosnące wokół jej kostek. Nie dostrzegła żadnych potrójnych liści ani czerwonej barwy. Nie musi więc się bać.

Alice była naprawdę zaskoczona, kiedy zauważyła, że basen mieści się tak blisko szlaku jej wieczornych spacerów przez Ten Hills. Kiedyś wydawało jej się, że to daleko, a teraz okazało się, że zaraz obok, za wąskim pasem zarośli i cherlawych drzewek. Przyciągały ją tutaj dźwięki. Nauczyła się przechodzić przez cudze podwórka i podjazdy, aby dotrzeć do ziemi niczyjej otaczającej budynki pływalni. Na początku kosztowało ją to sporo nerwów, jednak nauczyła się zmieniać szlak każdej nocy. Miała też przygotowane kłamstwo, na wypadek gdyby ktoś ją przyłapał. Szuka psa albo kota – nic więcej. Bo gdyby powiedziała, że szuka braciszka albo siostrzyczki, ludzie mogliby się zainteresować całą sprawą. Jej zmyślony kot był czarny, z białą plamką na piersi i nosił niebieską obróżkę z okrągłą srebrzystą plaketką z imieniem Stella. Zmyślony pies był owczarkiem collie wabiącym się Max.

Ale na razie nikt jej o nic nie zapytał. Czasem tylko przyciągała zdumione spojrzenie jakiegoś właściciela domu, który podlewał trawnik albo wyszedł sobie na dymka. Alice, taka pospolita i gruba – była jak niewidzialna. Kiedyś sprawiało jej to przykrość, nawet gdy w końcu znalazła kogoś, kto podziwiał jej oczy i kochał jej ciało. Ale ta niewidzialność przydawała się, gdy ruszała na swoje wyprawy.

Usłyszała jakiś szelest dobiegający z porośniętej drzewami ziemi niczyjej. Odwróciła się, gotowa opowiedzieć swoją bajeczkę. Owczarek collie wabi się Max, kotka wabi się Stella. Kotka ma niebieską obróżkę. Nazywaliśmy ją Stella, bo

mama zawsze chciała mieć kota o imieniu Stella, żeby mogła wieczorem wychodzić na podwórko i wołać: „Stella!”. Helen naprawdę kiedyś powiedziała, że gdyby miała kota, nazwałaby go Stella. Jednak Alice miała alergię na koty.

Osoba, która do niej szła, była chuda i niezbyt wysoka. Alice nie musiała widzieć twarzy, aby domyślić się, że to Ronnie Fuller. Przed Ronnie nie musiała się tłumaczyć, co robi. Nie będzie na nią tracić dobrego kłamstwa.

– Co tu robisz? – zapytała cicho, ale stanowczo. Takim głosem mówiła kiedyś Ronnie, aby blefować i zastraszać, gdy jeszcze były dziećmi i Alice trochę się jej bała. Teraz w ogóle nie bała się Ronnie, za to czuła wściekłość.

– Szukałam ciebie.

– Nie wolno nam ze sobą rozmawiać.

– To nie jest żaden zakaz ani... – szukała odpowiedniego słowa – warunek czy coś w tym rodzaju. To po prostu taka rada.

– Dobra rada. Gdybym nie miała z tobą nic wspólnego, nie wpadłabym w tarapaty.

– Ja... nic... nie zrobiłam...

Coś w głosie Ronnie sugerowało, że wie, że Alice zrobiła.

– Naprawdę? Policja myśli inaczej. Zadali mi mnóstwo pytań o ciebie i zaginioną dziewczynkę.

– Ja nic nie zrobiłam – powtórzyła już pewniejszym głosem Ronnie.

– To się stało niedaleko miejsca, gdzie pracujesz.

– To się stało niedaleko miejsca, gdzie pracuje z tysiąc ludzi.

Teren pływalni był nocą oświetlony, ale tu, na jego skraju, nie paliły się żadne lampy, więc Alice nie widziała wyrazu twarzy Ronnie. Dawna Ronnie, napotkawszy opór, pewnie uderzyłaby ją albo uszczypnęła. Teraz zbiła Alice z tropu, przyjmując te same zasady co ona. Bo Alice przygotowała się do walki z dawną Ronnie za pomocą słów, zamierzała ciskać nimi tak długo, aż Ronnie straci pewność siebie. Jednak Ronnie całkiem dobrze radziła sobie ze słowami.

– W Westview pracuje tylko jedna osoba taka jak ty.

– O co ci chodzi?

– Porywaczka dzieci. Dzieciobójczynie.

– Wiesz, że ja nigdy nie chciałam... – głos Ronnie zadrżał.

– Ale to zrobiłaś. Przyciskałaś jej poduszkę do twarzy, dopóki nie przestała oddychać. Dlatego to ty jesteś dzieciobójczynią, nie ja. Mnie tam nie było. Pamiętasz? Mnie tam nawet nie było.

– To był twój pomysł. – Jednak zaczynała się wahać, zdradzała swoją niepewność. – Kazałaś mi to zrobić.

– A gdybym kazała ci skoczyć z ostatniego piętra, to byś skoczyła? Gdybym kazała ci bawić się zapalkami, tobyś się bawiła? Gdybym kazała ci...

– Zamknij się!

Głos Ronnie był tak przenikliwy, że musiał dotrzeć do basenu. Przez chwilę obie wstrzymywały oddech, czekając, co się stanie. Ale nie usłyszały odgłosu zbliżających się kroków, a wokół basenu na nowo podniósł się zgiełk.

– Nie chcę, żebyś mówiła o tym, co wydarzyło się w przeszłości – Ronnie przeciągała słowa, jakby ją bolały. – To już minęło i nie możemy tego zmienić. Ale jeśli chodzi o to, co się dzieje teraz, jeśli to zrobiłaś, musisz im powiedzieć. Musisz ich zaprowadzić do tej dziewczynki, żeby jej matka wiedziała, gdzie ona jest. Nie możesz zrzucić na mnie winy.

– Dlaczego?

– Bo ja nie miałam z tym nic wspólnego.

– Ostatnim razem ja nie miałam nic wspólnego, a obwiniono mnie – mówiła Alice beznamiętnym, upartym tonem, jakiego używała zmuszona do udzielania odpowiedzi, których nie chciała udzielić. „Alice, musisz nam opowiedzieć, co się stało”. Dlaczego? „Żebyśmy mogli podjąć odpowiednie kroki i ukarać tego mężczyznę, który to zrobił”. Ale ja chciałam, żeby to zrobił. Kocham go i nie chcę, żebyście go karali. „Nie możesz go kochać”. Dlaczego? „Bo on cię nie kocha”. Ale on mnie kocha, mówił mi. „Alice, musimy wiedzieć, co się stało”. Dlaczego?

– To był twój pomysł – powiedziała Ronnie.

– Udowodnij to.

– Powiedziałaś mi, co robić i jak to zrobić. I że to trzeba zrobić.

Alice wzruszyła ramionami, wzrok miała skupiony na basenie.

– Słuchaj, nie obchodzi mnie to, co było kiedyś – w głosie Ronnie było słycać coraz większą rozpacz. – Obchodzi mnie to, co jest teraz. Jeśli nie powiesz prawdy, policja będzie mnie nachodzić i stracę pracę. Albo napiszą o nas w gazecie...

– Naprawdę? – Alice wiedziała, że w końcu trafi do gazet i telewizji, ale nie spodziewała się, że tak prędko.

– Naprawdę. Helen mi powiedziała...

– Dlaczego rozmawiałaś z moją mamą?

– Bo cię szukałam. A Helen powiedziała...

Nie cierpiała słyszeć imienia matki w ustach Ronnie. Miała ochotę wyszarpnąć je od niej, krzyknąć: „Dawaj fant!”, tak jak krzyczą silniejsze dzieci, kiedy zabierają słabszym słodycze albo zabawki.

– Nie powinnaś jej tak nazywać. Nawet teraz. Ona jest moją matką. Jest dorosła.

– Helen powiedziała...

– Ona jest moją mamą, nie twoją. Masz własną matkę, ojca też. Ja mam tylko matkę. Trzymaj się od niej z daleka. Nie możesz po prostu trzymać się z daleka? Nawet nie mieszkasz już w sąsiedztwie. Nie masz żadnego powodu, żeby się tu szwendać.

– Ja tylko... – Ronnie jąkała się i gubiła wątek, tak jak zdarzało się jej na lekcjach, kiedy siostra zakonna za szybko zadawała pytania.

– Moja mama nawet cię nie lubiła.

– Alice...

– Jej było cię żal. To dlatego kazała mi się z tobą bawić, dlatego pozwalała ci siedzieć u nas w domu.

– Ja nie...

– Bo wiedziała, jaką masz paskudną rodzinę i że nie masz żadnych prawdziwych przyjaciół. Ale nigdy cię nie lubiła. Wyśmiewała się z ciebie za plecami.

Alice myślała, że to ostatnie oskarżenie całkiem wytrąci Ronnie z równowagi, ona jednak milczała chwilę, a potem odparła:

– Helen mnie lubiła. Cały czas mówiła mi, że mnie lubi. Powiedziała, że jestem do niej bardziej podobna niż ty.

Teraz Alice wydała z siebie wrzask, który przeciął nocną ciszę:

– Wcale nie! Wcale nie! Wcale nie! Jesteś kłamczuchą! Zawsze byłaś kłamczuchą i nieudacznikiem. Nikt nie chciał się z tobą kolegować i nikt cię nie lubił. Moja mama nie mogłaby cię lubić.

Krzyki przy basenie ponownie ucichły, ale po chwili znowu się odezwały. Alice zaczęła mówić ciszej:

– Wiesz, dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego kazałam ci to zrobić?

– Mówiłaś, że dziecko jest chore i nieszczęśliwe...

– Ja to wszystko wymyśliłam. – Głos Alice, chociaż cichy, zabrzmiał triumfująco. – Bo wiedziałam, że cię zabiorą. Myślałam, że zamkną cię na zawsze i nie będę musiała więcej się z tobą spotykać. Nie wiedziałam, że okażesz się na tyle sprytna, żeby ukraść moją zabawkę i ją tam zostawić. W innym razie powiedziałabym, że nigdy mnie tam nie było, i oni by musieli mi uwierzyć, bo to byłoby moje słowo przeciw twojemu.

– Ja nie... ja nigdy... ja nie chciałam tej zabawki...

Nagle przestrzeń między drzewami zaczęły przecinać błyski latarek. Przesunęły się po ogrodzeniu i zatrzymały metr od miejsca, gdzie stały Alice i Ronnie.

– Alice? Alice Manning? – zawołał jakiś kobiecy głos.

– To policja – syknęła Alice, oczy błyszczały jej z podniecenia. – Idą po ciebie. Wiedzą, kim jesteś i co zrobiłaś. Tym razem zamkną cię na zawsze. A w gazetach napiszą o tobie i już wszyscy będą wiedzieć. Ronnie Fuller zabiła dziecko. Ronnie Fuller, nikt inny. Teraz porwała inne dziecko i pewnie też je zabiła.

– Nie zabiłam.

– Powiem im, że o wszystkim mi opowiedziałaś. Że mówiłaś mi, jak

porwiesz dziewczynkę, porąbiesz ją na małe kawałki i wrzucisz do pieca do spalania śmieci. Powiem im, że to zrobiłaś, bo ona wyglądała na Mulatkę, a ty nienawidzisz czarnych, zawsze nienawidziłaś. Powiedziałaś mi, że nie cierpisz, kiedy czarni i biali mają ze sobą dzieci. Powiem im...

Jednak Ronnie nie czekała, aby usłyszeć, co jeszcze Alice powie policji. Odwróciła się i pobiegła, nie zwracając uwagi na pnącza wijące się pod jej stopami. Poruszała się z zaskakującą zwinnością, pędziła między ciemnymi drzewami prawie bezdźwięcznie.

– Szybko, ona ucieka! – krzyknęła w stronę świateł Alice. – Jesteśmy tutaj, przy ogrodzeniu, szybko!

Myślała, że zbliżają się do niej ze dwa tuziny ludzi, lecz tak naprawdę było ich tylko dwoje: to detektywi, którzy rozmawiali z nią, zanim Sharon powiedziała, że nie mogą tego więcej robić.

– Alice Manning? – spytała kobieta, jakby jej nie znała.

– Ronnie jest blisko, ona ucieka. Powiedziała mi...

Detektywi poświecili latarkami w różnych kierunkach, ale Ronnie przesuwała się między drzewami tak szybko, że niczego nie zauważyli.

– Posłaliśmy patrol do jej domu – powiedziała kobieta.

Trzymała Alice za nadgarstek. Dlaczego trzymała ją, skoro powinna ścigać Ronnie?

– Chcemy z tobą porozmawiać – oznajmił mężczyzna. – Musimy zapytać cię o coś, co znaleźliśmy w twoich danych z Middlebrook.

– Jakich danych?

– Danych medycznych.

– Och.

– Pojedziesz z nami do komendy? – Kobieta starała się, by zabrzmiało to jak pytanie, jednak Alice czuła, że wcale tak nie jest. – Jeśli chcesz, możesz stamtąd wezwać adwokata. Ale naprawdę musimy z tobą porozmawiać.

Alice popatrzyła na drugą stronę ogrodzenia. Nastolatki, którzy tego wieczoru bawili się na basenie, stali przy jego dalszym krańcu i spoglądając ku drzewom, próbowali zrozumieć, o co chodzi z tymi światłami i hałasem dobiegającym zza siatki. Alice nikogo nie rozpoznała, chociaż wśród dziewczyn w bikini mogły być jej dawne koleżanki ze Szkoły Świętego Wilhelma z Yorku. Któryś z tych chłopców mógłby być teraz jej chłopcem, gdyby już jednego nie miała. Wyobraziła sobie, jak zwierza się którejś z dziewczyn: „Ja mam chłopaka. Jest ode mnie sześć lat starszy. Ma pick-upa, zabiera mnie na przejażdżki i chce się ze mną ożenić”.

To ostatnie nie do końca było prawdą, ale było nią w wystarczającym stopniu. On by się z nią ożenił, gdyby kazała mu to zrobić. Zrobiłby wszystko, co ona by mu kazała. Tak jak Helen i Sharon, i nawet ta nowa prawniczka, ta brzydka

kobieta, co nieładnie pachnie.

To było miłe tak rządzić, znajdować się zaledwie o krok od uznania, na jakie zasługiwała. Wreszcie świat się dowie, co jej zrobił, i wreszcie jej to wynagrodzi. Kiedy wszystko się skończy, stanie się bardzo bogata, nie wspominając już o sławie. Wystąpi w *talk show*, gdzie profesjonaliści zrobią jej makijaż i może nawet wybiorą dla niej ubrania.

Chociaż szczerze mówiąc, gdyby mogła odmienić swój los, wolałaby być na tyle szczupła, żeby nosić bikini.

– Jak się dowiedzieliście? Porównaliście krew? – zapytała detektywów, ciekawa, w jaki sposób zdołali ją wyprzedzić.

Mężczyzna i kobieta wymienili spojrzenia, ale nic nie powiedzieli. Wyciągnęli ku niej ręce, aby pomóc iść między drzewami, tak jakby nie znała tej trasy lepiej niż ktokolwiek inny. Ruszyli ku drodze. Detektywi szli z obu stron Alice, trzymając ją pod ręce. „Zupełnie jak w *Czarnoksiężniku z Krainy Oz* – pomyślała – tyle że nie podskakujemy”.

– To jest moje dziecko – powiedziała Alice. – Nie możecie aresztować kogoś za to, że zabrał własne dziecko.

– Oczywiście, że możemy – odparła Nancy. – Ale to nie jest twoje dziecko. A nawet gdyby było, to złamałabyś prawo, gdybyś je porwała, zrobiła mu krzywdę albo zostawiła gdzieś, gdzie nie jest bezpieczne.

– Ona jest moim dzieckiem – mówiła monotonnym głosem Alice, jakby ta cała rozmowa ją nudziła. – Długo jej szukałam, ale teraz, kiedy ją już mam, nie możecie kazać mi jej oddać. Wtedy też nie chciałam jej oddawać.

– Alice... – Sharon położyła jej rękę na ramieniu, lecz dziewczyna ją strząsnęła.

Rosario Bustamante, stojąca z drugiej strony dziewczyny, przewróciła oczami i rozejrzała się po pokoju przesłuchań, jakby z nadzieją, że zaraz zmaterializuje się tu jakiś bar. Nancy wyczuła, że prawniczka przybyła w obłoku oparów dżinu, nic jednak nie wskazywało, by była choćby w najmniejszym stopniu otumaniona. Wyglądała na zmęczoną, ale nie bardziej niż Sharon, która właściwie kładła się spać, kiedy dotarło do niej wezwanie.

– Ona jest moim dzieckiem – powtórzyła Alice. – Wiedziałam to, od kiedy ją zobaczyłam.

Powtarzała to raz za razem jak litanie. Odmawiała wdawania się w szczegóły, pozostawała obojętna na dowody przedstawiane przez detektywów. Kiedy jej powiedzieli, że test DNA wykazał, że Brittany Little jest biologiczną córką Maveen Little, wzruszyła ramionami i stwierdziła:

– W takim razie zrobiliście go źle. Lepiej sprawdźcie jeszcze raz.

Zapytana, gdzie jest mała, odparła, że nie powie, dopóki nie przyznają, że dziewczynka jest jej dzieckiem.

I tak, nie mogąc się porozumieć, dotarli do godziny jedenastej.

– Słuchajcie, to nic nie da – powiedziała Sharon. – Zaproponujcie nam coś. Może jakieś wykroczenie?

– Wykroczenie? – ochryply z wyczerpania głos Nancy brzmiał, jakby przybyło jej dziesięć lat. To dawało naprawdę niezły efekt. Chciałaby umieć zmieniać tak głos na życzenie. – Ona praktycznie przyznała się, że porwała to dziecko. Stąd nie ma już odwrotu.

– Jest skołowana, podatna na sugestie.

– Dobrze wiem, co mówię – odezwała się Alice. – Ta dziewczynka jest moim dzieckiem. Zabrali mi ją, żeby nikt nie mógł się dowiedzieć, co się ze mną stało, kiedy byłam w Middlebrook. Ale teraz wszyscy się dowiedzą.

Nancy wyszła z pokoju przesłuchań, sfrustrowana tępym uporem dziewczyny. Helen Manning siedziała razem z Infante'em; pili jakiś gazowany

napój tak beztrzesko, jakby spędzali czas w pokoju nauczycielskim. Kevin miał sine policzki, wory po oczach jeszcze ciemniejsze, a włosy lśniące od ciągłego przyglądania wnętrzem dłoni. Wyglądał jak najbardziej wykończony wilkołak świata. Nancy poklepała go po ramieniu i wskazała głową pokój przesłuchań. Przez cały wieczór pracowali na zmianę. Odwiedził ich Lenhardt, ale nawet on przyznał, że nie wniesie nic do przesłuchania. Nancy i Infante byli jak tancerze z maratonu, zmuszeni wspólnie szurać nogami do końca, bo inaczej zostaną zdyskwalifikowani.

– O co chodzi z tym dzieckiem, pani Manning? – zapytała policjantka, wślizgując się na krzesło opuszczone przez kolegę. – Dlaczego Alice myśli, że to jest jej dziecko?

– Proszę mi mówić Helen. Jak słyszę „pani Manning”, to myślę, że to do mojej matki.

Wcześniej prosiła już kilka razy, jednak Nancy wciąż nie zwracała na to uwagi.

– Dlaczego Alice myśli, że to jej dziecko?

– Och, tak naprawdę to nie jest. To znaczy ona jest kompletnie sfiksowana na tym punkcie, ale wie, że jej dziecko oddano do adopcji. Myśli, że ta adopcja nie była legalna, bo ona nigdy nie powiedziała, kto jest ojcem. Ale w związku z położeniem Alice ja byłam upoważniona do działania w jej imieniu. Gdyby nie ukrywała przede mną ciąży do trzeciego trymestru, zmusiłabym ją, żeby ją usunęła.

Nancy nie zdziwiłaby się, gdyby dziewczyna ukrywała ciążę chociażby z tego powodu.

– Zaszła w ciążę, kiedy była w zakładzie dla nieletnich?

– Tak. Szokujące, prawda? Błagaliśmy, żeby nam powiedziała, kim jest ojciec. Bo przecież on może przebywać gdzieś w okolicy i polować na inne dziewczynki. Ale Alice się uparła. Myśli, że on ją kocha. Wierzy mu, bo on tak jej powiedział. To było naprawdę niełatwe, żeby nakłonić sąd do wydania zgody na adopcję. Ale Sharon pomogła.

– Kto adoptował dziecko?

– Nie Maveen Little. To nie jest dziecko Alice.

– Wiemy o tym – powiedziała ostro Nancy, ledwie kryjąc złość na Helen Manning. Jednak każdy objaw irytacji dodatkowo ranił tę kobietę, prowadząc do ataku płaczu, który wszystko spowalniał. – Czy to była jawna adopcja?

– Och, nie, wszystko odbyło się w sposób poufny, bez wiedzy Alice. Chciałam, żeby Alice żyła dalej, zapomniawszy o tym, co się stało.

– Dlaczego więc Alice jest przekonana, że Brittany Little to jej dziecko?

Helen kłamała kiepsko, tak kiepsko, że aż miało to jakiś perwersyjny urok. Teraz na przykład jej oczy powędrowały ku dźwiękoszczelnym płytkom sufitu, jakby stanowiły najbardziej fascynujący element wystroju wnętrza, jaki kiedykolwiek oglądała.

- Nie mam najmniejszego pojęcia.
- Wie pani, że jesteśmy bardzo cierpliwi w stosunku do pani, pani Manning.
- Helen.

– Jesteśmy bardzo cierpliwi w stosunku do pani, pani Manning – powtórzyła Nancy. – Nie traktujemy pani jako współsprawczyni ani nie oskarżamy o to, że kryje pani swoją córkę lub zataja potrzebne nam informacje. Ale ta chwila nadejdzie, prędzej czy później. Minał już czas, kiedy mogła pani cokolwiek przed nami ukrywać, obojętne z jakiego powodu.

– Alice nie zwierza się nikomu, nawet mnie. – Helen pochyliła się do przodu i ściszyła głos. – Zawsze była trochę tajemnicza. Zamknięta w sobie. I nie jest tak, cóż, do końca normalna. To wszystko może być tylko w jej głowie. Może nie mieć nic wspólnego z porwaniem. Ona może sądzić, że dziewczynka jest jej dzieckiem, bo widziała ją w telewizji i wszystko jej się pomieszało.

- Dlaczego miałyby tak myśleć?

Helen westchnęła i spojrzała za siebie. Na ścianie wisiał plakat przypominający o zapinaniu pasów w samochodzie. Przykuł jej wzrok.

– Musicie zrozumieć. Alice miała obsesję na punkcie tej sprawy, od kiedy wróciła do domu. Gdzie jest jej dziecko? Co się z nim stało? Jak mogłam je oddać? Dlaczego go nie przygarnęłam i nie wychowywałam? Nie dawała mi spokoju. Prosta prawda, że dziecko oddano do adopcji i ja nie mam pojęcia, gdzie ono jest, zupełnie jej nie satysfakcjonowała. Ciągle mnie męczyła, żebym odpowiedziała. Więc musiałam coś jej powiedzieć.

- Co?

– Chciałam, żeby wreszcie dała temu spokój. Więc powiedziałam, że widziałam jej córeczkę w okolicy Catonsville, tam gdzie mają ładne domy w stylu wiktoriańskim. Wiedziałam, że Alice by się tam spodobało. Powiedziałam, że dziecko ma cudownych rodziców i jest śliczne, ma skórę koloru kawy z mlekiem i bursztynowe loki. Och, i że ma znamię na lewej łopatce, coś jak mały cień serca.

– A skąd wzięła pani opis, który tak dokładnie pasuje do Rosalind Barnes? Czysty przypadek?

- Cóż, i tak, i nie.

Helen Manning, bałamutna w swojej szczerości, patrzyła na Nancy wielkimi oczami, jakby była dzieckiem, któremu zawsze wybacza się przewinienia.

– Pewnego dnia, mniej więcej wtedy, gdy Alice wracała do domu, zobaczyłam w sklepie spożywczym inną matkę.

- Inną matkę?

– Cynthię Barnes. Tę, której dziecko Alice... – Spojrzenie Helen znowu powędrowało ku sufitowi, ale teraz nie dlatego, że kłamała. Przerwała, żeby dać Nancy szansę na wtrącenie się. – Tak czy owak, była z małą dziewczynką. A ja sobie pomyślałam: „To dziecko by nie istniało, gdyby nie Alice”.

– Co?

– Proszę się nad tym zastanowić. Cynthia Barnes urodziła dziecko po czterdziestce, cztery lata po śmierci tamtej dziewczynki. Co oczywiście nie znaczy, że to, co zrobiła Alice, można jakoś zracjonalizować. Ale fakt pozostaje faktem. Umarło dziecko i to była wina mojej córki. Nigdy o tym nie zapomniałam. Ale żyje inne dziecko, piękne dziecko, i nie jestem pewna, czy żyłoby, gdyby nie Alice. Moja córka pomogła w pojawieniu się na świecie tego nowego życia. W pewnym sensie. Nie widziałam niczego złego w użyciu opisu tej dziewczynki, by ukończyć smutek Alice.

– A co z tym znamieniem? Skąd pani wzięła ten szczegół? – Nancy zastanawiała się nad wskazówkami, które napływały w ciągu ostatnich czterech dni, historiach o kędzierzawych dziewczynkach znikających i potem zjawiających się znowu. Jedna z nich, w bibliotece w Catonsville, po odnalezieniu miała koszulkę włożoną na lewą stronę. To musiała być sprawka Alice, szukającej tego znamienia.

– Och, wymyśliłam je. Powiedziałam Alice, że znamię jest jak cień jej serca i powinna być szczęśliwa, wiedząc, że jej córka zawsze będzie miała to znamię.

Helen spojrzała na Nancy błyszczącymi, pełnymi nadziei oczami, jakby oczekiwała pochwały za swoją wyobraźnię i wrażliwość. Policjantka jednak nic nie powiedziała, ale bez żadnego usprawiedliwienia wstała i wróciła do pokoju przesłuchań.

W ciągu kilku minut pokonana Alice Manning wyjawiała wreszcie wszystkie tajemnice, stare i nowe. Opowiedziała o mężczyźnie, który ją uwiódł i którego chroniła, bo go kochała, o mężczyźnie, który zrobiłby wszystko, co by mu kazała, byle nie wyjawiała jego nazwiska. Opowiedziała o swoich przechadzkach po Baltimore, o poszukiwaniach dziewczynki z bursztynowymi lokami i ze znamieniem, które opisała jej matka. Brittany Little nie miała znamienia w kształcie serca, ale miała na plecach przerośnięty pieprzyk. Alice uznała, że znamię musiało się zmienić, od kiedy matka widziała je ostatni raz.

Gdy już znalazła dziewczynkę, która – jak sądziła – była jej dzieckiem, ukryła ją w łazience i czekała, aż zjawi się ojciec małej z nowym ubrankiem i ją zabierze. Gdy Alice zadzwoniła do niego na komórkę i wychodził ze swojej pracy w ogrodnictwie, skaleczył się w rękę, odkładając narzędzia, pewnie dlatego, że nie potrafił się zdecydować, czego boi się bardziej – miłości Alice czy jej grózb. Rana na rękę otworzyła się, kiedy obcinał dziewczynce włosy sekatorem. Krew na T-shircie była jego, Alice zaś uznała, że testy DNA wykażą zgodność z krwią zaginionego dziecka. Myślała, że policja odnalazła ojca dziecka i dzięki temu dotarła do niej samej. Wierzyła w to nawet teraz. Ojciec dziecka odwiózł ją wtedy do domu, miała więc czas, żeby spotkać się z Sharon na kolacji.

– A co się stało potem?

– Zabrał ją tam do siebie na południe, żeby poczekać.

– Na co poczekać? – Ta dziewczyna była dla Nancy źródłem ciągłych zaskoczeń. Czego ona się spodziewała i czego chciała? Jakiegoś nowego życia czy swojego starego?

– Chcieliśmy udowodnić, że to nasze dziecko, i zmusić ich, żeby nam je oddali. I może dali nam też pieniądze, bo to, co mi się przydarzyło, było złe. Rodrigo pracował dla stanu, kiedy się... spotkaliśmy. Pozwolili mi zajść w ciążę, a potem zabrali dziecko. Ja wcale im nie powiedziałam, że mogą to zrobić. Chciałam ją zatrzymać.

– Dlaczego?

Alice popatrzyła na Nancy, jakby ta okazała się głupia ponad ludzkie pojęcie.

– Bo ona była moja.

– Powiedziałaś, że teraz są na południu. W Maryland? W Wirginii? Jeszcze dalej? Alice, musimy wiedzieć, gdzie jest ta dziewczynka.

Już miała odpowiedzieć, ale wtedy Rosario Bustamante położyła jej upierścienioną dłoń na ustach.

– Zanim wam to powie – oznajmiła – wy powiedzcie, co chcecie zrobić z moją klientką teraz, kiedy współpracuje.

Dom w Waldorf był odrapanym, czynszowym budynkiem, takim, którego właściciele wciskają mieszkania świeżym imigrantom, doskonale wiedząc, że oni nigdy nie będą narzekać. Nie znali swoich praw, nie rozumieli, że pęknięta rura i farby z domieszką ołowiu to nie są rzeczy, na które trzeba się godzić. Rodrigo Benitez znalazł się w Stanach legalnie, ale niektórzy z jego współlokatorów nie i dlatego uciekli gdzieś w noc, kiedy pod ruderę zaczęły podjeżdżać radiowozy. Pobiegli przez te same pola tytoniu, na których wielu z nich znalazło pierwszą pracę.

Została tylko stara kobieta z dzieckiem na kolanach. Nie wiedziała, dlaczego Rodrigo przyniósł to dziecko i kazał się nim opiekować. Powiedział, że to jego córka i że matka dziecka ma kłopoty. Przysięgał, że nie zrobił nic złego, chociaż wszystko wskazywało, że jest inaczej – jego zdenerwowanie, dziwne przychodzenie i wychodzenie z domu w weekend. A wczoraj wieczorem Rodrigo po prostu zniknął. Stara kobieta wiedziała, że jej wnuk kłamie. Miał kłopoty, a to znaczyło, że ona także ma kłopoty i pozostaje jedynie kwestią czasu, kiedy zjawią się policjanci i zaczną wykrzykiwać jakieś pytania. Tymczasem dziecko ciągle płakało, że chce do mamy, a stara kobieta próbowała je uspokoić.

Przyrzekła Rodrigowi, że zaopiekuje się dzieckiem niezależnie od tego, co się wydarzy. Kiedy więc przyjechała policja, mocno tuliła małą. Na widok policjantów dziewczynka wreszcie przestała płakać i też się w nią wtuliła. W ciągu ostatnich czterech dni została zabrana od matki i przywieziona do domu pełnego

dziwnych zapachów, a teraz zobaczyła kogoś, kto chciał ją znowu zabrać. To nieznane miejsce nagle stało się tym, w którym chciała pozostać, mimo że ludzie tutaj mówili jakieś tajemnicze słowa pełne samogłosek i dawali miękkie jedzenie, które wyglądało jak pudding, ale wcale nie było słodkie. Brittany Little przywarła do staruszki i nie chciała iść, dopóki jakaś jasnowłosa kobieta o zmęczonej twarzy nie wyciągnęła do niej rąk, wypowiadając jej imię.

– Już dobrze, Brittany. Twoja mama jest na zewnątrz, czeka na ciebie. Chodź do mamy, Brittany.

Maveen Little czekała w radiowozie stojącym pod rudera w Waldorf. Gdy wreszcie mogła wziąć córkę w ramiona, okazała więcej hysterii niż radości. Nancy doskonale rozumiała, co czuje Maveen. Dziecko odnaleziono, wtorek stał się już środą, a ona przed powrotem do domu musiała jeszcze aresztować Alice. Niemniej przecież sama postanowiła przejechać prawie sto kilometrów do hrabstwa Charles, chcąc zobaczyć tę chwilę na własne oczy. Nie potrzebowała słów Lenhardta, który powiedział, że gliniarze z wydziału zabójstw mają niewiele okazji, aby zobaczyć ofiary przestępstw żywe.

Infante musiał chyba pomyśleć to samo, bo rzekł:

– Jeszcze kilka spraw takich jak ta i będziemy niepotrzebni.

– Jeszcze kilka spraw takich jak ta – odparła Nancy – i zacznę szukać pracy w sklepie.

Ale tak naprawdę chyba jeszcze nigdy bardziej nie kochała swojej pracy niż właśnie teraz.

Rzecznik prasowy zwołała konferencję na rano – tak wcześnie, żeby telewizja pokazała wszystko w południowych programach. Nancy będzie wtedy spać, więc kapral sama wszystko opowie. Tak właśnie miały się sprawy w Baltimore. Detektywi robili, co do nich należało, a dział kontaktów z mediami przedstawiał rezultaty. Ludzie telewizji tak się skupią na nowej sensacji, że nie zaczną zagłębiać się w szczegóły. „Beacon-Light” będzie musiała spojrzeć na ten temat pod innym kątem, żeby się nie zestarzeć do następnego dnia.

Miło było wystrychnąć na dudka i dziennikarkę, która próbowała ją przechytryć, i gazetę, dla której pracowała.

Ronnie Fuller prawie dwie godziny szła do domu. Starła się trzymać bocznych uliczek, a trasą numer 40 iść w razie konieczności. Kiedy wreszcie znalazła się przy St. Agnes Lane, stanęła naprzeciwko budynku i wypatrywała, czy rodzice jeszcze nie śpią; sprawdzała też, czy na ulicy jest radiowóz. W mieszkaniu było ciemno, a w zasięgu wzroku nie stał żaden policyjny samochód. Podkraśla się do drzwi i aż podskoczyła, gdy na ziemię upadł mały papierowy prostokąt. Wcisnęło go między drzwi a framugę.

„Mira Jenkins, «Beacon-Light»”, głosił nadruk na jednej stronie karteczki. Na drugiej starannymi drukowanymi literami ktoś napisał: „Naprawdę muszę

z tobą porozmawiać. Zadzwoń do mnie!”.

Ronnie weszła do środka i ledwie dowlokła się po schodach do swojego pokoju. Spać. Chciała tylko spać.

Ale kiedy znalazła się w łóżku, sen nie nadchodził. Nie mogła uwolnić się od myśli o Alice, o jej groźbach i szyderstwach. Alice potrafiła robić z ludźmi przerażające rzeczy. Bez większego trudu mogłaby sprawić, by inni uwierzyli, że Ronnie porwała dziecko i je poćwiartowała. Dziennikarze przecież znali jej nazwisko, właśnie tak jak mówiła Alice, i zamierzali wyjawić je ludziom. Ronnie wiedziała, że Alice zawsze w końcu wychodzi na swoje.

„Ty będziesz tatusiem, ja mamusią, a to jest nasz dzidziuś”. Tak zaczęła się cała zabawa: na początku to była tylko zabawa. Chciały zaopiekować się małą dziewczynką, którą znalazły. Alice powiedziała, że ona mieszka w dużym domu. Jej rodzice pewnie dadzą im mnóstwo pieniędzy za odnalezienie dziecka i dopilnowanie, by nie stała mu się krzywda. Ale to potrwa dzień albo dwa, zanim wyznaczą nagrodę, dlatego muszą do tego czasu dobrze opiekować się dzieckiem.

– Ile pieniędzy? – zapytała Ronnie.

– Och, mnóstwo – powiedziała z przekonaniem Alice. – Tyle, żebym w przyszłym roku dalej mogła chodzić do Szkoły Świętego Wilhelma.

– I ja też?

– Nie – odparła Alice. – Ty musisz chodzić do szkoły publicznej. Ale będziesz mogła kupić matce nowy samochód.

Drugiego dnia mała zachorowała i zrobiła się marudna. Alice przestała mówić o nagrodzie, a zaczęła opowiadać, jakie musi być życie małej dziewczynki w dużym domu, gdzie wszystko jest doskonałe. Wszystko poza nią.

– Nikt jej nie kocha – powtarzała ponuro. – Nikt nigdy jej nie pokocha.

– Powinnyśmy ją odnieść? – zapytała Ronnie. – A może zadzwonić do kogoś i powiedzieć, gdzie ona jest?

– Po co? Oni znowu zostawią ją na ganku i będą mieli nadzieję, że zabierze ją ktoś inny. Oni jej nie chcą. Ona nie jest ładna i cały czas płacze, dlatego oni chcą, żeby zniknęła.

Wieczór był bardzo ciepły, więc w pozbawionym okien pokoju Ronnie panowała koszmarna duchota. Postanowiła wykąpać się w chłodnej wodzie, jak zawsze, gdy było jej za gorąco. Zamknęła drzwi łazienki, chociaż nikogo nie było w domu i naga wślizgnęła się do wanny, krzywiąc się na widok swojego ciała. Nigdy nie podobały jej się duże piersi, wyglądały głupio i jakoś nie na miejscu u chudej dziewczyny. Clarice kiedyś zapytała, czy są sztuczne. Nawet ojciec czasem rzucał na nie okiem, chociaż nie jakoś nachalnie. Wyglądał na skonsternowanego, jak gdyby bał się o Ronnie, jakby wiedział, czego mogła doświadczyć od innych mężczyzn.

„Ty będziesz tatusiem, ja mamusią, a to jest nasz dzidziuś”.

Jako tatuś Ronnie miała za zadanie przynosić jedzenie do chatki, Alice zaś podawała je małej. Jednak dziecku nie smakowało to, co mu dawały, i płakało, a jego kupa zrobiła się zielona. Zrozumiały, że się rozchorowało. Gorzej niż wtedy, gdy płakała, było tylko wówczas, kiedy nie płakała.

Trzeciego dnia dziewczynka stała się apatyczna i otepiała, pewnie od jedzenia niedobrych rzeczy, jednak Alice upierała się, że nie mogą jej oddać. Stwierdziła, że dziecko wkrótce umrze. Cały czas było chore, więc rodzice zostawili je na zewnątrz, mając nadzieję, że ktoś zdejmie im ten problem z głowy. Śmieszne, ale Ronnie zapamiętała dokładnie to określenie: „zdejmie im problem z głowy”.

– Powinnaś jej pomóc – powiedziała Alice. – Jeśli użyjesz poduszki i potem ją wyrzucisz, nikt się nie dowie. Pomyśl, że umarła we śnie. Dzieci ciągle tak umierają. A to dziecko tak czy inaczej umrze. To okrutne pozwolić jej cierpieć.

– Nie możemy jej oddać?

– Już za późno – odparła Alice. – Wszyscy pomyśl, że to nasza wina. Ale to przecież nie nasza wina. Ty musisz to zrobić, Ronnie.

Zrobiła, ale ostatecznie nie użyła poduszki. Przyniosła ją, tak jak kazała Alice, ze swojego łóżka, w poszewce z wizerunkiem Scooby Doo, uznała jednak, że nie może przytknąć czegoś tak dużego do tak małej twarzy. Zamiast tego położyła na ustach i nosie dziewczynki dłoń, a potem liczyła sekundy, dopóki dziecko nie przestało oddychać. „Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy” – tak w trzeciej klasie nauczyli ją odmierzać sekundy, a panna Timothy, świecka nauczycielka, kazała im położyć głowy na ławkach i unieść ręce, dopiero kiedy uznają, że minęła już minuta. „Sto dwadzieścia cztery, sto dwadzieścia pięć, sto dwadzieścia sześć”. Ronnie nie podnosiła rąk, dopóki nie zaczęły jej dobiegać rozlegające się po klasie chichoty. Zapomniała o liczeniu i minęło dziewięćdziesiąt sekund, zanim zrozumiała, że powinna tylko udawać. „Sto dwadzieścia siedem, sto dwadzieścia osiem, sto dwadzieścia dziewięć”. Ronnie wydało się, że oczy dziewczynki, bez wyrazu i mętne przez ostatnie dwa dni, spojrzały na nią z wdzięcznością. Ona wiedziała, że była chora i niekochana. Chciała umrzeć.

Kiedy dziecko przestało się ruszać i ucichło, Ronnie uświadomiła sobie potworność i nieodwracalność tego, co zrobiła. Zamiast wkraść się do domu przez okno w sypialni, schowała się pod pnączami kapryfolium w ogrodzie Helen i czekała, aż zostanie odnaleziona. Wiedziała, że Helen ją znajdzie. I tak się stało, zwabił ją szloch Ronnie. Gdy już przyszła, wysłuchiwała opowieści Ronnie bez słowa komentarza albo krytyki, kołysząc ją w ramionach.

To Helen powiedziała, że powinny zanieść do chatki w lesie zabawkę Alice, tak aby ludzie uwierzyli Ronnie, kiedy powie, że Alice tam była. Helen lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, jak wytrawną kłamczuchą jest jej córka. Ale jeśli

znajdzie się tam jedna z zabawek Alice, jeśli Ronnie opowie o przyjęciu na basenie i o tym, jak poszły do domu razem – wtedy ludzie mogą uwierzyć, że Alice też to zrobiła. Helen tak powiedziała. Helen tak obiecała.

– Nie mogę odwrócić tego, co zrobiłaś – tłumaczyła jej, tuląc i głaszcząc Ronnie po włosach. – Ale mogę zadbać, żeby Alice nie uniknęła kary. Mogę sprawić, żeby było fair.

Teraz Ronnie już rozumiała. Alice dostała to, czego chciała: sprawiła, że Ronnie odeszła. Ale sama też musiała odejść i właśnie urazę o to nosiła w sobie aż do dziś. Nie spocznie, dopóki znowu nie wygna Ronnie. Ona była tą dobrą dziewczynką, a Ronnie tą złą – Alice nigdy nie przestanie się przy tym upierać. Gdyby wiedziała, że Helen wzięła stronę Ronnie, jeszcze zacieklej chciałyby się jej pozbyć. Nie dałyby Ronnie żyć, a to było przecież wszystko, czego Ronnie chciała. Po prostu żyć.

Spięte na czubku głowy włosy zaczęły się wyslizgiwać, więc Ronnie usiadła, żeby je poprawić. Łokciem zahaczyła o brzytwę ojca, strącając ją z krawędzi wanny. Pewnie matka goliła nią nogi, co zawsze wkurzało tatę. Przesunęła brzytwą po swoich nogach, na których wciąż widniały blizny po dawnych okaleczeniach. Wcale nie zamierzała się ciąć, ale uwielbiała uczucie przedzierania się przez własną skórę. Porzucenie tego nawyku stanowiło cenę pozostania w Shechter i przyszło jej z trudem. Nadal tęskniła do uczucia upuszczania sobie krwi, atakowania miejsc, które ją drażniły. Przestała tylko dlatego, żeby zostać w Shechter. Teraz mogła robić tak znowu. Tamte reguły już nie obowiązywały.

Otwarcie żył okazało się ciężką pracą, ale nie tak ciężką jak wtedy przed laty, gdy drapała, gryzła i szarpała swoje ciało. Skóra na przegubach przypominała przezroczyście płatki parmezanu, które odkrawała jej matka, kiedy przyrządzała zapiekanekę z makaronem. Ser miał twardą skórę, cienką i trudną do zdjęcia, ale gdy już się ją oddzieliło, był kruchy.

Wreszcie krew zaczęła płynąć. Ronnie odchyliła się do tyłu, ramiona oparła o krawędzie wanny. „Nikt oprócz mnie nie będzie mnie ciął”. Uśmiechnęła się, wspominając zaskoczenie na twarzy policjantki, tak podobne do tego u matki Maddy, kiedy pięść Ronnie uderzyła ją w podbródek. Nieźle jej wtedy powiedziała.

Gdyby tylko częściej udawało jej się coś tak powiedzieć, gdyby знаła więcej słów i potrafiła tak je łączyć, że ludzie by ją rozumieli, wiedzieli, kim naprawdę jest. Gdyby umiała zachowywać się jak Alice, która nigdy nie miała kłopotów przez to, co powiedziała. Tak mocno wierzyła we wszystko, co mówi, że jej opowieści równie dobrze mogły być prawdziwe. Znajdzie sposób, aby umniejszyć to, co Ronnie powiedziała jej dziś wieczorem; uzna, że to kłamstwo albo że coś źle usłyszała. Mogła pogodzić się z tym, że to Helen dała Ronnie tamtą zabawkę, ale nie z tym, że właśnie tamtej nocy i z tamtej przyczyny. Alice jest dobra w zamiataniu faktów, które nie pasują do jej wersji zdarzeń. Ronnie ujrzała ją

w chatce, zamiatającą podłogę miotłą, o której przyniesienie tak nalegała, nie dbając, że w ten sposób tylko przesuwa kurz na kurz. A Helen nigdy się nie przyzna, że ta wyskakująca z pudełka małpka to jej pomysł, więc: one dwie przeciwko jej jednej. Helen nawet sam na sam z Ronnie nie mówiła wprost o wiążącym je sekrecie. „Między nami” oznacza w gruncie rzeczy „tylko między nami”.

Zresztą nawet sympatia Helen nie mogła zmienić podstawowego faktu, że to Ronnie była tą dziewczynką, która zabiła dziecko. Ronnie, nie Alice. Mogła powtarzać „przepraszam” milion razy, mogła iść do więzienia dla dorosłych na resztę życia, zostać zakonnica, pracować w Bagel Barn, aż zostanie menadżerem, wyjść za mąż i mieć własne dzieci. Mogła zrobić wszystko i nic, ale nie mogła zmienić swojej przeszłości mimo obietnic składanych przez doktora. Była tym, kim była, i zawsze będzie.

Robiła się coraz bardziej senna. Włosy znowu opadały jej do wody, ale przestała o to dbać. Górna część jej ciała powoli podążała w ślad za włosami. Woda w wannie nabrała różowawego odcienia. Ronnie zastanowiła się, czy będzie przeciwstawiać się tej wodzie, kiedy dotrze do jej twarzy, czy w ostatniej chwili zmieni zdanie.

Nie zmieniła.

Czwartek, 8 października

37

– Data się nie zgadza.

– Słucham?

– Data. Nie zgadza się.

– Przecież wiem, kiedy urodziła się moja córka. Ósmego października. Dzisiaj. Dlatego tu jestem. Dzisiaj są urodziny mojej córki.

– Nie, dzień, w którym... w którym ona... ta druga data. Siedemnasty lipca. To był dzień, w którym zaginęła. Ale... cóż, właśnie to się nie do końca zgadza.

Cynthia podążyła wzrokiem za palcem Nancy Porter: siedemnastego lipca, siedem lat temu. Policjantka miała rację. Jak można zrobić taki błąd? Ona i Warren poświęcili tyle uwagi pogrzebowi swojej córki. To w końcu była jedyna ceremonia, którą przyszło im dla niej urządzać. Musieli podjąć wręcz nieskończoną liczbę decyzji: wybrać nagrobek, omówić rozmiary i kształt płaskorzeźby przedstawiającej baranka, zastanowić się, czy nie byłoby przesadą dodanie znanego cytatu z Williama Blake’a. Żadnej poezji, postanowiła wreszcie Cynthia. Krótkie życie Olivii było wymowniejsze od jakiegokolwiek wiersza.

Ale jak mogło się zdarzyć takie przeoczenie? Czy Olivia umarła dla swoich rodziców już w chwili, kiedy zniknęła? Czy Cynthia i Warren stracili nadzieję i przez to stracili córkę? Cynthię wciąż jeszcze dopadały tego rodzaju myśli.

Czy to oznaczało, że nigdy nie zdoła zapomnieć i przebaczyć, że tak naprawdę nigdy tego nie chciała? Zapomnieć i przebaczyć – to jedyna droga uwolnienia się od bólu, chociaż większość ludzi zmieniała kolejność i wóz przebaczenia umieszczali przed koniem zapomnienia, który powinien go ciągnąć. Ale jeśli się postanowi, że się czegoś nie zapomni, że będzie się pamiętało całą groźę jakiegoś czynu, wtedy trzeba by być świętym, aby przebaczyć. Cynthia nigdy nie aspirowała do świętości.

– Tak naprawdę to nieważne – odezwała się Nancy. – Ale ja... po prostu nie mogę przestać pamiętać o tej dacie.

„Pamiętasz ją, bo stanowiła punkt zwrotny w twoim życiu” – pomyślała Cynthia. Ale nie udzieliła sobie przywileju mówienia tego, co akurat chciała powiedzieć. Mogła nie być święta, ale Sharon Kerpelman też nie była.

– Postanowiłam, że będę wspominała właśnie ten dzień.

– Tak jest pewnie najlepiej – stwierdziła Nancy, nie zrozumiawszy aluzji Cynthii. Ta dziewczyna nie pojmowała mnóstwa niuansów. – Byłam wzruszona, że w tym roku chce pani pójść tam ze mną.

Tak naprawdę Cynthia wcale nie chciała. Wspomniała swoje plany, żeby w ogóle nie spotkać się z Nancy. Osoba obdarzona większą intuicją wyłapałaby

falsz w zaproszeniu i je odrzuciła.

– Uważam, że pani bardzo dużo zrobiła dla mojej rodziny. Wiem, że moja córka jest bezpieczna, że te dziewczyny nie próbowały jej skrzywdzić ani nam zaszkodzić. A musiałam to wiedzieć, by zachować wewnętrzny spokój.

Nancy skinęła głową.

– Rozumiem. Rozumiem też, że zwykle dostaje pani to, czego chce, w ten czy inny sposób. Prawda, pani Barnes?

Może ta dziewczyna pojmuję więcej, niż daje po sobie poznać.

– Co pani próbuje zasugerować, panno Porter? – Cynthia nigdy nie zwracała się do Nancy „detektywie”. W przeciwieństwie do jej ojca czy osoby posiadającej stopień naukowy to nie był żaden prawdziwy tytuł.

– Nic, zupełnie nic. Po prostu zastanawia mnie, że to, co wydawało się przypadkowe: podobieństwo pewnej dziewczynki do pani córki... wcale takie nie było.

– To nie moja wina – odparła ostro, broniąc się jak dziecko. – To Helen Manning przywłaszczyła sobie wygląd mojej córki, nadając go wnuczce, której nigdy nie знаła i nie chciała znać, jeśli chce pani wiedzieć.

– Wiem – stwierdziła Nancy. – Nie sądzę, żeby Helen Manning chciała być matką, a co dopiero babcią.

– Przyzna pani chyba, że to dobrze, że wtedy zadzwoniłam.

– Och, świetnie sobie pani radzi z telefonowaniem.

Cynthia milczała

– Zobaczymy. – Nancy zaczęła wyliczać na palcach lewej dłoni. – Najpierw zadzwoniła pani do mojego sierżanta, a potem do mnie, chociaż nie prowadziłam tej sprawy. Domyślam się, że zadzwoniła pani też do dziennikarki, pchnęła ją do działania. Tak naprawdę nie obchodziło pani, czy znajdziemy zaginione dziecko. Chciała pani mieć pewność, że wszyscy się dowiedzą, kim były Alice i Ronnie i co zrobiły. Zaginięcie Brittany Little dało pani okazję, której pani szukała.

Cynthia wzruszyła ramionami, jakby sprawa była tak mało ważna, że nie warto jej komentować.

– Pani zadzwoniła nawet do mnie.

– Już to pani mówiła.

– Nie, chodzi mi o te wiadomości wysłane na moją komórkę po wypuszczeniu Alice. To była pani robota, prawda?

– Skąd mogłabym znać numer pani komórki?

– Nie wiem. Ale wiosną moja mama odebrała jakiś telefon od kobiety, która rzekomo organizowała spotkanie klasowe absolwentów liceum Kenwood. Nazwisko Potruski można znaleźć w książce telefonicznej. A pod tym nazwiskiem pani mnie znała. Mama podała tej kobiecie numer mojej komórki i numer domowy, ale nigdy nie otrzymałam żadnego zaproszenia.

– Miałam rację. Ostatecznie miałam rację.

– W połowie – stwierdziła sucho Nancy.

– Naprawdę mi przykro w związku z Ronnie Fuller – powiedziała szczerze Cynthia. Żal jej było matki dziewczyny, która w wieczornych wiadomościach wyglądała na tak udręczoną, że stanowiła wręcz ucieleśnienie przeciwieństwa radości z zamknięcia sprawy. Nawet Helen Manning wyglądała, jakby poczuła szczerzy żal na wieść o śmierci Ronnie. Cynthia nie sądziła, że ta kobieta potrafi się martwić kimkolwiek poza sobą samą. Jednak Ronnie Fuller na zawsze pozostanie zabójczynią Olivii, więc Cynthia po prostu nie mogła się smucić, że opuściła ten świat. – Ale to wkurzające, że ta druga dziewczyna nie została w ogóle oskarżona. Cóż, wymiar sprawiedliwości jest niedoskonały. Przynajmniej tak mi tłumaczono, kiedy mnie zawiódł.

– Alice była na dobrej pozycji do zawarcia układu – stwierdziła z westchnieniem Nancy. – Jej wspólnik zniknął, przypuszczalnie wyjechał z kraju, więc stał się idealnym kozłem ofiarnym. Facet, którego nazywała miłością swojego życia, nagle zmienił się w drapieżcę, który zgwałcił ją w szopie z narzędziami, kiedy miała zajmować się ogródkiem. Nie mogę mieć pretensji do prokuratora stanowego, że nie chciał rozprawy. Sąd mógłby ją uniewinnić. A tak ma przynajmniej wyrok w zawieszeniu.

– Sharon Kerpelman znowu jest na fali. Musi być bardzo z siebie dumna.

Nancy pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

– Byłaby, gdyby nie sprzedała duszy Rosario Bustamante. Widziałam ją w sądzie dzisiaj rano. Haruje, aż para bucha, reprezentując teraz prawdziwe szumowiny.

– Więc Alice Manning nie jest szumowiną?

– Dla pani jest. Ale patrząc z szerszej perspektywy, to amatorka. Byłam w pokoju przesłuchań z naprawdę przerażającymi ludźmi.

Nancy umilkła, zbita z tropu własnymi słowami.

– A co z Helen Manning? Gdyby nie opowiedziała córce tej głupiej historyjki, żeby usprawiedliwić to, co sama zrobiła... – Cynthia nie żałowała Ronnie Fuller, lecz trudno jej było mówić o samobójstwie dziewczyny. – To ona wprawiła wszystko w ruch swoimi kłamstwami. Jak może nie mieć żadnych wyrzutów sumienia?

– Nie ma wyrzutów sumienia, bo nie widzi tego w ten sposób i szczerze wierzy, że kierowały nią dobre intencje. Helen Manning to kobieta, która zwykła myśleć o sobie tylko dobrze.

– Czy nie tak myśli większość z nas?

– Nie do tego stopnia.

Nancy położyła dłoń na swoim brzuchu odznaczającym się pod granatową koszulą z cienkiej satyny, nieodpowiednią na tę porę roku.

– Czy pani jest...? – zapytała Cynthia.

Detektyw podążyła za jej spojrzeniem.

– Och, nie. To tylko niestrawność po pizzy, którą zjadłam na lunch. Nie jestem w ciąży. – Uśmiechnęła się. – Jeszcze nie.

– Stara się pani?

– Mniej więcej. W każdym razie przestałam się nie starać.

– Ciężko jest?

Nancy się roześmiała.

– Szczerze mówiąc, to lubię swojego męża, więc jest mi przyjemnie.

– Nie, chodzi mi o to... czy to nie będzie trudne, pracować w wydziale zabójstw i wychowywać dziecko?

– Pewnie będzie niemożliwe.

– Nawet gdyby dało się rozwiązać problem opieki w ciągu dnia... Nie, nie rozumiem, jak można wiedzieć te rzeczy, jakie pani wie o ludziach, a potem wydać dziecko na świat. Nie mam pojęcia, jak można sobie z tym poradzić.

– A jak pani sobie poradziła – zapytała Nancy – wiedząc to, co pani wie?

Cynthia wolała założyć, że policjantka odnosi się do śmierci Olivii i do szaleństwa urodzenia kolejnego dziecka po utracie pierwszego. Jednak równie dobrze mogła nawiązywać do tego, co Cynthia wiedziała o sobie samej.

– Jestem umówiona z dentystą – powiedziała, ignorując pytanie. – Czy chce pani ode mnie czegoś konkretnego?

– Tak – odparła Nancy. – Chodzi mi o to, że na swój sposób jestem pani wdzięczna. Biorąc pod uwagę przeszłość Alice, mogłaby skrzywdzić to dziecko, gdyby uświadomiła sobie, że to nie jest jej własna córka. Cieszę się, że znaleźliśmy ją w odpowiednim momencie. Niemniej szkoda, że trzeba było wciągać w to wszystko Ronnie Fuller.

– Powinnam się czuć winna?

Nancy się zastanowiła.

– Nie. Tak naprawdę to nie.

Cynthia uwiadomiła sobie, że Nancy Porter jest jednym z tych dziwnych ludzi, którzy zwykle mówią to, co myślą. Nie przyszła, żeby ją zdenerwować albo wzbudzić w niej poczucie winy. Przyszła, aby jasno pokazać, że nikt jej nie otumaniał, a także by zaoferować swego rodzaju błogosławieństwo. Radość z bycia matką.

Nancy odeszła, stąpając niepewnie w niemodnych szpilkach nazbyt ostrożnym krokiem, jakim chodzi się po cmentarzach. Kiedy zajdzie w ciążę, będzie jedną z kobiet, które tracą figurę i których ciała nigdy nie znajdują drogi powrotnej ze świata pasów elastycznych. Ale Cynthia miała wrażenie, że Nancy Potter o to nie dba. Będzie taka szczęśliwa, że nie zmartwią jej dodatkowe kilogramy.

Cynthia, nareszcie sama, pożegnała się z córką, a potem spędziła kilka minut na rozmowie z Bogiem. Zaczęła od słów pełnych posłuszeństwa i pokory, ale wkrótce dostrzegła, że daje Mu rozmaite wskazówki, recytuje całą litanię rzeczy, z którymi się pogodzi, i tych, z którymi nie. Trudno zerwać z pewnymi nawykami. Jednak obiecała Bogu, że Mu zaufa, Jemu i ludziom takim jak jej ojciec, nawet niedoskonałym. Myślała, że sprawiedliwość to balsam, coś, co mogła sporządzić, by ukoić swoje rany. Okazało się, że tylko je rozjątrzyła.

Później tego samego dnia, wracając od dentysty, przejechała ulicą Nottingham, co stanowiło kolejny nawyk, którego nie potrafiła się pozbyć. Nie umiała sobie odmówić zerknięcia na Alice Manning. Nawet specjalnie się nie starając, zaczęła uczyć się rozkładu dnia dziewczyny. Wiedziała, że o tej porze Alice często wraca z przystanku autobusowego przy Edmondson Avenue, wlokąc się swoim charakterystycznym koślawym krokiem.

Tak, to była ona. Szła ulicą z plecakiem i niebieską plastikową torbą, którą wymachiwała jak dzieci pudełkami na drugie śniadanie. Zrobiła się jeszcze grubsza, a blond włosy ufarbowała na rudo, pewnie po to, żeby nie rozpoznano jej w szkole, do której teraz chodziła. Ale przecież parę dni temu udzieliła wywiadu tej reporterce, Mirze Jenkins, i pozowała do zdjęć. Czyli każdy, kto się tym interesował, wiedział o jej rudych włosach. Mira zadzwoniła do Cynthii i zapytała, czy chce skomentować.

– Nie rozmawiam z dziennikarzami – odparła Cynthia. Przypominała dziewczynę, która była zbyt szczęśliwa, by nabrać się na chytry dowcip. Mira powiedziała jej, że Alice pracuje teraz w śródmieściu i że jest pod opieką sądu dla nieletnich, działu utworzonego specjalnie dla niej.

– Sąd dla nieletnich? – Cynthia miała ochotę zapytać reporterkę, czy chodzi o mniejszy sąd, coś jak Whopper Junior, który jest mniejszą wersją zwykłego Whoppera, ale ugryzła się w język.

Alice domyśliła się przynajmniej, że nie powinna uśmiechać się do obiektywu. Na zdjęciu wyglądała smutno i ponuro, z rękami na oparciu krzesła, które zasłaniało jej grube ciało. Powiedziała Mirze i jej czytelnikom, że żałuje. Żałuje wszystkiego. Ale zawsze łatwo ulegała cudzym wpływom. Najpierw Ronnie Fuller, potem Rodriga. Teraz będzie silniejsza. Będzie sobą – taką, jaka jest, nie będzie się martwić o to, by zadowolić innych. Wszystko czego chce, to być dobrą i dobrze się uczyć. Myśli, żeby w przyszłości zostać pielęgniarką, a może nauczycielką, tak jak jej matka. „Boże dopomóż, jeśli to życzenie się spełni” – pomyślała Cynthia. Ostatnia rzecz, jakiej trzeba na tym świecie, to dwie panie Manning, zapatrzone w siebie, niszczące wszystkich, którzy mieli pecha znaleźć się blisko nich.

– Kto to? – zapytała Rosalind, podchodząc do Cynthii, kiedy wpatrywała się w gazetę tamtego jesiennego poranka. Pulchnym paluszkiem stuknęła w podobiznę

Alice Manning. – Kim jest ta pani?

Przez chwilę matka i córka razem przyglądały się fotografii. Cynthii przychodziły na myśl różne słowa, ale wszystkie były nieodpowiednie. Wyjawienie imienia tej dziewczyny, opowiedzenie całej historii dałoby jej siłę, jakiej zawsze pragnęła, aby włączyć się do bajeczki, którą Helen Manning pocieszała siebie i swoją córkę. Czy ojciec Śpiącej Królowy wspomina o złej wróżce, kiedy czar już pryska, a tym bardziej przyznaje się do swojej aroganckiej dumy? Czy córka młynarza potwierdza, że Rumpelszyk uczynił ją królową i że to ona nie dotrzymała umowy? Wypowiedz jego imię, a on rozedrze się na pół. Wypowiedz imię, a wszystko będzie skończone.

– Jakaś dziewczyna – powiedziała Cynthia i przewróciła stronę gazety. – To tylko jakaś dziewczyna.

Podziękowania

Ta historia jest całkowicie zmyślona. Chciałabym podziękować Billowi Tooheyowi, Gary'emu Childsowi i Davidowi Simonowi za pomoc, jakiej mi udzielili, objaśniając technikę pracy policji. Z kolei Joan Jacobson i Lisa Respers pokazały mi, co opisuję dobrze (a co opisuję źle), opowiadając o naszym rodzinnym mieście i jego mieszkańcach. Susan P. Leviton, dyrektor Maryland Advocates for Children and Youth, dostarczyła mi kluczowych informacji na temat postępowania władz stanu w sprawach dotyczących nieletnich. Jednak rezultatów tych wszystkich studiów użyłam do własnych celów, aby napisać książkę opowiadającą o fikcyjnych wydarzeniach. Jeśli kiedykolwiek w Maryland miały miejsce podobne wypadki, nic mi o nich nie wiadomo.

W szczególny sposób pragnę podziękować Sally Fellows, a przy okazji też całemu wirtualnemu klanowi, do którego obie należymy, za zachęcanie mnie do pisania tej książki.

